

Marcin Ciszewski

www.1944.waw.pl

2009

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2009

Ilustracja na okładce:

Mariusz Kozik

Wydawca:

Wydawnictwo SOL

Monika Szwaja

Sławomir Brudny

Mariusz Krzyżanowski

05-600 Grójec, Duży Dół 2a

wydawnictwo@wydawnictwosol.pl

ISBN: 978-83-925879-2-7

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Historia powstania warszawskiego jest dobrze znana i szczegółowo opisana w literaturze. Każdy z sześćdziesięciu trzech dni walk zaznaczył się wieloma heroicznymi dokonaniem uczestników jednej z najbardziej zaciętych bitew miejskich w dziejach najnowszych Europy i świata. Czytelnik, nawet pobieżnie zorientowany w realiach tamtych wydarzeń, wie jednak, że w rzeczywistości powstańcom nie udało się niestety zdobyć ani dzielnicy policyjnej, ani lotniska Okęcie, co w żaden sposób nie umniejsza wysiłków poszczególnych ludzi i całych oddziałów.

Przedstawiona opowieść jest fikcją – podobnie jak główni bohaterowie. Jednak to powstanie jako bezprecedensowe wydarzenie historyczne oraz losy niektórych jego uczestników stanowiły inspirację do nadania ostatecznego kształtu przygód bohaterów książki. I tak postać kaprała podchorążego „Witka” wzorowana jest na przeżyciach powstańczych prof. Witolda Kieżuna (historia z wzięciem do niewoli czternastu Niemców za pomocą zaciętego automatu miała miejsce 2 sierpnia 1944 podczas zdobywania Poczty Głównej), któremu chciałem niniejszym serdecznie podziękować za poświęcony mi czas wypełniony fascynującymi wojennymi opowieściami.

Postaciami historycznymi byli przedstawiciele sił bezpieczeństwa Rzeszy: Paul Otto Geibel, Ludwig Hahn, Alfred Spiker oraz Walther Schellenberg. Ich rzeczywiste losy ułożyły się nieco inaczej niż w powieści. Więcej informacji na ten temat znajdziesz, Czytelniku, na stronie www.1944.waw.pl

Motyw zdrajcy w oddziale majora Wojtyńskiego również miał swój odpowiednik w rzeczywistości. To historia „Motora” – jednego z najbliższych podkomendnych słynnego kieleckiego partyzanta Jana Piwnika, „Ponurego”. Likwidacja „Motora” miała miejsce na ponad sześć miesięcy przed wybuchem powstania warszawskiego i została opisana przez Cezarego Chlebowskiego w książce „Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie”, któremu również dziękuję za wsparcie i merytoryczne uwagi dotyczące tekstu powieści..

Pan Marek Wawrzonek wniósł dużo cennych spostrzeżeń dotyczących techniki wojskowej, możliwości konspiracyjnej produkcji broni i amunicji a także zachowań niektórych postaci. Panu Markowi dziękuję serdecznie.

Doktor Bohdan Firek znalazł czas, aby oświecić mnie w skomplikowanych kwestiach medycznych, zwłaszcza dotyczących ran postrzałowych i ich następstw. Danku – jestem głęboko wdzięczny.

Last but not least dziękuję także mojej żonie Kasi, która jak zawsze z anielską cierpliwością znosiła moje humory podczas niełatwego procesu twórczego...

Marcin Ciszewski jest absolwentem Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego ze specjalizacją historia najnowsza. Od lat, choć nie uprawia historii zawodowo, pasjonuje się przebiegiem II wojny światowej, ze szczególnym uwzględnieniem kampanii wrześniowej.

I. ZRZUT

1.

- Tyłek mnie boli.
- Aha.
- Jestem cały zdrętwiały.
- Współczuję.
- Już mi się znudziło.
- Mnie też.

Kapitan marudził tak od pewnego czasu. Tylko jemu chciało się rozmawiać, ja odpowiadałem monosylabami. W gruncie rzeczy jednak wyrażał naszą wspólną opinię: po pięciu godzinach lotu w ciasnym, zimnym i głośnym wnętrzu każdy miał dość i nie prezentował ani olśniewającej kondycji fizycznej, ani tym bardziej dobrego samopoczucia. Całe szczęście dyspozytor – facet z załogi w randze sierżanta, odpowiedzialny za prawidłowy przebieg zrztu – wyszedł w końcu z kabiny pilotów, powiedział głośno:

- Action station! – i zaczął przygotowywać samolot i nas do skoku.

Cieężko podnieśliśmy się z twardej ławki. Każdy z nas dźwigał na sobie przynajmniej czterdzieści kilogramów wyposażenia: dwa spadochrony, broń osobistą, duży zapas amunicji, granaty, racje żywnościowe, latarki. Zresztą to nie wszystko, co mieliśmy ze sobą. Reszta sprzętu spoczywała w sporych rozmiarów zasobniku, który dyspozytor wyrzuci za nami w ciemność.

Przypięliśmy karabińczyki mechanizmu uwalniającego spadochrony do stalowej linki biegnącej wzdłuż kabiny samolotu. Dyspozytor starannie sprawdził oporządzenie, po czym otworzył drzwi. Tornado wdarło się do środka, chłodząc nasze i tak nie najlepsze nastroje. Dla większości z nas był to pierwszy w życiu skok bojowy ze spadochronem, i to w terenie zupełnie nieznanym, na dodatek w nocy. Przemknęło mi przez głowę, że gdyby sprawy szły swoim zwykłym trybem, piłbym właśnie wieczorną kawę na tarasie mojego luksusowo urządzonego domu i rozmawiałbym z żoną na temat weekendowych zakupów. Ta myśl uświadomiła mi, że nasza wyprawa była pomysłem, delikatnie mówiąc, dość karkołomnym. Rzecz jasna wszelkie żale i skargi należały do mocno spóźnionych, bo oto nad drzwiami kabiny pilotów zapaliła się zielona lampka, oznaczająca, że pilot znalazł w końcu właściwą

lokalizację zrzutu. Sierżant machnął ręką i krzyknął głośno:

– Go!

Jeden po drugim, niemal na plecach poprzednika, runęliśmy w dół. Za nami poleciał zasobnik.

Według planu to był koniec akcji. Drzwi miały zostać zamknięte, pilot powinien zatoczyć obszerne koło, wejść na powrotny kurs i polecieć do bazy.

Zamiast tego samolot zwolnił jeszcze bardziej. Dyspozytor podbiegł w głąb kabiny, gdzie stał pokaźnych rozmiarów stalowy kontener. Gdy go otworzył, wyszły z niego dwie osoby, podobnie jak my ubrane w czarne spadochroniarskie kombinezony, i tak jak my z trudem rozprostowały kości. Szybko założyły na siebie broń i wyposażenie. Sierżant wyćwiczonym ruchem przypiął karabińczyki spadochronów do linki i podniósł kciuk.

Dwaj tajemniczy pasażerowie bez wahania skoczyli w ciemność.

2.

– Zwariowałeś, Galaś! – powiedziałem niemal dwa miesiące wcześniej. – Zupełnie zwariowałeś.

– Melduję posłusznie, że nie bardzo – odparł wyprężony jak struna były kapral nadterminowy Józef Galaś.

Rozmowa zaczęła się pogodnego majowego poranka, na przedmieściach San Antonio w Teksasie, w moim biurze. Jej końca nie widać do dzisiaj.

W maju w Teksasie jest bardzo gorąco. Biuro firmy mieściło się w dość luksusowym budynku, zlokalizowanym o sto metrów od teksańskich Termopil, czyli legendarnego klasztoru Alamo, ale pojęcie komfortu w roku czterdziestym czwartym było z mojego, całkowicie subiektywnego punktu widzenia, lekkim nieporozumieniem. Błaznany wiatrak mełł leniwie gorące, zastale powietrze. Nie dawało to nawet psychologicznego efektu, nie mówiąc o faktycznej ochłodzie. Ponieważ czekało mnie spotkanie z Bardzo Ważnym Klientem, zmuszony byłem tkwić za biurkiem w ciężkim, trzyczęściowym garniturze. Pociłem się potwornie, trajkotanie Galasia potraktowałem więc wrogo.

– Mówię zupełnie poważnie. Razem ze Scottem wpadliśmy na pomysł, w jaki sposób zasilić pole. Odtworzyliśmy oprogramowanie sterujące. Brakuje nam trochę terabajtów na dysku twardym...

– Drobiazg – uśmiechnąłem się z przymusem, ale coraz bardziej zainteresowany. – Kupicie na rynku.

– ...i emitera – dokończył niezrażony kapral.

W pokoju zapadła cisza.

Gadanina Galasia, jakkolwiek fantastycznie by brzmiała, miała swoje uzasadnienie w

przeszłości. Wiedziałem, o czym mówi, natomiast nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi.

– Tak się nie dogadamy – westchnąłem, wiedząc, że już się nie wykpię i raczej powinienem się skupić. – Siadaj i mów od początku.

– Tak jest. – Były kapral stuknął obcasami i usiadł na brzeжку krzesła. – Kilka tygodni temu przyszedł do mnie bardzo podniecony Railey. Od progu gadał, że wpadł na pomysł, jak z powrotem uruchomić generator pola, oprogramowanie sterujące i takie tam. Po czym wyciągnął laptopa... No mówię panu, takie oczy zrobiłem. Jesteśmy co prawda w Ameryce, ale szczytem techniki jest obecnie lampowe radio z głośnikiem trzeszczącym jak megafon w Koluszkach. A facio kładzie na stole notebooka i mówi, że złożył go z trzech innych, które ocalały z nalotu, wtedy...

Pamiętałem dobrze ten nalot, a przynajmniej jego część. Miał miejsce we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku.

– Mów dalej, Galaś. – Nagle opanował mnie niepokój. Już domyślałem się, co będzie dalej.

– No więc odpala komputer, patrzę i oczom nie wierzę. Poskładał z części oprogramowanie sterujące polem. Jak pamiętam oryginał, wszystko się zgadza. I najważniejsza część, że tak powiem wycieczkowa, też działa.

Wycieczki. Ładnie powiedziane. Przez te wycieczki zginęło sporo ludzi.

– Pięknie. Tylko co z tego wynika?

– Że gdybyśmy odzyskali emiter, moglibyśmy wrócić, panie pułkowniku.

3.

Wylądowałem dobrze. Wykonałem prawidłowego fikołka i znieruchomiałem, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Ponieważ nic sobie nie złamałem, a spadochron szarpał jak zły pies, podniosłem się szybko na nogi i ściągnąłem linki. Zwinąłem materiał, zrzuciłem z ramion plecak z zapasowym spadochronem i cały ten majdan ukryłem starannie w gęstych zaroślach.

Trzask łamanej gałązki spowodował, że odwróciłem się gwałtownie, szczerknąłem zamkiem thompsona i skierowałem lufę w stronę, skąd doszedł dźwięk.

– Towariszcz, nie strielaj – usłyszałem płaczliwy głos. – Ja nastojaszczij bolszewik.

– Ty nastojaszczij kretyn – odparłem z ulgą. – Więcej tego nie rób.

– Ćwiczmy refleks i orientację w terenie, no nie? – stwierdził kapitan Jan Wieteska, wychodząc z zarośli i ustawiając się w świetle księżyca, abym mógł go obejrzeć w całej krasie. Thompson dyndał beztrząsowo przewieszony przez ramię, a pistolet – nieodłączny desert eagle kalibru .44 – spoczywał w kaburze na biodrze. Nieotwartej nawet. – Reszta gdzie?

– Poszukaj ich – powiedziałem. – Pójdę się rozejrzeć. Spotkamy się za dziesięć minut. I

pamiętajcie o zasobniku.

Wylądowaliśmy mniej więcej pośrodku mocno nachylonego stoku otoczonego lasem. Na południu i wschodzie, niezbyt daleko, majaczyły łagodne szczyty górskie. Mieliśmy mało czasu. Noc chyliła się ku końcowi.

Pomaszerowałem w dół. Po kilkudziesięciu metrach zobaczyłem w ciemności zarys wiejskich chałup. Mieszkańcy wsi raczej nie byli towarzystwem, którego mogłem się obawiać, ale musiałem się upewnić, czy nic nam nie grozi. Przycupnąłem w wykrocie zwalonego na środku obszernej polany drzewa, wyciągnąłem noktowizor i bez pośpiechu zlustrowałem okolicę, jednocześnie uważnie nasłuchując.

Cisza.

Prawie dałem się nabrać. Po raz ostatni omiotłem najbliższe zabudowania i już miałem się wycofać, gdy nikły błysk, umiejscowiony nieco poniżej żurawia, pomiędzy stodołą a chlewikiem, przyciągnął moją uwagę. Delikatnie poruszyłem pokrętłem transfokatora, po czym wycelowałem w niewyraźnie lśniący przedmiot.

Szyba.

Przyjrzałem się uważnie. Bez wątplenia – zamaskowany samochód. I to ciężarowy. Nie podejrzewałem, aby mieszkańcy zabitej dechami świętokrzyskiej wsi w piątym roku wojny posiadali ciężarówkę. Jej właścicielami mogli być raczej ludzie, na których spotkanie nie miałem żadnej ochoty.

Gdy już wiedziałem, czego szukać, rezultaty przyszły szybko. Na lewo od ciężarówki gałęzie i krzaki maskowały stanowisko karabinu maszynowego. W otwartych drzwiach stodoły ciemność kryła następną maszynkę. Na stryszku chałupy, w małym trójkątnym okienku – obserwator i, być może, punkt dowodzenia.

Ludzie ci czekali na coś i byli bardzo dobrze przygotowani na spotkanie. W stan pogotowia postawił ich dźwięk silników liberatora. Możliwe, że nie dostrzegli farbowanych na czarno czasz spadochronów, ale z pewnością zarejestrowali fakt, iż właśnie w tej okolicy samolot zawrócił – musiał zatem gdzieś tutaj pozbyć się swojego ładunku. Na miejscu niemieckiego dowódcy umieściłbym pluton piechoty na szczycie wzgórza, na zboczu którego wylądowaliśmy. Miałby doskonały wgląd w sytuację i świetną widoczność na wszystkie strony, bowiem wzgórze pozbawione było drzew. Po zlokalizowaniu zrzutu pluton ów zacznie schodzić w dół, naganiając skoczków i ewentualną przesyłkę na przyczajonych we wsi kolegów.

Wszystko to uświadomiłem sobie w jednym, przeraźliwie krótkim momencie.

Z lasu za plecami usłyszałem trzask łamanej gałęzi i soczyste polskie przekleństwo. Chwilę później spomiędzy chałup wystrzeliła biała rakietka, po niej kilka następnych. Nad polaną zrobiło się jasno jak w dzień.

Klnąc na czym świat stoi, naciągnąłem sprężynę thompsona, wycelowałem w ukryty w krzakach kaem i pociągnąłem za spust.

4.

– A więc kapral Galaś ma dla nas interesujące wiadomości – stwierdził Wieteska, wydmuchując w moją stronę dym z cygara. Ostatnimi czasy zaczął hołdować wytwornym manierom, ubierać się wyłącznie w garnitury szyte na miarę z najdroższych materiałów, a jego ulubionym trunkiem stał się pięciogwiazdkowy francuski koniak, co zważywszy na kłopoty logistyczne i bająnskie ceny dyktowane przez czarny rynek, świadczyło o definitywnym przejściu kapitana, byłego pilota śmigłowców bojowych, na pozycję zamożnej burżuazji. Spotkanie, w składzie poszerzonym do niemal całego zarządu firmy, odbyło się nazajutrz po wizycie Galasia.

– Możliwe, że są interesujące. – Skrzywiłem się. – Sami oceńcie.

Galaś ze szczegółami opowiedział o odkryciu Scotta Raileya. Wiedział, jaką przynętę założyć na haczyk, abyśmy dali się złapać. Pomiął interpretację, uwypuklił gołe fakty – jednak zrobił to w taki sposób, że wniosek mógł być tylko jeden.

– Zatem kapral twierdzi, że razem z Raileym zdołał odtworzyć oprogramowanie sterujące polem siłowym oraz umożliwiające skoki w czasie. Gdybyśmy odzyskali emiter, z technicznego punktu widzenia nasz powrót do dwa tysiące siódmego stałby się możliwy, czy tak?

– Tak – z zapalem pokiwał głową Galaś – to bardzo prawdopodobne...

– Momencik. – Wieteska podniósł rękę. – Nie tak szybko. Na razie zostawmy kwestię naszej chęci czy niechęci do powrotu. Ale po pierwsze: co z zasilaniem? Przecież, o ile pamiętam, kluczowym elementem technologii MDS-a był reaktor atomowy napędzający to cholerstwo.

– Tak. – Galaś rozjaśnił się. – Ten problem jest już rozwiązany. – Zręcznym ruchem wyciągnął z teczki mapę. Przedstawiała południowo-zachodnią część stanu Teksas. – Panowie będą łaskawi spojrzeć. – Nie tylko Wietesce urzędowanie na wysokich, firmowych posadach dodało savoir-vivre'u. – Reaktor atomowy to nic więcej, jak tylko nowoczesne źródło energii elektrycznej, no nie? Nie potrzebujemy reaktora, potrzebujemy prądu i musimy go jakoś zdobyć. Jak? To proste. Sto kilometrów na zachód od Houston oddano do użytku nową elektrownię. Ma moc wielokrotnie przekraczającą nasze potrzeby. Linie przesyłowe będą tędy.

– Zakreślił na mapie szeroki łuk ciągnący się na zachód, w stronę San Antonio. – Pięćdziesiąt kilometrów pustkowia. Znaleźliśmy bardzo dogodne miejsce, aby się podłączyć i wykorzystać przez kilka chwil moc elektrowni do naszych potrzeb. Mało tego, Railey zna te okolice, że tak powiem, z naszych czasów, i one się zupełnie nie zmieniły. Gdybyśmy tam odpalili emiter, jest gwarancja, że wylądujemy w dwa tysiące siódmym suchą nogą, a nie na

przykład na dachu wieżowca albo na dnie jeziora... – Uśmiechnął się chytrze.

– Tego byśmy na pewno nie chcieli. Ale, ale... Chcesz podłączyć system do publicznej sieci elektrycznej? – zapytałem. – W połowie stanu wysiądzie prąd.

– No to co? Może na dwie godziny. Naprawią.

– To jest w ogóle technicznie możliwe? – odezwał się po raz pierwszy tego dnia Kurcewicz.

– Jest. – Galaś był coraz bardziej podniecony. – Musimy oczywiście trochę zainwestować, wynająć ekipę, która wykona stację transformatorową, generatory, baterie akumulatorów, musimy też wykopać tunel dla kabla zasilającego, bo przecież nie zainstalujemy się z naszym majdanem tuż obok linii przesyłowej. Ktoś może się zorientować.

– No dobrze. Mamy oprogramowanie. Przyjmijmy, że mamy też zasilanie – analizował temat Wieteska. – Potrzebujemy jeszcze emitera.

– Tak jest. Więc musimy pojechać po niego do kraju.

Wieteska spojrzał na mnie i parsknął śmiechem. Kurcewicz siedział w milczeniu, sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Słyszysz go? Chce zorganizować wypad do okupowanej ojczyzny. Przypomnę: mamy czerwiec czterdziestego czwartego roku, znajdujemy się w Stanach Zjednoczonych, trwa wojna. Pomimo naszych wysiłków we wrześniu trzydziestego dziewiątego Polska znajduje się pod okupacją niemiecką. Kaprał natomiast proponuje, abyśmy pojechali tam jak na wycieczkę, odnaleźli ważący blisko pół tony emiter ukryty w Górach Świętokrzyskich i wrócili z nim bezpiecznie prosto do Teksasu. Galaś, jak chcesz przetransportować to żelastwo? Poczta? I skąd wiesz, czy w ogóle zadziała? – Kapitan pilot Wieteska podobną tyradę wykrzyczałby Galasiowi w twarz z odległości piętnastu centymetrów. Dyrektor Wieteska nie ruszył się z krzesła i nawet nie podniósł głosu.

– Transport zorganizować się da. – Galaś zmrużył oczy. Jak zwykle go nie docenialiśmy. – Mogę opowiedzieć, jak sobie to wyobrażam...

– Na razie nie opowiadaj. Kwestia jest inna. – Kurcewicz mówił tak cicho, że w pierwszej chwili go nie usłyszałem. – Czy ktoś chce wracać?

– No jasne, to jest podstawowe pytanie. Są chętni? – podchwycił Wieteska.

– Ja – powiedział Galaś.

– I ja – dodałem niemal równocześnie.

5.

Pierwsza seria weszła idealnie w krzaki kryjące kaem. Efekt był więcej niż zadowalający: coś się tam porządnie zakotłowało i stanowisko wraz z załogą rozleciało się na boki. Błyskawicznie zmieniłem magazynek i posłałem następną serię w okno obserwatora.

Skutków nie dane mi było dostrzec, bo zza chałup i zabudowań gospodarczych wybuchł gwałtowny ogień, kierowany głównie w moją stronę. Był bardzo dobrze mierzony, o czym poinformowały setki rozwścieczonych szerszeni przelatujących tuż obok mnie. Czym prędzej schroniłem się w wykrocie, usiłując przetrwać bez strat pierwszą nawałnicę.

Huk przekraczał wszelkie normy, kule latały nad głową, a ja myślałem intensywnie. Zostałem odcięty od kolegów ukrytych w lesie. Aby do nich się dostać, musiałbym przebiec po odkrytym terenie około stu metrów, i to pod górę. W najlepszym wypadku byłem w stanie to uczynić w dwadzieścia sekund. W dwadzieścia sekund nawet średnio rozgarnięty rezerwista strzelający z dziewiętnastowiecznej flinty z zamkiem kapiszonowym zdoła mnie trafić. Nie mówiąc o kilku cekaemach prażących z zabudowań.

Było jeszcze niezbyt jasno, więc założyłem powtórnie noktowizyjne gogle, wychyliłem się ostrożnie z wykrotu, mając za osłonę pień zwalonego drzewa, i spojrzałem w bok.

Kilkunastu nieprzyjacielskich żołnierzy właśnie podrywało się do biegu. Ich zamiar był jasny – pod osłoną kaemów przemkną bokiem polany kilkadziesiąt metrów pod górę, aż znajdą się powyżej mego stanowiska. Stamtąd uzyskają idealny widok na wykrot. Jeżeli będą mnie chcieli zastrzelić, zrobią to w ciągu pół minuty. Jeśli mają rozkaz wziąć żywcem – zabawa potrwa nieco dłużej.

Ale tylko nieco.

Wymierzyłem starannie i chociaż dystans był trochę za duży dla thompsona, oddałem kilka krótkich serii w stronę nisko pochylonych postaci. Dwie potknęły się i upadły na ziemię. Reszta paroma susami dopadła najbliższych zarośli i czym prędzej w nie zanurkowała. Strzeliłem jeszcze parę razy w te krzaki i odwróciłem się szybko, podejrzewałem bowiem, że Niemcy chcą zastosować manewr dwustronnej operacji kleszczowej. I nie pomyliłem się – po drugiej stronie polany dobiegała właśnie do linii drzew następna drużyna. Była już na mojej wysokości.

I dla nich, i dla mnie było całkowicie jasne, że nie dam rady bronić się na dwa fronty.

Lewoskrzydłowy oddziałek, ten, który zagoniłem w krzaki, otworzył ogień. W zasadzie mogłem już tylko przytulić się do dna wykrotu i czekać na nieprzyjacielski atak. W głębi ducha pocieszałem się, że gdy będą blisko, sięgnę ich granatami i zmuszę do odwrotu, ale nie była to jakaś wielka nadzieja. Przy czym zupełnie nie miałem pomysłu, w jaki sposób, leżąc z głową w piachu, ocenić prawidłowo dystans odpowiedni do walki na granaty.

Ku mojemu zaskoczeniu strzelanina nieco ucichła. Starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, zaryzykowałem i wyjrzałem z kryjówki. Atakujący żołnierze byli nie dalej niż dziesięć metrów od wykrotu. Wyciągnąłem zawleczkę i rzuciłem karbowane jajo w ich stronę.

Wybuch powalił kilku najbliższych na ziemię i w tym momencie usłyszałem za plecami długą serię erkaemu.

Bren. Ręczny karabin maszynowy. Podstawowe uzbrojenie brytyjskiej drużyny piechoty

w owym czasie.

Przed wylotem stoczyłem całą walkę z Galasiem, który uparł się, aby zabrać to żelastwo wraz z pokaźnym zapasem amunicji. Udowadniał mi przez godzinę, że wsparcie ogniowe zawsze może się przydać. Ja oponowałem, perorując, że nie będziemy uczestniczyć w żadnych walkach pozycyjnych, przeprowadzimy za to szybką i cichą akcję w stylu komandosów z filmu „Tylko dla orłów”, w której erkaem będzie jedynie przeszkadzał. Galaś upierał się przy swoim, i w końcu odpuściłem. Teraz w duchu błogosławiłem nas obu.

Po chwili do brena dołączyli pozostali uczestnicy wyprawy. Wyraźnie rozpoznałem ochryple ujadanie dwóch thompsonów oraz pojedyncze wystrzały z garanda, używanego przez Kurcewicza.

Nieprzyjacielskie natarcie dostało lekkiej zadyszki. Żołnierze, atakując skosem w poprzek polany, byli dość dobrze widoczni w świetle przedświt. Moich towarzyszy krył mrok ciemnego jeszcze lasu. Dlatego atakujący oddziałek poniósł, lekko licząc, pięćdziesiąt procent strat.

Nie zmieniało to faktu, iż zostałem na dobre uwięziony w wykrocie, bo nieprzyjacielska piechota, jakkolwiek przerzedzona, zaległa po obu stronach nie dalej jak trzydzieści metrów od kryjówki i miała mnie jak na widelcu, skutecznie uniemożliwiając odskok.

Ogień strzelających ze wsi kaemów przeniósł się na stanowiska moich towarzyszy. Kwestią czasu było, kiedy Kurcewicz i spółka zostaną zmuszeni do zmiany stanowisk. Wtedy odciążający ogień zgaśnie, a flankujący mnie żołnierze, chociaż w uszczuplonej liczbie, zaatakują z dwóch stron.

Równocześnie na moich kolegów natrze od tyłu pluton schodzący ze szczytu wzgórza.

6.

– Przecież to bez sensu. Po co mamy wracać?

– Do siebie.

– Tu jesteśmy u siebie. Mamy wszystko: dom, ty i ja rodziny, Wojtuś swoje pasje strzeleckie, nawet Wilgat się w końcu od twojej żony odczepił. Firma rozwija się w takim tempie, że prawie tego nie ogarniamy. Czego ci brakuje? Internetu? Telewizji? Gwiazd rocka?

– Brakuje mi... – zawahałem się – swojskości. Nie wiem, jak to nazwać... bliskości ludzi, Polski, mentalności, kultury, bo ja wiem?

– Bla, bla, bla. – Wieteska zdecydowanym krokiem powracał do swego dawnego stylu. – Spójrz na to od strony praktycznej. Twój ojciec nie żyje, z matką i tak nie utrzymywałeś żadnych kontaktów. Armia traktowała cię po macoszemu. Miałeś otrzymać spadek, owszem, ale sam twierdziłeś, że nie jest to pewne w obliczu zakusów kuzynów, którzy nagłe się

pojawił się nie wiadomo skąd. A teraz popatrz, co osiągnąłeś tutaj: masz żonę, poza którą świata nie widzisz. Przyjaciół. – Nieznacznie wypiął pierś. – I firmę, której jesteś prezesem i głównym udziałowcem. Poza tym wiemy, co będzie dalej: wojna za rok się skończy i jeśli nie wpakujemy się w żadną awanturę, czeka nas kilkadziesiąt lat bajecznej powojennej koniunktury. Człowieku, jesteśmy w Ameryce, największym mocarstwie świata. I będziemy to mocarstwo współtworzyć.

– Albo i nie... – Od kilku minut właściwie go nie słuchałem, myślami będąc dość daleko.

– A konkretnie? – odezwał się Kurcewicz, jak zwykle lekko nieobecny duchem.

– Nie chcę, aby to zabrzmiało jako forma nacisku... ale mam sygnały, że interesują się nami ludzie z FBI. Bardzo dyskretnie rozpytują o nas. Nie sądzę, żeby mieli jakiś poważny punkt zaczepienia, ale sam fakt, że zwrócili na nas uwagę, wydaje mi się niepokojący.

– Skąd wiesz o FBI? – bez specjalnych emocji zainteresował się Wieteska. Być może bomba atomowa wybuchająca za oknem zrobiłaby na nim wrażenie, choć nie było to takie pewne.

– Mam paru informatorów tu i tam.

– Myślisz, że to coś poważnego? Przecież na legalizację poświęciliśmy sporo czasu i pieniędzy.

– Owszem, ale tylko się zastanów. Przybывamy znikąd. Jeśli ktoś naprawdę się temu przyjrzał, bez trudu zauważył, że nikt z nas nie ma tu rodziców. Po angielsku, oczywiście poza Nancy, mówimy z obcym akcentem. Ja, co prawda, z brytyjskim, ale to nie jest naturalne w Stanach, zwłaszcza na Południu. Pieniądze mamy nie wiadomo skąd. Ktoś uznał to za dostatecznie podejrzane, żeby zacząć węszyć. I węszy. A więc możliwe, że musimy wiać.

Wieteska zamyślił się. Może wyglądał na lekkoducha i snoba, ale umysł miał precyzyjny jak komputer. Do tej pory nie przejmował się specjalnie, ale mogłem być pewny, że naszą sytuację analizuje wszechstronnie.

– Dobra, zostawmy to na razie. Powiedźcie, moi kochani, jak wyobrażacie sobie tę waszą wyprawę po złote runo?

A więc przełom w negocjacjach. Kapitan Jan Wieteska właśnie oficjalnie przyznał, że czuje się zaniepokojony sytuacją i byłby ewentualnie gotów poprzeć nasz plan.

Galaś spojrzał na mnie. Nieznacznie kiwnąłem głową.

– Mamy linię lotniczą, tak? A więc bierzemy dakotę, dwóch najlepszych pilotów i lecimy do Włoch, do Brindisi. Tam czeka na nas zamówiony sprzęt, czyli spadochrony, broń, zapasy i tak dalej. Wyprawa potrwa maksymalnie tydzień. Wynajmujemy od armii samolot o wystarczającym zasięgu, na przykład liberatora, lecimy którejś ciemnej nocy do Polski i gdzieś w okolicach Łysej Góry – hop. Skaczemy. Odnajdujemy emiter, bierzemy ciężarówkę – o ile pamiętam, ze sprzętu batalionu pozostało kilka starów na chodzie – po czym wynajdujemy w miarę równe miejsce nadające się na pas startowy. Wzywamy z Włoch

naszego liberatora, przylatuje, ląduje, pakujemy emiter i wracamy.

Nawet ja dołączyłem do wesołego śmiechu Wieteski i Kurcewicza. Były kapral nadterminowy Galaś przedstawił plan wyprawy w taki sposób, że jazda samochodem z domu do biura wyglądała przy tym jak syzyfowe męki.

– Bardzo sprytne, kapralu, bardzo. – Wieteska otarł wierzchem dłoni łzę toczącą się po policzku. – A tak poważnie: skąd broń i wyposażenie? Skąd wojskowy liberator lecący do Polski poza rozkładem? I to dwukrotnie? Skąd wiesz, że znajdziesz odpowiednie lądowisko? No i łączność. Jak powiadomisz załogę samolotu, kiedy ma lecieć i gdzie lądować? Przecież lądowiska nie uzgodnimy przed wyprawą, bo nie będziemy go znali. Dopiero w kraju okupowanym przez Niemców mamy, jak rozumiem, po ciemku znaleźć odpowiednie miejsce. Pomijam fakt, że żaden z was w życiu nie skakał ze spadochronem. No i wreszcie najważniejsza sprawa. Miejsce ukrycia sprzętu, który pozostał po batalionie, zna oprócz nas jeszcze paru ludzi. Wojtyński czy Borek na przykład. Albo Wójcik. Jeżeli nadal są w Polsce i walczą w konspiracji, mogli już pięć razy opróżnić kryjówkę albo przenieść kłamoty gdzie indziej.

– No... – Galaś rozpromienił się. Planowanie takich operacji oraz dopinanie szczegółów było jego żywiołem. – Nie będziemy wiedzieć, jak nie sprawdzimy, no nie?

– Momencik. – Wieteska podniósł rękę i zwrócił się do mnie. – Nancy wie?

– Wie. Jest przeciw wyprawie, ale za powrotem w nasze czasy.

– Kobieca logika. – Wieteska uśmiechnął się życzliwie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego również czeka niemała przeprawa ze swoją żoną Rozalką.

– No właśnie. Przekonam ją, że nie możemy mieć jajecznicy, nie rozbijając jaj.

– Wątpię. Ale gadaj, Galaś, o tych przygotowaniach.

7.

Strzelanina nasiliła się. Obie skrzydłowe drużyny prowadziły ogień zarówno w moją stronę, jak i do odszczekujących się ostro kolegów skrytych wśród drzew.

Raptem osłaniający mnie ogień osłabł, za to w lesie, za stanowiskami Wilgata i spółki, wybuchła gwałtowna kanonada. To musiał wejść do akcji pluton wymiatający od szczytu wzgórza. Kurcewicz, Galaś i właściciel jednego z thompsonów przenieśli ogień na ów oddział. Oznaczało to, że nie dali się zaskoczyć, ale ja zostałem praktycznie bez wsparcia. Rzuciłem następny granat, wychyliłem się z kryjówki i oddałem parę serii na boki. Skutek był taki, że ściągnąłem na siebie zmasowany ogień – musiało strzelać do mnie kilkanaście luf.

Nie miałem żadnej szansy ucieczki. Kocioł założony był starannie i fachowo.

Walka dobiegała końca. Leżałem na dnie wykrotu, licząc tylko na to, iż grupa zarządzająca zasadzkę ma rozkaz brać jeńców żywcem. Możliwe, że przedłużając życie o kilka czy

kilkanaście minut, znajdę okazję do ucieczki. Z drugiej strony nie miałem najmniejszej ochoty na spotkanie ani z Wehrmachtem, ani tym bardziej z gestapo.

Gdy rozejrzałem się bacznie, odniosłem nieodparte wrażenie, iż od strony zabudowań zmieniło się natężenie bitewnego zgiełku. Jakby... wzrosło. Przy czym wyraźnie odczułem, że ostrzał prowadzony w moją stronę osłabł, i to znacznie. We wsi wybuchła gwałtowna walka. Oddział stanowiący podstawę kotła został zaatakowany od tyłu.

Wychyliłem się ostrożnie z wykrotu. Obie flankujące mnie grupy biegły w dół – na pomoc walczącym we wsi kolegom. Posłałem pożegnalną serię, eliminując z walki ostatniego z biegnących, po czym spojrzałem w stronę zabudowań.

Niemcy walczyli o życie. Dostrzegłem kilkudziesięciu żołnierzy, którzy nacierali od tyłu i z boku, likwidując niemieckie stanowiska jedno po drugim. Sposób ataku, jego bezwzględność i szybkość wydały mi się dziwnie znajome. Tak w moich czasach walczyły jednostki specjalne. Uderzały małymi, czteroosobowymi sekcjami, świetnie zgranymi i dysponującymi huraganową siłą ognia.

O ile mogłem jednak dostrzec z tej odległości, również napastnicy byli ubrani w niemieckie mundury. Niemcy zaczęli walczyć między sobą? Bzdury. Kim zatem był przeciwnik naszych wrogów?

Wsparcie tajemniczych wybawicieli umożliwiło mi opuszczenie wykrotu, nie zmieniło natomiast faktu, że moi koledzy nadal zmagali się z oddziałem nacierającym z głębi lasu. Pobiegłem więc czym prędzej pod górę. Gdy wpadłem między drzewa, niemal potknąłem się o leżącego na ziemi Galasia, który strzelał w stronę krzaków oddalonych o kilkadziesiąt metrów. Przypadłem do niego.

– Dawaj erkaem! – krzyknąłem, starając się przebić przez strzelaninę. – Leć do pozostałych i powiedz, żeby wycofywali się na dół. Będę was osłaniał.

– Ale...

– Wykonać. Przyszła odsiecz. Wieś za chwilę będzie czysta. No już.

Kapral poderwał się i pobiegł. Ułożyłem się za drzewem, przycisnąłem kolbę do ramienia i rozejrzałem się w sytuacji. Przede mną, w odległości może trzydziestu metrów, leżało na ziemi kilkunastu niemieckich żołnierzy, najwyraźniej powalonych celnymi strzałami. Nieco dalej, wśród gęstego poszycia, ukrytych było następnych dwudziestu, może trzydziestu Niemców, strzelających w dół. Na prawo ode mnie warczały dwa thompsony – a więc Wilgat i Wieteska – na lewo regularnie odzywał się garand Kurcewicza. Kapitan używał najlepszej, wyposażonej w precyzyjny celownik optyczny wersji tego karabinu. Znając go i wiedząc, jak strzela – w ciągu ostatnich lat dzięki nieustannemu treningowi stał się najlepszym strzelcem, jakiego dane mi było poznać – nie dziwiłem się, że, nieprzyjacielski atak nie był w stanie posunąć się dalej.

Galaś musiał działać zgodnie z rozkazem, bo thompsony zamilkły. Kapral po chwili przebiegł za moimi plecami, aby dać znać Kurcewiczowi, a obok mnie na ziemię zwałił się

Wieteska.

– Czołem – zagaił kapitan, podczas gdy ja zmieniałem magazynek. – Widzę, że zaprosiłeś gości.

– Wpadli bez zapowiedzi, ale zaraz się będą zbierać.

– Tak? A czemu? Zrobiło się późno?

– Przyszła odsiecz.

– Odsiecz? – zainteresował się. – A mówiłeś komuś, że wpadniemy?

– Spadaj, Johny, dobra? – Oddałem krótką serię, przy okazji przypominając sobie, jak to cholerstwo kopie. – Wycofujcie się w stronę wsi, a potem mnie osłońcie.

Miał ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale hałas był zbyt wielki na uprawianie swobodnej konwersacji, więc odczołgał się do tyłu. Gdy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że cała czteroosobowa grupka biegnie chyżo w dół.

W krzakach przede mną coś się poruszyło. Wpakowałem w to miejsce długą serię, poprawiłem, przeciągając po sąsiednich zaroślach, i zacząłem się odczołgiwać. Gdy dotarłem na skraj otwartego terenu, wyjąłem granat, wyciągnąłem zawleczkę i rzuciłem jak najdalej w głąb lasu. Wybuchnął jakieś trzydzieści metrów ode mnie. Nie czekając, aż opadną odłamki, nisko pochylony popędziłem w dół wielkimi susami, przeklinając w duchu wagę erkaemu.

8.

– Nie, nie, nie. – Nancy wysunęła wojowniczo podbródek. – Nigdzie nie pojedziesz.

– Słuchaj, misiu. – Jakoś nigdy nie umiałem się z nią kłócić na poważnie. Znacznie lepsze efekty dawała rzeczowa argumentacja. – To nie jest aż takie ryzyko. Wszystko bardzo dobrze przemyśleliśmy. Mamy opracowane po dwa warianty na każdą sytuację. Przeprowadzimy operację wojskową, skomplikowaną, przyznaję, ale przecież w końcu jesteśmy zawodowymi żołnierzami. Ryzyko jest zawsze, ale jak będziemy mieli odrobinę szczęścia, nie oddamy nawet jednego strzału.

– Nie mów mi o ryzyku, dobrze? Też jestem zawodowym żołnierzem, i to dobrze wyszkolonym, może nawet lepiej od was. Wiem dokładnie, jakie jest ryzyko. Otóż jest o wiele większe, niż chcesz przed sobą przyznać. W ogóle nie macie zabezpieczonego odwrotu. Nie wiecie, czy znajdziecie lądowisko. Przecież liberator to nie samolot turystyczny, który może wylądować na byle kartoflisku. Waży dwadzieścia ton. Poza tym wydaje mi się mało prawdopodobne, że znajdziecie wojskową załogę, która nielegalnie poleci z wami do Polski. To nie będzie krótki lot wycieczkowy, trudno coś takiego ukryć.

– Polecimy oficjalnie – zapewniłem. – Będziemy występować jako agenci wywiadu wojskowego, który zdobył informacje o niemieckich pracach nad bronią rakietową. Słyszałaś o V-2? Problem jest na tyle istotny, że OSS zdecydowało się wysłać do Polski grupę agentów,

która ma za zadanie zbadać zaawansowanie niemieckich prac, wrócić i zameldować o rezultatach.

– Zwariowałeś? – Była tak zdumiona, że nie zdążyła się nawet zezłościć. – W życiu nie słyszałam podobnych bzdur. Chcesz udawać agenta amerykańskiego wywiadu? Przecież jak was złapią, obojętnie, nasi czy Niemcy, macie jak w banku wyrok śmierci.

– Nancy. – Uśmiechnąłem się łagodnie. – To nie tak. Nie będziemy udawać. Będziemy prawdziwymi agentami...

– Słucham?

– Lecimy jako oficjalna, aczkolwiek całkowicie tajna misja rządu amerykańskiego.

– Nie wierzę własnym uszom! – Brzdęk! Wściekła się. – Nie, ja chyba śnię. Dla jakichś mrzonek, dla jakichś szczeniackich rojeń ryzykujesz wszystko, co tutaj osiągnęliśmy. Nawet jeżeli wrócicie cali, w co bardzo wątpię, taka ekspedycja nie utrzyma się w tajemnicy. Przecież będzie w nią zaangażowanych wielu ludzi z zewnątrz. Jak zapewnisz ich milczenie?

– Już zapewniłem.

– Tak? Aż się boję pomyśleć, w jaki sposób.

– W tradycyjny. Po prostu ich kupiłem – odpowiedziałem z prostotą. – Pamiętasz „Złoto dla zuchwałych”? Stosunki w waszej armii nie odbiegają zbytnio od tych z filmu. Dotarłem do paru ludzi odpowiedzialnych za to i owo. Sto tysięcy dolarów rozjaśniło wszystkim w głowach i zapewniło niezbędną dyskrecję.

Chwilę sapała ze złości, kalkulując możliwe implikacje mojej lekkomyślności.

– Po co chcesz wracać? – zmieniła raptownie temat, ale to było zasadnicze pytanie.

– Tam jest nasza rzeczywistość. W tej źle się czuję. Wydaje mi się, że ty też.

Mogłem argumentować przez godzinę. Mogłem też powiedzieć tylko to, co powiedziałem. Uderzyłem w najbardziej delikatną strunę, najmocniej jak potrafiłem.

Nancy umilkła na chwilę.

Nastąpił kulminacyjny moment rozmowy. Musiała podjąć decyzję sama i byłem całkowicie pewien, że podejmie ją niezwłocznie i nieodwołalnie.

– Dobrze. – Kiwnęła głową. – Narażasz na szwank naszą rodzinę i firmę, bez uzgodnienia wydałeś sto tysięcy dolarów. Wszystko to dla jakiegoś mirażu, bo nawet nie masz pewności, czy znajdziecie emiter, a jeżeli już, to czy będzie nadawał się do użytku. Skończyłeś czterdzieści lat, ale jesteś chłopcem w krótkich majteczkach, i to już się chyba nie zmieni. Może jednak warto zaryzykować. Mam jeden warunek.

Spojrzałem jej prosto w oczy, aby z godnością przyjąć cios, który zada.

– Lecę z wami.

W wykrocie, moim poprzednim stanowisku bojowym i niedoszłym grobie, urzędował kapitan Wojciech Kurcewicz, przepatrując przedpole przez optyczny celownik karabinu i od czasu do czasu posyłając kulę w stronę lasu. Dzięki temu, posapując z wysiłku, dobiegłem szczęśliwie niedrażnięty do środka polany.

– Pobądź tu jeszcze przez chwilę – rzuciłem w stronę kapitana, przemykając obok. – Osłonimy cię ze wsi.

Przebiegłem jeszcze kilkadziesiąt metrów i skryłem się za pierwszą chałupą, tą, w której jeszcze pół godziny temu przebywał niemiecki obserwator. Spotkałem tam Galasia, który lustrował przez lornetkę skraj lasu.

– Masz. – Wręczyłem mu erkaem. – Osłoń odskok kapitana. Stamtąd. – Wskazałem na górne okienko.

Wziął maszynkę i zniknął za drzwiami. Odwróciłem się i rozejrzałem po poboju. W zasięgu wzroku leżało kilkudziesięciu poległych Niemców, trafionych przeważnie pojedynczymi strzałami w głowę. Kilka stanowisk zostało rozerwanych granatami. Biorąc pod uwagę, że niemiecki oddział liczył, poza plutonem atakującym ze szczytu wzgórza, minimum stu ludzi, a walka trwała nie dłużej niż pięć minut, siła naszych tajemniczych wybawicieli była znaczna, a oni wykorzystali ją w sposób perfekcyjny.

– Witam, panie pułkowniku. Nie spodziewałem się pana – usłyszałem za plecami znajomy głos.

Odwróciłem się. Przede mną stał młodszy i niższy ode mnie mężczyzna. Ubrany był w czarny mundur pułkownika wojsk pancernych Waffen SS. Przez głowę przebiegło mi tysiąc obrazów i wspomnień, w końcu jedno okazało się właściwe.

Poznałem tego człowieka w sierpniu dwa tysiące siódmego roku, kiedy otrzymałem nominację na dowódcę Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, specjalnie wyposażonej i uzbrojonej jednostki przeznaczonej do walki z talibami w Afganistanie. Batalion, w wyniku splotu szatańskich okoliczności, przeniósł się w czasie do dnia pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku, na dodatek lądując na zapleczu niemieckiego korpusu pancernego. Jednostka złożona była z różnych pododdziałów wsparcia, w jej skład wchodził między innymi pluton komandosów z GROM-u. Dowódcą owego plutonu był facet, który stał teraz przede mną. Janusz Wojtyński. Porucznik.

– Dzień dobry. – Wyciągnąłem rękę. – Muszę przyznać, że ja również się nie spodziewałem. Co pan tu robi?

– A pan? – odparował, ściskając moją dłoń.

Chwilę taksowaliśmy się wzrokiem.

Nie widzieliśmy się od prawie pięciu lat. Po rozwiązaniu batalionu pod koniec września trzydziestego dziewiątego część żołnierzy – w tym ja, ranny i bez świadomości, transportowany przez Nancy i kolegów – przeszła na Węgry i stamtąd rozjechała się po świecie. Moja grupa trafiła przez Rumunię i Francję do Stanów Zjednoczonych, gdzie osiadła

w San Antonio i prowadziła spokojny żywot biznesmenów. Znacznie większa grupa, pod dowództwem artylerzysty, kapitana Wójcika, przebiła się do Warszawy, gdzie miała zamiar wziąć udział w walkach obronnych. W skład tej grupy wchodził właśnie porucznik Wojtyński. Od tej pory nie mieliśmy o tych ludziach żadnych wieści.

Aż do dzisiejszego ranka.

Porucznik miał na sobie niemiecki mundur. Biorąc pod uwagę, że mijał właśnie piąty rok okupacji, a Wojtyński był znakomicie wyszkolonym specjalistą od tajnych akcji, stało się jasne, że nie przebywał w tej okolicy przypadkiem. Nie czekał na nas, bo o naszej misji nie mógł się w żaden sposób dowiedzieć, ale wykonywał tu jakieś swoje zadanie.

Ja ze swej strony także pojawiałem się w jego życiu po pięciu latach, i to w towarzystwie kumpli. Nie miałem na sobie co prawda munduru w klasycznym tego słowa znaczeniu, ale szyty na zamówienie kombinezon, choć pozbawiony oznaczeń i dystynkcji, wskazywał jednoznacznie na wojskowy charakter naszej wyprawy. Nie mówiąc oczywiście o granatach, USP w kaburze, rewolwerze smith&wesson w kieszeni i thompsonie przewieszonym przez ramię.

Mieliśmy zatem obaj o czym myśleć.

Od strony lasu dobiegły odgłosy gwałtownej strzelaniny. To ludzie Wojtyńskiego dobijali resztę niemieckiego plutonu.

– Ja... – zacząłem. – My... – poprawiłem się. – Wylądowaliśmy godzinę temu. Niemcy czekali na nas. Tam. – Machnąłem ręką w kierunku toczącej się jeszcze walki. – I tu. Wpadliśmy prosto w kocioł. Gdyby nie wy...

– Przypadek. – Wzruszył ramionami. Zmęczona, ściągnięta twarz pozostała nieprzenikniona, oczy obserwowały mnie uważnie. – Przyjazd planowany był na wczoraj, ale zepsuła się jedna z ciężarówek.

– Więc wy...

– Po prostu usłyszeliśmy strzelaninę. Nie mieliśmy zamiaru mieszać się w nie swoje sprawy, ale niestety pułapka zastawiona na pana i kolegów wypadła dokładnie na trasie naszego przejazdu. Nie bardzo jest jak ominąć tę wieś. Więc oczyściliśmy sobie drogę.

– Ach tak... – Westchnąłem. Coraz mniej mi się to wszystko podobało, chociaż akurat do porucznika nie mogłem mieć żadnych pretensji. Ba, odczuwałem głęboką wdzięczność. – Problem w tym, że ta pułapka nie była zastawiona na nas. Niemcy nie mają pojęcia o naszym istnieniu. O naszej misji wiemy tylko my... – pokazałem ręką na moich towarzyszy, którzy przyglądali się z zaciekawieniem Wojtyńskiemu i jego żołnierzom – ...plus dwie osoby w Stanach Zjednoczonych.

– Na kogoś jednak czekali.

– Może na zwykły zrzut.

– Może – zgodził się nieoczekiwanie. – Czyli pan nie przybywa tu w ramach zwykłego zrzutu?

Cholera. Trochę za późno ugryzłem się w język.

– Misja jest tajna...

– Oczywiście. Przyleciał pan po pozostałości MDS-a? – W jego głosie było raczej stwierdzenie niż pytanie. MDS był tym cholernym, znarowionym wehikułem czasu.

– Skąd pan...

– Poza tą aparaturą nie ma tu niczego, co by mogło pana interesować.

Zastanowiłem się chwilę. Ujawnienie prawdy niewiele mogło nam zaszkodzić. Zatajenie jej wrogo nastawi do nas tego faceta, a zdecydowanie wolałbym go mieć po swojej stronie.

– Tak. Ma pan rację. Przylecieliśmy po emiter pola i resztę ocalałego sprzętu.

Skinał głową. Z jego punktu widzenia zaprzeczenia i tak nie miały żadnego sensu.

– Moje zadanie wymaga – powiedział beznamiętnym tonem, ledwie akcentując sylaby – aby nie było żadnych świadków. W zasadzie powinienem was zlikwidować.

10.

– Nie ma mowy.

– Jadę.

– Nie jedziesz.

– Jadę.

Tej mniej więcej treści rozmowy odbywały się przez następne dni. W końcu, po zażegnaniu kilku poważnych kryzysów, przy czym w ostatnim, poza mną i Nancy, brali udział wszyscy uczestnicy wyprawy, a także Rozalka, żona kapitana Wieteski, stanęło na tym, że obie panie przyłączą się do planowanej operacji i polecą z nami do Włoch, gdzie poczekają na nasz powrót. O ten ostatni punkt stoczyliśmy prawdziwą walkę, nie chcąc się zgodzić na udział żon w ryzykownym locie przez Atlantyk, ale ostatecznie musieliśmy ustąpić – groźba dubeltowego rozvodu podziałała twórczo na moją i John’ego wyobraźnię.

Przygotowania zostały już właściwie ukończone, ludzie, których decyzje były pomocne w organizacji misji – opłaceni, sprzęt skompletowany, załogi samolotów gotowe do drogi. Ustalałem właśnie z Nancy szczegóły opieki nad naszym dwuletnim synem, kiedy z hukiem otworzyły się drzwi, omal nie wylatując z zawiasów.

– Railey zniknął! – Galaś dyszał jak po szybkim biegu, a minę miał niczym czterech jeźdźców Apokalipsy razem wziętych.

– Zniknął? – zapytałem.

– Nie ma go w domu ani w biurze. Ostatni raz go widziano wczoraj wieczorem.

– Pytałeś sąsiadów? Znajomych?

– Melduję posłusznie, że tak jest. – Ponieważ nasza wyprawa miała charakter wojskowy, kapral także przestawił się na bardziej oficjalną formę kontaktów. W swojej interpretacji,

rzecz jasna. – Ale nikt nic nie wie. On zresztą nie miał znajomych.

– Dziewczyna?

– Railey? – zdumiał się kapral, jakbym spytał o jakąś wstydliwą chorobę. – Jego dziewczyną była praca. Nie, to coś dziwnego. Z jego mieszkania nic nie zginęło. Wiem, bo mam drugi komplet kluczy. Uznaliśmy, że tak będzie prościej.

Zastanowiłem się przez chwilę, podczas gdy Galaś tłumaczył Nancy, o co chodzi.

– Gdzie laptop?

– Zniknął razem ze Scottem.

– Aha. Czyli jednak coś zginęło. Nie mamy oprogramowania sterującego?

– Niezupełnie. – Galaś uśmiechnął się szelmowsko i wyciągnął z kieszeni coś, co wyglądało jak twardy dysk komputera. – Udało nam się skopiować dane. Railey miał za mało mocy obliczeniowej, więc by temu zaradzić, najsprawniejszy laptop pożarł pozostałe dwa i w sumie powstał jeden, ale twarde dyski zostały jako nadwyżka. Pomyśleliśmy, że warto mieć kopię zapasową oprogramowania, sterowników i tak dalej.

– O ile dobrze rozumiem – powiedziała Nancy – mamy oprogramowanie, lecz nie mamy komputera, który je uruchomi.

– Tak jest. – Kapral zmrużył oczy. – Ale... komputery są w grocie, w Polsce. Razem z emiterem.

Uśmiechnąłem się z powątpiewaniem.

– Ocalały z nalotu?

– Nie wszystkie, jednak część powinna być na chodzie.

– Minęło pięć lat.

– Wiem. Ale zabezpieczyłem je, jak mogłem. Wie pan, nawet wtedy wydawało mi się, że jeszcze się kiedyś mogą przydać. W batalionie raczej nikt nie myślał o powrocie. Wszyscy byli wkurwieni, pan ranny, ale chciałem być przewidujący i pozbierałem z MDS-a, co się dało.

– To prawda – powiedziała Nancy. To ona przejęła po mnie dowództwo batalionu. – Ja też nie widziałam wielkiego sensu w tym, co robi kapral, ale jak widać, nie miałam racji...

Uśmiechnęła się, a Galaś poczerwieniał jak panna na wydaniu.

– Policję zawiadomiłeś? – zapytałem.

– Melduję posłusznie, że nie.

– I dobrze. Szukaj go dalej, tylko dyskretnie. A my kończymy przygotowania i ruszamy.

11.

Odruchowo złapałem za thompsona. Wojtyński chrząknął z rozbawieniem.

– I tak pan nie zdąży.

– Przynajmniej spróbuję.

– Nie ma szans. Jest nas ośmiokrotnie więcej.

– No to jazda, do roboty – zezłościłem się i postąpiłem krok do przodu. – Co to w ogóle za krzywe teksty? Jesteśmy po tej samej stronie.

– Czyżby? Jakoś od dawna nie widziałem pana na pierwszej linii.

Moja prawa ręka sama wyleciała do przodu. Cios był dobrze mierzony i szybki – przez ostatnich kilka lat nie zasypiałem gruszek w popiele, trenując codziennie po dwie godziny, aby nie zapomnieć dawnych umiejętności i utrzymać się w formie – ale Wojtyński zdołał się uchylić. Złapał za rozpędzoną pięść i próbował rzucić mnie na ziemię. Na to z kolei ja nie pozwoliłem – nie mogąc wyrwać dłoni z żelaznego uchwytu, przykleknąłem i z rozmachem kopnąłem porucznika pod kolano.

Upadliśmy.

Poczułem na szyi chłód stali. Wojtyński zdążył sięgnąć po nóż.

– Niech pan się nie rusza – powiedział.

– Pan również. – Lufa rewolweru, który podczas upadku wyciągnąłem z kieszeni, tkwiła nieco poniżej prawego ucha mojego oponenta.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Nie widziałem w nich złości, strachu, w ogóle jakichkolwiek emocji. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli pchnie, najprawdopodobniej zdąży pociągnąć za spust. Nie robiło to na nim jednak żadnego wrażenia. Być może rozpatrywał to po prostu jako kolejne zadanie do wykonania. Takie, za które przyjdzie mu zapłacić nieco większą niż zwykle cenę, ale w gruncie rzeczy rutynowe.

Dla mnie to nie było kolejne zadanie. Miałem rodzinę i chciałem wrócić do domu.

– Zwariowaliście obaj? – zapytał konwersacyjnym tonem kapitan Wieteska, podchodząc do nas razem z Kurcewiczem i Wilgatem.

Kątem oka zauważyłem, że cała trójka trzymała broń w sposób umożliwiający natychmiastowe otwarcie ognia. Z drugiej strony zbliżyli się członkowie oddziału Wojtyńskiego – wszyscy ubrani w zgniłozielone, maskujące panterki SS lub czarne pancerniackie kombinezony.

– Co robimy dalej? – zapytałem. W końcu dotarła do mnie absurdalność sytuacji.

– Zabiorę nóż.

– Schowam rewolwer.

Powoli cofnął rękę. Delikatnie opuściłem kurek i schowałem broń do kieszeni. Podnieśliśmy się z ziemi.

– Już wam przeszło? To dobrze. – Wieteska zwykle ludzi strasznie denerwował, lecz teraz podział jak oliwa rozlana na wzburzone fale. – Dawno pana nie widziałem, panie poruczniku.

– Ja pana również – odparł Wojtyński.

– Panie majorze, co to za ludzie? – zapytał jeden z żołnierzy.

- Znajomi.
- Majorze? – zdziwił się Wieteska.
- Awansowałem.
- W jaki sposób? I w jakim wojsku?
- W polskim.
- A ta maskarada to...
- Przykro mi...

Zapadło milczenie.

– Okej – odezwałem się po raz pierwszy od powstania z ziemi. – Wy macie swoje zadanie, a my swoje. Proponuję, żebyśmy się rozeszli każdy w swoją stronę, zapominając, że się widzieliśmy. Robimy, co do nas należy, i więcej nas pan nie zobaczy... panie majorze.

Otaksował mnie wzrokiem, aby ocenić, na ile poważna może być moja propozycja.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Ależ możliwe. Nie mamy żadnego interesu, aby wam szkodzić. Jak dobrze pójdzie, jutro opuścimy Polskę.

– Nie. – Pokręcił głową. – Rzecz w tym, że wasze zadanie zaczyna się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie nasze. A wy tego miejsca nie znacie.

Wszyscy – Wieteska, Kurcewicz, Galaś, Wilgat i ja – wymieniliśmy pełne niedowierzania spojrzenia. Moi koledzy znali lokalizację kryjówki, uczestniczyli przecież w chowaniu ocalałego sprzętu. Nabrałem powietrza, aby coś odpowiedzieć, gdy Wojtyński podniósł rękę.

– Proponuję, abyśmy dokończyli rozmowę nieco później. I tak straciliśmy masę czasu na tę niepotrzebną strzelaninę i nasz... – zawahał się – spór. Poruczniku!

– Tak jest. – Z szeregu otaczających nas żołnierzy wysunął się jeden z nich.

– Proszę zebrać ludzi i podzielić na zespoły. Jeden zespół zbierze broń, amunicję i dokumenty, zwłaszcza należące do dowódcy. Jeńcy?

– Brak. Wszyscy nie żyją.

– Dobrze. Drugi zespół jak najszybciej ubezpieczy nas od dołu drogi. Sygnał alarmowy – dwie białe rakiety. My sygnalizujemy odwrót dwoma czerwonymi. Zabrać dwa kaemy i granaty. Trzeci zespół jak najszybciej ewakuuje mieszkańców. Wykonać.

– Tak jest. – Żołnierz odwrócił się i pobiegł w dół, wykrzykując po drodze rozkazy. W ciągu pół minuty we wsi zaroilo się jak w ulu. Wyszukanie tych ludzi było na najwyższym poziomie, polecenia wykonywane błyskawicznie i z wielką precyzją.

– No, cały nasz kamuflaż szlag trafił. – Wojtyński uśmiechnął się smutno. – Najpierw wy, a teraz będę miał za świadków całą wieś. Chodźmy.

– Chwilę. – Odwróciłem się. – Galaś!

– Jestem! – odkrzyknął z góry.

– Złaź. I bierz wszystkie kłamoty. Znikamy stąd.

– Tak jest.

– Wszystko mamy? – zapytał Wieteskę.
– Radiostacja została w zasobniku. I amunicja...
– Nie ma już czasu – zaproponował Wojtyński.
– To dla nas ważne. Musimy odzyskać radiostację. Zanim pana ludzie wykonają rozkazy, będziemy gotowi.

Spojrzał na zegarek.

– Pięć minut wam wystarczy?

– Może. Postaramy się jak najszybciej.

Pchnąłem Wilgata i Galasia na poszukiwania zasobnika. Pozbieraliśmy porozrzucane na polu walki torby z amunicją do brena i thompsonów. Wręczyłem erkaem Kurcewiczowi, po czym zeszliśmy do środka wsi. Wszędzie trwała pracowita krzątania, ale przygotowania do opuszczenia pola bitwy miały się ku końcowi. Cywile właśnie znikali w lesie poniżej, kilku ludzi ładowało ostatnie skrzynki z amunicją i granatami na ciężarówki, a Wojtyński przeszukiwał zdobyczny terenowy łazik.

Sapiąc i uginając się pod ciężarem zasobnika z radiem i amunicją, Galaś z Wilgatem wpadli między zabudowania. Mogliśmy ruszać.

Jeden z żołnierzy zasiadł za kierownicą łazika, Wojtyński zajął miejsce pasażera.

– Proszę wsiąść na jedną ze zdobycznych ciężarówek. Mój człowiek poprowadzi. Jeśli natkniemy się na kogoś, proszę siedzieć cicho. Moi ludzie znają niemiecki i są przygotowani na ewentualne spotkanie. Strzelać wolno tylko w ostateczności.

– Rozumiem zatem, że jedziemy w tę samą stronę.

– Już mówiłem. Tak, na razie jedziemy w tę samą stronę.

Przyjąłem, że porucznik znacznie lepiej orientuje się w realiach otaczającej nas rzeczywistości, więc nie oponowałem, zwłaszcza że plan wydawał się rozsądny. Skinąłem na swoich ludzi. Zapakowaliśmy klamoty na jedną z ciężarówek i wskoczyliśmy pod plandekę.

12.

– Rozumiecie coś z tego? – zapytał kapitan Wojciech Kurcewicz, kiedy kolumna ruszyła, a my staraliśmy się znaleźć możliwie najwygodniejsze pozycje na drewnianych ławach ciągnących się wzdłuż burt ciężarówki.

– Jeden wielki zbieg okoliczności. Same przypadki – powiedziałem.

– Pewnie. W Stanach wie o nas może pięć osób – zagadał Wieteska. – Na tyle solidnie opłaconych, z widokami na następne apanaże, że naprawdę nie mają interesu, aby chlapać ozorem. W Brindisi występowaliśmy jako agenci OSS. O celu naszego lotu wiedział jeden facet. Nawet załoga dowiedziała się, gdzie lecimy, dopiero po starcie. Po czym, imaginuj sobie waćpan, przypadkiem wpadamy w sam środek kotła. No i żeby było jeszcze śmieszniej,

przypadkiem ratuje nam tyłek nasz dawny znajomy, który oczywiście przypadkiem znalazł się w tej okolicy, a ubrany jest jak na Halloween i stoi na czele takich samych jak on przebierańców. I na koniec chce nas zastrzelić. W sumie nadal nie wiem, czy mam się czuć jako jeńiec, czy jako gość. Po czym przypadkiem okazuje się, że cel naszej wspaniałej misji, czyli ta pieprzona amerykańska kupa elektronicznego złomu, zmieniła lokalizację, ale przypadkiem może nam ją wskazać... pan major Wojtyński. Same przypadki, rzeczywiście.

Przytaknąłem, aby potwierdzić, że także mam szereg wątpliwości.

– Właśnie. Po pierwsze przeciek może być w Brindisi i dotyczyć rutynowej informacji o zrzucie. Kocioł był założony bardzo precyzyjnie, ale raczej nie na nas. Sami nie do końca wiedzieliśmy, gdzie lądujemy.

– Owszem. Przed skokiem i w powietrzu. Ale przecież jeszcze w Ameryce ustaliliśmy na mapie optymalne miejsce do lądowania. I wylądowaliśmy dokładnie w nim. To akurat zdążyłem sprawdzić, zanim zaczęła się strzelanina – wtrącił Wilgat.

Porucznik Władysław Wilgat był pilotem 161. Eskadry Myśliwskiej we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, zrzędzeniem losu dołączył do batalionu, po czym ewakuował się z nami do Stanów. Był udziałowcem firmy i partnerem w różnych przedsięwzięciach, choć akurat teraz nie podzielał mojego entuzjazmu co do powrotu w dwa tysiące siódmy rok. Brał udział w wyprawie, ponieważ jego lojalność była przedwojennej próby. Jeżeli Wilgat mówi, że jest pewien miejsca zrzutu, to możemy zaniechać dalszych wątpliwości, bo porucznik umiejętność czytania mapy i orientacji w terenie wyssał z mlekiem matki. Był lepszy niż radar, noktowizor i GPS razem wzięte.

– Czyli mamy trzy warianty. Niemcy mogli czekać na nas, bo wiedzieli o wyprawie i znali miejsce zrzutu. Mam na myśli, że wiedzieli o misji OSS. Drugi wariant – mieli informacje o jakimś zrzucie i czekali na ten zrzut, ale niekoniecznie na nas konkretnie. Trzeci wariant – że to rutynowy kocioł, może w ogóle niemający na celu schwytywanie skoczków, tylko, ja wiem, jakichś partyzantów? – kontynuował detektyw Wieteska.

Moim zdaniem był jeszcze czwarty wariant, ale biorąc pod uwagę warunki, które musiałyby być spełnione, aby to był właśnie ten wariant, zatrzymałem podejrzenia dla siebie. Nie były to jakieś konkretne zarzuty, lecz na wszelki wypadek postanowiłem nie ufać nikomu.

– Tego się nie dowiemy, bo porucznik, przepraszam, major Wojtyński był łaskaw nie wziąć ani jednego jeńca.

– Może nie był ciekaw, co mają do powiedzenia?

– Możliwe. Ja z kolei jestem ciekaw, skąd się wziął i co tu robi. I dlaczego chce nam wskazać lokalizację emitera.

– Kolejny przypadek, jak sam powiedziałeś – odrzekł Kurcewicz. – Seria wspaniałych przypadków. Widzieliście jego ludzi? Rozpoznałem kilku gromiarzy, piechociarzy Borka i od cholery pancerniaków z mojej dawnej kompanii.

– Jakoś nie rzuciliście się sobie na szyję – zauważyłem, myśląc o wspomnianych wcześniej wątpliwościach.

– Tak jak i ty z Wojtyńskim.

– Mają do nas pretensje, że nie walczyliśmy dalej, wtedy...

– Niech sobie mają – burknął Wieteska. – Najlepiej, żeby każdy pilnował swojego nosa. Oni tu, my tam, wszyscy robią to, co uważają za stosowne. Bierzymy emiter i już nas nie ma.

– O ile Wojtyński pozwoli nam go wziąć – zauważyłem.

– No coś ty – obruszył się kapitan. – Przecież nam wskaże kryjówkę, no nie? Sądzę, że ukrył w tej samej jaskini resztę sprzętu, o ile został jakiś, może broń i amunicję. I teraz po to jedzie. I tyle. Mamy farta, bo jakbyśmy go nie spotkali, to nasza wyprawa byłaby psu na budę. Zresztą sam emiter, bez oprogramowania, na nic mu się nie zda. A oprogramowanie mamy my.

– Chyba że będzie chciał od nas to oprogramowanie wydobyć. I po to mu jesteśmy potrzebni.

– Albo już wydobył – wtrącił Galaś, do tej pory tylko uważnie przysłuchujący się rozmowie.

– Jak...? – Zawahałem się. – Railey?

– Może. Skoro mówimy o przypadkach, trzeba dodać zniknięcie Scotta i laptopa.

– Jakim cudem Wojtyński, siedząc w kraju, miałby to zorganizować? Skąd wiedziałby, gdzie nas szukać?

– Akurat dla niego to nie byłoby trudne – zauważył Kurcewicz. – Wtedy, we wrześniu, mógł słyszeć, że mówimy o wyjeździe do Stanów. Czyli wiedział, kogo i gdzie szukać.

– No dobrze – powiedziałem. – Tylko że w tym momencie rzecz się robi kompletnie bez sensu. Są dwa warianty, oba równie durne: to nie on stał za porwaniem Raileya, a emiter mu lata i powiewa. Może nam wskazać kryjówkę, pomóc wydobyć emiter i życzyć miłego dnia. Jednak za nic nie uwierzę, że akurat dokładnie w chwili naszego lądowania znalazł się w pobliżu tylko po to, aby uprzejmie wskazać nam drogę. Więc coś się za tym kryje, tylko nie wiemy co. Drugi wariant: jeżeli ma wszystko w ręku, emiter, Raileya i tak dalej, to my jesteśmy mu niepotrzebni. Powinien nas zlikwidować jeszcze we wsi. Nie zrobił tego. Dlaczego? Nie wiemy. Po co mu emiter z oprogramowaniem? Wygląda na bardzo zaangażowanego w lokalne sprawy. Po co miałby uciekać?

– Może wcale nie chce uciekać – powiedział Galaś. – Może chce stamtąd coś przywieźć. Kilka ciężarówek głowic do RPG albo parę twardych...

– Albo parę F-16 – dodał Wieteska z uśmiechem.

Ostatnia uwaga pozostała bez komentarza, bo ciężarówką szarpnęło i zatrzymaliśmy się. Kierowca wyłączył silnik.

– W razie czego nie pozwalamy się rozbroić, ale nie fikamy za bardzo, okej? – zaproponowałem ścisłym głosem.

– No, to dotyczy głównie ciebie, przyjacielu – odmruknął Wieteska.

Jeden po drugim zeskoczyliśmy z ciężarówki, zabierając wszystkie swoje rzeczy. Rozejrzałem się. Droga właściwie się skończyła. Pod górę, wśród drzew, prowadził błotnisty i wyboisty trakt, który znikał za zakrętem. Nie rozpoznawałem tego miejsca, ale nie było w tym nic dziwnego – wtedy, we wrześniu trzydziestego dziewiątego, świadomość odzyskałem tydzień po opuszczeniu Polski. Po minach Wieteski, Kurcewicza, Galasia i Wilgata poznałem, że podobnie jak ja nie mieli pojęcia, gdzie się znajdujemy.

Ludzie Wojtyńskiego sprawnie zeskoczyli z ciężarówek. Major wydał ściszone głosem serię komend i kilkusobowa grupa odłączyła się od reszty, szybko zmierzając w górę szlaku. Każdy z tych ludzi objuczony był ciężkim plecakiem. Rozpoznałem wśród nich dwóch saperów z plutonu, który nam towarzyszył we wrześniu.

Zniknęli za zakrętem.

Dwie następne czteroosobowe grupy udały się w dół. Każda dźwigała zdobyczny niemiecki kaem, granatnik przeciwpancerny piat, karabin snajperski i spory zapas amunicji. Wojtyński zabezpieczał operację czujkami.

Major podszedł energicznym krokiem, otaksował nas uważnie, jakby sprawdzał datę przydatności do spożycia, i rzekł:

– Uznałem, że nie stanowicie dla nas zagrożenia...

– To miło z pańskiej strony – wyrwało mi się, po czym nieznacznie odetchnąłem.

Major nie zwrócił na to żadnej uwagi.

– Pozwolę wam zabrać emiter. Dostaniecie ciężarówkę i w razie potrzeby moi ludzie pomogą wam ją załadować.

Powinienem jeszcze głębiej odetchnąć z ulgą, jednak z jakiegoś powodu poczułem mrowienie w żołądku.

– Proszę posłuchać... – zacząłem.

– To niech pan posłucha – przerwał mi, wyraźnie akcentując słowo „pan”. – Nie musi mi się pan tłumaczyć. Chcecie wrócić do roku dwa tysiące siódmego, wasza sprawa. Każdy robi to, co uważa za najbardziej właściwe. A tak przy okazji, chciałbym przeprosić za swoje zachowanie. Nie powinienem był mieć do pana żalu.

– Ja również przepraszam – odparłem. – Obaj zachowaliśmy się zbyt... emocjonalnie. Powinienem był trzymać nerwy na wodzy.

– Zatem załatwione. A propos waszego odwrotu. Niemcy po tej strzelaninie na pewno ściągną tu dodatkowe jednostki i będą szukać sprawców. Wszystkie drogi zostaną obstawione i zablokowane, a wojsko przeczesa teren. Proponuję zatem, abyście włożyli niemieckie mundury. Zdjęliśmy trochę z tych poległych we wsi. Z tego, co pamiętam, kapral Galaś mówi dobrze po niemiecku. Dam wam jakieś dokumenty. Musicie spróbować przebić się w przebraniu, inaczej się nie prześlizgniecie. I powinniśmy się wszyscy pośpieszyć.

Ostatnie zdanie nie wybrzmiało jeszcze do końca, gdy potężna eksplozja targnęła

powietrzem. Musiała nastąpić niedaleko, może pół kilometra stąd, w miejscu, do którego przed piętnastoma minutami udali się saperzy. Odgłos wybuchu odbił się kilkakrotnym echem od gór.

Wojtyński spojrzał na zegarek.

– Mam nadzieję, że wejście zostało otwarte. Chodźmy.

Podnieśliśmy z ziemi plecaki i ruszyliśmy pod górę. Potężne świerki, stojące nieruchomo w upalnym słońcu lipcowego poranka, przyglądały się długiej kolumnie żołnierzy. Marsz nie trwał długo. Droga rozszerzyła się nieco, przechodząc w niewielką polankę. Na tym trakt się kończył. Przed nami ukazała się prawie pionowa ściana potężnej góry. Pośrodku owej ściany, niemal na samym jej dole, widniał wielki otwór, najwyraźniej powstały na skutek wybuchu. Saperzy, nie czekając, aż do końca rozwieje się dym, właśnie wchodzili do środka.

– Przedtem było tu małe wejście, maskowały je krzaki. Dla człowieka akurat, ale to, co zamierzamy stamtąd wydostać, na pewno by się nie zmieściło – wyjaśnił Wojtyński.

– A wtedy, gdy pan przenosił kryjówkę, jak się tam dostaliście?

– Wjechaliśmy do środka, zabezpieczyliśmy sprzęt i za pomocą kilku kilogramów C4 zawaliliśmy wejście. Po zamaskowaniu nawet z kilku metrów nie było widać, że w tej ścianie coś jest.

Żołnierze i bez rozkazów wiedzieli, co mają robić. Małymi grupkami wchodzili do jaskini. My również podeszliśmy bliżej. Ostrożnie przekroczyłem próg i wszedłem do środka. Musiałem przyzwycząić wzrok do półmroku, ale po chwili dotarło do mnie, co widzę, i zamarłem ze zdumienia.

Jaskinia była ogromna. Wysoka na kilkanaście metrów, szeroka na kilkadziesiąt. Ile sięgała w głąb, nie można było ocenić, bo większa część groty najpewniej ginęła w mroku. Po prawej stronie, w równym rzędzie, stały czołgi i transportery opancerzone, po lewej ciężarówki, zestaw przeciwlotniczy szyłka i samobieżny dwulufowy moździerz amos. Nie zauważyłem śladu rdzy, wszystkie wozy lśniły, jakby miały za chwilę wyjechać na defiladę. Wrażenie psuły tylko wielkie hitlerowskie krzyże wymalowane na burtach wieżyczek.

– Twarde i rosomaki? Aż tyle zostało? – zapytałem, kiedy odzyskałem głos.

– Zostało więcej, ale były mniej lub bardziej uszkodzone. W efekcie mamy po cztery czołgi i transportery, bo resztę maszyn wykorzystaliśmy jako źródło części zamiennych. To, co nadawało się tylko na szmelc, zniszczyliśmy.

– I to wszystko przetrwało w tak dobrym stanie? Tyle czasu?

– Nie zostawiliśmy niczego przypadkowi. Umieściłem kilku ludzi w tej wsi, w której rozegrała się walka. Zajmowali się konserwowaniem sprzętu. Zadanie, które mamy do wykonania, przygotowujemy od wielu miesięcy, a nawet, można powiedzieć, lat. Dlatego to wszystko lśni jak nowe, baki są napełnione, a w każdym wozie bojowym znajduje się jednostka ognia.

– Sądziłem, że batalion utracił możliwości bojowe na skutek wyczerpania amunicji.

– Nie do końca. Owszem, nie mieliśmy środków na przeprowadzenie akcji zaczepnych na większą skalę, ale nieco zapasów pozostało. Ponadto podjęliśmy pewne działania... krótko mówiąc, udało nam się uzupełnić zapasy amunicji... No, ale dość gadania. Emiter jest tam. – Wskazał ręką w mrok. – Podwieziemy go do ciężarówki, którą zostawiliśmy na dole.

Poszliśmy w głąb pieczary. Blask pochodni i kilku latarek słabo rozświetlały ciemność. Za kolumną ciężarówek podłoga jaskini nieznacznie się podnosiła, tworząc coś w rodzaju postumentu. Spoczywał na nim, owinięty w brezentową płachtę, podłużny wrzecionowaty kształt. Obok leżało kilka drewnianych skrzyń.

– Emiter. I reszta pozostałych z nalotu komputerów. Niestety nie umiem ocenić, czy będzie pan miał z tego pociechę. Wybuch kompletnie zniszczył samochód, emiter spadł z kilkunastu metrów na ziemię. – Wojtyński objaśniał nam te szczegóły swoim zwykłym, beznamiętnym tonem.

– Z tego, co pamiętam, był solidnie opancerzony – mruknąłem. – Zobaczymy. Bierzmy go.

Z wysiłkiem dźwignęliśmy owinięty w płachtę ciężar. Chociaż do najbliższego stara nie było więcej niż piętnaście metrów, solidnie się spociłem, nim emiter spoczął na podłodze platformy ciężarówki. Zapakowanie skrzyń z komputerami wydawało się po tym zadaniem niemalże przyjemnym.

Przycupnęliśmy obok emitera. Miejsca nie było prawie w ogóle, ponieważ każdą wolną przestrzeń pod plandeką zajmowały skrzynki z bronią i amunicją. Major wyświadczał nam uprzejmość, bo aby zrobić miejsce na emiter i komputery, kazał swoim ludziom przenieść skrzynie z uzbrojeniem do ciężarówek na dole. Nie sądzę, aby ten rozkaz przyczynił się do wzrostu naszej popularności wśród żołnierzy.

Huk odpalanych silników, zwielokrotniony przez kościelną akustykę pieczary, boleśnie uderzył w uszy. Silnik twardego jest nie tylko głośny, lecz również okropnie kopci, dlatego powietrze błyskawicznie wypełniło się spalinami. Na szczęście grzanie silników trwało krótko, pierwszy czołg szarpnął i prowadzony wprawną ręką powoli wyjechał na zewnątrz. Po nim trzy następne. Za czołgami grotę opuściły transportery, szyłka, móździerz amos, na koniec dziesięć ciężarówek z zaopatrzeniem.

Podróż w dół, mimo że star bujał na wertepach jak okręt na wzburzonym morzu, zajęła może dwie minuty. Kolumna zatrzymała się w miejscu, w którym parkowały zdobyczne niemieckie ciężarówki.

Ponownie korzystając z pomocy żołnierzy, wrzuciliśmy emiter i komputery na jedną z nich. Major kazał swoim ludziom zająć miejsca w pozostałych. Kolumna, poprzedzona rosomakiem zwiadu, bez zbędnej zwłoki ruszyła w dół. Miałem przemożne uczucie déjà vu – pięć lat temu stałem na podobnej polanie leśnej i zegnałem kolumnę pancerną odjeżdżającą do ataku na XVI Korpus Pancerny. Pchała mnie wtedy do walki jakaś wewnętrzna siła, niemożliwa do pokonania. Wydawało mi się, że wszystko odbędzie się jak na manewrach –

szybko, profesjonalnie i skutecznie. Byliśmy skuteczni, owszem, ale reszta założeń w konfrontacji z rzeczywistością pękła jak bańka mydlana. Uśmiechnąłem się do siebie. Czas chłopięcej żądz przygód miałem na szczęście za sobą. Gdyby nie dzisiejsza walka, byłoby całkiem miło.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że niedługo z rozrzewnieniem i tęsknotą będę wspominał poranną potyczkę.

Wojtyński podszedł do nas, jak zwykle skupiony i poważny.

– Paliwa macie na jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. To więcej niż potrzeba. Na skrzyni są mundury i niemiecka broń. Jeden z moich ludzi wypisał wam rozkaz dowódcy miejscowej jednostki wojskowej. Macie dostarczyć do Warszawy ważny dla gospodarki Rzeszy ładunek. To pozwoli na pewną swobodę ruchów. Tu macie także przepustkę. Papiery są oryginalne. Mój człowiek jest fachowcem, więc teoretycznie dokumenty powinny wam wystarczyć w razie kontroli. Nie ufajcie im jednak, nigdy nic nie wiadomo. Tak czy inaczej radzę się pośpieszyć. – Podał mi dwa wypełnione papierki.

Włożyłem je do kieszeni kombinezonu.

– Dziękuję. – Wyciągnąłem rękę. – Uratował nam pan życie.

– Wiem. Raczej nie znajdziemy okazji do rewanzu. – Z nieznacznym uśmiechem uściśnął moją dłoń. – Był pan świetnym żołnierzem. Podziwiałem pana... wtedy...

– Jeszcze raz dziękuję – powtórzyłem. – I... niech pan nie myśli o nas źle.

– Nie jest to moim zamiarem. Do widzenia. – Zasalutował do czarnej pancerniackiej furażerki, odwrócił się i odszedł.

Po chwili umilkł warkot łażika i zostaliśmy sami.

II. BLOKADA

1.

– Fiku-miku i mamy kolejny zbieg okoliczności – mruknął Wieteska. – Gdybyśmy nie spotkali naszego drogiego majora, w życiu nie znaleźlibyśmy emitera. Przeniósł go o dobrych dziesięć kilometrów.

– Cała wyprawa okazałaby się kompletnym fiaskiem. – Powoli do mnie docierało, na jak cienkich przesłankach zbudowany był nasz szalony pomysł.

– Przynajmniej jedno jest pewne – stęknął kapitan, próbując dopiąć przyciasne spodnie. – Wojtyński nie ma zamiaru wracać do przeszłości. Za łatwo oddał nam emiter.

– Właśnie. Zniknięcie Raileya to nie jego sprawka. Zresztą od początku uważałem to za mało prawdopodobne – powiedziałem. – Natomiast nadal nie wiemy, czemu zawdzięczamy naszą poranną przygodę.

– Mniejsza z tym. Jedźmy. – Kurcewicz skrzywił się. Wyglądał bardzo poważnie w szarostalowym mundurze podoficera Wehrmachtu.

– Jedźmy, jedźmy. – Mój mundur był o dwa numery za mały, więc spieszo mi było, aby się go jak najszybciej pozbyć. – Mamy mapę? Dobrze. Spróbujemy dostać się w okolice Bodzentyna. Porucznik Wilgat twierdzi, że znajdziemy tam kawał porządnego płaskiego pola, na którym będzie mógł wylądować liberator. Mamy – spojrzałem na rozłożoną płachtę – jakieś dwadzieścia pięć kilometrów do celu. Ja poprowadzę, pan kapral pojedzie ze mną w szoferce i postara się wyglądać i zachowywać jak oficer niemieckich sił zbrojnych. Wy we trzech na pace. W razie kontroli strzelamy tylko wtedy, jak już będzie kompletna bryndza.

Załadowali resztę sprzętu na skrzynię ciężarówki, a ja w tym czasie wskoczyłem do szoferki, zasiadłem za kierownicą i za trzecim podejściem uruchomiłem silnik.

– To cholerstwo w ogóle jeździ? – spytał Wieteska takim tonem, jakby oceniał walory kolejnego ferrari w swojej kolekcji.

– Nie marudź. Wskakuj i w drogę.

Poczekalem, aż kapitan wgramoli się na skrzynię, i ruszyłem. Silnik charczał, jakby za chwilę miał zakończyć żywot. Nawet w porównaniu ze starem, którego przecież nie można zaliczyć do jakichś superkomfortowych wynalazków, samochód był kompletnie prymitywny. Charakterystyczne cechy stanowiły: słaby silnik, brak wspomagania kierownicy, niewygodna

przednia kanapa i popsute amortyzatory. Trzęsło nami niemiłosiernie, ale jakoś posuwaliśmy się do przodu.

Galaś pilnował mapy i zerkał na drogę. Musieliśmy znaleźć skręt z obecnego szlaku i pojechać bardziej na zachód, by możliwie jak najbardziej oddalić się od wioski, w której rozegrała się walka. Z pewnością roilo się tam od Niemców.

– Jeżeli dotrzemy na miejsce w ciągu godziny, będzie dziesiąta – powiedziałem. – Zdamy wybrać lądowisko i zawiadomić Brindisi. Jak dobrze pójdzie, jeszcze dziś w nocy wrócimy do Włoch. Na razie mamy farta.

– Melduję posłusznie, że tak jest – przytaknął kapral. – Mamy emiter, to najważniejsze. Ta walka we wsi mniej mi się podobała, ale może rzeczywiście to był przypadek.

– Dasz radę podłączyć system... jak już wrócimy? Bez Raileya?

– W zasadzie wszystko było gotowe, zanim zniknął. Przepadł też laptop, ale mam zapasowe oprogramowanie. Pytanie, czy uda mi się uruchomić któryś z tych komputerów. – Wskazał kciukiem za siebie.

– W razie czego możemy poszukać tego drugiego informatyka, jak mu tam, Simmonsa. Nancy mówiła mi, że natknęła się na niego w zeszłym roku, kiedy chcieliśmy kupić zakłady Hallwaya. Simmons był tam głównym inżynierem.

Galaś energicznie pokiwał głową.

Las się skończył. Przed nami rozciągała się rozległa, łagodnie opadająca dolina. Droga zakręcała szerokim łukiem w lewo. Przyspieszyłem. Ciężarówką strasznie rzucało, ale uznałem, że gra jest warta niewygód. Przebyliśmy już jedenaście kilometrów i coraz bardziej wierzyłem w powodzenie wyprawy.

Moja wiara umarła kilka minut później. Gdy wyjechaliśmy zza zakrętu, zobaczyłem, mniej więcej dwieście metrów przed nami, dwa samochody pancerne flankujące drogę. Wieżyczka jednego z nich obrócona była w naszą stronę. Na drodze stało kilkunastu żołnierzy. Na poboczu parkowało kilka motocykli i samochód terenowy.

Kolejka przed punktem kontrolnym składała się z ciężarówki, osobowego auta i kilku chłopskich wozów. Te ostatnie chyba niespecjalnie interesowały Niemców, bo były przepuszczane dość szybko. Znacznie dokładniej sprawdzano samochody.

Wrzuciłem bieg na luz i pozwoliłem naszemu wehikułowi powoli toczyć się w kierunku blokady.

– Należało się tego spodziewać – mruknąłem. – Wiesz, co masz mówić, Galaś?

– A co się mówi w takich sytuacjach? Będę odpowiadał na pytania. – Zwykły cwaniacki uśmieszek jakoś nie mógł się przebić na oblicze kaprała. – Jak zaczną nas sprawdzać, to kłapa na całej linii. Na pace mamy zachodnią broń, radiostację i podejrzane skrzynie, spadochroniarskie kombinezony pod mundurami, a na dodatek żaden z was nie mówi po niemiecku.

– Pociecha płynie z twych ust, synu. – Zgrzytnąłem biegiem, by trochę podjechać, bo

prawie stanęliśmy. – Słuchajcie. – Odwróciłem się nieznacznie w stronę platformy bagażowej. Mogliśmy się porozumiewać przez małe okienko z tyłu szoferki. – Przed nami blokada. Dziesięciu, może dwunastu szkopów luzem i dwa samochody pancerne. Galaś będzie z nimi gadał, dopóki się da. Jak zaczną za bardzo węszyć, walcie granatami w te pancerki. Ja postaram się uciszyć szkopów z lewej. Galaś, strzelasz do tych po prawej. Potem gaz do dechy i zwiewamy. Miejcie brena na podorędziu.

Przed nami został jeszcze tylko jeden samochód. Kierowca wysiadł i zaczął coś tłumaczyć stojącemu najbliżej Niemcowi, wyglądającemu zresztą na dowódcę.

Odpiąłem kaburę USP, a thompsona chwyciłem prawą ręką, nisko, poza zasięgiem wzroku stojących o parę kroków żołnierzy.

Niemcy zakończyli sprawdzanie dokumentów. Dwóch z nich wskoczyło na platformę załadunkową ciężarówki. Najwyraźniej nie znaleźli niczego podejrzanego, bo po chwili zeskoczyli na ziemię z wyrazem znudzenia na twarzach. Jeden z nich machnął ręką, kierowca z widoczną ulgą usiadł za kierownicę, samochód warknął i ruszył do przodu.

Nadeszła nasz kolej. Galaś głośno przełknął ślinę. Ja miałem kłopot z regularnym oddychaniem.

– Wyjdę na zewnątrz. Spróbuję ich zagadać. W razie czego walę do dowódcy i rzucam granat pomiędzy nich. Wskoczę w biegu, niech pan na mnie nie czeka.

Podjechałem parę metrów i zatrzymałem się, ale nie wyłączyłem silnika. Galaś odetchnął, uśmiechnął się szeroko, wyskoczył z kabiny jak na sprężynie i zagadnął:

– Guten Tag, Herr Leutnant. Was ist hier passiert?

– Dokumenten! – warknął Niemiec, nie podjawszy przyjaznego tonu kaprała. – Wohin gehen sie?

Nie słuchałem dalej, skoncentrowany na żołnierzach po lewej. Rozrzucona w szereg czteroosobowa grupka stała oddalona o parę kroków, z pistoletami maszynowymi skierowanymi w naszą stronę. Twarze czujne, wyglądali na sprawne, doświadczone w walce wygi. Tuż za nimi czał się samochód pancerny, lufa dwudziestomilimetrowego działka celowała prosto we mnie. Po drugiej stronie drogi, od strony Galasia, zajmował pozycję następny samochód pancerny, jednak wieżyczka obrócona była w drugą stronę. Jak widać, ta pancerka obsługiwała nadjeżdżających z naprzeciwka. Tak czy inaczej, jeżeli sprawy nie załatwimy w kilka sekund, z zaskoczenia, zostanie po nas pięć mokrych plam.

Poprzez pyrkoczący silnik i łomoczące w piersiach serce niewiele słyszałem z gadaniny Galasia, ale wyczułem, że sprawy przybierają zły obrót. Prowadzący kontrolę oficer kręcił głową z niedowierzaniem i był coraz bardziej zły. Kaprał nie stracił jeszcze do końca rezonu, miałem jednak wrażenie, że kończą mu się pomysły.

– Przygotujcie się – mruknąłem w stronę kolegów. – Koniec przedstawienia.

Jakby na potwierdzenie tych słów, Niemiec skinął ręką na trzech stojących za nim żołnierzach, potem wskazał na skrzynię samochodu. Za chwilę zacznie się kontrola, której

efekty były przeraźliwie łatwe do przewidzenia.

Zajęty obserwacją rozgrywających się przede mną wydarzeń, nie zauważyłem, że od tyłu nadjechał samochód. Był to odkryty łazik, taki sam, jakim wybrał się w swoją podróż Wojtyński. Nawet w pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że to on.

Samochód zwolnił, po czym zjechał na bok drogi. Kierowca najwyraźniej nie miał zamiaru czekać w kolejce, bo starał się wyminąć nas z lewej strony. Na mojej wysokości, nie mogąc jechać dalej, zatrzymał się. Siedzący obok kierowcy oficer otworzył drzwi i szybkim krokiem podszedł do dowodzącego blokadą. Miało to ten skutek, że uwaga Niemców przeniosła się na przybyszów.

Jeżeli nie wykorzystamy tej okazji, następnej nie będzie.

Otwierałem już usta, aby wydać rozkaz do ataku, kiedy kątem oka dojrzałem coś, co spowodowało, że głos zamarł mi w gardle. Nieznacznie przekręciłem głowę i podejrzenie zamieniło się w pewność.

Na tylnym siedzeniu łazika siedział jeńiec ubrany w spadochroniarski kombinezon. Twarz miał mocno pokrwawioną, ręce skute na plecach.

Jeńcem była Rozalka, żona kapitana Jana Wieteski.

2.

W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, co widzę. Rozalka powinna znajdować się w Brindisi, półtora tysiąca kilometrów stąd, i razem z Nancy niecierpliwie wyglądać naszego powrotu.

Musiałem jednak na później odłożyć wyjaśnienia.

– Uwaga – powiedziałem półgębkiem w stronę platformy ładunkowej. Moi koledzy niczego nie widzieli, tył ciężarówki został szczelnie zasłonięty plandeką. Chociaż nie było żadnego odzewu, miałem pewność, że wszyscy trzej słuchają bardzo uważnie. – Sytuacja się zmieniła. W łaziku, który przed chwilą podjechał, jest ktoś, kogo musimy odbić. Ktoś bardzo ważny. W wozie oprócz jeńca jest trzech Niemców, z tym że jeden wysiadł i gada z dowódcą blokady. Wojtek, skacz na lewą stronę i wal do tego gościa, co siedzi z tyłu. Uważaj, żebyś się nie pomylił, jeńiec jest w czarnym kombinezonie. Reszta rzuca granaty w stronę samochodów pancernych. Zeskakujcie i do roboty.

O mojej ekipie można było powiedzieć tysiąc różnych rzeczy, ale w decydujących momentach potrafiła się błyskawicznie zmobilizować i ruszyć do akcji bez zbędnego gadania. Poczułem, że ciężarówka kołysze się, zaszurała odsłaniana plandeka i trzech ludzi lekko zeskoczyło na drogę. Galaś nieświadom jeszcze, kim jest pasażer łazika, nadal przysłuchiwał się rozmowie dowódcy blokady z szefem ekipy eskortującej Rozalkę i zerkał na mnie. Skinąłem nieznacznie głową. Kapral cofnął się o krok i wsadził rękę do kieszeni.

Wyciągnąłem USP, odbezpieczyłem i odkręciłem szybę do końca.

Huk wystrzału, choć nie powinien być przecież niczym zaskakującym, spowodował, że podskoczyłem lekko. Niemiec, który siedział obok Rozalki na tylnym siedzeniu, kwiknął krótko i padł do przodu z przestrzeloną głową. Wystawiłem USP przez okno drzwi i z odległości trzech metrów wpakowałem dwie kule w kierowcę łazika. Wszystko rozgrywało się naprawdę szybko, więc facet nie miał czasu nawet spojrzeć w moją stronę. Szarpnął się w bok, po czym uderzył głową o kierownicę. Łazik był czysty.

– Na podłogę! – krzyknąłem w stronę Rozalki. – Jak najniżej!

Nie miałem możliwości sprawdzić, czy zareagowała na polecenie, bo wokół rozpętało się piekło.

Korzystając z zaskoczenia, Galaś wyszarpnął z kieszeni granat, wyrwał zawleczkę i rzucił w stronę stojącego po lewej stronie drogi samochodu pancernego. Odległość była spora, jakieś trzydzieści metrów, ale kapral przyłożył się do rzutu. Ciężki angielski gamoń, wypełniony plastikiem, wylądował dokładnie przed pojazdem. Zanurkowałem na siedzenie, kątem oka widząc, jak Galaś skacze do rowu, starając się w locie wyjąć i odbezpieczyć pistolet.

Wybuch szarpnął powietrzem. Gamony mają to do siebie, że rażą nie odłamkami, ale podmuchem. Ten był naprawdę potężny. Nawet nie zdążyłem się podnieść, gdy drugi wybuch, po prawej stronie drogi, powtórzył efekty akustyczne pierwszego. To swój ładunek rzucił któryś z członków ekipy bagażowej. Chwilę trwał swoisty bezruch, urozmaicany tylko potężnym dzwonieniem w uszach, kiedy obie strony konfliktu starały się dojść do siebie.

My zareagowaliśmy nieco szybciej.

Po prawej stronie ciężarówki rozszczękały się gwałtowne serie. Wilgat i Wieteska strzelali wzdłuż burty, nad głową skrytego w rowie Galasia. Z takiej odległości nie można było nie trafić – trzech żołnierze, podnoszący się właśnie z ziemi, padli, nim zdążyli wycelować broń. Galaś kilkoma szybkimi strzałami położył obu niemieckich dowódców i skierował ogień na drugą stronę drogi.

Złapałem thompsona, otworzyłem drzwi i korzystając z nich jako osłony, wywaliłem cały magazynek w kierunku czwórki leżącej najbliżej. Jeden lub dwóch oberwało, ale reszta odpowiedziała ogniem. Kilkanaście kul uderzyło w drzwi i maskę samochodu. Schyliłem głowę najniżej, jak się dało, i chwyciłem leżący w skrzynce pod siedzeniem granat. Odbezpieczyłem i, wciąż dobrze ukryty, rzuciłem w stronę Niemców. Wybuch przygasił na chwilę wymianę ognia, więc nie czekając, aż opadnie dym, wyskoczyłem zza drzwi i strzelając krótkimi seriami, pobiegłem do przodu, w stronę samochodu pancernego, cały czas celującego w kabinę ciężarówki.

Jego dwudziestomilimetrowe działko milczało do tej pory, jeżeli jednak załoga, ogłuszona wybuchem gamona, dochodziła do siebie, nie mogłem dopuścić, aby za chwilę wzięła się do roboty.

Strzeliłem w biegu do podnoszącego się z klęczek Niemca i dwoma dużymi susami, uważając, by nie znaleźć się na linii strzału działka, dopadłem do celu. Za mną szalała gwałtowna walka, nad wszystkim górował basowy warkot brena, który pruł długimi seriami, przerywanymi tylko zmianą magazynka.

Wóz stał nieruchomo. Miał trochę zewnętrznych uszkodzeń pancerza powstałych od wybuchu granatu, ale ogólnie wyglądał na sprawny. Pobiegłem wzdłuż burty. Korzystając ze stalowych klamer przyczepionych z boku, wdrapałem się na pancerz i ostrożnie podpełzłem w stronę wieżyczki. Było gorąco, blokada przebiegała rutynowo, załoga uznała więc, że nie musi zamykać wjazdu. Miałem nadzieję sprawić, że ta lekkomyślność srodze się na niej zemści. Zajrzałem ostrożnie w głąb samochodu. Obsługa otrząsnęła się najwyraźniej z szoku spowodowanego wybuchem, bo wykazywała pewną aktywność. Padła krótka komenda i celowniczy pociągnął za spust. Działko warknęło krótko. Wsadziłem lufę automatu w otwór i otworzyłem ogień.

Thompson jest świetną bronią do walki na krótki dystans. Ma duży kaliber i szybkostrzelność. Dwadzieścia pocisków, rykoszetując i koziołkując w ciasnym wnętrzu, nie dało żadnych szans obsłudze wieżyczki. Nie spodziewałem się, żeby ktoś przeżył. Ponownie zajrzałem do wnętrza wieży i poczułem się jak na planie horroru. Z tych hardcorowych. Trzech Niemców leżało powykręcanych w swoich fotelach. Żaden nie dawał znaku życia. Zdziwiłbym się, gdyby dawał.

Miałem pewne kłopoty z przełknięciem śliny. W gardle siedział wielki korek, obrzydliwy i oślizgły.

Pozostał jeszcze kierowca. Musiał zdawać sobie sprawę, że jeżeli wda się w wymianę ognia w środku wozu, strzelając do tyłu i pod górę, mając ograniczoną swobodę ruchów, jego szanse są minimalne. Toteż nie zaskoczyło mnie, gdy przedni wjazd otworzył się gwałtownie i szczupakiem wyskoczył z niego ubrany w czarny kombinezon człowiek, trzymający schmeissera w wyciągniętych przed siebie rękach. Zmieniłem magazynek i zanim tamten zdążył się odwrócić, strzeliłem mu w plecy. Nawet nie poczułem z tego powodu specjalnych wyrzutów sumienia. Korek w gardle dalej siedział uparcie, pewnie się jeszcze powiększył.

Facet upadł, kopał przez chwilę ziemię i zastygł w bezruchu.

Kierowca dołączył do reszty załogi. Z tej strony nie groziło nam już żadne niebezpieczeństwo. Wychyliłem się ostrożnie zza wieżyczki. Po lewej stronie płonął na poboczu samochód terenowy i jeden z motocykli. Druga pancierka również mocno dymiała. Galaś najwyraźniej potraktował ją następnym gamonem. Na ziemi leżało kilkunastu powalonych Niemców. Przy ciężarówce Johny Wieteska uważnie obserwował teren przed sobą. Po drugiej stronie Kurcewicz pochylał się nad łazikiem. Galaś poderwał się na równe nogi i zaczął obchodzić pobojuwisko.

Zeskoczyłem z pancerza i szybkim krokiem podszedłem do łazika. Kurcewicz wyprostował się. Na jego twarzy, zwykle doskonale kryjącej wszelkie emocje, malował się

wyraz najwyższego zdumienia i – najpewniej – wielkiej obawy. Jeżeli rzeczywiście jeńcem była Rozalka, coś było bardzo nie tak. I obaj zdawali sobie z tego sprawę.

– W porządku? – zapytałem półgłosem.

– Żyje. Ja też. – Tak mi dzwoniło w uszach, że ledwie go słyszałem. – Ale skąd ona tutaj...?

– Nie mam pojęcia. Zaraz ją zapytamy, ale musimy się jak najszybciej zwijać. Narobiliśmy huku na pół województwa.

– Panie pułkowniku – usłyszałem. – Niech pan podejdzie.

Odwrociłem się i zobaczyłem Galasia klęczącego nad rozciągniętym na ziemi człowiekiem. Bren, odrzucony na kilka metrów, bezsilnie celował lufą w niebo. Minałem naszą ciężarówkę.

– Wilgat? – Do kołka w gardle dołączyło imadło ściskające żołądek.

– No – potwierdził Johny, który stał za Galasiem, dysząc ciężko, i wspierał się na thompsonie niczym na lasce. – Dostał z tej cholernej pancerki. Masakra.

Galaś odwrócił porucznika na plecy. Niewidzące oczy wpatrywały się w niebo. Pierś była cała zakrwawiona, Wilgat musiał przyjąć całą serię. Spóźniłem się z atakiem na załogę samochodu pancernego o kilka sekund.

– Cholera. – Johny podrapał się w głowę. – Szkoda chłopca.

– Spóźniłem się – bąknąłem przez zaciśnięte gardło. – Zdążyli strzelić.

– Robiłeś, co mogłeś...

– Zawsze można więcej.

Kapitan pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi. Musiałem wrócić do rzeczywistości.

– Johny – powiedziałem, odwracając wzrok od leżącej na ziemi postaci. W końcu udało mi się przełknąć ślinę. – Mamy jeszcze jeden problem.

– O Jezu! Jeszcze jeden? – Kapitan machnął ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy. – Na dzisiaj mam problemów po dziurki w nosie. Daj mi na razie spokój, dobra?

Pokręciłem głową.

– W tym wozie, który podjechał w ostatniej chwili... jest ktoś, kogo znasz. Ktoś... ci bliski...

– Co ty pieprzysz? – Wieteska spojrzał na mnie bystro, a potem przechylił się i próbował dojrzeć coś za moimi plecami. – Kogo ja tu znam?

– To... twoja żona. Rozalka.

Wybałuszył oczy, jakbym nagle zaczął śpiewać arię operową, ale nie dostrzegł w mojej twarzy niczego, co świadczyłoby, że robię sobie dowcipy. Bez słowa odepchnął mnie na bok i skoczył w stronę łoża. Chciałem dać mu chwilę na ochłonięcie, więc nie było mi pilno, aby pójść jego śladem.

– Kapralu – zwróciłem się do nie mniej niż kapitan zdumionego Galasia. – Musimy stąd zmykać jak najszybciej. Zbierz broń i amunicję i wrzuć na ciężarówkę. Zaraz przyślę ci

kapitana Kurcewicza, pomoże ci. Porucznika weźcie także, pochowamy go po drodze.

– Tak jest. Ale skąd Rozalka...? – zapytał kapral, podnosząc się z klęczek.

– Nie wiem. Wyjaśnimy. Na razie się pośpiesz.

Spojrzałem na nieruchomą twarz Wilgata.

Przeżyliśmy razem pięć lat. Nasza znajomość, rozpoczęta pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku, upłynęła pod znakiem ciągłej rywalizacji o moją żonę, przy czym porucznik zupełnie nie zrażał się faktem, że Nancy dokonała już wyboru, jego samego darząc – zaledwie, z jego punktu widzenia – szczerą przyjaźnią. Nie pozwalał mi poczuć się w siodle zbyt pewnie, cały czas dawał do zrozumienia, że kiedyś, w końcu, raczej niedługo, starczy wiek zagna mnie do grobu i wtedy on ostatecznie posiędzie to, co mu się słusznie należy. Nancy żartobliwe kibicowała jego wysiłkom, co z kolei mnie wprawiało czasami w rozdrażnienie. Mimo to lubiłem go bardzo. Był inteligentny, dowcipny i kochał się bawić. Był najlepszym pilotem, jakiego znałem – może oprócz kapitana Wieteski. Teraz mogłem o nim myśleć wyłącznie w czasie przeszłym.

Odwróciłem się i poszedłem do łazika. Rozalka miała już wolne ręce. Spoczywała w ramionach Wieteski, szlochając gwałtownie. Kapitan, choć to zupełnie do niego niepodobne, minę miał taką, jakby za chwilę miał sam zapłakać.

– Wojtek – powiedziałem. – Pomóż Galasiowi, dobrze?

Kurcewicz pytająco podniósł brwi.

– Wilgat oberwał. Niestety. Nie możemy go tu zostawić.

– Wilgat? Jak...?

– Wóz pancerny. Załatwiłem go o włos za późno.

– Cholera... – zaklął jakoś tak bezradnie. Najbardziej z nas wszystkich przyjaźnił się z porucznikiem.

– No. Umiałbyś to poprowadzić?

– Co...? – Spojrzał na mnie zamyślonym wzrokiem. Planując operację, zakładaliśmy różne przeszkody i trudności, ale każdy z nas przyjął jako oczywiste, że wrócimy w komplecie. Śmierć Wilgata spowodowała wielką wyrwę w tej optymistycznej konstrukcji. Zaczęliśmy sobie uświadamiać, na co się tak naprawdę porwaliśmy.

– Pytam, czy umiałbyś poprowadzić samochód pancerny.

– Ten? Jasne. Umiem poprowadzić wszystko.

– Dobrze. Pomóż Galasiowi i zwijamy się.

Kapitan zniknął za ciężarówką.

– Johnny – powiedziałem miękko.

Spojrzał na mnie z mieszaniną wściekłości i rozpacz.

– Musimy jechać.

Rozalka zadrżała i jeszcze mocniej przytuliła się do kapitana.

3.

Mimo pewnych trudności pięć minut później ruszyliśmy z piskiem opon. Kurcewicz prowadził otwierający nasz mały konwój samochód pancerny, którego załogę uzupełniał nie do końca jeszcze oprzytomniały Wieteska, jego żona Rozalka, która nadal nie mogła z siebie wykrztusić słowa, a w końcu zasnęła oparta na ramieniu kapitana, oraz ja, dumający nad wydarzeniami dzisiejszego poranka, lecz zarazem pilnie przepatrujący przedpole. Za nami podążała prowadzona przez kaprała Galasia ciężarówka, mająca na pokładzie, obok skupionego i czujnego jak ryś kaprała, emiter, komputery, nasze zapasy i radiostację, zwłoki porucznika Wilgata oraz rannego Niemca, dowódcę patrolu żandarmerii, który eskortował Rozalkę. Okazało się, że postrzelony w pośpiechu na początku walki przez Galasia dostał, co prawda, dwie kule, ale żadna nie zadała śmiertelnego ciosu. Decyzja o tym, żeby go zabrać, zapadła w ostatniej chwili i była jednogłośnie. Zatomowaliśmy krwawienie, licząc na to, że facet będzie mógł odpowiedzieć na parę pytań. Uzgodniliśmy także, że w razie następnej blokady nie będziemy się bawili w podchody i subtelności. Mieliśmy w planie podjechać i otwarcie ognia ze wszystkich luf z jak najbliższej odległości, a także oddalenie się z miejsca zdarzenia z najwyższą możliwą prędkością. Nie chcieliśmy ryzykować kolejnej próby sprawdzenia jakości naszego kamuflażu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Niemcy, zaalarmowani ciągle wybuchającymi w okolicy strzelaninami, nie nabiorą się na to. Stąd pomysł na wzmocnienie siły ognia samochodem pancernym.

Wóz wył na niemal pełnych obrotach, wieżyczką huśtało na wszystkie strony, a ja, wychylony przez właz, zajęty byłem obserwacją terenu – nie miałem zatem możliwości pogadać z Rozalką i dowiedzieć się, co robi w naszym pięknym kraju. Po głowie kołatały rozmaite pytania, niemające ze sobą bezpośredniego związku, ale układające się w jakąś nie do końca sprecyzowaną całość. Kocioł we wsi, zniknięcie Raileya, pojawienie się Wojtyńskiego, odbicie Rozalki – czy to naprawdę seria przypadków? A to, że podawaliśmy się za oficerów amerykańskiego wywiadu, ma znaczenie czy nie? Czy może...

Jakieś światełko błysnęło mi w głowie i zgasło, zanim zdążyłem w jego wątłym blasku ujrzeć kolejną hipotezę. Już przed godziną miałem jakieś podejrzenia, teraz wracałem do nich prawie bez udziału świadomości. Nie mogłem jednak jakoś ich nazwać i połączyć w logiczną całość.

Nagle znieruchomiałem. Rozalka towarzyszyła nam w przelocie przez Atlantyk, razem z nami wylądowała w końcu w Brindisi, gdzie nie odstępowała nas na krok podczas wszystkich przygotowań. Jednak samego odlotu nie obserwowała, uznała bowiem, że „to nie na jej nerwy”. Wtulona była w Wieteskę przez dobrych pięć minut, ucałowała nas wszystkich solidnie (zawsze, gdy to robi, mam pewne kłopoty z utrzymaniem spokojnego oddechu) i zniknęła za drzwiami baraku, w którym czekaliśmy na sygnał do startu. Taki sygnał nadszedł pół godziny później. Zapakowaliśmy sprzęt i zaopatrzenie do podstawionego liberatora i poleciliśmy.

W Polsce wylądowaliśmy pięć godzin później. Rozalkę odbiliśmy po następnych czterech godzinach. Jakim więc sposobem dostała się do Polski?

Odpowiedź: samolotem. I to... być może tym samym.

Coś szarpnęło mnie za serce, jakieś nieprzyjemne ciepło rozlało się po żołądku.

Schyliłem się do środka.

– Powiedziała coś? – rzuciłem w stronę nieruchomo siedzącego kapitana.

– Nie. Tylko ryczała, a teraz śpi.

– Muszę ją o coś spytać.

– Później. Jest w szoku. Nieźle ją pobili.

– To ważne.

Spojrzał na mnie, dając do zrozumienia, że nic nie jest ważne w tej sytuacji. Ale wytrzymałem jego wzrok. Powoli skinął głową. Wprostowałem się.

– Wojtek! Słyszysz mnie? – zawołałem do prymitywnego interkomu. Przez pięć lat pobytu w Ameryce lat czterdziestych zdążyłem się trochę przyzwyczaić do poziomu techniki z tamtej epoki, ale posługiwanie się niektórymi urządzeniami sprawiało mi nadal pewne trudności. W słuchawce trzeszczało i buczało.

– Słyszę. – Ledwie go było słychać.

– Musimy się zatrzymać. Najlepiej gdzieś na uboczu.

– Myślałem, że nam się śpieszy.

– Owszem. Ale chcę coś ustalić.

Znał mnie na tyle, że nie pytał więcej. Jechaliśmy przez las, więc kapitan zwolnił, wypatrując jakiegoś zjazdu z szosy. Ja również rozglądałem się na boki. Po kilku minutach ujrzałem niewielką dróżkę biegnącą w lewo. Kapitan prawie stanął, skrzył kierownicę i wielka, czteroosiowa maszyna wpasowała się w wąski, leśny trakt. Przejechaliśmy może jeszcze z pięćset metrów. Główna droga całkowicie zniknęła nam z oczu.

Kurcewicz stanął i wyłączył silnik. Za nami zaparkowała ciężarówka. Zainteresowany Galaś wychylił się z szoferki.

– Mały postój – wyjaśniłem, zeskakując z pancerza. – Weź brena i stań na czujce. Ale niedaleko, żebym cię miał pod ręką.

– Tak jest. – Nie był zachwycony, bo też chciał uczestniczyć w rozmowie. Ale rozkaz to rozkaz, ściągnął więc erkaem z samochodu, wziął kilka zapasowych magazynków i poszedł drogą, którą przyjechaliśmy. Ustawił stanowisko na łuku ścieżki, w takim miejscu, że widział zarówno nas, jak i główną drogę. Zamaskował się tak dokładnie, że po krótkiej chwili miałem spore trudności, aby go zauważyć.

– Obudź ją – poleciłem Wietesce.

– Już nie śpi – odpowiedział zirytowanym tonem.

Odwrociłem się. Rozalka stała przy samochodzie, opierając się o burtę. Johnny zdążył już obetrzeć jej krew z twarzy, co jeszcze bardziej uwypukliło potężny siniak i rozcięcie nad

prawym okiem. Nie zmieniło to faktu, że nadal była śliczną dziewczyną.

– Rozalko – powiedziałem najłagodniej, jak potrafiłem. – Skąd się tu wzięłaś? Przyleciałaś tym samym samolotem?

Skinęła głową i znowu zaczęła płakać.

– Skoczyłaś ze spadochronem?

Powtórne skinienie.

– Wpadłaś prosto na Niemców?

Kiwnęła głową trzeci raz.

– Ale nie byłaś sama, prawda? Był z tobą ktoś jeszcze?

Podniosła wzrok. Jej niebieskie oczy wpatrywały się we mnie bezradnie.

– To była Nancy, tak?

Rozalka wybuchnęła płaczem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem.

4.

Planowały to od kilku tygodni. Nancy zgodziła się na nasz wyjazd, ale postawiła warunek, że będzie uczestniczyć we wszystkich przygotowaniach i ustaleniach. Rozalka, dowiedziawszy się, o co chodzi, wymogła na Wietesce takie same warunki: albo uczestniczy we wszystkim i współdecyduje, albo kapitan nigdzie nie jedzie. W tajemnicy i pełnej współpracy, chociaż nigdy za sobą specjalnie nie przepadały (co było o tyle dziwne, że na żadnym polu nie były konkurentkami), zaczęły swój indywidualny tok przygotowań. Nancy zorganizowała kurs spadochronowy dla siebie i Rozalki, zapewniła wszelkie możliwe współdziałanie, a także zobowiązała kontrahentów do zachowania bezwzględnej tajemnicy. Skompletowała całe wyposażenie. Jak wiadomo, ustaliliśmy, że obie panie polecą z nami do Europy, problemem zatem było tylko dyskretne przetransportowanie nadprogramowego sprzętu. Nancy użyła swojego wdzięku oraz nieco gotówki i sprzęt przeleciał przez Adantyk niezauważony.

W Brindisi najtrudniejszym zadaniem było przekonanie załogi samolotu do wzięcia nadkompletu pasażerów, na dodatek udział w locie Nancy i Rozalki miał pozostać dla nas całkowitą tajemnicą. Nie wiem dokładnie, jakich argumentów użyto, niemniej plan został zrealizowany. Ukryte w ciasnym kontenerze, siedząc na spadochronach, w niewygodnej pozycji, przeczekały cały lot, i kiedy opuściliśmy samolot, zostały uwolnione przez dyspozytora i pół minuty po nas poleciały w ciemność.

Zniosło je kilka kilometrów na zachód od naszego punktu lądowania, w teren gęsto zabudowany, naszpikowany niemieckimi placówkami. Mimo to osiągnęły ziemię szczęśliwie – w tym sensie, że żadna nie wpadła do studni, nie rozbiła się o komin ani nie złamała nogi. Niemcy jednak czuwali. Jak wiadomo, przygotowywali pułapkę, może zresztą niejedną, i

szybko zorientowali się, że mają na swoim terenie gości. Zanim nasze bohaterki zdołały zwinąć spadochrony, otoczył je oddział żandarmerii. Walka nie miała żadnego sensu. Rozalka niezbyt wprawnie posługiwała się bronią, a Nancy, choć dobrze uzbrojona i wybornie wyszkolona (korpus oficerski amerykańskiej piechoty morskiej, rok ukończenia kursu 2000), zdecydowała, że zyskają większe szanse na przeżycie, gdy oddadzą się do niewoli. Zbyt mało jej opowiadałem o wyczynach Niemców na okupowanych ziemiach polskich. Mnie taki pomysł nie przyszedłby do głowy – wolałbym raczej dać się zastrzelić, niż dobrowolnie oddać w łapy gestapo.

– Rozalko, gdzie w takim razie jest Nancy? – zapytałem, starając się panować nad sobą.

– Zabrali ją... – wydukała, patrząc w bok. Z całej siły ścisnęła rękę Wieteski.

– Gdzie?

– Nie wiem... Bili... potem przyszedł taki jeden, co po polsku mówił... Pytał, skąd się tu wzięliśmy... nic mu nie powiedziałam... a oni zobaczyli, że z Nancy rozmowy nie ma, bo nie rozumie... to jeden coś po angielsku powiedział, a Nancy mu na to, że jeńcami jesteśmy i muszą nas lepiej traktować... To ten oficer, co pytania zadawał, bardzo się ucieszył i od razu wsadzili Nancy do samochodu... i pojechali. Gadali między sobą, ale ja nie rozumiem.

– Poczekaj. – Nic tu się kupy nie trzymało. – Do Nancy mówili po angielsku? A skąd wiedzieli, że trzeba do niej tak mówić? Słyszeli, jak rozmawiacie między sobą? – Rozalka znacznie lepiej mówiła po angielsku niż Nancy po polsku, więc raczej porozumiewały się w tym pierwszym języku.

– Nie słyszeli, bo nic nie zdążyliśmy pogadać.

– Dobra – powiedziałem. – Bierzmy tego Niemca. Wojtek, zmień Galasia, potrzebny mi będzie jako tłumacz.

Sprawy zaszły już tak daleko, że nikt nie protestował przeciwko przesłuchiowaniu ciężko rannego, właściwie umierającego człowieka. Kurcewicz odwrócił się i poszedł w kierunku stanowiska kaprała, a my z Wieteską weszliśmy na skrzynię ładunkową ciężarówki. Niemiec leżał na podłodze, na prowizorycznym posłaniu zrobionym naprędce z trzech płaszczy jego zabitych kolegów. Był przytomny. Nieco dalej, owinięte w całun wykonany z oddartego kawałka brezentu opatulającego emiter, spoczywały zwłoki Wilgata. Wieteska spojrzał na mnie przeciągle.

– Trzeba by go pochować.

– No. Takie samo miejsce na pogrzeb jak każde inne.

Kapitan kiwnął głową, wzięwszy to za zgodę.

– Najpierw ustalmy fakty. – Pokazałem brodą Niemca. – Znieśmy go na dół.

Dźwignęliśmy bezwładne ciało i położyliśmy delikatnie na ziemi. Miałem wrażenie, że waży pół tony. Jeniec jęczał cicho, ale nie protestował. Nadszedł Galaś.

– Zapytaj go, skąd wiedzieli o zrzucie – zacząłem.

Galaś zadał pytanie wolno i wyraźnie. Tamten spojrzał na nas ponuro i powiedział,

zacinając się i bełkocząc, parę zdań.

– Mówi, że nie wie. Dostał rozkaz, żeby był w gotowości bojowej. I był.

– Kiedy dostał ten rozkaz?

I znowu wymiana zdań. Jeniec mówił coraz wolniej, z coraz większym wysiłkiem.

– Wczoraj po południu.

Wczoraj po południu odpoczywaliśmy po obiedzie. W Brindisi. Spojrzałem na Wieteskę. Kapitan kiwnął głową.

– Dawaleś ogłoszenia w gazetach? – zapytał swobodnym tonem.

– Taaa. I w telewizji. Spytaj go, co miał zrobić z Rozalką – ponownie zwróciłem się do jeńca za pośrednictwem kaprała.

– Wieźli ją do więzienia w Kielcach.

– Okej. Dlaczego je rozdzielili?

– Nie wie.

– Co się stało z Nancy?

Jeniec pokręcił głową i zamilkł. Powtórzyłem pytanie.

Milczenie.

Wyciągnąłem powoli USP i przeładowałem. Jeniec spojrzał na mnie gasnącym wzrokiem, ale hardo.

– Powiedz mu, że ma dwie możliwości do wyboru. Umrze sobie spokojnie. Albo pomożemy mu w tym. I będzie w każdej chwili modlił się o śmierć.

– Pamięta się te amerykańskie filmy, co? – cyknął półgębkiem w moją stronę Wieteska, na zewnątrz prezentując marsowe oblicze.

– Spierdalaj – powiedziałem przez zaciśnięte zęby. Dłoń z USP drżała lekko.

Jeniec milczał.

Przyklęknałem na kolano i lufę pistoletu oparłem o jedną z ran na piersi Niemca. Jęknął.

– Gdzie jest druga kobieta? – Byłem już gotów na każde szaleństwo.

Milczenie. Nacisnąłem mocniej. Lufa zagłębiła się w ranie.

– Warschau. Sie haben nach Warschau gegangen.

5.

Po kilku minutach przesłuchanie było zakończone. Nie musiałem więcej uciekać się do przemocy. Zdusiłem w sobie maleńki płomyk żalu.

Wczoraj wieczorem w miejsce stacjonowania kompanii żandarmerii, macierzystej jednostki przesłuchiwanego Niemca, przybyła kilkusobowa reprezentacja warszawskiego gestapo pod dowództwem Sturmbannführera Ludwiga Hahna, który oświadczył miejscowym, że na czas trwania akcji przejmuje dowództwo wszystkich jednostek. Po złapaniu Nancy i

Rozalki uczestniczył w pierwszym przesłuchaniu. Z relacji naszego jeńca wynikało, że doskonale wiedział, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie, z kim ma do czynienia. Od razu znalazł się człowiek mówiący po angielsku. Wiedział lub domyślał się, że Nancy jest żołnierzem. Po krótkim przesłuchaniu, podczas którego Rozalkę traktowano bardzo brutalnie, Nancy zaś odwrotnie – z wielką rewerencją – rozdzielono je. Rozalkę polecono zawieźć do Kielc w asyście patrolu miejscowej żandarmerii. Nancy, w silnie uzbrojonym konwoju dowodzonym przez Sturmbannführera Hahna, pojechała do Warszawy w objęcia gestapo.

– Nic tu nie pasuje – powiedział Wieteska, kiedy już opatrzyliśmy jeńcowi rany i położyliśmy go na skraju drogi. – Za to jedno jest pewne. Nasza wyprawa była w niektórych kręgach bardzo popularna. Przygotowano nawet bramę powitalną i orkiestrę.

– Nie będę teraz o tym gadał. Zawołaj kapitana, Galaś. Przez moment obejdziemy się bez ubezpieczenia.

Po chwili Kurcewicz nadszedł wolnym krokiem. W tym czasie, nie zważając na zdziwione spojrzenia Wieteski i Rozalki, wyrzuciłem z samochodu pancernego rzeczy moich towarzyszy.

– Słuchajcie – powiedziałem, kiedy już wszyscy zebrali się dookoła mnie. Żołądek fikał koziółki, zbierało mi się na torsje. Jednocześnie jakaś gorączka pchała mnie do działania, nawet nie próbowałem się temu przeciwstawić. – Przerzućcie swoje rzeczy na ciężarówkę. Pochowajcie Wilgata. Sądzę, że po zmroku macie szansę dostać się na to lądowisko. Wezwijcie samolot. Załoga pomoże wam zapakować emiter.

– Nam? A ty? – zapytał Kurcewicz.

– Jadę do Warszawy. Po Nancy.

– No jasne. Pojedziesz do stolicy, odbierzesz żonę za pokwitowaniem, skorzystasz z tanich linii lotniczych i polecisz w świat.

– Szkoda mi czasu na bzdety. – Podniosłem głos. – Wycofajcie ciężarówkę, chcę wyjechać. – Wskazałem na samochód pancerny.

– Czego się szarpiesz, głupi? – Wieteska złapał mnie za ramię i chociaż był zdecydowanie niższy i szczuplejszy ode mnie, musiałbym go chyba zastrzelić, żeby puścił. – Pogadajmy o tym.

– Nie ma czasu na gadanie, nie rozumiecie? – wrzasnąłem, próbując się wyrwać. – Mam jeszcze szansę ich dogonić.

– I co, rzucisz się na nich w pojedynkę? Będziesz jednocześnie prowadził samochód pancerny i strzelał z działka? – Kurcewicz sprawiał wrażenie zniesmaczonego zarówno moją propozycją, jak i wybuchem złości.

– Coś wymyślę. – Szarpnąłem się. – Odstawicie tę cholerną ciężarówkę czy nie?

– Nie pozwolę ci jechać... – kontynuował kapitan.

– Nie pytam cię o zdanie... – przerwałem.

– Samemu.

Zamilkłem. Wieteska trzymał mnie nadal i uśmiechał się szeroko. Pokręciłem głową.

– To bardzo miło z waszej strony – powiedziałem nieco spokojniej. Czułem się tak, jakby ktoś spuścił ze mnie powietrze, chociaż przymus działania pozostał. – Ale to nie ma najmniejszego sensu. Po co wszyscy mamy ryzykować?

– Bo sam nie dasz rady. – Wieteska puścił mnie i ostentacyjnie otrząpął ręce. – Konwoju nie dogonisz, a nawet jeżeli, to przecież nie zaatakujesz go sam i w biały dzień. Po południu Nancy będzie w Warszawie. Nie mówisz po niemiecku. Nikogo w Warszawie nie znasz. Przecież ot, tak sobie nie wejdiesz do siedziby gestapo. Trzeba to jakoś zorganizować. Poza tym...

– No? – popędził go Kurcewicz.

Ja już straciłem zdolność do dyskusji i logicznego rozumowania.

– Drobiazg. Dziś jest trzydziesty pierwszy lipca czterdziestego czwartego roku. O ile mnie pamięć nie myli i historia będzie tak jak w podręcznikach, jutro o piątej po południu wybuchnie w Warszawie powstanie.

Trochę nas zatkało. Zapomnieliśmy o tym, że historia najnowsza naszego narodu co i rusz utkana była z powstań, ruchawek, protestów i zamachów. Planując odzyskanie emitery, nie braliśmy pod uwagę możliwości wplątania się w żadną większą awanturę. Chcieliśmy utrzymać ryzyko na akceptowalnym poziomie i po prostu wrócić do domu.

– Ja pierdziele, rzeczywiście. – Galaś, podobnie jak Wieteska, nie wyglądał na zmartwionego, ale on rzadko kiedy czymkolwiek się przejmuje. – Mamy farta, nie ma co. Wtedy, w trzydziestym dziewiątym, i teraz. Żeby nam za nudno nie było.

– Na mnie już czas. – Jakoś wziąłem się garść. – Będzie powstanie czy go nie będzie, mnie wszystko jedno. I tak muszę zrobić swoje.

– Pochowamy Wilgata i jedziemy – powiedział Kurcewicz. – Może damy radę dojechać do Warszawy, załatwić, co trzeba, i wycofać się do jutra do piątej.

– Jak nie damy, będzie po zawodach – odparł Wieteska.

– Jesteście pewni, że chcecie tego? – zapytałem słabo.

– Nie pieprz, bo się rozplączę – podsumował Wieteska. – Jedźmy, a po drodze będziemy gadać. Mamy masę rzeczy do ustalenia.

Ceremonia pogrzebowa była skromna i trwała zaledwie kilka chwil. Wybraliśmy miejsce, które, mieliśmy nadzieję, zdołamy odszukać po wojnie. Galaś wykonał z dwóch brzoźowych żerdek prosty krzyż. Uformował kopczyk krótką saperką, wbił krzyż w kopiec. Stanęliśmy dookoła. W sumie nikt z nas nie miał ochoty na przemówienia, toteż nad grobem porucznika Władysława Wilgata, pilota 161. Eskadry Myśliwskiej, asa lotniczego, a także udziałowca naszego amerykańskiego holdingu, nie padło ani jedno słowo.

Pięć minut później byliśmy już w drodze.

Galaś prowadził ciężarówkę, a Kurcewicz samochód pancerny. Rozalka siedziała pod pancerzem, Wieteska i ja natomiast – w otwartym włazie na dachu wieżyczki. Pilnie

rozglądaliśmy się dookoła. Bardzo liczyłem na sokoli wzrok i spostrzegawczość mojego przyjaciela lotnika.

– Najpierw droga – zaczął Wieteska. – Uważam, że powinniśmy jechać w nocy.

– Nie mamy czasu.

– Wiem, ale możemy mieć kłopoty z Niemcami, bo mogą nas wziąć za Polaków, możemy mieć kłopoty z sowieckim lotnictwem, bo może nas wziąć za Niemców, i możemy mieć kłopoty z Wojtyńskim, który też nas może wziąć za Niemców. Już nie mówiąc o jakichś partyzantach, bo słyszałem, że te rejony okrutnie partyzantką stoją.

– Z Wojtyńskim? – zapytałem.

– Właśnie. Tylko pomyśl. Jak sobie uświadomiłem, że jutro ma być powstanie, to mi się samo dodało dwa do dwóch. Ni stąd, ni zowąd, po pięciu latach, Wojtyński ze swoją ekipą zjawia się w jaskini po sprzęt. Wszyscy są przebrani w niemieckie mundury. Po co w niemieckie? Ano po to, żeby bez problemu dotaszczyć ten złom w okolice Warszawy. Jako kolumna pancerna zmierzająca na Ostfront przejadą całą trasę, a wieczorem zadekują się, powiedzmy, gdzieś w okolicach Lasu Kabackiego. No i jutro pod wieczór uderzą na naszą ukochaną stolicę. Po to im sprzęt. Nie za wiele zostało z batalionu, ale te resztki i tak radykalnie zmieniają stosunek sił na korzyść naszych.

– Logiczne. – Rozumowaniu Wieteski nie można było niczego zarzucić. Sam myślałem podobnie.

– No. Więc naszego drogiego majora mamy jakieś – spojrzał na zegarek – dwie godziny jazdy przed sobą. On jedzie najwyżej czterdzieści na godzinę. My sześćdziesiąt. Za cztery godziny, jeszcze przed Warszawą, mamy szansę obejrzeć jego tyłek.

– W takim razie jest niedaleko za konwojem wiozącym Nancy. O ile wybrał tę samą drogę.

– Nie myśl o tym. Niemcy na pewno jadą szybciej.

– Pewnie tak... – Westchnąłem. – W sumie nie wiemy nawet, czy Wojtyński jedzie do Warszawy.

– Przecież ci mówię – zniecierpliwił się. – Co jest ważniejszego do roboty w Polsce trzydziestego pierwszego lipca czterdziestego czwartego? Nic. A innej drogi nie ma.

– Zgadza się – mruknąłem, wpatrując się w mapę.

– Musimy uważać na niebo – dodał kapitan, rozglądając się pilnie i myśląc zapewne o sowieckim lotnictwie. Front był przecież tuż za Wisłą.

– Nie uważasz, że jak najszybciej powinniśmy pozbyć się ciężarówki z emiterem? I... Rozalki.

– Zgłupiałeś? – Już był wściekły. – Emiter, owszem, tylko zawadza, ale Rozalka pojedzie ze mną.

– Johnny – powiedziałem łagodnie, choć tylko niewielka część mojej jaźni koncentrowała się na tym, co tu i teraz. Głównie myślałem o Nancy. – Teraz ty zachowaj rozsądek. Jest nas

tylko czterech. Do odbicia Nancy będzie potrzebna każda para rąk. I każdy mózg. Nie możesz w tym czasie myśleć o Rozalce, zamartwiać się, czy jej jakaś kula nie trafi.

– Jeszcze niedawno chciałeś jechać sam, ty moja logiko. – Zły był, ale wiedział, że mam rację. – Przecież jej nie zostawię w polu.

– Nie w polu. Zadekujemy ją gdzieś w bezpiecznym miejscu.

– A znasz tu gdzieś takie? – zaperzył się, ale w sumie chyba robił to pro forma, bo jednak zdawał sobie sprawę, że nie będzie wojował z Rozalką u boku. – Nie, nie, nie. Mamy tylko jedno wyjście, to znaczy dogonić Wojtyńskiego, powiedzieć mu, jak jest, i namówić do współpracy. Na pewno ma jakąś bezpieczną metę, gdzie można ukryć to i owo. Schowamy ciężarówkę, niech ci będzie, schowamy Rozalkę, zrobimy, co mamy zrobić w Warszawie i fiuuuu! – odfruwamy.

– Namówienie Wojtyńskiego do współpracy to dobry pomysł, nie wiadomo tylko, czy realny. Poza tym nie wrócimy w Góry Świętokrzyskie, bo po wybuchu powstania Niemcy zaostrzą kontrolę wszędzie tam, gdzie jeszcze mają władzę. Nie damy rady przejechać. Samolot pod Warszawę może i doleci, ale będzie miał kłopot z wylądowaniem, startem i powrotem do bazy. Może mu zabraknąć paliwa. Przykro mi, Johny, to się coraz mniej składa do kupy. Mówilem, żebyście wracali.

– O rany, bo się porzygam. Raz już ustaliliśmy, że jedziemy razem. Dobra, nie składa się. Coś wymyślimy. Najpierw musimy uwolnić Nancy. Potem będziemy się martwić.

Przekładając na ludzki język, znaczyło to, że Johny dostrzega niebezpieczeństwo, ale nie ma żadnego planu B.

– Mało tego – mruknąłem. Powoli zacząłem się koncentrować na rzeczywistości, pierwszy szok już mijał. – Myślę, że powinniśmy porzucić tę pancerkę.

– A to czemu? Zwiększa naszą siłę ognia.

– Ale Niemcy już na pewno są w miejscu blokady. Policzyli straty i wiedzą, że jednego wozu brakuje.

– Nie będzie im łatwo na to wpaść, nie bardzo mają kogo zapytać.

– Niby tak, ale moim zdaniem szybko do tego dojdą i telefonicznie dadzą znać, komu trzeba. W końcu założenie na tej drodze porządnej blokady, takiej, która nas na pewno przystopuje, to nie taki znowu problem. Zaraz zaczną się różne miasteczka i miasta, musimy minąć Radom, most na Pilicy w Białobrzegach i cholera wie co jeszcze.

– Na razie bym jechał dalej. Jest strefa przyfrontowa, pewnie już im się zaczął niezły burdel, a ten wóz wygląda na dość typowy. W razie czego coś zaimprovizujemy. Może Wojtyński nam oczyści drogę.

Fakt. Major Wojtyński dysponował siłą mogącą zmieść każdy rodzaj blokady z powierzchni ziemi.

– Może i tak. Niemcy co prawda mogą zamknąć drogę między nami a Wojtyńskim, i wtedy dupa błada.

Kapitan machnął ręką, żeby pokazać, że temat uznaje za omówiony.

– Masz jakiś plan... tam? – zapytał.

– Na razie żadnego. – Coś mi tylko świtało, jaki przebieg mogły mieć wczorajsze wydarzenia, a to w Warszawie raczej na niewiele nam się zda.

– Okej, ustalmy fakty.

– Nancy, o ile nie dogonimy jej po drodze, może trafić w kilka różnych miejsc, ale najpewniej zawiozą ją na gestapo w alei Szucha. Z opowieści naszego rannego żandarma wynika, że śledztwo nadzoruje osobiście szef sił bezpieczeństwa w Warszawie, pułkownik Geibel.

– Nie znam gościa, ale skoro to szef, więc sprawa ma priorytet. To zresztą już wiadomo. Będą pilnować jak cholera. Jak się tam dostaniemy?

– Nie wiem. Czytałem kiedyś, że wiosną czterdziestego czwartego całe Aleje Ujazdowskie zostały zamknięte dla Polaków. Wszędzie zasieki i strażnicy.

– Czyli na rympał się nie da. Musimy na pasówkę – mruknął.

– Precyzyjna diagnoza. Dobrze, że nie wywaliliśmy tych szkopskich mundurów. Nawiasem mówiąc, słabo się w nich nadajemy na czołgistów. Trzeba było zdjąć z załogi...

– Były całe pokrwawione. – Skrzywił się.

– Śpicie tam na gorze? – zatrzeszczał w interkomie Kurcewicz. – Wjeżdżamy do jakiegoś miasta.

– Nie śpimy, bo za bardzo rzuca tym twoim wynalazkiem – odparował Wieteska. – A tę miejscinę widzimy od pół godziny, tylko nam się gadać nie chce.

Mała miejscowość, której nazwy nawet nie zdążyłem zanotować, składała się z kilkudziesięciu drewnianych chałup i kilku murowanych, okazalszych domów. O tyle wzbudziła emocje, że było to pierwsze skupisko ludzkie, przez które przejeżdżaliśmy. Droga była jak wymarła. Nikt się nami nie zainteresował.

Kurcewicz utrzymywał dobre tempo. Kilkakrotnie minęliśmy po drodze zarówno wojskowe, jak i cywilne ciężarówki, raz śmignął obok nas, jadący w przeciwną stronę, konwój złożony z kilku transporterów piechoty. Na wszelki wypadek schowaliśmy się wtedy wewnątrz wieży, aby nie kusić losu widokiem nieadekwatnych do środka transportu mundurów.

– Co je podkusiło, żeby z nami lecieć? – zapytałem, ledwie widząc w półmroku twarz kapitana.

– Rozalka mówi, że po prostu nie mogły nas zostawić samych.

– Ciekawe. Nancy rozumiem, jest żołnierzem, myślała, że nam pomoże. Ale Rozalka?

– Co Rozalka? – naburmuszył się Wieteska. – Ty jej nie znasz. To rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty. Skłonność do poświęceń i silna wola przedwojennej jakości. A uparta to ona jest...

– Faktycznie...

– Nawet się ze spadochronem nauczyła skakać. – Chociaż kapitan oficjalnie twierdził, że wyczyn obu pań był głupi, teraz w jego tonie wyczułem wyraźną dumę. – Inna sprawa, że gdyby nie one, dziś w nocy bylibyśmy we Włoszech, a za trzy dni z powrotem w Stanach. Miesiąc przygotowań i pstryk! Moglibyśmy wracać.

– Faktycznie. – Zamilkłem, pogrążony w ponurych myślach.

6.

Połowa podróży minęła bez specjalnych emocji, o ile tak można nazwać stan podwyższonego napięcia i skurczów żołądka, które stale nam towarzyszyły. Postanowiliśmy, że Galaś, jedyny z naszej ekipy mówiący po niemiecku, przesiądzie się do wozu pancernego. Ani ja, ani Wieteska nie byliśmy w stanie odpowiedzieć nawet na najprostsze pytanie o papierosy pierwszego z brzegu szeregowego. Kapitan zmienił kaprała za kierownicą ciężarówki wiozącej nasz cenny ładunek.

Okazało się szybko, że był to dobry ruch. Gładko minęliśmy zapchany wojskiem Radom, choć tempo jazdy spadło do kilku kilometrów na godzinę. Kilkakrotnie stawaliśmy, Galaś tłumaczył coś napotkanym Niemcom, i ruszaliśmy dalej. Kontrole i pytania nie były zbyt szczegółowe, dokumenty otrzymane od Wojtyńskiego okazały się wystarczające. Również porzucenie zdobycznych mundurów na rzecz naszych spadochroniarskich kombinezonów okazało się tramą decyzją, jako że zdecydowanie bardziej przypominały pancerniackie uniformy zabitej przy blokadzie załogi. Naprędce przyfastrygowane przez Rozalkę dystynkcje dopełniały tę maskaradę.

Nie wiem, jakim cudem, ale posuwaliśmy się do przodu.

Za Radomiem trochę przyspieszyliśmy, choć ogólnie prędkość podróży nie mogła imponować. Szosa zapchana była wojskowymi transportami. Czuło się, że front jest blisko. Mijały nas zarówno długie kolumny wozów sanitarnych, jak i transporty z amunicją. Nie dostrzegaliśmy jakoś specjalnie bałaganu, który sygnalizował Wieteska.

Myślałem o tym, co mamy do zrobienia w Warszawie, i żaden konkretny pomysł nie przychodził mi do głowy. Miał rację mój przyjaciel lotnik – jedynym sensownym rozwiązaniem było wciągnięcie do współpracy Wojtyńskiego. Nawet z pełnym wsparciem nasza akcja wydawała się w rodzaju tych ze słońcem i motyką, natomiast bez konspiracyjnych kontaktów, bez pomocy, z góry skazana była na kompletne fiasko. Kiedyś czytałem sporo o czasach okupacji, nie przypominam sobie jednak, aby udało się kogoś wyciągnąć z alei Szucha siłą. A na negocjacje i przekupstwo nie mieliśmy czasu. Zresztą sądząc po szarżach zaangażowanych w akcję oficerów niemieckich sił bezpieczeństwa, żadne przekupstwo nie wchodziło w grę.

Ucieszyła mnie myśl, że zacząłem logicznie myśleć. Żal i wściekłość, przytłaczające

poczucie bezradności, a także zwykły strach, które opanowały mnie w pierwszych chwilach po odbiciu Rozalki i dowiedzeniu się o tym, co się stało z Nancy, powoli zaczęły mijać. Odzyskiwałem zdolność planowania i przewidywania zdarzeń. Zresztą, o czym tu gadać: o ile w każdej chwili mogliśmy zrezygnować z odzyskania emitery, o tyle w wypadku Nancy nie mieliśmy żadnego wyboru.

Na pewno ja nie miałem.

– Musimy się zastanowić, co zrobimy. I nie liczymy na razie na majora. Cholera wie, czy go dogonimy, nie mamy też pewności, czy rzeczywiście robi to, co według nas robi, i czy w ogóle będzie chciał nam pomóc.

– Wejść na Szucha możemy tylko podstępem, czyli udając Niemców – odparł Galaś.

– Brawo. Do tej pory udawało nam się zamydlić Niemcom oczy, ale, po pierwsze, nasze obecne mundury słabo się do tego nadają – mają za małą siłę przebicia. – Gdy kiwnął głową, ciągnąłem dalej: – Oprócz zorganizowania mundurów gestapo, SS albo policji musimy także zdobyć dokumenty, które uzasadnią nasz przyjazd na Szucha. Z tym będzie problem, bo nie mamy możliwości ani ich podrobienia, ani przekształcenia na nasze potrzeby. Dalej: musimy zdobyć policyjny samochód, oryginalny. I trzeba to zrobić tuż przed akcją, żeby nie zaczęli go szukać. No i musimy mieć niemieckie uzbrojenie i dużą siłę ognia.

– Parę schmeisserów mamy na pace. Granaty też – zauważył.

– Problem w tym, że ty jeden mówisz po niemiecku. – Nie była to prawda, ale na razie nie chciałem odkrywać wszystkich swoich kart. – Będiesz dowodził patrolem i od ciebie zależy nasza wiarygodność. Akcja wisi na tobie, przynajmniej w pierwszej fazie. Pozostali nie będą się odzywać. Jedno zbędne słowo i leżymy.

– Ryzyko.

– No jasne, a co myślałeś? Że szkółka niedzielna? Dodatkowy kłopot jeszcze w tym, że nie znamy topografii przedwojennej Warszawy. Akcję zrobimy raczej jutro, bo dziś się nie dostaniemy do miasta i nie zdążymy niczego przygotować. Gdzie przenocujemy? Jak zdobędziemy broń i mundury, dokumenty i samochód?

Galaś myślał intensywnie.

– Melduję posłusznie, że damy radę, panie pułkowniku. Zrobimy zasadzkę przed Warszawą. Na pewno ktoś odpowiedni się napatoczy.

Eureka! Wszystko jasne. Kamień spadł mi z serca.

Brzmiało to głupio i naiwnie, ale tym optymistycznym akcentem na razie zakończyliśmy naszą rozmowę. Droga skręciła w prawo i zobaczyliśmy Białobrzegi. To małe miasteczko po brzegi zapchane było wojskiem. Transporty z amunicją, ranni, piechota, konna i zmotoryzowana artyleria, oddziały pancerne, Wehrmacht, SS, własowcy, policja, żandarmeria polowa. Sądzę, że można było tam znaleźć dosłownie każdego przedstawiciela sił zbrojnych lub bezpieczeństwa Rzeszy. Panował nieopisany bałagan, jednak zdecydowana część oddziałów kierowała się w stronę mostu.

W sumie była to dla nas sytuacja korzystna. Nie spodziewałem się, aby w tym zamieszaniu ktokolwiek miał głowę do przygotowywania jakichkolwiek pułapek, zasadzek czy blokad. Nam też łatwiej się było skryć w takim tłumie. Nie wyróżnialiśmy się wyglądem i nikt nie powinien zwrócić na nas najmniejszej uwagi.

Przynajmniej ja bym na ich miejscu nie zwrócił.

Posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli. Kurcewicz umiejętnie manewrował i omijał przeszkody, czasami nawet udało się kogoś wyprzedzić, wzbudzając zresztą okrzyki wściekłości i wygrażanie pięściami. Jednak zdobywaliśmy teren. Po godzinie tej mordegi minęliśmy zakręt szosy i zobaczyliśmy potężne stalowe kratownice mostu na Pilicy.

Żandarmeria pilnowała wjazdu na most, bez powodzenia usiłując ograniczyć chaos. W pierwszej kolejności starała się przepuszczać jednostki liniowe. Powodowało to jakiś porządek już na samym moście, jednak przed nim utworzył się gigantyczny korek. Tłok, o ile to w ogóle możliwe, powiększył się, a tempo podróży spadło do zera. Po prostu stanęliśmy. Jak okiem sięgnąć – wozy, działa, czołgi, ciężarówki, ludzie, konie i ambulanse.

– Jesteśmy jak na widelcu – mruknąłem, rozglądając się dookoła. Przytknąłem lornetkę do oczu. Nagle drgnąłem. – Galaś, spójrz tam. Przed mostem. Widzisz to samo co ja?

Kapral spojrzał przez swoją lornetkę.

– Melduję posłusznie, że tak jest. Major z całym majdanem dojeżdża do mostu. Zaraz na niego wjedzie.

– Kurwa mać! Będziemy tu stać jeszcze ze dwie godziny. Jak nam teraz ucieknie, już go nie dogonimy.

Kapral syknął ostrzegawczo, bo swoje pretensje wygłosiłem w ojczystym języku, nijak niepasującym do otaczających nas wojsk.

Otaczające wojska całe szczęście miały nas gdzieś.

Długa kolumna pancerna majora Wojtyńskiego właśnie wjeżdżała na most. Wywołała zaciekawione spojrzenia i głośnie komentarze zgromadzonych dookoła Niemców, którzy przyglądali się wozom bojowym, tak bardzo nieprzypominającym niczego, co znają. Tłum zafalował i poruszył się, ale nam nic to nie dawało – ruch był chaotyczny i powodował jedynie jeszcze większy ścisk.

– Galaś – powiedziałem, łapiąc kaprala za ramię. – Musimy coś zrobić! Szybko!

– Melduję posłusznie, że tak jest. Ale co? Przecież się nie przebijemy.

– Zeskakuj i idź do tych żandarmów. Powiedz im, że wieziemy coś bardzo ważnego, co musi się zaraz znaleźć w Warszawie. Wymyśl coś, byle szybko...

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem, bo kazałem mu robić coś, co mogło się skończyć wyłącznie katastrofą. Z drugiej strony kapral nieraz wykazał się niesamowitą pomysłowością i sprytem połączonym z bezczelnością, więc mój pomysł nie był tak szalony, na jaki z pozoru wyglądał. Ochota na kolejną drakę i wojskowa natura wzięły górę, więc Galaś pomału zaczął gramolić się z wjazdu, próbując przełożyć nogi na zewnątrz wieżyczki.

Nagle tłum zafalował jeszcze bardziej. Gwar wzmógł się, błyskawicznie przerodził się w chór coraz mocniej i głośniejszych okrzyków. Nie rozumiałem treści, ale wyraźnie wyczułem narastający strach. Strach, a zaraz potem jego nieodrodną córkę – panikę.

Podniosłem głowę. Od wschodu, od Wisły, zbliżało się do nas kilkanaście punkcików, które w zastraszającym tempie się powiększały. Pomimo wrzasków ludzi, kwiku przestraszonych koni i ryku gazowanych silników, całkiem wyraźnie usłyszałem warkot lotniczych motorów.

Punciki rozlały się w szeroką tyralierę.

– Ruskie! – krzyknął Galaś. – Szturmowe iły-2. Ale zacznij się jatkana, panie pułkowniku.

Trudno było rozpoznać, czy w głosie kaprała usłyszałem więcej strachu, czy podziwu.

Wydarzenia zaczęły się rozgrywać bardzo szybko, o wiele szybciej, niż można to opisać.

Dwanaście maszyn, lecąc bardzo nisko nad ziemią, prawie prostopadłe do drogi, zaczęło strzelać z broni pokładowej. Długie serie wielkokalibrowych przeciwpancernych pocisków szybko znalazły cel. Tuż przed gromadą oczekującą na wjazd ułożyły się na ziemi w kilkadziesiąt równych, wybuchających ściegów, po czym zniknęły w tłumie. Wszystko wokół błyskawicznie przemieniło się w trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu i pożar w jednym. Eksplodowały silniki i amunicja, konie łamały nogi, próbując wydostać się z matni, ludzie padali i tratowali się wzajemnie. Wybuchy, serie z broni maszynowej, wrzaski zlały się w jedno apokaliptyczne crescendo, którego nie sposób było wytrzymać i które do reszty osłabiało ducha walki. Pozostał tylko instynkt, najbardziej pierwotny i najsilniejszy ze wszystkich: przetrwać. Przetrwać za wszelką cenę, używając jakichkolwiek metod.

Mieliśmy podwójne szczęście. Atak skierowany został na tłum u wejścia na most, dobrych trzysta metrów od nas. My odczuliśmy tylko efekty paniki i chaotycznej ucieczki we wszystkie strony. Trudno to sobie wyobrazić, ale masywny, ważący ładnych parę ton samochód pancerny omal nie został wywrócony. Z trudem uniknęliśmy staranowania przez ciężki ciągnik artyleryjski, który zaczął gwałtownie się wycofywać – tylko zręczności i przytomności kapitana Kurcewicz zaważamy fakt, że przeżyliśmy lub w najlepszym wypadku nie wylądowaliśmy w szpitalu. Co, nawiasem mówiąc, skończyłoby się katastrofą, bo zdemaskowanie naszej maskarady trwałoby naprawdę krótko.

W pierwszym ataku Rosjanie nie użyli pocisków rakietowych ani bomb. Gdyby to zrobili, byłoby pozamiatane już w pierwszej turze. Jednak tuż przed szosą przerwali ogień, przelecieli z dużą prędkością nad naszymi głowami, rozdzielili się na dwie grupy po sześć maszyn, wyszli ostrą świecą w górę, po czym rozpoczęli obszerną pętlę, aby zawrócić i zaatakować ponownie.

I to było nasze drugie szczęście.

Zanim jeszcze szturmowce skończyły zwrot i ustawiły się w szyku do następnego ataku, odezwały się flakvierlingi – poczwórnice sprzężone działka przeciwlotnicze kalibru dwadzieścia milimetrów – ustawione na obu końcach mostu. Długie szeregi pocisków

zapalających, układających się na niebie w lekko wygięte linie, wprowadziły w sowiecki szyk nieco bałaganu. Skoncentrowane na lewej grupie, obramowały ją, objęły w swoje posiadanie i zmusiły do zejścia z kursu. Jeden z samolotów zadymił lekko i wypadł z szyku, ale nie zrezygnował z ataku. Szturmowce poderwały się i rozleciały na boki, rozpraszając się i zmuszając celowniczych do zdekcentrowania wysiłku.

Jednocześnie zza rzeki, od północy, odezwała się basem artyleria – znane mi z września osiemdziesiątkióssemki. Z tym przeciwnikiem nie było żartów, strzelał celnie i używał ciężkich pocisków, które rozpryskiwały się w powietrzu, rażąc setkami odłamków. Jednak odpowiedź Niemców, choć silna, była spóźniona. Trzy samoloty oderwały się od jednej z grup i pomknęły w stronę stanowisk pelotek. Kilkanaście rakiet poszybowało w powietrzu i po chwili niemieckie działa przestały strzelać, a cała tamta strona rzeki zniknęła w kłębach czarnego, ciężkiego dymu, przez który przebiegały płomienie. Wybuchy, choć dalekie, były ogłuszające.

Czas półśrodków się skończył.

Reszta skrzydlatych zabójców mknęła prosto na nas. Nawet z takiej odległości widziałem wyraźnie osiem rakiet podwieszonych pod skrzydłami każdego z nich. Mimowolnie skurczyłem się w sobie, mając przed oczami obraz krwi i śmierci. Przeważnie swojej własnej.

Nic nie uratowałoby mostu, skłębionego tłumu dookoła i nas, gdyby nie major Wojtyński.

7.

Gdy kilka minut wcześniej dojeżdżaliśmy do chaotycznego tłumu, który próbował dostać się na most, kolumna Wojtyńskiego właśnie na niego wjeżdżała. Rozciągnięta w długą linię, zachowująca równe odstęp między pojazdami, szybko parła do przodu. Major niczego nie zostawiał przypadkowi. Zdawał sobie sprawę, że główne zagrożenie może nadejść nie od Niemców, bo im można się wylegitymować, przekonać ich, a w razie czego przebić się na siłę, ale właśnie ze strony sowieckiego nalotu. Front znajdował się na wyciągnięcie ręki, lotnictwo naszych rzekomych sojuszników wykazywało dużą aktywność. Na porządku dziennym były bombardowania kolumn wojskowych. Toteż major zarządził wzmożoną czujność. Kolumnę otwierała szyłka – samobieżny zestaw przeciwlotniczy uzbrojony w cztery dwudziestotrymilimetrowe działka, wyrzutnie rakiet GROM i radar. Ponadto strzelcy, rozglądając się na boki i do góry, tkwili przy wielkokalibrowych karabinach maszynowych zamontowanych na wieżach twardych.

Operator radaru szyłki oczywiście dostrzegł napastników znacznie wcześniej niż my. Cała kolumna została zaalarmowana krótkim meldunkiem i gwałtownie przyspieszyła. Szyłka osiągnęła drugi brzeg rzeki pierwsza i pognęła dalej, robiąc miejsce następnym pojazdom. Czołgi, transportery, moździerze i ciężarówki jedne po drugich przejeżdżały most. W

momencie, kiedy zaczął się atak, cała kolumna właściwie już się przeprawiała. Być może Wojtyński nie chciał mieszać się do walki, uznając za korzystne, że obaj wrogowie się wykrwawiają, jednak atak szturmowców na osiemdziesiątki, zajmujące stanowiska nieopodal drogi, zmusił majora do włączenia się. Padła krótka komenda, radar szyłki zamłynkował ostro, wieża obróciła się o kilkanaście stopni. Krótkie lufy, sterowane elektronicznymi poleceniami, uniosły się. Nastąpiła seria szybkich błysków. To opuściły wyrzutnie rakiety GROM, samonaprowadzające się polskie konstrukcje, które już we wrześniu udowodniły, że są warte swojej groźnej nazwy. Błyskawicznie wzniosły się, nabierając prędkości, po czym uderzyły w grupę znajdującą się za rzeką, właśnie rozpoczynając ostrzał panicznie szukającego schronienia tłumu, w tej liczbie naszej skromnej wyprawy. Il-2 był potężnie opancerzonym samolotem, jednym z największych twardzieli ostatniej wojny, ale rakiety skonstruowane i wytworzone na początku dwudziestego pierwszego wieku poradziły sobie z zadaniem śpiewająco. Cztery oślepiające błyski, cztery gwałtowne i głośnie wybuchy i rozlatujące się na wszystkie strony nieba fragmenty pancerza, wyposażenia i ciał lotników opadły na ziemię, szczęśliwie w sporej odległości od nas.

Jednocześnie zagrały działa szyłki i karabiny maszynowe czołgów. Także okoliczni Niemcy zaczęli strzelać, bo część z nich poszła po rozum do głowy i stwierdziła, że nie będzie biernie czekać na śmierć. Niebo przeszyły setki i tysiące kolorowych paciorków smugowych pocisków, widocznych nawet w jasnym słońcu wczesnego lipcowego popołudnia. Część z nich dopadła szturmujących samolotów, wgryzła się w nie, nie pozwoliła złapać oddechu i przyjąć pozycji dogodnej do odpalenia rakiet. Dwie maszyny zadymiły i zeszły z kursu. Następna, z oderwanym skrzydłem, wykonała krótką półbaczkę i rozbiła się na brzegu rzeki. Reszta szturmowców poderwała się. W sowieckiej formacji zapanował chaos, być może w jednej z zestrzelonych maszyn znajdował się dowódca i nie było komu uporządkować szyku. Piloci próbowali jeszcze atakować na własną rękę, ale serie z ziemi skutecznie krzyżowały śmielsze próby. Gdy jedna maszyna, płonąc jak pochodnia, uderzyła o ziemię pół kilometra od nas, Rosjanie uznali, że na dziś wystarczy. Oddali z daleka parę serii, bardziej na wiwat i pożegnanie, po czym polecieeli do siebie.

Zanim to nastąpiło, oprzytomniałem. Tłum przed nami przerzedził się, sporo ludzi i wozów porozjeżdżało w różne strony. My, zrządem losu, pozostaliśmy niedrażnieni. Wychyliłem się z wieży, spojrzałem do przodu i przycisnąłem mikrofonik interkomu do ust.

– Wojtek! Pruj na drugi brzeg! – krzyknąłem na tyle głośno, aby usłyszał mnie przez końcowe akordy strzelaniny.

Wóz szarpnął i pojechał do przodu. Obejrzałem się i zobaczyłem, że Wieteska także ruszył. Pancerka nabierała prędkości, lawirując pomiędzy pojazdami i ludźmi. Nikomu nie przyszło do głowy nas zatrzymywać, każdy zajęty był własnymi sprawami. Po chwili wjechaliśmy na most. Był potężny, z obu stron wysoko nad poziom szosy wznosiły się

stalowe kratownice konstrukcji nośnej. Gdy mknęliśmy zadziwiająco równą i pustą drogą, przyszło mi do głowy, że to jest właśnie idealne miejsce na pułapkę. Jeśli Niemcy chcieliby nas zatrzymać, tutaj przyszłoby im to bez najmniejszego trudu. Za stalowymi dźwigarami można było schować kompanię wojska i niczego byśmy nie zauważyli. Ustawiony w poprzek czołg, z tyłu drugi, z boków piechota – i pozostałaby tylko modlitwa. Całe szczęście, nawet jeżeli coś było przygotowywane na nasz przyjazd, sowiecki nalot popsuł plany organizatorom. Tak więc, choć omal nie zginęliśmy, w sumie byłem zadowolony. Na dodatek mieliśmy szansę dogonić majora. Co będzie później, na przykład gdy major nie będzie zainteresowany pomocą – na razie się nie zastanawiałem.

Wóz zakołysał się i znaleźliśmy się na drugim brzegu. Kolumna pancerna stała przed nami w odległości jakichś stu metrów i prowadziła gwałtowny ogień. Samoloty właśnie odlatywały. Działka i kaemy kolejno milkły.

Wojtek zwolnił. Dojechalśmy do ostatnich pojazdów oddziału Wojtyńskiego. Klapy wozów bojowych odskakiwały w górę, w wieżach pokazywali się czołgiści. Niektórzy przyglądali się nam z ciekawością. Być może nawet część z nich poznała mnie lub Galasia, bo kilka rąk pomachało przyjaźnie.

Odwzajemniliśmy pozdrowienie.

Posuwając się poboczem, wydostaliśmy się na czoło kolumny. W odkrytym łaziku, tym samym, który zegnaliśmy kilka godzin temu, Wojtyński rozmawiał przez krótkofalówkę. Jeżeli nas zauważył, nie dał tego po sobie poznać.

– Zatrzymaj się – poleciłem Kurcewiczowi.

Maszyna szarpnęła i stanęła. Wygramoliłem się na zewnątrz wieży i zeskoczyłem na ziemię.

– Poczekaj tu – rzuciłem na odchodnym kapralowi, wyprostowanemu w wieży jak struna. Mógłby bez żadnej charakterystyki grać w amerykańskiej wojennej superprodukcji. Ja zresztą też mógłbym.

Na krótki moment wszystko zamarło w jakimś dziwnym bezruchu, choć przecież dookoła bardzo wiele się działo.

Umilkł już huk lotniczych motorów, rzeka odgradziła nas od tłumu u wjazdu na most. Nawet tu słyszeliśmy jednak krzyki rannych i donośne kwiki koni. W niebo wzbijał się dym pożarów, ciężki smog zasnuwał powietrze. Na stanowiskach zaatakowanych pelotek nadal grzmiały eksplozje – to w miarę rozprzestrzeniania się pożaru wybuchały kolejne skrzynki z amunicją.

Wszystko to oglądałem mimochodem. Widok, choć fascynujący, mało mnie interesował. Podeszedłem do łazika. Musiałem poczekać, aż major skończy wydawać polecenia swoim ludziom. W końcu odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie.

– Mielście być, zdaje się, sto kilometrów stąd. – To nie było pytanie. Po prostu stwierdzał fakt, bez zdziwienia czy zaskoczenia. Bez powitania.

– Sytuacja się nieco skomplikowała – odparłem. – Chciałbym prosić o chwilę rozmowy. Spojrzałem na mnie beznamiętnie.

– Musimy jechać dalej. To zamieszanie zaraz się skończy, chcę w tym czasie zrobić parę kilometrów...

– Jedziemy w tę samą stronę – powiedziałem głośniejszym głosem, niż zamierzałem, bo jego odpowiedź wziąłem za odmowę. Jednocześnie zezłościłem się na siebie, bo nie byłem w stanie ukryć błagalnego tonu.

Znowu nie dał po sobie poznać zdziwienia. Spojrzałem na wóz pancerny i stojącą za nim ciężarówkę, jeszcze raz zerknąłem na mnie, po czym podjął decyzję.

– Proszę wsiąść do samochodu. Pogadamy po drodze. Pana ludzie niech zajmą miejsce w środku kolumny.

Odwrociłem się w stronę Galasia. Machnąłem ręką. Kapral kiwnął głową, silnik pancerki ryknął i ciężki wóz wjechał między czołgi a moździerz.

Wskoczyłem na tylne siedzenie łazika. Major nawet nie wykonał żadnego ruchu, a kolumna, wyprzedzana przez rosomaka zwiadu, ruszyła w stronę Warszawy. Poziom wyszkolenia i zgrania tych ludzi był godzien najwyższego szacunku.

III. PLAN

1.

– Zagrajmy w otwarte karty – zacząłem, gdy tylko ruszyliśmy. Przed nami jechał twardy, prezentując swoją masywną rufę, co nie jest może najpiękniejszym widokiem na świecie, stwarza za to całkiem komfortowe poczucie bezpieczeństwa. Za nami podążał następny czołg. Rozciągnięty na kilometr pochód zamykał rosomak tylnego ubezpieczenia, jadący w sporej odległości za oddziałem.

– Niech pan gra. Nie obiecuję, że będę mógł zrewanżować się tym samym.

Jasne. Skąd mógł wiedzieć, czy może mi ufać? Ja na pewno mu nie ufałem, choć to, o co miałem zamiar poprosić, zupełnie temu przeczyło.

– Od grudnia trzydziestego dziewiątego roku mieszkamy w Stanach Zjednoczonych. Mamy obywatelstwo tego pięknego kraju. Urządziliśmy się tam, udało nam się stworzyć bardzo dobrze prosperującą firmę. Co nas przyгнаło do Polski? Odgadł pan prawidłowo – przyjechaliśmy po emiter i to, co zostało z systemu. Udało nam się w Stanach odszukać jednego z informatyków z zespołu obsługi MDS-a, właściwie to on na nas wpadł przypadkiem dwa lata temu. Zaczął prowadzić różne badania i doświadczenia, miał ze sobą laptopa z oprogramowaniem sterującym polem siłowym. W końcu, po wielu próbach, do spółki z Galasiem wpadł na pomysł, w jaki sposób zasilić pole, kluczowy element systemu do przenoszenia w czasie. Obaj przyszli do mnie, przekonali, że to może zadziałać, oczywiście jeśli odzyskamy emiter. Ich propozycja trafiła na podatny grunt. Od pewnego czasu czułem się źle, doszedłem do wniosku, że rzeczywistość lat czterdziestych, nawet w Stanach, gdzie w końcu wojna toczy się tylko teoretycznie i wie się o niej tyle, ile wyczyta w gazetach, już mi nie odpowiada. Po dyskusji okazało się, że nie ja jeden jestem chętny do powrotu: Galaś był za, moja żona Nancy za, Kurcewiczowi było wszystko jedno, ostatecznie kapitan Wieteska też był za, a Rozalka, żona Wieteski, stwierdziła, że może jechać wszędzie, byle z kapitanem. Tak więc postanowiliśmy zorganizować wyprawę po emiter, a po powrocie do Stanów zmontować cały system, zasilić go energią z pobliskiej elektrowni i podjąć próbę powrotu do roku dwa tysiące siódmego.

Zatrzymałem się na moment. Gdy do moich uszu docierały te wynurzenia, brzmiały mi dziwnie, fantastycznie, by nie powiedzieć – głupio. W obliczu tego, co obejrzałem podczas

kilku godzin pobytu w kraju, nasza wyprawa i chęć powrotu do czasów, w których będziemy się czuli jak u siebie, jawiła się jako ekscentryczna fanaberia, jak opychanie się ciastkami wśród tłumu żebraków. Wojtyński słuchał jednak uważnie, choć się nie odzywał.

– Początkowo wszystko szło gładko – kontynuowałem z większym już trudem. Żar trawiący mnie od środka powoli wygasał, popadałem w stan dziwnej pustki szybko przechodzącej w apatię. – Udało nam się kupić broń i wyposażenie, znaleźć samolot dalekiego zasięgu, by nas zawiózł do Polski, a potem wrócił i zabrał z powrotem. Wczoraj w nocy wystartowaliśmy spod Brindisi. Załoga i wtajemniczony człowiek z obsługi lotniska wiedzieli o nas tyle, że jesteśmy agentami amerykańskiego wywiadu OSS.

Major drgnął lekko. Była to pierwsza reakcja na moje słowa, choć nie zwróciłem na nią wtedy specjalnej uwagi.

– Skoczyliśmy i wylądowaliśmy w środku precyzyjnie założonego kotła. Byłoby źle, gdyby nie pan i pana ludzie. A tak przy okazji, choć wiem, że nie robił pan tego dla nas, jeszcze raz dziękuję. Co było dalej, wiadomo. Po wzięciu na ciężarówkę emitera i pozostałych gratów pojechaliśmy w stronę Bodzentyna. Wilgat twierdził, że znajdziemy tam kawał płaskiego pola, gdzie bombowiec mógłby wylądować. Chcieliśmy nadać sygnał, podać lokalizację lądowiska i zadekować się gdzieś do wieczora, po czym wrócić do Włoch. Jednak po drodze... – Westchnąłem.

– Coś się zdarzyło – dokończył za mnie major. – Coś takiego, że zmieniliście plany.

– Niestety. Kilkanaście kilometrów od miejsca, w którym się rozstaliśmy, trafiliśmy na blokadę. Nie było to nic nadzwyczajnego, chociaż sprawdzali dość szczegółowo. Byliśmy gotowi nawet na walkę, tylko że wtedy podjechał łązik z Rozalką, żoną kapitana Wieteski na pokładzie. Odbiliśmy ją i zdobyliśmy samochód pancerny. Zginął porucznik Wilgat. – Znow westchnąłem ciężko, po czym kontynuowałem: – Okazało się, że Rozalka razem z moją żoną, Nancy, przeschmuglowały się tym samym samolotem, którym przylecieliśmy, tuż po nas skoczyły ze spadochronem, a po wylądowaniu wpadły prosto w łapy Niemców. Z nieznanym mi przyczyn zostały rozdzielone. Nancy pojechała w konwoju do Warszawy. Przesłuchiwany jeńiec, którego wzięliśmy do niewoli podczas odbicia Rozalki, powiedział nam, że sprawą interesuje się warszawskie gestapo i jest na tyle dobrze poinformowane i przygotowane do akcji, że nawet ma ze sobą tłumacza z angielskiego. Gestapowcami dowodził Obersturmbannführer Ludwig Hahn. – W opowieści pominąłem metody, którymi wydobyłem od Niemca potrzebne informacje. Zresztą nie podejrzewałem, aby na Wojtyńskim zrobiły jakieś specjalne wrażenie.

Wrażenie zrobiła natomiast końcówka mojej relacji. Nie dawał tego po sobie poznać, ale czułem, że jego zainteresowanie wzrosło.

– Kapitan Sanchez jest w Polsce?

– Tak. Teraz nazywa się Grobicki. Pobraliśmy się.

Skinął głową, jakby moje słowa potwierdziły jego wcześniejsze informacje.

– Dowodził Hann?

Mnie to nazwisko nic nie mówiło, majorowi było najwyraźniej dobrze znane.

– Tak.

– Mieli tłumacza z angielskiego? – pytał dalej.

– Owszem. Też mi się to wydaje dziwne, podobnie jak panu.

– Nie jest dziwne... i zaczyna dobrze pasować do faktów. – Nie sprecyzował, jakie fakty ma na myśli. – A więc jedźcie pan do Warszawy po żonę.

– Tak.

– Ma pan jakiś pomysł, co zrobić?

– Nie. Ale przecież nie mogę jej samej zostawić.

Kiwnął głową. Realia były bardziej niż pesymistyczne, ale ostatnie stwierdzenie oczywiste.

Wojtyński zastanawiał się nad czymś i nawet ja, mało go w sumie znając, wyczułem to wyraźnie. Niektóre elementy opowieści – poza walką we wsi, gdzie los nas zetknął bezpośrednio – najwyraźniej były mu dobrze znane bądź pasowały do jakichś wcześniejszych przemyśleń.

– Do kompletu dodam, że kilka tygodni przed naszym wylotem ze Stanów zaginął bez wieści Scott Railey, informatyk, który wspólnie z Galasiem pracował nad uruchomieniem systemu i naszym powrotem do domu. Razem z Raileym przepadł laptop z oprogramowaniem.

No, tym razem to go ruszyło, i to potężnie. Nie trzeba było być psychologiem, żeby na tym kamiennym zwykłe obliczu dostrzec poruszenie i... obawę?

Zamilkłem, aby dać mu czas na wyciągnięcie wniosków. Intuicja podpowiadała mi, że mogą być dla mnie korzystne. Szybko się okazało, że się nie pomyliłem. Dopiero kilka dni potem dowiedziałem się, że motywy decyzji, którą właśnie podjął, były naprawdę bardzo dalekie od altruizmu. Pragmatyzm, wyczucie zagrożenia, zdolność przewidywania zdarzeń na kilka ruchów do przodu, wiedza operacyjna, dla mnie oczywiście niedostępna – oto co nim kierowało.

Rozgrywał swoją własną partię szachów. Nie zdradzał szczegółów strategii ani celu, jaki chciał osiągnąć. Dla mnie zresztą Uczyły się tylko skutki.

– Jeżeli Hahn osobiście fatygował się w Góry Świętokrzyskie, sprawa musi mieć dla Niemców duże znaczenie. Przecież to nie jego rejon, on działa w Warszawie – powiedział po dłuższej przerwie. – I nie słyszałem, żeby uczestniczył w działaniach operacyjnych. Na to jest za przezorny, wie, że ryzykuje czapę. Jest szefem policji i sił bezpieczeństwa na dystrykt warszawski, więc nie musi sam się fatygować.

– Podobno sprawę nadzoruje Brigadeführer Geibel – wtrąciłem.

– Szef szefa. – Skinął głową, coraz bardziej zafrasowany. – Waszą akcją zajęła się sama góra. Możliwe, że jest gorzej, niż myślałem.

Znowu się zamyślił.

– Powie mi pan, o co chodzi? – zapytałem.

– Na razie nie. Muszę poskładać jeszcze parę rzeczy. Do tego czasu im mniej pan wie, tym lepiej. Choć wygląda na to, że pan i pańscy ludzie nieświadomie poruszyliście kamień, który spowodował lawinę, czy też odegraliście rolę katalizatora.

Nie pytałem dalej. Interesowało mnie co innego.

– Pomoże mi pan? – zapytałem po chwili. Z pewnością znowu usłyszał proszące nuty w moim głosie. Niestety, znowu nie udało mi się ich wyeliminować. Możliwe nawet, że się nie starałem.

– To nie takie proste. Jeżeli sprawę prowadzi Hahn, a nadzoruje Geibel, niewykluczone, że raporty idą bezpośrednio do Himmlera, więzień jest więc traktowany w specjalny sposób. Niestety oznacza to, że zajmują się nim intensywniej niż zwykle, a robią to najlepsi fachowcy od przesłuchań. Nie jeździ na noc na Pawiak, przebywa cały czas na Szucha. Odpada zatem relatywnie najprostszy wariant, a mianowicie odbicie podczas transportu.

Zauważyłem, że Wojtyński nie użył słowa jeniec, tylko więzień. To drugie robiło o wiele bardziej złowieszcze wrażenie.

Dalsze rozważania musieliśmy przerwać, bo jadący przed nami czołg zakolebał się i zaczął hamować, po czym stanął. Łazik również się zatrzymał. Wojtyński bez słowa odłożył krótkofalówkę i wysiadł z samochodu. Poszedł w stronę czoła kolumny.

Cała dotychczasowa rozmowa niewiele mi dała. Opowiedziałem majorowi naszą historię – w zamian nie otrzymałem nic albo prawie nic. Mnożyły się znaki zapytania. Owszem, Wojtyński podkreślił trudności, ale tyle wiedziałem sam. Potrzebowałem konkretów, a najchętniej szybkiego działania. Gorączka, choć malejąca od jakiegoś czasu, musiała znaleźć ujście.

Musiała.

Postój przedłużał się. Moja cierpliwość, ograniczona przecież, wyczerpywała się. Trzymałem już rękę na klamce, uznając, że nie mogę dłużej kontemplować rufy twardego i pleców kierowcy, który był mniej więcej jak ta rufa rozmowny, kiedy zza czołgu wyszła grupa ludzi. Wojtyński z jakimś człowiekiem otwierał pochód, za nimi podążała wolnym krokiem nieznana mi sześcioosobowa ekipa. Przybysze odziani byli w mundury żandarmerii polowej, na piersiach dyndały im zawieszone na łańcuszkach śmieszne srebrne blachy wygięte w kształcie nerki.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to kolejni ludzie Wojtyńskiego. Wszyscy przecież, łącznie z nami, przebrani byli w niemieckie mundury, cała ta mistyfikacja już dawno zatraciła wyraźne kontury. Gdy jednak doszły mnie słowa wypowiedane przez dowódcę tych ludzi – zamarłem.

Niemcy. Całkowicie prawdziwi, żadne tam podróbki. Made in Dritte Reich.

Chociaż oddział Wojtyńskiego miał wielokrotną przewagę nad tą grupką – nawet przy

założeniu, że dalej, przy czole kolumny, znajduje się kilku czy kilkunastu żandarmów – i był w stanie zmieść ją z powierzchni ziemi, zanim Niemcy w ogóle się zorientują, że zaczęła się walka, ja osobiście poczułem, że wojenną energię i szczęście dzisiaj już wyczerpałem. Byłem pusty jak wielkanocna wydmuszka. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak wiele kosztowały mnie przeżycia dzisiejszego poranka. Trzy krwawe bitwy i złe wieści o Nancy, śmierć bardzo bliskiego człowieka – wszystko to razem powodowało, że podniesienie ręki do kabury było wysiłkiem przekraczającym moje możliwości. Po prostu zastygłem w bezruchu, nawet nie myśląc o obronie.

Wojtyński jednak nie zwracał uwagi na stan mojego ducha. Spokojnie coś opowiadając płynną niemiecką, powiodł grupę w kierunku tyłu kolumny. Dowodzący żandarmami oficer zerknął w naszą stronę, jego wzrok prześlizgnął się po mnie, kierowcy i łaziku, jakby patrzył na kołki w płocie, po czym poszedł dalej. Towarzyszący mu żołnierze nawet nie przestali gadać między sobą. Żaden na mnie nie spojrzał.

Odetchnąłem z ulgą. Paraliżująca wolę działania apatia zaczęła pomału ustępować, za to pojawił się strach. Zwykły i najzupełniej swojski. Nigdy, czytając książki, nie miałem nawet cienia poczucia, jak okupacja mogła wyglądać naprawdę. Niemcy po prostu powodowali wzmożone wydzielanie się adrenaliny i nie było to sympatyczne uczucie. Choć dwa razy ich dziś pokonaliśmy, miałem broń, kamuflaż i niezłą obstawę – bałem się. Nie byłem w najlepszej formie, to prawda. Może za bardzo chciałem wrócić (przynajmniej do Stanów, a najchętniej do dwa tysiące siódmego), a może za bardzo kochałem Nancy.

Co za głupota. Przecież nie można kochać kogoś za bardzo.

Gdy niemiecka delegacja na czele z Wojtyńskim wróciła, zdołałem się już nieco uspokoić. Ręce nie drżały mi tak bardzo jak jeszcze pięć minut temu. Kołek w gardle stał się trochę mniejszy i pozwalał lepiej oddychać. Żołądek też przestał fikać koziołki. Uświadomiłem sobie, że od wczoraj nic nie jadłem, ale była to wyłącznie pamięć – w ogóle nie byłem głodny, na samą myśl o jedzeniu na powrót zrobiło mi się niedobrze.

Wojtyński wrócił do samochodu i energicznie wsiadł do środka. Musiał być w świetnym humorze, bo gdy rzucił coś do krótkofalówki, uśmiechnął się pod nosem, co było zupełnie do niego niepodobne.

Twardy przed nami ryknął, wionął w naszą stronę potężną chmurą spalin i ruszyliśmy.

2.

– Sytuacja jest nie najgorsza – powiedział Wojtyński, gdy osiągnęliśmy zwykłą prędkość marszową i poziom huku rozpędzonych silników nieco się ustabilizował. – Mamy wolną drogę prawie do samej Warszawy. Nawiasem mówiąc, Warszawa dzisiaj nie jest naszym celem. Zatrzymamy się na nocleg w Lasach Chojnowskich, koło miejscowości Piskórka.

Piskórka. Hm... Równie dobrze mógłby określić lokalizację naszego postoju na Księżycu.

– Jutro po południu przeprowadzimy akcję odbicia pańskiej żony. Żeby było jasne: nie interesuje mnie wasz powrót do naszej wspólnej, starej rzeczywistości, i nie żal mi ani pana, ani pani Nancy. Sami się w to wpakowaliście. Bardzo wielu ludzi, którzy znacznie bardziej od was zasługiwali na pomoc, nie doczekało się jej. Nie mieliśmy możliwości reagowania w każdej sytuacji.

– A więc... dlaczego? – Ogarnęła mnie przedziwna mieszanina ulgi, wdzięczności i głuchego gniewu. Na sytuację, na niego i na ten zasrany wykład, na siebie wreszcie, że nie mogę ani nie chcę zareagować tak jak powinienem. Czy tak jak mi się wydaje, że powinienem.

– Bo wpakowaliście się w coś, co ma ogromne znacznie dla losów tej wojny, niestety. Czy może inaczej – od jakiegoś czasu byliście elementami pewnej układanki i swoją wyprawą zrobiliście Niemcom piękny prezent.

– Nie rozumiem.

– Nie będę tego tłumaczyć. Ale powiem tak: obecność pani kapitan w rękach Niemców jest całkowicie sprzeczna z naszą racją stanu i interesem strategicznym. Dlatego nie tyle pomogę panu, ile pomogę Polsce. Wydałem już wstępne rozkazy.

Takie stwierdzenia słyszałem często przed naszymi przenosinami w rzeczywistość lat czterdziestych. W ustach wygłaszających je polityków brzmiały w najlepszym razie śmiesznie, a przeważnie patetycznie i kompletnie niewiarygodnie. Wszyscy mieli zwyczaj wycierać sobie gębę dobrem Polski, przeważnie kryjąc za tymi sloganami przeróżne machlojki i partyjne interesiki.

Wojtyński mówił jednak zupełnie poważnie i byłem skłonny mu uwierzyć. Nadal nie wiedziałem, o co toczy się gra, choć jakieś pomysły przelatywały mi przez głowę. Wszystko razem było lekko surrealistyczne.

Major umilkł i pogrążył się w myślach. Ja z kolei niby patrzyłem na mijany krajobraz, ale tak naprawdę niczego nie dostrzegałem. Całkowicie pochłonęło mnie planowanie jutrzejszej akcji, co było o tyle zabawne, że do tego szumnie nazwanego „planowania” posiadałem żałośnie mało danych. Nie znałem topografii miasta A.D. 1944, nie miałem uwiarygodniających mnie dokumentów, choćby w zarysie nie znałem rozkładu budynku, do którego chciałem się dostać. To prawda, miałem trzech kumpli, na których mogłem liczyć, jednak ich wiedza nie przewyższała mojej. Musiałem polegać na pomocy majora Janusza Wojtyńskiego, który grał swoimi kartami. Nie byłem pewien, czy jego interesy i zamierzenia są do końca zbieżne z moimi. Zadeklarował pomoc, jednak jeśli uzna, że zagrażamy jemu lub jego planom, każe nas zlikwidować. Zrobi to, zanim zdążymy mrugnąć. Jutro zaczyna się powstanie, największa, najdłuższa i najkrwawsza bitwa w historii Polski. Po wybuchu sprawa Nancy nabierze trzeciorzędnego znaczenia. Co wtedy? Co, jeśli mimo deklaracji nie przeprowadzimy operacji przed piątą po południu? Nie pytałem dalej, bo uznałem, że szkoda

zachodu. Major zdradzi mi szczegóły tylko wtedy, kiedy uzna to za stosowne.

Łazik kołysał i mruczał monotonna. Wbrew nerwowemu napięciu i zmartwieniom usnąłem.

Gdy się ocknąłem, staliśmy. Dookoła wznosił się mieszany, liściasto-iglasty las, całkiem gęsty. Słońce było już dość nisko. Spojrzałem na zegarek: piąta trzydzieści. Rozejrzałem się. Leśniczówka, wokół której kręciło się sporo żołnierzy. Wojtyński stojący przed drzwiami i wydający polecenia. Końcowa faza maskowania pojazdów.

Żołnierzy było znacznie więcej, niż liczyła grupa towarzysząca nam w czasie podróży. Co najmniej dwustu. Najwyraźniej kolumna trafiła do miejsca koncentracji oddziału majora. Wszyscy pozbyli się już niemieckich mundurów i mieli na sobie jednolite, szaropiaskowe uniformy o pustynnym kamuflażu, dokładnie takie, jakich używaliśmy we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, a w których mieliśmy jechać do Afganistanu.

– No, Jureczku, nie chcielibyśmy ci przeszkadzać, ale dobrze, że się obudziłeś – powiedział Wieteska, który nagle znalazł się koło łazika. Pogryzał wielki kawał kiełbasy. Obok stała Rozalka. Kurcewicz i Galaś zostali przy naszym dwupojazdowym parku maszynowym, który też zamaskowano. – Ruch jak w ulu. Szkoda, że żaden ze śmigłowców nie ocalał, chętnie bym sobie polatał i trochę Niemiaszkom skopał dupę. Spotkałem paru koleżków, nawet kilku dawnych uczniów, muszę z nimi dłużej pogadać, bo tu się cuda dzieją, mówię ci.

Trajkotał i trajkotał, wyglądało na to, że skończy tuż przed Bożym Narodzeniem, zwłaszcza że Rozalka wpatrywała się w niego z zachwytem. Zawsze miał wtedy wenę i artystyczne zacięcie.

– Johny – przerwałem mu, wstrzeliwując się w maleńką lukę na oddech. Formułowanie myśli przychodziło mi z trudem. – Trzeba ukryć ciężarówkę. I znaleźć kwatery dla Rozalki.

– Ja się nigdzie bez Janka nie ruszam – powiedziała energicznie, a Wieteska, niejako w odpowiedzi, spojrzał na nią z uwielbieniem.

– Słyszałeś. Beze mnie się nie rusza – powiedział, nawet nie odwracając głowy.

– Bądźcie rozsądni. Mamy w planach jatki jak z klasyki filmowej. Potrzebujemy swobody ruchów. A Rozalka nawet nie umie strzelać.

– Ale mogę się przydać. Mogę robić różne rzeczy – powiedziała.

– Wiem, że możesz – odparłem – ale przede wszystkim potrzebujemy kogoś zaufanego, kto będzie pilnował ciężarówki z naszymi rzeczami.

– Wiesz co? – wtrącił się wyraźnie rozdarty Wieteska. – Pogadajmy z naszym kochanym majorem. Może on wie, co będzie dalej.

– Na razie znajdziemy Wojtkę i Galasia. A ty myśl – zarządziłem.

Przykre i dręczące uczucie deja vu nie opuszczało mnie. Polana, na której stała leśniczówka, nie była może podobna do tej wrześniowej, na której zaczęły się nasze perypetie, ale leśne otoczenie, czołgi i transportery, a także kręcący się wszędzie żołnierze w

identycznych jak wtedy mundurach spowodowały, że odżyły wspomnienia. Czołową lokatę zajmowała w nich Nancy, bo wtedy, w trzydziestym dziewiątym, oprócz wojowania, zajęty byłem odzyskiwaniem uczucia mojej młodzieńczej miłości. Nie było to proste, choć na podstawie lektur i filmów wszystkim wydaje się, że najłatwiej o miłość na tle fotogenicznego wojennego krajobrazu. Człowiek się może wykazać bohaterskimi czynami, postawą nieustraszonego wojownika – i miłość gotowa.

Być może dlatego się udało... Och, to żart. Na pewno powody były poważniejsze. W każdym razie uczucie zostało odzyskane, a potem spędziliśmy pięć bardzo dobrych lat w Stanach. I dlatego teraz niemal automatycznie zacząłem rozglądać się za pękatą sylwetką MDS-a, marines załatwiających swoje sprawy i w końcu dowodzącym całą ekipą oficerem, piękną panią kapitan Nancy. Wtedy Sanchez, obecnie Grobicki.

Oczywiście żadnego MDS-a nie znalazłem. Brak było również dowódcy.

Wojtek stał oparty niedbale o maskę ciężarówki i obserwował obozowisko. Galaś gdzieś się zawieruszył. Pewnie gadał z dawnymi kumplami, jednak kiedy nasza mała grupka zbliżyła się do kapitana, pojawił się nagle obok, wykorzystując swoją umiejętność pojawiania się nagle obok.

– Musimy zdekompletować emiter – zacząłem bez żadnych wstępów. – Wykręcić z niego jakąś część, której brak uczyni go niezdatnym do użytku. I to po cichutku, żeby się Wojtyński nie zorientował.

– A co to za nowy wątek? – zapytał Wieteska.

– Nie nowy. Ten cholerny emiter jest częścią jakiejś większej gry, której zasad nie rozumiem, ale nie mam zamiaru wyklądać wszystkich kart na stół. Wolałbym przynajmniej jedną trzymać dalej przy orderach – odparłem ze znużeniem. Nie chciałem im teraz wszystkiego tłumaczyć, zwłaszcza że brakowało mi dowodów. Miałem tylko przeczucia.

– Jakiej gry? Możesz jaśniej? – odezwał się Kurcewicz uprzejmym tonem.

– Nie znam szczegółów, ale nie wierzę w serię zbiegów okoliczności. Toczy się jakaś rozgrywka. Emiter i uwięzienie Nancy to jej fragmenty i dlatego musimy mieć chociaż jeden atut w ręku. I dlatego kapral Galaś uda się teraz dyskretnie na platformę ładunkową ciężarówki i spróbuje tak sprokurować urządzenie, żeby za cholerę nie działały bez naszej pomocy. Rozumiesz, Galaś? – Pytanie było retoryczne, bo kapral takie rzeczy łapał w lot.

– Wykręć jakieś części i schowaj je poza obozem, tylko tak, żeby pozostały nieuszkodzone. Na paluszkach.

– Melduję posłusznie, że tak jest. – Wyglądał, jakby chciał stuknąć obcasami, ale spojrzałem na niego surowo, dając do zrozumienia, że jesteśmy obserwowani, więc tylko skinął leciutko głową i zniknął, wykorzystując swoją umiejętność znikania.

– Pokerzysta z ciebie. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – z naciskiem stwierdził Wieteska.

– Wiem – powiedziałem, choć nie była to prawda.

– Uwaga – mruknął Kurcewicz.

Odwrociłem się. Nadchodził major z dwoma żołnierzami. Każdy z nich dzierżył naręcze cywilnych ubrań, a także mundurów. Niemieckich.

– Poczyniłem już wstępne przygotowania – powiedział major. – Tu są ubrania i mundury. Proszę sobie coś dobrać. Pana pułkownika proszę o ubranie się po cywilnemu. Zaraz zrobimy panu zdjęcie do dokumentów.

Wódz.

– Czy dowiemy się, jaki jest plan? – zapytałem, już bez reszty zgadzając się na jego władzę.

– Za godzinę zrobimy odprawę, wtedy powiem to, co konieczne. W każdym razie część z nas wyruszy przed zmrokiem. Przyjdzie do was mój człowiek. Proszę o zdanie broni. Każdej sztuki. Ci z was, którzy pójdą w mundurach niemieckich, dostaną broń niemiecką.

– Ni cholery. Gnata nie oddam – szarpnął się Wieteska, mając na myśli swoje prywatne wsparcie artyleryjskie, czyli izraelski desert eagle kalibru .44. – Nie po to go taszczyłem taki kawał...

Wojtyński spojrzał na niego, jakby studiował przypadek nieznanej choroby. Wieteska odpowiedział mu wściekłym spojrzeniem. Zanim zdążyłem zareagować, Wojtyński odparł:

– Nie chce pan narazić akcji na fiasko przez niedopilnowanie jakiegoś szczegółu, prawda? To nie jest niemiecka broń. Odzyska ją pan po akcji. Jak już będziemy działać... oficjalnie, bez przykrywk.

Nie naciskał dalej. Nie musiał.

Wieteska nie jest i nigdy nie był człowiekiem, który robi cokolwiek, na co nie ma ochoty. Jeżeli mu bardzo na czymś zależy, wtedy się podporządkuje rozkazowi. Ale tylko wtedy. Zawsze miał, podobnie jak Wojtek i ja, kłopoty z dyscypliną w wojsku. I zawsze starał się postawić na swoim. Jak nie siłą, to sposobem, jak nie sposobem, to za pomocą celnego strzału z tej swojej nieodłącznej zabawki dla dużych chłopców.

Teraz czuł, że musi się podporządkować. I nie podobało mu się to.

Nie wiedział, że za chwilę spadnie na niego jeszcze jeden cios.

3.

– Nie, nie, nie.

– Pojadę.

– Nie pojedziesz.

– Pojadę.

– Nie ma mowy.

– Proszę. – W końcu tupnęła nogą. Miała taką umiejętność: jednocześnie prosiła i

krzyczała.

Wieteska rozejrzał się bezradnie. Gdyby siedział w Mi-24, a dookoła latałoby trzy czwarte składu Luftwaffe, nie miałby żadnego problemu. Automatyzm odruchów, wyborne wykształcenie i to coś, co odróżniało kapitana od setek innych pilotów i powodowało, że był znacznie lepszy i skuteczniejszy niż setki innych pilotów, sprawiłoby, że w czasie walki nawet by się nie spocił i był w stanie w tym czasie uprawiać swobodną konwersację na dowolne tematy.

Teraz nie wiedział, co robić.

Naszkicowany w dwóch słowach plan majora zakładał udział Rozalki w akcji. I Rozalce to się, niestety, bardzo spodobało. Uważała, że przyczyni się do uwolnienia Nancy – miała widoczne gołym okiem wyrzuty sumienia – i po prostu chciała być bliżej kapitana. Teraz stanęła, wzięła się pod boki, wypięła pierś, zresztą zupełnie niepotrzebnie, bo i bez tego połowa żołnierzy w obozie potykała się o własne nogi, i rzekła:

– Myślisz, że się nie nadaje?

– Ależ Rozalko, nie chodzi o to, że się nie nadajesz. Chodzi o... twoje bezpieczeństwo – jękał się czerwony i wściekły kapitan. Rozumiałem go dobrze. Nikt nie lubi mieć świadków klęski.

Major Wojtyński przyglądał się scenie ze zrozumieniem. Nie okazywał po sobie rozbawienia, choć nie podejrzewałem go o nadmierne poczucie taktu.

– Rola pani Rozalki jest bardzo ważna – powiedział ugodowym tonem.

Narada odbywała się w leśniczówce, w godzinę po przyjeździe. Jej skład ograniczył się, przynajmniej na razie, do Wojtyńskiego i mojej ekipy. Wozy bojowe i wszelkie inne pojazdy zostały starannie zamaskowane. Wojsko schowało się głębiej w lesie. Leśniczówka i jej najbliższe otoczenie wyglądało, jakby najbliższe formacje militarne znajdowały się sto kilometrów stąd.

– No dobrze – powiedziałem. Za wszelką cenę starałem się skupić. Dużo wysiłku kosztowało mnie również i to, by wykrzesać z siebie dobrą wolę. – Czy możemy przejść do szczegółów?

Major skinął głową.

– Na razie ogólnie przedstawię nasze zamierzenia i topografię miasta. Potem dołączy do nas jeszcze paru moich ludzi oraz żołnierzy specjalnie na tę akcję wypożyczony z zaprzyjaźnionego oddziału. Będę mówił otwarcie, uznałem, że mogę was potraktować jako... – zawahał się – wtajemniczonych. Uznałem także, że nie znacie zbyt dobrze Warszawy.

Mówił o mnie – człowieku, który urodził się Warszawie i mieszkał w niej, z przerwami, przez piętnaście lat, oraz o Wietesce i Galasiu, także warszawiakach z dziada pradziada. Zabawne, choć nikomu nie było do śmiechu. Przynajmniej dobrze, że uznał nas za godnych zaufania, choć nie miałem złudzeń – dowiemy się tylko tyle, ile uzna za stosowne nam powiedzieć.

Major chrząknął.

– Na jutro, na siedemnastą, została ogłoszona w Warszawie godzina W. Oznacza mobilizację wszystkich sił Armii Krajowej Okręgu Warszawskiego i rozpoczęcie powstania. Pewnie pamiętacie to z historii. Mam jednak nadzieję, że akcja potoczy się nieco inaczej niż w podręcznikach, liczę na to, że po prostu unikniemy pewnych błędów. Grupy bojowe i całe zgrupowania zaatakują szereg obiektów wojskowych na terenie miasta. Jednym z celów w Śródmieściu jest zdobycie dzielnicy niemieckiej, tak zwanej policyjnej. Absolutnie newralgiczna i priorytetowa sprawa. Osiągnięcie celu spowoduje utratę przez Niemców bardzo ważnego ośrodka dowodzenia i przetrącenie kręgosłupa całej ich obrony. To jest ten rejon – przeciągnął palcem po planie Warszawy, zakreślając obszar między placem Na Rozdrożu a placem Unii Lubelskiej. – Siedziba dowództwa sił policji i bezpieczeństwa, w tym gestapo, znajduje się w budynku, który panowie znacie jako siedzibę Ministerstwa Edukacji Narodowej, pod numerem dwudziestym piątym, na początku alei Szucha, blisko placu Na Rozdrożu, a więc na skraju dzielnicy. Cel strategiczny, jakim jest zdobycie dzielnicy policyjnej, łączy się z celem taktycznym, czyli odbiciem pani kapitan. Będziemy chcieli połączyć oba cele – zdobycia dzielnicy i uwolnienia więźnia. Przygotowania do zajęcia dzielnicy policyjnej, jak się zapewne domyślacie, trwają już od pewnego czasu. Plan jest dość precyzyjny. Zostanie po prostu uzupełniony o dodatkowy element.

Zapadła absolutna cisza. Plan już w tym momencie mi się nie podobał. Zanim zdążyłem zabrać głos, Wojtyński kontynuował:

– Przejdźmy do szczegółów. W odległości kilkudziesięciu metrów od budynku gestapo znajduje się kasyno. Ruletka, karty i tak dalej. Co ciekawe, mają do niego dostęp wszyscy, łącznie z Polakami, choć znajduje się na terenie dzielnicy policyjnej, gdzie wstęp jest ściśle kontrolowany.

– Jak to możliwe? – zdumiałem się. – O ile wiem, Niemcy nie przykładali specjalnej wagi do zapewnienia nam rozrywek.

– Drenaż finansowy – wyjaśnił. – Próbują nas cisnąć na wiele sposobów. Nie tylko fizycznie. Po prostu pozwalają nam tracić nasze pieniądze. Jak pan wie, w kasynie raczej głównie się przegrywa.

Skinąłem głową. Po pobycie w Las Vegas to akurat wiedziałem bardzo dobrze.

– Sformujemy kilka grup bojowych – ciągnął po chwili przerwy. – Pierwszą utworzą pani Rozalia oraz dwóch żołnierzy. Jeden z nich, tak się składa, jest stałym bywalcem kasyna, a przy okazji autentycznym hrabią. Nazywa się Dzieduszycki. Pani Rozalia będzie towarzyszyła hrabiemu w kasynie. Drugi żołnierz, kierowca, będzie czekał w samochodzie na zewnątrz i ubezpieczał akcję. Oddział ten wykona zadanie i wycofa się jeszcze przed godziną W. Druga grupa przeprowadzi bezpośrednią akcję w gestapo. Ta grupa to kilkunastu moich żołnierzy oraz pan, pułkowniku, z najtrudniejszą rolą do odegrania – rolą więźnia. Trzeci oddział będzie pełnił rolę wsparcia i w jego skład między innymi wejdzie samochód

pancerny, którym przyjechaliście. Proponuję, aby jego załogę stanowili panowie Galaś i Wieteska. Dodam do kompletu kierowcę i strzelca.

– Jaka jest rola mojej żony w tym wszystkim? – zapytał Wieteska. Uprzedził mnie. Chciałem zapytać o tę i pięć innych rzeczy. – Po co ta maskarada z kasynem?

– Pani Rozalia wniesie na teren kasyna pięć kilogramów C4 – odparł takim tonem, jakby mówił o pogodzie. – W teczce z pieniędzmi. A kobiet, zwłaszcza pięknych, nie kontrolują tak dokładnie jak mężczyzn. Będziemy musieli, co prawda, popracować nad zamaskowaniem śladów pobicia, ale myślę, że dla specjalistów z komórki legalizacji nie będzie to stanowiło zbyt dużego problemu.

Wyglądało na to, że Wojtyński jest przygotowany na każdą ewentualność.

– C4? – zdumiał się kapitan. – Chcecie wysadzić budynek?

– I odwrócić uwagę. Hrabia jest wyszkolonym saperem. Uda się do toalety, podłączy ładunek do zapalnika, po czym ukryje bombę w rezerwuarze. Wróć do gry, a po godzinie wyjdą.

– I...? – zapytałem.

– Zapalnik będzie nastawiony na godzinę siedemnastą.

– Pięć kilogramów C4 nie wystarczy, aby wysadzić dom w powietrze.

– Przez ostatnie dwa miesiące wnieśliśmy w małych porcjach i ukryliśmy na terenie kasyna jedenaście kilogramów plastiku i C4. Obecność pani Rozalii jest świetną okazją, aby uzupełnić i wzmocnić ładunek.

– To znaczy, że...

– Że wybuch bomby zostanie skorelowany z akcją odbicia kapitan Nancy Grobicki i atakiem na dzielnicę niemiecką od wewnątrz i z zewnątrz. Będzie stanowił sygnał do ataku.

4.

– To jakiś absurd! – wybuchnąłem. – Nie zostawia najmniejszego marginesu na błąd. Jeżeli nie uda się w tamtym momencie, zacznie się powstanie i nie uda się nigdy.

– Sądzi pan, że gdybyśmy przeprowadzili akcję wcześniej, na przykład rano, Niemcy pozwoliliby nam na powtórkę w razie niepowodzenia? – zapytał spokojnie.

– Nie... – warknąłem. – Ale w czasie powstania na powtórkę szans nie ma żadnych.

– Przeciwnie. Walki dają lepsze maskowanie. Ale proszę się nie martwić, nie przewiduję powtórek. Sądzę, że uda się za pierwszym razem. Atak na dzielnicę niemiecką planujemy od pół roku. Akcja odbicia pana żony jest tylko dodatkowym elementem.

Usiadłem na krześle i ciężko oparłem się łokciami o stół. Nie miałem siły się nawet odezwać. Z zewnątrz dochodziły odgłosy krzątania, ktoś dopominał się głośno o kolację. Krótco warknął silnik. Zapadł już zmrok. Milczenie trwało chwilę, która wlokła się w

nieskończoność.

– Niech pan mówi dalej – powiedziałem w końcu. Nawet w moich uszach mój głos brzmiał głucho.

– Pojedzie pan do Warszawy w towarzystwie dwóch moich ludzi. Za pół godziny. Otrzyma pan dokumenty. Mocne, oryginalne, wystawione na pana nazwisko. Przenocuje pan w konspiracyjnym lokalu przy ulicy Hożej pięć. Po południu, około szesnastej, zostanie pan aresztowany przez gestapo.

Podniosłem głowę.

– To żart?

– Nie. Pod dom podjedzie kilka samochodów z funkcjonariuszami policji i gestapo. Obstawią wszystkie wejścia. Załomczą do bramy. Gospodarz im otworzy. Udadzą się na trzecie piętro. Tam wpuści ich przerażona gospodyni. Skują pana i wyprowadzą na podwórko. Wsadzą do samochodu i odjadą przez plac Trzech Krzyży i Alejami Ujazdowskimi na Szucha.

– To będą rzecz jasna pana ludzie?

– Oczywiście.

Miałem niemal pewność, że opowiada film wojenny. W dodatku z heroicznego okresu kinematografii radzieckiej.

– Nie możemy po prostu pojechać na Szucha z tego miejsca? – zapytałem, wskazując na obóz.

– Nie. Musi pan zostać aresztowany. Oficjalnie i w biały dzień. Przy świadkach.

– Jaki jest cel tego przedstawienia?

– W tej kamienicy mieszka szpicel gestapo. Wiemy o nim i teraz go wykorzystamy. Uwiarygodni nas. A właściwie was. Zdąży zatelefonować do swoich przełożonych.

– Dlaczego ma telefonować? Przecież pracuje po tej samej stronie co gestapo.

– Po tej samej stronie, ale nie dla tych samych mocodawców. U Niemców panuje spora konkurencja.

Niewiele z tego rozumiałem. Zaczynało mi być wszystko jedno.

– Wspomniał pan o kilku grupach bojowych – włączył się Wieteska. Dzięki, Johny. Nie ma to jak przejść gładko do następnego tematu. Co tam aresztowanie.

– Tak. Kompania trzecia batalionu, podzielona na kilka grup bojowych, ma wyznaczony rejon koncentracji w rejonie Powiśla i punktualnie o siedemnastej uderzy na dzielnicę niemiecką od strony północnej, wzdłuż Alej Ujazdowskich, i od północno-wschodniej, od ulicy Rozbrat przez skarpe wiślaną na plac Na Rozdrożu. Pozostała część batalionu, czyli kompanie pierwsza i druga, uderzy od południa.

Major mówił dalej, a ja mimo wszystko poczułem ulgę. Nadal się bałem, miałem sto wątpliwości, ale było całkowicie jasne, że gdyby nie splot okoliczności i przypadkowe zgranie w czasie próby odbicia Nancy z rozpoczęciem powstania w Warszawie, nigdy nie

udałoby się nam choćby prawidłowo zaplanować naszej akcji, nie mówiąc o wykonaniu. Zalewająca mnie fala wdzięczności nie zmieniała faktu, że właśnie z prywatnych przedsiębiorców przekształciliśmy się w uczestników największej bitwy miejskiej w dziejach wojen.

5.

Narada toczyła się dalej, przy czym dołączyło do nas sporo osób. Ze znajomych: trzech żołnierze GROM-u, których twarze ledwie pamiętałem, dwóch piechociarzy od porucznika Borka, swego czasu największych cwaniaczków w zachodniej Polsce, a na pewno w naszej dawnej jednostce, dwóch lotników z grupy Wieteski, z którymi ten ostatni przywitał się głośno i całkowicie niecenzuralnie, oraz najlepszy „razwiedczik”, jakiego znałem, uczestnik najbardziej nieprawdopodobnych i zuchwałych akcji za mojego dowodzenia batalionem, porucznik Stańczak. Ten z kolei, wzorem Wojtyńskiego, potraktował nas raczej chłodno: ot, zwykłe podanie ręki i krótkie kiwnięcie głową. Nigdy nie był co prawda zbyt wylewny. Takim go zapamiętałem.

Pod ścianą siedzieli dwaj nieznajomi, ubrani także po cywilnemu. Jeden starszy, trzydziestoparolatek, z krótkim wąsikiem. Na kilometr czuć było w nim wojskowego. Drugi wysoki, barczysty, dwadzieścia pięć lat. Emanował spokojem, ale i siłą woli. Tak jak reszta wyglądał na niezłego kozaka. Obaj sprawiali wrażenie zmęczonych. Nie przedstawili się, nie uczynili żadnego gestu, by się przywitać.

Major Wojtyński wyciągnął z teczek mapę Warszawy i rozpostarł ją na stole.

– Akcją odbicia kapitan Nancy Grobicki dowodzi porucznik Stańczak. – Wskazał na porucznika, w razie gdyby ktoś się nie orientował, który to. – Jej pierwszym etapem jest aresztowanie pułkownika w mieszkaniu na Hożej pięć. Dokona tego grupa numer jeden, licząca sześciu ludzi, dowodzona przez pana rotmistrza Dużego. – Skinął głową w kierunku starszego z cywili siedzących pod ścianą. – Należy narobić dużo huku, szpicel mieszkający piętro niżej nie powinien niczego przeoczyć. Pan pułkownik zostaje wyprowadzony i wsadzony do samochodu na policyjnych numerach. W sumie grupa porusza się trzema samochodami. Konwój rusza ulicą Hożą i na placu Trzech Krzyży skręca w prawo, w Aleje Ujazdowskie. Mija pierwszy rząd posterunków. Nie powinien on zatrzymywać konwoju. Mija ulicę Piękną i jedzie w stronę placu Na Rozdrożu. Przejeżdża przez kontrole na Szucha. Samochody parkują na ulicy, przed główną bramą budynku. Cała grupa wysiada. Więzień według procedury powinien być dostarczony do aresztu w piwnicy, do którego prowadzi boczne wejście po lewej stronie głównej bramy. Pułkownik Grobicki zostaje wprowadzony do aresztu. Grupa likwiduje strażników, po czym sprawdza cele. Jeżeli znajduje się w nich pani kapitan, uwalnia ją i wycofuje się do stojących przed budynkiem samochodów, po czym

odjeżdża. Major mówił dalej, a ja coraz bardziej nie wierzyłem własnym uszom. Cały plan opierał się na założeniu, że „wejdziemy, zastrzelimy, uwolnimy, odjedziemy”. Według słów majora akcja będzie tak dziecinnie prosta, że nawet nie podniesie poziomu adrenaliny we krwi, a jej uczestnicy będą swobodnie konwersować na temat ostatnich wydarzeń piłkarskich. Wszystko razem wydało mi się czystą fantazją. Moje obawy potęgowała kompletna nieznajomość realiów. Nie znałem procedur niemieckich sił bezpieczeństwa, nie umiałem ocenić, czy to w ogóle ma sens.

– To, co pan mówi, jest oparte na założeniu, że Niemcy prawie nie chronią budynku i nikt, poza rutynową kontrolą, nie sprawdzi dokładnie, kto przyjechał i po co – wtrąciłem, gdy major zrobił dłuższą pauzę dla zaczerpnięcia oddechu. – Jednak co będzie, jeśli nie?

– Poświęciliśmy sporo wysiłku na rozpracowanie niemieckich sił bezpieczeństwa operujących w Warszawie. Mamy sporą wiedzę na ten temat. Powiem więcej: od pewnego czasu, w związku z planowaną na jutro akcją, Niemcy są karmieni różnego rodzaju informacjami, jak pan się zapewne domyśla, częściowo prawdziwymi, takimi, które są albo wydają się zgodne z ich wiedzą. Nie ma to związku z pańską żoną, ta sprawa wynikła dopiero dzisiaj rano, ale gra, w sensie strategicznym, toczy się od pewnego czasu. Tyle mogę na razie powiedzieć. Może to, co planujemy na jutro, brzmi jak fantazja, ale ma solidne oparcie w rzeczywistości, może mi pan wierzyć. Nie idziemy w ciemno.

Jakoś mnie nie przekonał. Raczej byłem pewien, że idziemy w ciemno – a ja jestem zdany na jego zapewnienia, pozbawiony możliwości weryfikacji najprostszych stwierdzeń. Major rzecz jasna doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Pół godziny omawiania wydarzeń jutrzejszego dnia spowodowało, że od naszego pierwotnego celu wyprawy, całkowicie prywatnego, jak to się mówiło w naszych czasach „off topic”, oddaliliśmy się o kilka lat świetlnych. Ja miałem wylądować na Szucha, by dołączyć do żony, bez żadnej gwarancji, że dla nas obojga nie będzie to ostatnia stacja w życiu, na dodatek osiągnięta w bardzo przykry i bolesny sposób.

Zawsze mi się wydawało, że filmy z serii „Mission Impossible” to bajeczki dla grzecznych dzieci. Teraz zmieniłem zdanie.

Narada trwała jeszcze dłuższą chwilę. Zadania zostały rozdzielone, dowódcy grup dokładnie poinstruowani. Za chwilę miałem zostać sam, skazany na towarzystwo dwóch milczących cywili. Nie powiem, aby brak zaufanych kumpli w decydujących chwilach na Szucha dodawał mi otuchy.

– Galaś, jak z emiterem? – zapytałem tuż przed odjazdem, kiedy na chwilę zostaliśmy we własnym gronie.

– Udało mi się wykręcić chip odpowiadający za łączność z oprogramowaniem. Z komputerów wyjąłem kości pamięci RAM. Zabezpieczyłem przed wilgocią i schowałem pięć minut drogi stąd. Powiedzieć gdzie?

– Nie mnie – odparłem. – Na razie im mniej wiem, tym lepiej. Powiesz po akcji.

– Melduję posłusznie, że tak jest. Aha, i schowałem też radiostację. Tak na wszelki wypadek.

– Cwaniaczek – mruknął Wieteska.

– Dzięki, kapralu. Myślisz o wszystkim – powiedziałem.

Zapadło krótkie milczenie.

– Trzymaj się tam – rzekł Kurcewicz. – I licz na nas. Na pewno zdążymy.

– Wiem. W ogóle chciałem wam powiedzieć...

– O rany, będzie nam dziękował. Chyba zemdleję! – zawołał Wieteska modulowanym głosem.

– Zamknij się, Johny. Doceniam, co robicie dla kumpla. Kiedyś...

– Johny ma rację, Jureczku – przerwał mi Kurcewicz. – Nie chrzań i jedź. Każdy z nas robi to, co do niego należy. Tylko tyle i nic więcej.

Miałem ochotę kopnąć obu w tyłek i jednocześnie przytulić do piersi, jednak poszedłem za radą. Uścisnęliśmy sobie dłonie bez słowa.

Piętnaście minut później, po krótkim pożegnaniu i odbiorze dokumentów od Wojtyńskiego, ruszyłem w towarzystwie obu cywili – rotmistrza o pseudonimie Duży i kaprała podchorążego Witka – do Warszawy. Stary, rozklekotany opel kadett warczał głośno, trzeszczał i pisał na wybojach. Siedziałem z tyłu, noc była ciemna, bezksiężycowa.

Bez broni, bez towarzyszy, z fałszywymi dokumentami, w idiotycznym, przyciasnym garniturku, w kraju, który był w tym momencie dziejowym istnym piekłem na ziemi, z dwoma ludźmi, których znałem od pół godziny, właściwie w ogóle ich nie znając, jechałem w nieznane. Przeszedł mnie dreszcz – tak silny i długi, że aż podobny do konwulsji.

6.

– Chciałbym panów poprosić jeszcze na chwilę – powiedział Wojtyński do Wieteski, Kurcewicza i Galasia stojących pośrodku drogi, na której kilka minut temu zniknął stary opel. Umilkł już warkot silnika.

– Coś się stało? – zapytał Wieteska, który rolę rzecznika prasowego grupy połączył z rolą samozwańczego lidera.

– Nie. Mam kilka dodatkowych spraw do przekazania.

Weszli do leśniczówki i zajęli miejsce za tym samym stołem, przy którym omawiano zadania na dzień jutrzejszy. Nadal leżała na nim mapa Warszawy. W pomieszczeniu byli także komandosi z GROM-u w liczbie powiększonej do pięciu oraz kilkunastu innych żołnierzy. Wszyscy bez wyjątku byli weteranami Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego.

– Nie powiedziałem całej prawdy – zaczął Wojtyński bez wstępu. – A właściwie

kłamałem.

Obaj kapitanowie i kapral poderwali głowy, poruszani jakby jedną sprężyną.

– To jakaś zabawa? – Wieteska nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale już był zły.

– W żadnym wypadku. Nie chciałem po prostu, aby pułkownik wiedział zbyt wiele. A nawet więcej, chciałem, aby miał fałszywe wyobrażenie o jutrzejszej akcji.

– Ale po co? – zapytał Kurcewicz.

– Po to, że jeżeli coś pójdzie nie tak i pan pułkownik rzeczywiście znajdzie się w rękach Niemców, nie powie im tego, co dla nas istotne. Zamiast tego opowie im to, co my chcemy, żeby wiedzieli.

– Co to ma, kurwa, być? – zapienił się Wieteska. Prawie krzyczał. Gromiarze poruszyli się, ale kapitan nie zwracał na to najmniejszej uwagi. W takich sytuacjach i czołgu abrams byłoby mało, aby go powstrzymać od zrobienia czegoś, co uzna za stosowne. – Zabawa w Hansa Klossa? Robicie z nas króliki doświadczalne? Grobicki ma służyć za przynętę?

– Nie. Akcja odbicia pani kapitan odbędzie się naprawdę. Atak na dzielnicę niemiecką odbędzie się naprawdę. Jak pan się uspokoi i posłucha dalej, uzna pan, że mam rację.

Wieteska mruknął coś pod nosem, ale nadal był czerwony na twarzy.

– Nie podoba mi się to.

– Nie musi. Mogę kontynuować?

Kurcewicz trącił Wieteskę w ramię. Ten odetchnął głęboko i skinął głową.

– A więc dobrze. Zaplanowaliśmy cztery elementy ataku. Pierwszy: grupa pani Rozalki w kasynie. Wybuch bomby o godzinie siedemnastej stanowi sygnał do rozpoczęcia akcji. Drugi – grupa wewnątrz dzielnicy niemieckiej. Jej działania będą miały nieco inny przebieg, niż podałem na odprawie. O tym za chwilę. Element trzeci: atak z zewnątrz kompanii piechoty, podzielonej na kilka grup bojowych, uderzających od północy i zachodu. Podałem fałszywą lokalizację koncentracji i oś ataku. Szczegóły nie są w tej chwili istotne. Oraz element czwarty. Kluczowy. – Spojrzał na całą trójkę. Oceniał. Kalkulował. – Ile jest warta wasza przyjaźń z pułkownikiem Grobickim? – zapytał w końcu jakby trochę nie na temat.

– Niech pan sprawdzi. Sporo – powiedział Kurcewicz spokojnie.

– Słuchamy uważnie – dodał Galaś, dla odmiany czujny i spięty.

– Przyznacie wszyscy, że beze mnie akcja odbicia pani kapitan byłaby nierealna. Nie macie dokumentów, sprzętu, odpowiedniej historyjki, która uzasadniałaby waszą obecność w tym miejscu i czasie, nie znacie miasta ani okupacyjnych realiów. Nie macie kontaktów. Gdybyście robili tę akcję sami, doszlibyście może do drugiego szeregu posterunków.

Kurcewicz pomyślał, że to istotnie świetny moment na uświadomienie, że bez pomocy byłiby bezradni jak dzieci. I że przyjdzie im słono zapłacić za tę pomoc.

– Złapał nas pan. Jesteśmy dozgonnie wdzięczni.

– Wdzięczność nie wystarczy. Mam swoją cenę.

– Proszę ją wymienić.

– Dwa tygodnie temu aresztowano jednego z moich oficerów. Już nie żyje. Był wyznaczony do wykonania jednego z najbardziej kluczowych zadań w dniu jutrzejszym. Proponuję, aby w ramach rewanżu to zadanie wykonał kapitan Kurcewicz. Ma do tego odpowiednie doświadczenie bojowe, umiejętności i predyspozycje dowódcze.

Kapitan, który dotychczas stał pod ścianą z półprzymkniętymi oczami i brał udział w rozmowie niejako z obowiązku, na propozycję tej poprzedzonej komplementami swoistej randki w ciemno zareagował nawet zbyt spokojnie.

– Cóż to za zadanie? – Sprawiał wrażenie, jakby nawet nie przerwał drzemki.

– Poprowadzenie ataku na dzielnicę niemiecką od południa. Z użyciem piechoty i sił pancernych.

W pokoju słychać było brzęczenie much, urozmaicane tylko śmiechami i gwarem dochodzącym z zewnątrz. Mimo stoickiego spokoju, jaki od pewnego czasu Kurcewicz prezentował wobec świata, propozycja Wojtyńskiego spowodowała jednak jakąś reakcję. Kapitan był zdumiony. Bardziej nawet zdumiony niż poruszony. Wieteska i Galaś – zupełnie odwrotnie.

– Świetnie radził pan sobie we wrześnie – kontynuował Wojtyński konwersacyjnym tonem. – Jest pan najlepszym pancernikiem, jakiego poznałem w swoim zawodowym życiu.

– Dziękuję. Byłem. Pięć lat temu.

– Takich rzeczy się nie zapomina. Na zapoznanie się z planem ataku i ewentualne wprowadzenie poprawek ma pan ponad dwadzieścia godzin. Dla pana to więcej niż wystarczająco.

Ponownie zapadła głęboka cisza.

– Jak to ma się odbyć? Jesteśmy trzydzieści kilometrów od celu, a przed nami cały Mokotów. Po drodze nie ma Niemców?

– Są. Przy Puławskiej dwadzieścia sześć, w szkole na Woronicza, przy Dworkowej. SS, policja, Ukraińcy, własowcy, żandarmeria. Co pan tylko chce. Jednak wyruszy pan w niemieckim przebraniu i spróbuje pan zająć podstawy wyjściowe do ataku pod przykrywką. W końcu w ten sposób przejechaliśmy pół Polski. Pretekst: kolumna pancerna dla wsparcia garnizonu Warszawy, przysłana przez dowództwo 9. Armii. Przez Warszawę jeździ w tej chwili masę rozmaitych oddziałów frontowych, zniknie pan w tłoku. Podstawa wyjściowa do ataku to plac Unii Lubelskiej. Jeśli się uda, świetnie. Jeśli nie – no cóż, osiągnie pan cel siłą. Wojtek przez chwilę kalkulował szanse.

– Co będę miał do dyspozycji?

– Cztery czołgi twardy, cztery rosomaki, mózdzierz amos, szylkę. Jednostkę ognia w wozach, drugą na ciężarówkach. Cztery dalsze jednostki ognia w dwóch bazach na Mokotowie, dwie następne w Śródmieściu. Kompanię piechoty – dwustu dwudziestu ludzi – przy czym większość stanowią nasi dawni znajomi z Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego. Uzbrojenie na cały oddział: beryle, RPG, wukaemy 12,7, dwa mózdzierze

dziewięćdziesiąt osiem milimetrów, pallady, dragunowy i tak dalej. Spora siła ognia jak na dzisiejsze realia. Ludzie są zaprawieni w walce miejskiej, każdy ma co najmniej kilka akcji na koncie. Zresztą to ostatnie dotyczy wszystkich moich ludzi, większość z nich jest z akowskiego zaciągu. Cały batalion liczy ponad siedmiuset żołnierzy. Osobiście nadzorowałem szkolenie. Na Puławskiej, którą będzie pan się przemieszczał, na wysokości ulicy Madalińskiego, dołączy do pana następna kompania, która już w tym czasie będzie zmobilizowana. Dowodzi nią porucznik Jamróz, którego też pan zna. Kompania ta dozbroi się z zapasów, które znajdują się na ciężarówkach. Czyli ma pan do dyspozycji dwie kompanie piechoty liczące prawie czterystu pięćdziesięciu ludzi i solidne wsparcie pancerne. Uzbrojenie, wyposażenie i wyszkolenie w zasadzie według etatów i regulaminów z dwa tysiące siódmego roku. Zgodnie z planem atak na dzielnicę niemiecką ma nastąpić punktualnie o godzinie siedemnastej.

– A jeżeli na Mokotowie albo nawet wcześniej, po drodze z Piaseczna, mimo kamuflażu będę musiał nawiązać walkę? Przebijanie się może zająć trochę czasu.

– Trudno. Spóźni się pan. Zaatakujemy sami. Tak jak wspominałem, o siedemnastej nastąpi także jednoczesny atak grup bojowych od północy oraz grupy znajdującej się wewnątrz dzielnicy niemieckiej. Ja dowodzę całością i będę przy jednym z oddziałów.

– Cel ataku?

– Zajęcie dzielnicy niemieckiej. Jedną z kompanii obsadzić i utrzymać zdobyte budynki. Pozostałymi siłami atakować wzdłuż alei Szucha aż do nawiązania bezpośredniego kontaktu z grupami bojowymi atakującymi z północy lub z grupą uderzającą od wewnątrz. Dowódcy kompanii dokładnie znają swoje zadania.

Kurcewicz wpatrywał się w mapę.

– Jeżeli nikt nie zabezpieczy Marszałkowskiej na tym odcinku – wskazał obszar między placem Unii Lubelskiej a placem Zbawiciela – będę miał odsłonięte skrzydło.

– Rejon Marszałkowskiej zostanie zabezpieczony przez oddziały zgrupowania Ruczaj – odparł Wojtyński.

– Bez obrazy, ale wołałbym liczyć na siebie. Rozsądnie by było, żeby z sił, które będę miał do dyspozycji, utworzyć dwie grupy bojowe, w składzie kompania piechoty, dwa rosomaki i dwa twarde każda. Szyłka, amos i na przykład drużyna piechoty plus ja jako odwód. Nawiasem mówiąc, muszę mieć jakiś wóz dowodzenia wyposażony w środki łączności. Jedna grupa zaatakuje wzdłuż alei Szucha i nawiąże łączność z posuwającą się od północy kompanią numer trzy. Druga moja grupa jako zabezpieczenie placu Unii Lubelskiej zostawi jeden pluton z RPG i ciężką bronią maszynową, a resztą sił opanuje rejon Marszałkowskiej do placu Zbawiciela włącznie. Jeżeli oddziały Ruczaja w odpowiednim czasie pojawią się na placu boju, tym lepiej. Nie będę musiał obarczać moich sił obsadzaniem budynków. Przy odrobinie szczęścia w ciągu godziny będziemy mieli cały ten kwartał opanowany i obsadzony dwoma batalionami piechoty wspartej bronią pancerną.

Wojtyński powoli pokiwał głową.

– Brzmi rozsądnie. Akceptuję ten pomysł. Muszę jednak dodać, że będziemy utrzymywać zdobyte rejony tylko do momentu przybycia sił odwodowych, bo jesteśmy grupą uderzeniową i mamy następne zadania do wykonania. Ale o nich potem.

Kurcewicz wyprostował się znad stołu. Ponownie zapadła cisza.

– Łączność? – zapytał kapitan po chwili.

– Sporo w tym zakresie osiągnęliśmy. Na bazie oryginalnego sprzętu batalionu udało nam się skonstruować i wyprodukować w dużych ilościach sprzęt działający na falach UKF, zabezpieczony przed podsłuchem ze strony Niemców. Środki łączności umieszczono w zdobytym niedawno pod Warszawą, zaadaptowanym do naszych potrzeb, niemieckim wozie sztabowym. Będzie pan miał bezpośredni kanał łączności z moim sztabem. Albo ze mną osobiście, jeśli tak pan woli.

– Wolę inaczej. Będę poruszał się rosomakiem i on będzie stanowił centrum dowodzenia, a jednocześnie odwód grupy. Wóz łączności, po złączeniu się z panem i trzecią kompanią, przekazę panu. Chciałbym, aby zainstalowano radiostację z kanałami łączności do pododdziałów w jednym z rosomaków.

– Żaden problem. Wydam odpowiednie polecenia obsłudze.

Po chwili Kurcewicz podniósł głowę, spojrzał w oczy najpierw Wietesce i Galasiowi, a potem majorowi, i zdecydowanym tonem oznajmił:

– Dobrze. Poprowadzę ten atak.

Tylko on wiedział, ile ta decyzja go kosztowała. Zaprzeczala wszystkiemu, co osiągnął przez ostatnich pięć lat. Spokój ducha, równowaga psychiczna, wyciszenie. Jedyne łącznik z przeszłością to pasja strzelecka, traktowana czysto sportowo, która zawiodła go zresztą na mistrzowski olimp. Już decyzja o uczestnictwie w próbie odzyskania emitery była z jego strony poświęceniem i odstępstwem od wypracowanych i osiągniętych z takim trudem zasad. Żądanie Wojtyńskiego, oczekiwanie, że kapitan sięgnie do swoich dawnych umiejętności i użyje ich w sprawie tak obcej i dalekiej jeszcze dobieg temu, było dla Kurcewicza wielkim wyzwaniem. Było prawdziwym sprawdzianem przyjaźni. I właśnie ofiarował próbkę tej przyjaźni, w najlepszym gatunku, bez skazy, mogącej śmiało znaleźć się w Sevres, obok wzorca metra.

Kapitan Wojciech Kurcewicz, który przez pięć ostatnich lat robił wszystko, aby jak najbardziej odsunąć się od wojennych wydarzeń i nawet nie czytał gazet z wieściami z Europy, miał zająć czołowe miejsce w przyszłych podręcznikach historii jako dowódca najbardziej nieprawdopodobnej szarży pancernej w dziejach.

– Wróćmy do akcji na Szucha. Niezależnie od grupy wiozącej pułkownika Grobickiego wezmą w niej udział jeszcze dwa pododdziały – przejął prowadzenie odprawy porucznik Stańczak jako dowódca ataku na dzielnicę od wewnątrz i odbicia kapitan Nancy Grobicki. – Pierwszy: samochód pancerny plus wzmocniona drużyna na ciężarówce z dwoma cekaemami i moździerzem osiemdziesiąt jeden milimetrów. Maskowanie: mundury Wehrmachtu. Stanowisko: plac Na Rozdrożu od strony alei Szucha. Grupa ta ma za zadanie przede wszystkim osłonę odwrotu i wsparcie ogniowe grup uwalniających panią kapitan, neutralizację placówek wartowniczych mających stanowiska na placu Na Rozdrożu oraz u wylotów ulic Koszykowej, 6 Sierpnia i Alej Ujazdowskich.

– Powiedziałeś: grup – wtrącił się całkowicie już spokojny Wieteska. – Na razie doliczyłem się jednej grupy uwalniającej Nancy. Tej, w której będzie pułkownik. A gdzie inne grupy? Ponadto wspomniałeś o osłonie odwrotu. Pytanie, jakiego odwrotu, skoro nasz kochany major mówił o uderzeniu od wewnątrz. Coś mi się zdaje, że definicja uderzenia jest trochę inna od definicji odwrotu.

– Po kolei.

Stańczak głośno klasnął w ręce. Drzwi otworzyły się i do izby wszedł człowiek liczący około trzydziestu dwóch, najwyżej trzydziestu pięciu lat. Przystojna, pociągła twarz, włosy ciemne. Gładko ogolony, niezbyt wysoki. Czarny, esesmański mundur był świeżo odprasowany i leżał doskonale.

Zarówno Wieteska, jak i Galaś odruchowo sięgnęli do kabur, zapominając, że pasy z kaburami i zawartością zarekwirował Wojtyński.

– Przedstawiam panom SS Brigadeführera Waltera Schellenberga – powiedział Wojtyński, traktując wrażenie, jakie wywołał nowo przybyły na wszystkich zgromadzonych, za rzecz zupełnie naturalną. – Generał Schellenberg jest szefem wywiadu SD, czyli służby bezpieczeństwa SS. To bardzo wysoka figura w niemieckiej hierarchii, zwłaszcza teraz, po zamachu na Hitlera.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

– To nazwisko obilo mi się o uszy – bąknął Wieteska, wzbudzając uśmieszki na twarzach „miejscowych”.

– Niemcom też. – Stańczak był jak zwykle ponury. – Nasz człowiek jest łudząco do niego podobny, a Niemcy od kilku dni są informowani o nieoficjalnej wizycie wysoko postawionego funkcjonariusza SS. Według planu aresztowanie pułkownika nastąpi o godzinie szesnastej dwadzieścia. Wioząca Grobickiego grupa numer jeden nie powinna być w budynku gestapo później niż o szesnastej czterdzieści, maksymalnie szesnastej czterdzieści pięć. Na rogu Pięknej i Alej Ujazdowskich będzie nasz człowiek, zaopatrzony w krótkofalówkę. Gdy grupa numer jeden go minie, da sygnał. Po minucie z Pięknej w Aleje skręci łazik oraz mercedes wiozący grupę numer dwa – generała, adiutanta oraz sześciu żołnierzy eskorty. Grupa generała dojedzie do alei Szucha prawie równocześnie z dostarczeniem pułkownika

Grobickiego do budynku gestapo. Obie grupy – numer jeden i numer dwa – zderzą się w drzwiach. Schellenberg zażąda rozmowy z Geiblem, jednocześnie wyrażając zainteresowanie więźniem. Dalszego ciągu nie sposób zaplanować dokładnie. W każdym razie zakładamy, że generał, korzystając z wysokiego stopnia i zaskoczenia Niemców, da obu grupom trochę czasu na opanowanie budynku, a przynajmniej parteru. Łącznie, wliczając pułkownika Grobickiego, będziemy mieli w środku szesnastu ludzi, plus w bezpośredniej bliskości wóz pancerny i następnych piętnastu ludzi. Zgrany w czasie wybuch bomby w kasynie i atak grup bojowych z zewnątrz spowoduje niezłe zamieszanie. Będziemy dążyć do wzięcia Geibla lub Hahna, a najlepiej obu, jako zakładników. Hahn zwykle rezyduje w pałacu Briihla, przypuszczamy jednak, że w tym wypadku będzie w budynku przy Szucha, jako że osobiście nadzoruje sprawę. Pani kapitan może przebywać albo w podziemiu, w jednej z cel, albo na pierwszym piętrze, w pokojach zajmowanych przez gestapo. Jedna z grup opanuje piwnice, wchodząc tam bezpośrednio z dziedzińca, zlikwiduje strażników i uwolni znajdujących się tam więźniów. Reszta oddziału postępuje zgodnie z rozwojem sytuacji. Wezwiemy oddział kapitana Wieteski i podejmiemy próbę opanowania całego budynku. To tyle. Pytania?

Kapitan Jan Wieteska, chociaż był urodzonym optymistą i hołdował żelaznej zasadzie nieprzejmowania się przeciwnościami losu i korzystania z przyjemności życia w maksymalnym dostępnym zakresie, pomyślał, że pomału upodabnia się do bohaterów powieści Sienkiewicza, które tak lubił w młodości.

Dla kobiety, na dodatek nie swojej, rzuci się w największy pożar, jaki zna świat. Jako bonus dołoży profesjonalne umiejętności, odwagę, bezwzględność i spryt, po czym pomoże ten pożar wywołać. Gdyby czytał o tym u Sienkiewicza, pomyślałby, że faceta poniosła fantazja.

Tyle tylko, że nie była to żadna cholerna powieść.

IV. PRZESŁUCHANIA

1.

Gabinet był bardzo duży i urządzony z przepychem. Na starannie zapastowanym drewnianym parkiecie leżał wytworny wzorzysty dywan, zajmujący prawie całą przestrzeń pomiędzy drzwiami a wielkim, stojącym w centralnej części pokoju, biurkiem. Pod ścianą znacznie mniejsze biurko, na nim maszyna do pisania z wkręconym arkuszem śnieżnobiałego papieru. Cztery zwieszające się z wysokiego sufitu lampy, oślepiające żółtawym, mocnym światłem.

Po przekroczeniu progu Nancy pomyślała, że to nie może dziać się naprawdę. Ten budynek, pełen bogactwa pokój, ludzie w szarych mundurach, sześciogodzinna podróż samochodem ze skutymi z tyłu rękoma – wszystko to razem wprawiło ją w odrętwienie podobne do snu. Miała nadzieję, że ten sen wreszcie dobiegnie końca i obudzi się w swoim łóżku w San Antonio. Uświadomiła sobie gorzko, że pomysł uczestniczenia w wyprawie był jej autorstwa, a w każdym razie nie protestowała przeciw niemu. Że to jednak jawa, niepodważalna i bezdyskusyjna, ze swoim ciągiem dalszym, niestety. Ciągami dalszym, który przywiódł ją właśnie do tego gabinetu.

Popchnięta lekko w plecy, stanęła pośrodku pokoju. Zza biurka podniósł się niewysoki mężczyzna, lekko łysiejący, o wydatnym, arystokratycznym nosie. Chociaż było późne popołudnie, kanty w mundurowych spodniach zachowały nienaganną ostrość. Żelazny Krzyż błysnął w świetle lamp oksydowaną czernią i srebrem.

– Droga pani kapitan Grobicki. Witamy. Jestem SS Brigadeführer Paul Geibel. Dowodzę siłami bezpieczeństwa w tym bandyckim mieście. – Nawet się uśmiechnął, ale nie ruszył z miejsca. Towarzyszący jej od rana tłumacz mówił z twardym akcentem, tak charakterystycznym dla szkolnej, niemieckiej angielszczyzny. Wysoki oficer gestapo o nalanej, okrągłej twarzy, dowodzący akcją i osobiście prowadzący wstępne przesłuchanie tam, w kotle, zasiadł w stojącym naprzeciwko fotelu. Za biurkiem z maszyną zajął miejsce protokolant. – A może powinienem powiedzieć: Sanchez? – ciągnął Geibel.

Nancy drgnęła. Nie mogła zebrać myśli. Z trudem do niej docierało to, co mówią tamci.

– Proszę, niech pani siada. – Wskazał krzesło przed biurkiem, ale nie polecił jej rozkuć. Nancy z ulgą skorzystała z zaproszenia. Za plecami stanął Niemiec z eskorty. – Mój drogi

współpracownik, doktor Hahn – wskazał na nalanego – wykonał kawał dobrej roboty. Koniec wieńczy dzieło, jak mówi stare przysłowie. Muszę dodać, że pani mąż, nieoceniony pułkownik Grobicki, razem z towarzyszami, także jest w naszych rękach.

Nancy podrzuciła głowę. Nie zwracała uwagi na ironię zawartą w słowach Niemca.

– Złapaliście Jerzego? – odezwała się po raz pierwszy tego popołudnia.

– Owszem. Razem z kapitanem Wieteską, Kurcewiczem, kapralem Gałasiem i tym pani nieszczęśliwie zakochanym lotnikiem, porucznikiem Wilgatem. – Polskie nazwiska wymawiał z twardym akcentem, ale poprawnie.

Zapadła cisza. Nancy pomyślała, że wiedza tego człowieka jest stanowczo zbyt bogata. Wiedza, której nie można osiąść w zwykły sposób.

– Czego chcecie? – zapytała głucho.

– Chcemy porozmawiać o przyszłości.

– O przyszłości?

– Świata. Europy. Niemiec.

– Nie rozumiem.

– Za chwilę pani zrozumie. Przede wszystkim zależy mi jednak na tym, aby zrozumiała pani swoje położenie. Jest pani w rękach niemieckiej policji bezpieczeństwa, którą osobiście uważam za najlepszą na świecie organizację od rozwiązywania problemów. Bardzo skuteczną, mogę panią zapewnić. Mamy w rękach pani męża i przyjaciół. Mamy również to. – Wziął z biurka niewielki prostokątny kartonik, pochylił się i podstawił jej niemal pod nos. – Poznaje pani?

Kartonik okazał się zwykłym czarno-białym zdjęciem, zrobionym z dość dużej odległości, ale wyraźnym. Fotograf znał się na rzeczy. Malec, może dwuletni, zajmował ponad połowę kadru. Uśmiechał się wesoło i zapamiętałe kopał w piasku małą, drewnianą łopatką. W de widać było dom.

To był jej dom.

I jej syn.

Geibel najwyraźniej przyzwyczajony był do wrażenia, jakie robią na więźniach jego słowa. Nie zwrócił uwagi na szarpnięcie się Nancy. Przytrzymana mocno za ramiona przez Niemca stojącego z tyłu, z ogromną siłą próbowała zerwać się z krzesła.

– Sukinsynu! Czego chcesz od mojego dziecka? – krzyknęła.

– No, no. Cóż za maniery! Czy ja panią obrażam? – spokojnym tonem zapytał Geibel. – Chcę tylko, aby dotarły do pani fakty. Jak pani widzi, wiemy dużo. Bardzo dużo. Jeżeli zachowa pani rozsądek, nikomu nic się nie stanie.

Nancy w końcu przestała się wyrywać. Bolały ją ramiona i kark. Siedzący obok Ludwig Hahn, szef warszawskiej Sicherheitspolizei, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

Geibel skinął głową. Hahn uznał to za zachętę i po raz pierwszy od wejścia do budynku odezwał się:

– Wiemy, że jest pani oficerem amerykańskich sił zbrojnych. We wrześniu trzydziestego dziewiątego roku dowodziła pani specjalnym oddziałem, który wchodził w skład batalionu pancernego dowodzonego przez pani obecnego męża, pułkownika Grobickiego. Wiemy też, że to nie był zwykły oddział, ponieważ pani ludzie, jak i cały batalion, przywędrowali do nas z przyszłości, z roku dwa tysiące siódmego. Niektórzy uznaliby to za bajkę, ale ja akurat dobrze wiem, że bajką nie było. Nawiasem mówiąc, batalion bardzo dał się nam wtedy we znaki, więc chylę czoło przed wojennymi umiejętnościami małżonka.

Nancy patrzyła nieruchomo przed siebie. To wszystko było nieprawdopodobne. Niemcy nie mieli prawa tyle wiedzieć.

– Myli mnie pan z kimś innym – powiedziała w końcu.

– Droga pani, wiedza o ludziach to mój zawód. Niechże pani nie będzie śmieszna.

– Myli mnie pan z kimś innym – powtórzyła z uporem.

Obaj oficerowie gestapo uśmiechnęli się. Geibel podniósł słuchawkę telefonu i powiedział coś szybko po niemiecku. Tłumacz darował sobie przekład.

Po dłuższej chwili, wypełnionej oczekiwaniem i strachem, drzwi się otworzyły. Nancy siedziała tyłem do nich i w pierwszej chwili nawet nie odnotowała, że w pokoju jest ktoś nowy. Dopiero skrzypienie podłogi skłoniło ją do odwrócenia głowy. Człowiek, który stał za nią w towarzystwie eskorty, miał nie więcej niż trzydzieści lat, ale wyglądał o wiele starszej. Był wychudzony i trupio blady. Czerwona pręga przecinała twarz od szczęki aż do prawego łuku brwiowego i jeszcze bardziej podkreślała czarne sińce pod oczami.

Scott Railey wyglądał, jakby miał za chwilę upaść i nie podnieść się nigdy więcej. Na jego twarzy w ciągu sekundy odmalowało się zaskoczenie, przerażenie, wreszcie jakaś tępa rezygnacja.

– Scott? Scott Railey? Co ty tu robisz? – w końcu wydusiła z siebie Nancy.

– Porwali mnie. Miesiąc temu. Przywieźli tutaj...

– Jakim cudem...?

– Nie wiem. Uśpili mnie. Niewiele pamiętam z podróży... – Głos miał słaby, załamujący się, piskliwy.

– Czego chcą od ciebie? – Nancy przyszło do głowy, że to dziwne, iż Niemcy pozwalają im na swobodną konwersację we własnym języku. Z drugiej strony czemu nie? Tłumacz był w stanie streścić gestapowcom każde słowo rozmowy.

– Informacji... Błagam, powiedz im wszystko, czego chcą... Wszystko. Powiedz... – prawie krzyczał.

Geibel podniósł rękę.

– Wystarczy – powiedział. – Zabrać go!

Konwojent szarpnął więźnia za ramię i obaj wyszli. Drzwi zamknęły się niemal bezszelestnie. Podczas krótkiej chwili, kiedy były otwarte, Nancy wydawało się, że z głębi budynku słyszy straszny, nieludzki krzyk. Nie była jednak tego pewna, może to rozogniona

wyobrażenia podpowiadała adekwatne do nastroju przesłuchania wrażenia słuchowe.

– Jak pani widzi, nie tylko wiemy dużo, ale mamy też spore możliwości. Zlokalizowanie inżyniera Raileya, a także przetransportowanie go z Ameryki do Warszawy, nie było proste. A jednak Railey stał przed panią naprawdę, cały i w zasadzie zdrowy. Od ponad dwóch tygodni współpracuje z nami. Można powiedzieć, że z własnej woli.

– Nie wierzę. Po co miałyby z wami współpracować? – Nancy czuła, że cała ta rozmowa ciągnie ją na skraj przepaści.

– Doszedł do przekonania, że leży to w jego najlepiej pojętym interesie – dodał Hahn. Małe oczka, osadzone w tłustej, nalanej twarzy, świdrowały Nancy z zainteresowaniem, jakby oceniając, czy jest już gotowa na przyjęcie jego propozycji. – W najlepiej pojętym interesie pani i pani rodziny jest, aby pani również z nami współpracowała. Ja sam jestem człowiekiem rodzinnym i wiem, ile rodzina znaczy w życiu ludzi. Niech pani nie naraża tego na szwank, bardzo proszę.

Nancy, przytłoczona lawinowo rozgrywającymi się wydarzeniami, drgnęła. Przypomniała sobie fotografię John’ego, słodkiego dwulatka, zostawionego pod dobrą, jak jej się jeszcze niedawno wydawało, opieką.

– Czego chcecie? – zapytała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Traktuję to pytanie jako zgodę na współpracę – powiedział Geibel i mrugnął do Hahna. Nancy nie była w stanie odpowiedzieć. – No dobrze. Gdzie znajduje się urządzenie do przenoszenia się w czasie?

Pstryk! Mur niewiedzy zaczął szybko wypełniać się kostkami informacji. Pewnik numer jeden: porwanie Scotta Raileya zostało dokonane przez niemiecki wywiad. Niemcy, czerpiąc wiedzę z jakiegoś tajemniczego źródła, zaaranżowali uprowadzenie Raileya razem z jego laptopem, po czym zmusili do współpracy. Pewnik numer dwa: obecność informatyka w Warszawie miała związek z MDS-em – amerykańską technologią z początku dwudziestego pierwszego wieku umożliwiającą stuprocentowo skuteczną ochronę własnych oddziałów przed dowolnym atakiem, a przede wszystkim skoki czasowe. Pewnik numer trzy: Niemcy już dysponują oprogramowaniem sterującym polem siłowym oraz wiedzą na temat patentu wymyślonego do spółki z Galasiem dotyczącym zasilania pola i całego systemu. Railey znajdował się w stanie wskazującym na to, że powiedział Niemcom wszystko, co wiedział. Pewnik numer cztery: Niemcom brakuje do kompletu tylko emitera pola siłowego. Jeżeli go zdobędą i zdołają uruchomić, jest prawdopodobne, że zadziała cały system.

Wolała nie myśleć, co dalej...

Było jednak jasne, że zaprzeczanie tylko pogorszy sytuację. Przez moment kalkulowała szanse.

– Emiter pola siłowego, jak i cały system, uległ zniszczeniu w czasie nalotu waszego lotnictwa we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku – powiedziała ostrożnie.

Geibel uśmiechnął się uprzejmie.

– Droga pani, niech pani nie będzie dziecinna. Nie przeprowadzalibyśmy pracochłonnej i ryzykownej operacji hm... skłonienia do współpracy inżyniera Raileya, gdybyśmy nie wiedzieli, że urządzenia systemu ocalały. Owszem, zniszczony został samochód, może także część maszyn, ale główne urządzenie przetrwało. Może mi pani wierzyć, wiem to z całą pewnością.

– Bomba trafiła prosto w ciężarówkę. Wszystkie urządzenia, komputery i główny element systemu zostały doszczętnie zniszczone.

– Bzdury!

– Nie. – Pokręciła głową, czując, że jest na dobrym tropie, a Niemiec porusza się po niepewnym gruncie. – Wiem to na pewno, bo objęłam dowództwo batalionu, po tym jak pułkownik Grobicki został ranny. Moi ludzie meldowali całkowite zniszczenie wozu i zawartości.

Zarówno Hahn, jak i Geibel kiwnęli głowami. Nancy leciutko się odprężyła.

– Co się stało z żołnierzami batalionu po nalocie?

Zdawała sobie sprawę, że musi mówić. Wiedza tych ludzi była zbyt wielka, aby zaprzeczanie miało jakiś sens. Przynajmniej na razie.

– Walczyliśmy dalej.

– Jak długo?

– Zaczęnie przez dwa dni. Obronnie – do końca miesiąca.

– I co dalej?

– Po wyczerpaniu zapasów część ludzi przeszła do Rumunii, a część walczyła dalej. O ile wiem, ta grupa udała się do Warszawy.

– Co się stało ze sprzętem i wyposażeniem batalionu?

– Został zniszczony w walkach lub przez obsługę.

– Chce nam pani powiedzieć, że nic nie ocalało?

– Według mojej wiedzy – nic.

Geibel schylił się pod biurko i wyciągnął jakiś podłużny przedmiot.

– Może mi pani w takim razie wyjaśnić, skąd to się wzięło? Miesiąc temu pod Warszawą ostrzelano nasz oddział pancerny. Kilka czołgów zostało rozprutych jak puszki konserw, ale jeden z pocisków nie wybuchł i został znaleziony przez naszych ludzi. Poznaje pani?

Oczywiście, że poznawała. Była to akumulacyjna głowica bojowa ręcznego granatnika przeciwpancernego o nazwie RPG-7, etatowej broni polskiej drużyny piechoty z roku dwa tysiące siódmego. Zgnieciona i zdeformowana, ale rozpoznawalna.

– Nie. Pierwszy raz w życiu widzę taki pocisk – powiedziała twardo i spojrzała Geiblowi prosto w oczy.

Gestapowiec westchnął. Chodzący po pokoju Hahn uśmiechnął się uprzejmie.

Nancy ponieważś zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Głowica do RPG jeszcze o niczym nie świadczyła. A ona powinna doskonale wiedzieć, co ma przed oczami.

– No cóż, naprawdę mieliśmy szczerą chęć skłonić panią do współpracy bez uciekania się do gwałtownych metod. Ale pani jest taka uparta... – Zawiesił głos, jakby chciał dać Nancy ostatnią szansę.

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Wynikało zresztą z kompletnej paniki.

– Spotkamy się niebawem ponownie. Sądzę, że musi pani przemyśleć pewne sprawy.

Geibel skinął głową. Stojący za Nancy gestapowiec szarpnął ją za ramię i zmusił do wstania. Otworzył drzwi i popchnął przed sobą. W korytarzu już nie było dywanu, każdy krok odbijał się nieprzyjemnym echem od ścian i sufitu.

Marsz nie trwał długo. Kilka pokoi dalej konwojent otworzył niczym niewyróżniające się drzwi i wepchnął Nancy do środka. Ten pokój był na przeciwnym biegunie w porównaniu z gabinetem Geibla. Surowe ściany, betonowa podłoga, biurko z maszyną do pisania, przy którym siedział bardzo młody Niemiec. Nancy przyszła do głowy idiotyczna myśl, że jest za młody, aby pracować.

Pod ścianą półka z różnego rodzaju narzędziami, których przeznaczenia Nancy w pierwszej chwili nie rozumiała. Maski gazowe z rurą ginącą w pochłaniaczu. Kilka rodzajów kajdanek. Stojak podobny do koziołka, na którym zwykle piliuje się drewno. I wystający ze ściany kran, zainstalowany na wysokości może pół metra nad podłogą.

Pośrodku pokoju stało dwóch potężnych Niemców w mundurowych spodniach i samych tylko koszulach. Obaj mieli podwinięte rękawy.

Nancy po chwili dopiero zauważyła, że zarówno ściany, jak i podłoga pokoju pochłapane są krwią. Wytarto ją co prawda, ale zrobiono to niestarannie lub w pośpiechu. Czerwonordzawe smugi ciągnęły się w różnych kierunkach.

Tłumacz stuknął ją w plecy i Nancy zrobiła krok do przodu. Popchnięte gwałtownie krzesło podcięło jej nogi. Usiadła ciężko.

– Witamy piękną panią. Za chwilę poznamy się bliżej – powiedział wyższy z Niemców.

Nancy zamknęła oczy i chociaż nie robiła tego od dzieciństwa, zaczęła się modlić.

2.

Obudziło mnie walenie do drzwi.

Spałem bardzo dobrze, choć łóżko nie było zbyt wygodne. Jednak wczoraj, po nieprzespanej nocy i dniu pełnym wrażeń, zamieniłem z przemiłą gospodynią dosłownie dwa grzecznościowe zdania i poszedłem spać. Tylko przez chwilę myślałem o czekającym mnie dniu, potem jednak zmęczenie wzięło górę.

Teraz z trudem wracałem do rzeczywistości.

Walenie powtórzyło się. Zerknąłem na zegarek: dziesiąta trzydzieści. Ależ pospałem!

Usłyszałem dobiegające z korytarza szybkie kroki gospodyni. Zapytała o coś, czego nie

zrozumiałem. Odpowiedzi nie było słychać.

Po chwili drzwi pokoju otworzyły się z hukiem.

– Mój Boże, panie Jerzy, Niemcy! – zawołała gospodyni z przestachem. Najwyraźniej nie była poinformowana o planowanej akcji.

– Niemcy? – zdziwiłem się, wczuwając się w rolę. – A cóż oni tu robią?

– Nie wiem. Niech pan się szybko ubiera. Muszę im otworzyć. Ma pan coś przy sobie?

– Co? – zapytałem głupio.

– Coś obciążającego – mówiła gorączkowo. – Broń, prasę...

– Nie mam nic takiego.

Wybiegła. Szybko wstałem i włożyłem spodnie. Walenie do drzwi nasiliło się.

Byłem już przy drugim bucie, gdy szczęknięt łańcuch, skrzypnęły otwierane drzwi wejściowe i w korytarzu rozległy się liczne kroki.

Nie zdążyłem nawet wstać, gdy do pokoju weszło czterech ludzi. Dwóch po cywilnemu, dwóch w mundurach. Żadnego z nich nie znałem. Wszyscy trzymali w rękach pistolety.

Nie było wśród nich rotmistrza Dużego.

– Jerzy Grobicki? – zapytał stojący na froncie człowiek.

– Tak. – Coś było nie w porządku. Żaden z tych facetów nie wyglądał na żołnierza Armii Krajowej, a akcja miała się zacząć za sześć godzin.

– Pójdzie pan z nami. – Mówił po polsku, ale z pewnością nie był Polakiem.

– Z jakiej racji?

– Jest pan aresztowany. Wstać!

Coraz mniej mi się to podobało, chociaż pomyślałem sobie, że być może tak to miało wyglądać. Może Wojtyński zarządził przesunięcie godziny przeprowadzenia akcji. Może zaszły jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Podniosłem się z łóżka. Stojący obok mojego rozmówcy facet obszukał mnie sprawnie, wyjął z kieszeni dokumenty, ściągnął zegarek z przegubu, po czym wyciągnął zza pazuchy kajdanki. Dałem się skuć, notując mimochodem, że założono je z przodu. Dawało to pewną, ograniczoną, ale zawsze, swobodę ruchów.

Przybysze zaczęli rozmawiać między sobą po niemiecku. Przyszło mi do głowy, że jak na jedną przerażoną kobiecie przedstawić jest aż nadto realistyczne. Ale może tak miało być: show must go on!

Wyszliśmy z mieszkania. Co ciekawe, gospodyni została w nim w towarzystwie dwóch ludzi z tej czwórki, która przyszła mnie aresztować. Bez słowa zeszliśmy na dół, eskorta uprzejmie, acz stanowczo kazała mi iść przodem.

Na podwórzu stało kilkunastu dalszych mundurowych, na moje niefachowe oko wojsko lub żandarmeria – charakterystyczne baniaste hełmy, pistolety maszynowe zawieszane na pasach, ale gotowe do strzału. Nie przypominałem sobie, aby moja grupa miała liczyć aż tylu ludzi.

Rotmistrza nadal nie było widać. Z okien oficyn ostrożnie wyglądały przestraszone twarze.

– A więc to jest słynny pan pułkownik Grobicki – powiedział facet niedbale oparty o samochód zaparkowany przy krawężniku. Jak całą resztę widziałem go pierwszy raz w życiu. Był młody – młodszy ode mnie – i przystojny, gładko wygolony. Miał na sobie szary mundur z esesmańskimi patkami na kołnierzu. Jego polszczyzna była fatalna i zdradzała obce pochodzenie. – Witamy. Małżonka nie może się doczekać spotkania.

Zmroziło mnie w ułamku sekundy. Do towarzyszącego mi od pewnego czasu strachu doszło jeszcze poczucie nieuchronnej porażki. Niniejszym tak starannie planowana akcja wzięła właśnie w łeb.

To było prawdziwe aresztowanie i prawdziwi Niemcy. Mieli znane tylko kilku osobom informacje.

Jakim sposobem gestapo weszło w ich posiadanie?

Rozejrzałem się dookoła. Cała ulica obstawiona była wojskiem i policją.

– Czekamy jeszcze na kogoś? – zapytał uprzejmie mój rozmówca. Gdy popatrzyłem na niego w milczeniu, rzucił ostro: – Do samochodu!

Otworzył drzwi, a ja usiadłem na tylnym siedzeniu. Oficer zajął miejsce z przodu i ruszyliśmy. Wysokie pięciopiętrowe kamienice migały za oknem, samochód podskakiwał na nierównościach wybrukowanej kamienną kostką jezdni.

– Pewnie nie może się pan doczekać spotkania z żoną, co? – zapytał uprzejmie.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparłem w końcu. Zupełnie nie miałem pojęcia, jak to rozegrać. Jedno było pewne – mogłem liczyć tylko na siebie. Żołądek zaczął fikać znane mi już koziółki, jednak miałem wrażenie, że ich częstotliwość wzrosła dwukrotnie.

– Ależ drogi pułkowniku, obaj wiemy, że pan wie doskonale. – Roześmiał się wesoło, a do koziółków w żołądku dołączyły setki lodowatych mrówek spacerujących po kręgosłupie. – Nazywam się Alfred Spilker i jestem dowódcą specjalnego oddziału gestapo do zwalczania waszego podziemia. Gdyby pan trochę lepiej orientował się w warszawskich realiach, wiedziałby pan, że ja zawsze wiem, co mówię. Jest pan podpułkownikiem Wojska Polskiego, pana żona jest Amerykanką i nazywa się Nancy Grobicki, a ostatnich pięć lat spędziliście w Stanach Zjednoczonych. W San Antonio, o ile się nie mylę.

Szach-mat. Facet najwyraźniej przestudiował starannie moje CV. Tyle tylko, że takie CV nie istniało. Musiał je sam posklejać z różnych kawałków, których z pewnością nie znalazł w internecie.

Wjechaliśmy na plac Trzech Krzyży, samochód zakołysał się na szynach tramwajowych i skręcił w Aleje Ujazdowskie. Za oknem przesuwwały się eleganckie, stylowe budynki. Klasycystyczne pałacyki, niewysokie kamienice, kościół. Ta ulica przed wojną musiała mieć niezwykle reprezentacyjny charakter. Nadal zresztą miała.

Minęliśmy kilka posterunków wojskowych. Niestety, żołnierze wyglądali na

prawdziwych dobrych Niemców, a nie na ludzi Wojtyńskiego.

– Widzę, że się pan rozgląda. Liczy pan na pomoc? Bez obawy, do wybuchu tego waszego śmiesznego powstania jest jeszcze parę godzin, zdążymy pogawędzić.

Oderwałem wzrok od szyby i popatrzyłem na niego z uwagą. Wydarzenia następowały zbyt szybko, a facet wiedział zbyt dużo. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że mam do czynienia z największym asem niemieckich sił bezpieczeństwa w Warszawie, człowiekiem, którego wiedza na temat podziemia była niemalże kompletna, a jeżeli któryś z ważnych żołnierzy konspiracji nie został jeszcze przez Sonderkommando naszego szanownego Hauptsturmführera aresztowany, znaczyło to tylko, że Hauptsturmführer miał wobec niego inne plany.

Słowem, inteligentny i przebiegły bandzior.

– Nie liczę na pomoc. Nic nie wiem o żadnym powstaniu. Jestem obywatelem amerykańskim.

– Oczywiście – przytaknął. – A przyjechał pan na wakacje. Nawiasem mówiąc, z pana nową ojczyzną też prowadzimy wojnę, zauważył pan?

– Zwłaszcza od szóstego czerwca. Nawet świetnie wam idzie.

– Widzę, że odzyskał pan bystrość umysłu. To doskonale. Będzie panu potrzebna. Już niedługo.

Nie brzmiało to dobrze, ale jego uwaga musiała zostać bez odpowiedzi, bo przyjechaliśmy na miejsce.

Pamiętałem ten budynek sprzed wojny – chodzi o rok dwa tysiące siódmy, rzecz jasna – i już wtedy robił na mnie ponure wrażenie. Mieściło się w nim Ministerstwo Edukacji Narodowej. Wysoki parter, trzy pełne kondygnacje, kamienna, jasnopiaskowa elewacja i gigantyczne, ciągnące się na wiele metrów do góry klasycystyczne kolumny obramowujące wejście. Zwieszały się na nich, umocowane na samej górze, krwistoczerwone szerokie szarfy z białym kołem i swastyką pośrodku.

Samochody zatrzymały się przed wejściem. Otwarto drzwi. Wsiadłem.

Przeszliśmy szeroką bramą. Za nią znajdował się dziedziniec, budynek otaczał go z trzech stron. Zrobiłem krok, ale Spilker przytrzymał mnie za ramię.

– Pan na razie na dół, panie pułkowniku – powiedział. – Zdąży pan zwiedzić gabinety, obiecuję.

Kierowca poszedł przodem i tuż za bramą skręcił w lewo. Doszliśmy do masywnych, dwuskrzydłowych drzwi. Kierowca je otworzył. Po kilkunastu stopniach znaleźliśmy się pod poziomem gruntu.

Pomieszczenie było małe i oświetlone słabą żarówką. Po prawej ciągnął się wąski i długi korytarzyk z szeregiem drzwi. Zakończony był ścianą z niewielkim okienkiem pośrodku.

W głębi pomieszczenia grało radio. Bardzo głośno. Słowa jakiejś marszowej niemieckiej piosenki wbijały się w mózg prawie tak samo boleśnie, jak słowa gestapowca w samochodzie.

– Wachmeister! – ryknął kierowca, starając się przekrzyczeć muzykę.

Okienko na końcu korytarza otworzyło się i wyjrzała z niego znudzona twarz kolejnego Niemca.

– Kommen Sie! – krzyknął.

Kierowca dał znak i poszliśmy następnym korytarzykiem idącym równolegle do tego pierwszego. Pomieszczenie z okienkiem okazało się pokojem strażników. Biurko, maszyna do pisania, czarny ebonitowy telefon, portret wodza na ścianie. Szafka z aktami poniżej portretu. W pokoju panował nieludzki wręcz porządek.

Kierowca pewnie dał strażnikowi jakiś znak, bo ten najwyraźniej zrezygnował z rytualnych formalności, zdjął ze ściany jeden z kluczy i kiwnął głową. Małym przejściem weszliśmy do wąskiego korytarzyka, który zauważyłem od razu po wejściu do tych złowieszczych podziemi.

Strażnik otworzył drugie drzwi z rzędu i gestem pokazał mi, abym się nie krępował.

Pomieszczenie było małe, jakieś półtora metra na dwa i pół. Wyposażenie stanowiło stalowe łóżko z cieniutkim siennikiem, maleńkie okno na przeciwległej ścianie, kubel na nieczystości pod spodem – i to w zasadzie tyle.

Sporo przeżyłem w ostatnim czasie. Strzelano do mnie, wpadłem w kocioł, w którym, jak sądziłem, miałem zostać na zawsze, straciłem przyjaciela, byłem świadkiem budzącego grozę nalotu sowieckich szturmowców na most na Pilicy. Jednak gdy zobaczyłem maleńką celę z szarymi, odrapanymi ścianami, pomyślałem, że wszystko, co do tej pory się wydarzyło, było tylko niewinnym wstępem do tego, co mnie czeka.

Z drugiej strony – paradoksalnie – osiągnąłem cel. Znalazłem się bardzo blisko Nancy. W zupełnie innych okolicznościach, niż to sobie wyobrażałem wczoraj, ale jednak.

Zrobiłem krok do przodu i stalowe drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem. Zgrzyt przesuwanej zasuwy wybrzmiewał jeszcze przez chwilę, po czym zapadła cisza.

3.

– Jasiu, wstawaj!

– Śpię.

– Wstawaj!

– Przecież mówię, że śpię.

– Przecież mówię, że wstawaj!

– Zajęty jestem.

– Rusz dupę, do cholery! Awaria jest!

Wieteska otworzył oczy. Rozalka spała wtulona w jego bok, po drugiej stronie nieprzytomnym wzrokiem toczył Galaś. Kapitan spojrział na zegarek: było dwadzieścia po

jedenastej.

Kurcewicz przestał potrząsać go za ramię, ale przyglądał się mu z rosnącą niecierpliwością.

Cała noc – kiedy kładli się na spoczynek na improwizowanych pod gołym niebem legowiskach, było już zupełnie jasno – zeszła na planowaniu, przygotowaniach do akcji oraz przenosinach bazy. Wieteska wściekł się, gdy Wojtyński o północy rozkazał zwinąć obóz i przenieść się w inne, oddalone o kilka kilometrów miejsce. Jednak major nie zamierzał dyskutować – zarządzenia zostały wydane, po czym cały oddział szybko i sprawnie zmienił lokalizację. Nikt nie zwrócił uwagi na kaprała Galasia, który zniknął ze starego obozu na piętnaście minut. Dołączył do reszty, kiedy ostatnie wozy bojowe i ciężarówki już prawie zniknęły w mrokach nocy.

Wszystko to sprawiło, że położyli się spać grubo po piątej rano.

Kapitan podniósł się z trudem i stanął przed Kurcewiczem. W obozie wrzała gorączkowa praca – część żołnierzy znowu przebrana była w niemieckie mundury.

– No, co jest?

– Są dwie wiadomości. Obie złe. Którą chcesz najpierw?

– Tę złą.

– Aha. No więc Niemcy zrobili obławę na nasze poprzednie miejsce postoju.

Wieteska spojrzał krzywo i ziewnął.

– Cholernie frustrujące. Pomyśl, co by było, gdybyśmy nie zmienili lokalizacji. Trzeba by przerywać sen albo jeszcze co innego... – Spojrzał z czułością na Rozalkę.

– Johny, to poważna sprawa. Szkopy musiały o nas wiedzieć.

– To dla mnie nic nowego. W niektórych kręgach jestem szalenie popularny. – Wieteska zaczął cesać się wyciągniętym z kieszeni grzebieniem. – A ten drugi news?

– Jurek został aresztowany.

– Też mi wiadomość. Przecież miał być aresztowany.

– Zobacz, która godzina. Show miał nastąpić parę minut po czwartej, a jeszcze nie ma dwunastej. Nie. Sęk w tym, że Jerzego aresztowali Niemcy i zawieźli na gestapo.

Wieteska zamarł z grzebieniem wetkniętym we włosy.

– Skąd wiesz?

– Od Wojtyńskiego. Chodź, bierzmy Galasia i idziemy na odprawę.

Poszli w stronę niewielkiej drewnianej stodołki, pełniącej tymczasowo funkcję miejsca stacjonowania dowództwa batalionu. Niedawny rozkaz musiał postawić żołnierzy w stan alarmu, bo część z nich, objuczona bronią i zapasową amunicją, odeszła zając stanowiska dodatkowo ubezpieczające obozowisko. Reszta szykowała się do odjazdu.

Kurcewicz pchnął wrota. Gdy wszedł do środka, pomyślał, że dawno nie widział czegoś tak surrealistycznego.

Drewniany budynek wyglądał z zewnątrz jak najzwyklejsza stodoła, pozostałość po

znajdującym się tu kiedyś gospodarstwie. W środku, pod dwiema ścianami, zamontowano parę piętrowych prycz. Pod następną ścianą stała ogromna tablica z zawieszoną na niej szczegółową mapą Warszawy. Dokładność sztabówki i precyzja wykonania detali były zdumiewające. Każdy dom miał swoją numerację, łącznie z adnotacją, czy jest drewniany, czy murowany. Starannie zaznaczono również wszystkie parki i skwery, a także przebieg kanałów. Obok mapy – centrum łączności. Sporych rozmiarów radiostacja z grubym kablem ginaącym gdzieś na stryszku. Generator prądu. Kilka par słuchawek z nowoczesnymi, zawieszonym na wysięgnikach mikrofonami. Pośrodku stół z dziesiątkami szkiców i planów.

Dookoła stołu, oprócz Wojtyńskiego, stało kilku oficerów, znanych Kurcewiczowi i Wietesce jeszcze z czasów funkcjonowania Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego.

Wojtyński skinął głową przybyłym i swoim zwyczajem, bez żadnych wstępów, zaczął odprawę:

– Mamy mało czasu. Sytuacja się zmieniła. Niemcy odkryli naszą poprzednią bazę. – Mimo powagi sytuacji major uśmiechnął się lekko, a część spośród zgromadzonych odpowiedziała takimi samymi półuśmieszkami. – Obyło się bez strat, niemniej jednak węższą po okolicy. Dochodzi dwunasta, według planu mieliśmy wyruszyć najwcześniej o trzeciej. Jednak nie chcę się uwikłać w walki obronne, w razie gdyby Niemcy nas tu odkryli. Dlatego zwiniemy bazę i ruszymy zaraz. Przerzucimy oddział kapitana Kurcewicza do Lasu Kabackiego, w okolice Pyr. Stamtąd do Służewca są trzy kilometry. Reszta grup wykona swoje zadania zgodnie z wczorajszymi rozkazami. Ja pojadę do miasta, do rejonu koncentracji trzeciej kompanii.

– Co się stało z pułkownikiem? – zapytał Wieteska, nie zwracając sobie na razie głowy sytuacją strategiczną.

– Został aresztowany.

– Przecież to miało się stać dopiero za parę godzin.

Wojtyński milczał przez chwilę, jakby oceniając, ile może im powiedzieć.

– Nastąpił przeciek...

Wieteska zerknął na Kurcewicza i podniósł pytająco brwi.

– Przeciek?

– Ktoś doniósł.

– Rozumiem, co to jest przeciek. – Wieteska prowadził tę rozmowę całkiem spokojnie, jeżeli wziąć pod uwagę, że gotował się w środku. – Jakim cudem ktoś mógł donieść? Przecież Grobicki był pod opieką pana ludzi, którzy mieli dowieźć go na kwaterę.

– Wyjaśniam to. Być może szpicel, który znajduje się w kamienicy przy Hożej, wyczuł coś i rutynowo zawiadomił swoich szefów. W każdym razie mam informację, że pułkownik Grobicki został aresztowany przez gestapo, i to przez najniebezpieczniejszego z naszych przeciwników, Hauptsturmführera Spilkera. To stary wyjadacz, ma przeważnie bardzo dobre

wiadomości.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Mam w tej okolicy swojego obserwatora wyposażonego w środki łączności. Jego zadaniem było zapewnienie dyskretnej ochrony pułkownikowi Grobickiemu.

– I zapewnił, nie ma co. – Wieteska pokręcił głową.

– Robił, co mógł. Przekazał wiadomość.

Zapadło milczenie.

– Czyli, o ile dobrze rozumiem, cały plan wziął w łeb. Pułkownik jest w rękach gestapo i Bóg wie, co z nim teraz robią. Mogą go skonfrontować z Nancy. Biorąc pod uwagę wszystkie przedziwne zbiegi okoliczności, z którymi mamy ostatnio do czynienia, pewnie to zrobią. A my, nie mając Grobickiego, straciliśmy pretekst, by wjechać na teren dzielnicy niemieckiej.

– Wszystko odbędzie się według wczorajszych założeń, tyle że grupa mająca eskortować Grobickiego dołączy do ochrony Schellenberga. Zadania pana oddziału pozostają bez zmian.

– A skąd pan wie, że cała akcja będzie dla Niemców zaskoczeniem? Przecież mogą wyciągnąć od pułkownika, co wie.

– Niewiele wie. Właśnie dlatego przedstawiłem w jego obecności przebieg akcji nieco inaczej, niż to będzie miało miejsce w rzeczywistości.

– Czuję, że musimy się pośpieszyć. Przecież wszyscy wiemy, co oni oboje tam teraz przeżywają – odezwał się Kurcewicz. Po raz pierwszy widać było po nim zmęczenie.

– Sprawy zaszły za daleko, abyśmy zmieniali godzinę uderzenia. Tylko zgranie w czasie i jednoczesny atak dają szansę na sukces.

– Ale...

– Nie ma takiej możliwości. Koniec dyskusji.

Zarówno Kurcewicz, jak i Wieteska zdawali sobie sprawę, że major ma rację. Tym samym przyznali, że przyjaciel i dowódca będzie przez parę godzin zdany na własne siły. I tych parę godzin może go kosztować życie.

– Dobrze. Jeszcze dwie sprawy. Zdecydowałem, że pani Rozalka nie weźmie udziału w akcji w kasynie. Otrzymałem informację, że przekupiony pracownik kasyna dzisiaj rano wniósł na teren budynku zarówno ładunek wybuchowy, jak i zapalniki. Obecność pani Rozalki jest zbędna, co, jak rozumiem, ucieszy pana, kapitanie. Druga sprawa: ciężarówka z emiterem i resztą sprzętu w walce nie jest wam potrzebna. Raczej będzie tylko przeszkadzać. Proponuję, aby pani Rozalka razem z obstawą i ciężarówką udała się niezwłocznie do Warszawy, do lokalu konspiracyjnego na Mokotowie. Od razu uprzedzam wątpliwości: jest to miejsce świetnie zamaskowane i chronione, ma potężne piwnice, w razie czego wystarczające do przeczekania ostrzału czy nalotu. Przez pięć lat Niemcy nie odkryli jego istnienia. Jeżeli chcecie, kapral Galaś może jechać także jako dodatkowa ochrona. Samochód i dokumenty czekają. Czy to wam odpowiada?

Obaj kapitanowie wymienili spojrzenia. Znali się tak dobrze, że nie trzeba było słów.

Przysłuchujący się rozmowie Galaś skinął głową.

– Tak – powiedział w imieniu wszystkich Wieteska. – Nie mamy wyjścia.

Nie uważał, że wjazd Rozalki i emitera do Warszawy w sytuacji, kiedy za kilka godzin zaczną się walki, jest najlepszym pomysłem, ale za nic nie zgodziłby się na inne rozwiązanie. Chciał mieć dziewczynę jak najbliżej siebie, nawet jeżeli wiązało się to z niebezpieczeństwem utraty możliwości szybkiego opuszczenia miasta po akcji.

Wojtyński nie skomentował tego ani słowem.

– Oddział kapitana Wieteski wyruszy piętnaście minut później. Nie śpieszcie się. Po drodze możecie symulować na przykład awarię. Stanowiska na placu Na Rozdrożu zajmiecie około szesnastej. Jako zastępcę dodam panu porucznika Wiecheckiego. – Jeden ze stojących przy stole oficerów nieznacznie skinął głową. W trzydziestym dziewiątym był operatorem w plutonie Wojtyńskiego i bodajże miał stopień sierżanta. – Zna realia, zna miasto, zna zwyczaje Niemców, mówi po niemiecku. Będzie dla pana pomocą. Formalnie wystąpi jako dowódca grupy, gdyby przyszło się tłumaczyć jakimś posterunkom kontrolnym. Ja zresztą zabiorę się z wami do Warszawy. Grupa kapitana Kurcewicz wyruszy za czterdzieści minut. Mam nadzieję, że Niemcy do tej pory na nas nie wpadną. Czy ktoś chce o coś zapytać?

Ponieważ wszystko było jasne, odprawa dobiegła końca.

– Wojteczku, mamy poważny problem – powiedział cichym głosem Wieteska, gdy wyszli przed stodołę i przez chwilę zostali sami.

– Wiem. Mamy parę poważnych problemów. – Kurcewicz skinął głową.

– Tym razem mam na myśli ten cholerny emiter.

– Galaś, masz przy sobie te części?

– Tak.

– Dobrze. Nie rozstawaj się z nimi.

Galaś skinął głową, a Kurcewicz mówił dalej:

– Wojtyński ma rację, nie możemy ciągnąć emitera w sam środek walki. Na pewno nie chciałbym, żeby wpadł w ręce Niemców. Z drugiej strony może cała ta heca ma na celu przejęcie emitera przez ludzi Wojtyńskiego...

– Wpadło mi to do głowy – przytaknął Wieteska, patrząc bystro na Kurcewicza. Przyzwyczał się już do tego, że kapitan, skryty non stop za parawanem obojętności, ma w mózgu na stałe włączony przełącznik z napisem „pracuj”. – A więc obaj wiemy, że wzięcie go w tej sytuacji do Warszawy jest idiotyzmem...

– Takim samym jak zostawienie go Bóg wie gdzie pod opieką kaprała i Rozalki. Już nie mówiąc o tym, że po prostu możemy przegrać walkę i emiter wpadnie w ręce Niemców.

– Przed tym się można zabezpieczyć. Galaś zaminuje ciężarówkę i będzie miał w kieszeni detonator.

Galaś powtórnie skinął głową.

– Melduję posłusznie, że tak jest.

– Kapralu... – zaczął Wieteska.

– Nie musi pan nic mówić, panie kapitanie. Będę jej pilnował jak oka w głowie.

– Jak obu oczu.

– Jak obu oczu. Włos jej z głowy nie spadnie.

Kapitan popatrzył na niego. Kapral był w zupełnie nietypowy dla siebie sposób poważny, wręcz uroczysty.

– Miej na nasłuchu radiostację. Spróbujemy się z tobą połączyć o ósmej wieczorem. Jeżeli się nie uda, o każdej parzystej, aż do skutku. Jeżeli odbijemy pułkownika i jego żonę, uzgodnimy, w jaki sposób wycofamy się z Warszawy. W razie awarii ty dzwoń do nas. Pasma znasz...

– Tak jest.

Popatrzyli na nadchodzącą Rozalkę.

– Jeszcze kilka dni temu nigdy bym nie uwierzył, że mi się to przydarzy – mruknął Wieteska. – Powstanie warszawskie, psiakrew. Niewiele pamiętam z historii, ale zdaje się, że tu było takie bum, bum, że o Jezus Maria!

– Nie było, ale będzie bum, bum. Jesteśmy tu i teraz, nasza przeszłość nie ma znaczenia. Ja też trochę nie wierzę. Z tym że w dwa tysiące siódmym i trzydziestym dziewiątym także nie wierzyłem, co nie zmieniło sytuacji ani o włos.

– Taka nasza karma.

– Miłośnik New Age się znalazł, psiakrew!

– Zdenerwowałeś się?

– A ty nie?

– Ja mam gacie pełne strachu.

– To jest nas dwóch.

– Trzech – dodał Galaś.

4.

Gdy minie wstrząs przerażenia po aresztowaniu i pierwszym badaniu i gdy na trzeźwo można zważyć swą sytuację, wówczas zaczyna się myśleć o śmierci jak o czymś nieuchronnym i niezbędnym po wyjściu z obecnej sytuacji. Najpierw myśl ta przeraża i nie można się z nią pogodzić. Potem przychodzi zobojętnienie. Zaczyna się analizować istotę śmierci i dochodzi do wniosku, że nie jest ona wcale straszną. Pozostaje teraz głęboki żal po tym, co się zostawia. Przychodzi troska o tych najbliższych, najukochańszych. Lecz znów się na trzeźwo dochodzi do wniosku, że pomóc im już w niczym nie można. Zaczyna się pogrążanie w apatii, która z wolna przekształca się w abnegację. Myśli się o śmierci coraz życzliwiej, jak o czymś, co

zakończy cierpienie. Zaczyna się bratanie ze śmiercią i przeżywanie jej w fantazji. Jest się przygotowanym psychicznie. W człowieku broni się jeszcze zwierzę. Boi się ono nie tyle śmierci jako niebytu, ile cierpienia konania. Boi się prowadzenia na miejsce egzekucji. Marzy o celnym strzale, by skon był natychmiastowy. I tu musi być ostatni, lecz olbrzymi wysiłek Woli człowieka, by to zwierzę do końca utrzymać na wodzy i nie skompromitować się, a ginąć z godnością.

Orlik 10 VI 1944

Napis, wydrapany na ścianie celi ostrym narzędziem, był dobrze widoczny. Zdążyłem go już przeczytać kilkanaście razy. Z każdego słowa przebijała rozpacz, ale i spokojna determinacja. Autor pogodził się z własnym losem i tym, co nieuniknione, jednak bez uginania karku.

Duma.

Odwaga.

Hart ducha.

Orliku. Byłeś niezwykle dzielny człowiekiem.

Chciałbym być taki jak ty.

Sekundy wlokły się niczym minuty, minuty urastały do godzin. Czas dłużył się w nieskończoność. Marszowa muzyka na korytarzu ryczała ogłuszająco. W małym pomieszczeniu nie było możliwości ucieczki przed natrętnym rykiem i natrętymi myślami.

Niemal z ulgą przyjąłem zgrzyt klucza w zamku. W drzwiach ukazał się strażnik. Muzyka z radia wdarła się do celi i na dobre zawładnęła moim mózgiem.

Zabrano mi zegarek, ale nie był to jakiś specjalny problem. Moje wyczucie czasu – miałem taką cechę, że potrafiłem bez zegarka i patrzenia na słońce określić porę dnia i nocy z dokładnością do pięciu minut – podpowiadało, że od zamknięcia w celi minęły równo dwie godziny. Aresztowanie nastąpiło o wpół do jedenastej, na Szucha wyładowałem czterdzieści minut później. Było zatem parę minut po pierwszej po południu pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Skrzywiłem się. Słuchając własnych myśli, odniosłem nieodparte wrażenie, iż ostatnie stwierdzenie zabrzmiało jak data wykonania egzekucji. A byłem jak najdalszy od stania się złym prorokiem we własnej sprawie.

Ponieważ w celi nie zdjęto mi kajdanek, strażnik nie musiał się fatygować z zakładaniem ich, w związku z czym przygotowania do opuszczenia tego uroczego miejsca nie zajęły wiele czasu. Otaksowałem gestapowca wzrokiem. Niższy ode mnie o dobre pół głowy, wyraz twarzy tępy i brutalny. Nie wyglądał na faceta, któremu robi jakąkolwiek różnicę, czy żyję, czy nie. Jeżeli którykolwiek z jego podopiecznych miałby w tym podziemiu wyzionąć w mękach ducha – dla niego będzie to tylko problem wykreślenia z kartoteki. W końcu Ordnung muss sein. Czy jakoś tak.

– Raus! – warknął strażnik, co jako miłośnik wojennych filmów zrozumiałem bez pudła i wziąłem za zachętę do opuszczenia mojego lokum. Po przekroczeniu drzwi popchnął mnie tak mocno w plecy, że omal nie uderzyłem twarzą w przeciwległą ścianę. Zresztą sędzę, że taki miał zamiar – na jego twarzy odbiło się wyraźne rozczarowanie, że się nie udało. Ja ze swej strony oceniłem, że pomimo kajdanek mógłbym mu skrócić kark jednym ruchem. Jednak nawet zakładając, że facet ma w kieszeni kluczyk, a ja byłbym na tyle szybki, by się rozkuć i uzbroić w przytroczony do pasa strażnika pistolet, zanim nadbiegnie kolega rezydujący w wartowni, doszedłem do wniosku, że sterroryzowanie tych palantów na dole nic mi nie da. Nie ma żadnej gwarancji, że więcej Niemców nie urzęduje gdzieś za załomem korytarza. Nie ma żadnej gwarancji, że nawet jeżeli zdobyłbym klucze do cel – a było ich dziesięć – w którejś z nich znajdę Nancy.

Musiałem niestety zaryzykować i pozwolić się zaprowadzić w nieznane. Liczyłem na to, że Wojtyński, pomimo załamania się części planu, reszty ustaleń będzie się trzymał bez zmian i zaatakuję o piątej.

Musiałem zatem za wszelką cenę utrzymać się przy życiu do godziny W.

Poszliśmy korytarzem w prawo. Dołączył drugi strażnik, równie mało fotogeniczny jak pierwszy. Minąłem wartownię, po niej cztery większe cele z ażurowymi, okratowanymi drzwiami. Przechodząc, zdażyłem zauważyć, że krzesła stojące w dwóch rzędach ustawione są tyłem do drzwi. Siedziało na nich kilku aresztantów. Wpatrywali się w ścianę i nie odzywali się ani słowem.

Ulgę sprawił mi fakt, że za kolejnym rogiem ucichła w końcu ta cholerna marszowa muzyka.

Poszliśmy schodami w górę, po czym trafiliśmy do obszernego holu, sprawiającego wrażenie centralnej części budynku, tuż przy głównym wejściu. Panował spory ruch, ale, co zabawne, miałem wrażenie, że chociaż większość ludzi była umundurowana, znajduję się w zwykłym urzędzie. Połowa biegła z zaaferowanymi minami, większość trzymała w rękach jakieś papiery. Typowy obrazek przedstawiający biurokratów przy pracy.

Usłyszałem głośny krzyk, a potem odgłos razów i znowu krzyk przechodzący w zawodzenie i pełen bólu jęk.

Lodowate mrówki ponownie podjęły galopadę po moim kręgosłupie. Żołądek precyzyjnie przeszył się przez gardło.

Krzyczącym był mężczyzna, co w głębokich podkładach podświadomości przyjąłem z pełną grozy ulgą.

Dwóch osiłków, ubranych tylko w mundurowe spodnie i koszule, ciągnęło za nogi więźnia. Ponieważ razem z moimi eskortantami stałem u podnóża schodów, widziałem wszystko bardzo dokładnie. Tamci schodzili z pierwszego piętra, najwyraźniej zmierzając w odwrotną niż my stronę. Głowa mężczyzny bezwładnie odbijała się od schodów, wydając za każdym razem głuchy, mrozący krew w żyłach stukot. Więzień ciągnął za sobą długą smugę

krwi, jego twarz była całkowicie nierozpoznawalna i stanowiła jedną wielką ranę krwawiącą w kilku miejscach. Musiał stracić przytomność, bo już nie krzyczał.

Gdy ciągnący aresztanta przeszli obok mnie, jeden z moich strażników znów pchnął mnie w plecy i poszliśmy na górę. W uszach jeszcze długo wybrzmiewał rozpaczliwy krzyk katowanego.

Ciągnący we wszystkie strony urzędnicy i funkcjonariusze nie zwrócili na epizod żadnej uwagi. Takie sprawy najwyraźniej należały do codziennej, nudnej rutyny.

Poziom adrenaliny w moim organizmie zaczął się bardzo szybko podnosić. Ponieważ kilkakrotnie przeżyłem sytuację, kiedy osiągnął punkt krytyczny, czy jak kto woli maksymalny, byłem bardzo ciekaw, co się dalej stanie. W tych poprzednich wypadkach przyczyna, która spowodowała skok adrenaliny, miała zawsze podobny skutek – tsunami, wybuch bomby atomowej, ruch płyt tektonicznych. Do wyboru, do koloru.

Miałem przy tym pewność, że dzisiejsza sytuacja przerośnie wszystko, czego do tej pory doświadczyłem. Towarzyszyła mi przy tym nieśmiała nadzieja, że także moi oponenci odczują to w sposób szczególny.

O ile dożyję momentu, bym mógł zaprezentować się w pełnej krasie.

Weszliśmy na pierwsze piętro. Długi korytarz, dębowy parkiet, dywan tłumiący kroki. Ściany pomalowane na białe.

Strażnik zapukał do niewyróżniających się niczym szczególnym drzwi, wszedł, zameldował coś donośnym głosem, z wewnątrz dobiegło zachęcające warknięcie, po czym drugi wepchnął mnie do środka.

Pokój miał najwyraźniej robić na więźniach odpowiednie wrażenie, niczym w średniowieczu gotyckie katedry udowadniające wiernym, że wobec Boga są zaledwie drobnymi pyłkami. I robił. Gabinet był bardzo duży i urządzony z przepychem. Na podłodze, na eleganckim, dębowym parkiecie leżał ogromny drogi dywan, zajmujący prawie całą przestrzeń pomiędzy drzwiami a wielkim, stojącym w centralnej części pokoju biurkiem. Pod ścianą znacznie mniejsze biurko, na nim maszyna do pisania z wkręconym arkuszem śnieżnobiałego papieru. Cztery zwieszające się z wysokiego sufitu lampy oślepiające żółtawym, mocnym światłem.

Nie miałem rzecz jasna pojęcia, że Nancy, która była w tym pomieszczeniu kilka godzin wcześniej, niemal identycznie odebrała rozmiar i umeblowanie gabinetu. Jako przytłaczające. Już dawno temu zauważyliśmy, że na wiele rzeczy reagujemy identycznie.

W pokoju, poza mikrym protokołantem schylonym przy maszynie, znajdował się znany mi już Hauptsturmführer Spilker oraz dwóch innych gestapowskich notabli. Sądząc po wykładanych srebrem wymyślnych dystynkcjach na kołnierzach – wysoko postawionych. Jeden niższy, łysiejący, o ostrym spojrzeniu, sprawiający wrażenie szefa, oraz wyższy, o nalanej, okrągłej, odpychającej twarzy i małych, świdrujących oczkach. Jeśli o szefie można by pewnie powiedzieć, że jest zwyczajnym, wysokim rangą oficerem sił zbrojnych, na

przykład w randze pułkownika lub generała majora, to z postaci wyższego biły brutalność, zwierzęcy spryt i fanatyzm.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że wszyscy trzej stanowią śmiertelne zagrożenie.

Od ściany oderwał się kolejny uczestnik naszej konferencji, niepozorny człeczyna ubrany po cywilnemu, podszedł do mnie i zapytał bezbłędnie akcentowaną polszczyzną:

– Witamy pana pułkownika. Może zechce pan spocząć?

Spodziewałem się, że będą walić od razu bykowcem, więc pytanie zaskoczyło mnie. Ale facet wyraźnie wskazał na stojące przed biurkiem krzesło, nie miałem zatem zamiaru się ociągać.

– Z chęcią, dziękuję. – Usiadłem.

Siedzący za biurkiem szef ruchem, który jednoznacznie skojarzył mi się z agentem Smithem przesłuchującym Neo, otworzył trzymaną w rękę kartonową teczkę i zaczął czytać cichym, monotonnym głosem. Niepozorny facecik, który mnie przywitał i zaprosił do siadania, tłumaczył twarde, niemieckie słowa na polski, a ja miałem wrażenie, że śnię.

– Podpułkownik Jerzy Grobicki, urodzony drugiego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Ostatni awans: trzydziesty pierwszy sierpnia dwa tysiące siódmego roku. Dowódca Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, przeznaczonego do wysłania do Afganistanu na tak zwaną misję stabilizacyjną. Przeniesiony w czasie, batalion pojawia się wieczorem pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku na zapleczu korpusu pancernego generała Hoeppnera i na rozkaz pułkownika Grobickiego atakuje tenże korpus i rozbija go, co uniemożliwia naszą ofensywę na tym odcinku frontu. Skład batalionu to szesnaście czołgów PT91M1 twardy, klucz tak zwanych śmigłowców, kompania piechoty na transporterach opancerzonych rosomak, dywizjon artylerii, w tym bateria artylerii raketowej, pododdziały specjalne, kwatermistrzostwo i tak dalej. Sporo kłopotu nam pan wtedy narobił, drogi panie pułkowniku Grobicki.

Zamilkł, ale ponieważ nie padło żadne pytanie, postanowiłem się nie odzywać. Zacząłem się powoli przyzwyczajać do myśli, że ci ludzie wiedzą o mnie wszystko i że to, co się tu dzieje, jest prawdą. Pomyślałem o inskrypcji wydrapanej w celi na dole, o Orliku, moim bracie w niedoli, i to wspomnienie nie natchnęło mnie otuchą.

– Jak pan widzi, wiemy sporo.

Pomimo że nadal nie padło żadne pytanie, zdecydowałem się wypuścić balon próbny.

– W istocie nazywam się Jerzy Grobicki – wydobyłem z siebie głos tak ochrypły, jakbym ostatnią noc spędził na śpiewaniu standardów bluesowych prosto z delty Missisipi, ostro wspomagając się wszelkiego rodzaju dopalaczami. – Ale nie mam nic wspólnego z wydarzeniami, o których pan mówi.

– Drogi panie, nie traćmy czasu. Wszyscy wiemy, że to, co przed chwilą zostało powiedziane, jest prawdą. Pana żona uznała bardzo szybko, że nie warto zaprzeczać.

Drgnąłem. Cios był zadany celnie. Uczestnicy spotkania – poza mną, oczywiście – z

satysfakcją odnotowali moją reakcję. Mimo wszystko postanowiłem próbować nadal.

– W dalszym ciągu nie wiem, o czym panowie mówią, ale może mógłbym pomóc, gdybym dowiedział się, o co chodzi.

Prowadzący przesłuchanie szef skinął głową, a odezwał się Spilker:

– Gdzie znajduje się urządzenie o nazwie MDS?

Było logiczne, że skoro wiedzą tyle o mnie, wiedzą i o emiterze.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Gdzie ukryto sprzęt batalionu?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Jak nazywał się dowódca plutonu specjalnego w batalionie?

– Nie wiem.

Spilker westchnął. Gruby, o nalanej gębie warknął coś, co nie do końca zrozumiałem, ale szef uspokoił go ruchem ręki.

– Panie Grobicki, jak pan widzi, staramy się być wspaniałomyślni, musi pan jednak zrozumieć, że pana położenie wymaga, aby pan z nami współpracował. Zaszliśmy już bardzo daleko w naszej pracy i nie cofniemy się przed niczym. Jest pan człowiekiem z przyszłości, ale przez ostatnich pięć lat żył pan w teraźniejszych czasach. Powinien pan wiedzieć, do czego jesteśmy zdolni.

– Bieriecie mnie za kogoś innego – powtórzyłem z uporem, bo nie przychodziła mi do głowy żadna sensowna odpowiedź. Celnego riposty znane z filmów wojennych jakoś omijały moją skołataną mózgownicę.

Szef w odpowiedzi podniósł słuchawkę telefonu i wydał krótkie polecenie. Nie minęło pół minuty, kiedy do pokoju wszedł następny człowiek. Jedno zerknięcie na niego sprawiło, że cała moja linia obrony legła w gruzach.

– No, witam szanownego pana pułkownika – powiedział po polsku były żołnierz plutonu łączności wchodzącego w skład Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, kapral Stanisław Cupryś.

Nie znam się na gestapowskich mundurach i stopniach, ale coś mi podpowiadało, że mam przed sobą postać stojącą całkiem wysoko w hierarchii hitlerowskich sił policyjnych, zgoła nietuzinkową i z pewnością wiedzącą o mnie znacznie więcej, niżbym sobie tego życzył.

5.

Kapral nadterminowy Cupryś był niezwykle utalentowanym człowiekiem. W roku dwa tysiące siódmym, gdy ustalano skład Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, nikt nie miał wątpliwości, że należy go włączyć w skład oddziału jako wysokiej klasy specja od sprzętu łączności. Szybko okazało się, że nie był to jedyny talent przedsiębiorczego

kaprała. Gdy generał Dreszer, dowódca Piątej Brygady Pancernej, mojej jednostki macierzystej, uknuł swój misterny plan wypchnięcia batalionu w rok trzydziesty dziewiąty, by zmienić bieg historii i odparł niemieckie uderzenie na Polskę, kapral Cupryś razem ze swoim wujem, szefem sztabu batalionu majorem Ryszardem Łapickim, postanowił wnieść do patriotycznego planu generała swojskie modyfikacje. Pomysłowa spółka zmieniła nieco program komputerowy odpowiedzialny za skoki czasowe, wprowadziła do niego wirusa, za pomocą którego mogła panować nad sytuacją i po przeniesieniu w trzydziesty dziewiąty rok dokonała śmiałego napadu na oddział Urzędu Skarbowego w Warszawie, kradnąc fortunę wartą ponad dwa miliony przedwojennych dolarów w złotych i kosztownościach. Plan udał się połowicznie – łup, zdobyty dzięki naiwności dowódcy batalionu, niejakiego Grobickiego, i dezorientacji dzielnych pracowników skarbowki, ostatecznie wpadł w ręce „dobrych” (czyli Wieteski, Kurcewicza, Galasia i wcześniej wspomnianego Grobickiego), którzy urządzili się za to w Stanach Zjednoczonych. Major Łapicki zginął w walce zaszytowany przez Nancy, a Cupryś...

No właśnie, co się stało z Cuprysiem, być może mniej inteligentnym i odczytanym, lecz zdecydowanie bardziej cwym i obrotnym z przestępczego duetu?

Podczas nalotu Luftwaffe, który niszczył MDS-a za pomocą dwustukilowej bomby, zniszczył także nasze marzenia o powrocie we własne czasy, Cupryś razem z Galasiem, Nancy i mną jechał sztabowym honkerem, przeżywając jeszcze gorycz niepowodzenia planu. Gdy zaczął się nalot, pośpiesznie opuściliśmy samochód, starając się znaleźć jakąś osłonę. Kilka chwil później zostałem ciężko ranny odłamkiem bomby, tej samej, która zniszczyła MDS-a, po czym straciłem przytomność na długie tygodnie. W powstałym zamieszaniu nikt na kaprała Cuprysia nie zwrócił uwagi. Wszyscy zajęci byli szacowaniem strat i oplakiwaniem Niemalże Śmiertelnej Rany Ukochanego Dowódcy.

Cupryś, wykorzystując ponalotowy bałagan, oddalił się w sobie tylko znanym kierunku. Być może sprawę ułatwił mu fakt, że ubrany był wtedy w esesmański mundur. W każdym razie zniknął i nikogo to specjalnie nie obeszło.

Pojawił się za to pięć lat później w sercu dzielnicy niemieckiej, u boku ponurych postaci, dobrze znanych z podręczników historii. Bóg jeden wiedział, co chciał na tym ugrać, ale znając jego pomysłowość, miałem pewność, że nie będzie to nic dobrego dla mnie.

Było zatem jasne, skąd Niemcy znali historię batalionu i moją. Było jasne, skąd wiedzieli o MDS-ie i emiterze. Nawet uprowadzenie Scotta Raileya miało swój sens. Niemcy, karmieni wiedzą przez Cuprysia, składali w całość wszystkie elementy systemu do przenoszenia w czasie. Galaś, występując dwa miesiące temu ze swoimi pomysłami wyprawy po emiter, nie mógł oczywiście przypuszczać, że realizacja tego śmiałego planu rzuci nas w środek poważnej, szpiegowsko-policyjno-cybernetycznej operacji, w którą zaangażowane są wysokie szczeble niemieckich władz.

Wiedziałem dobrze, po co system był potrzebny nam. Można było tylko snuć

domniemania, po co system Niemcom. Nawet nie musiałem za bardzo puszczać wodzy fantazji, aby wyobrazić sobie kilka dowolnie ponurych scenariuszy.

Zagadka została – przynajmniej częściowo – rozwiązana, co nie zmieniało oczywiście ani mojego, ani tym bardziej Nancy położenia.

– Zamyślił się pan, pułkowniku? – zagadnął Cupryś przyjaźnie.

– Jest nad czym, zapewniam pana.

– Cupryś, co ty tu robisz? – zapytałem w końcu. Choć parę zagadek się wyjaśniło, mnogość wydarzeń, które nastąpiły w ciągu półtorej doby, zdecydowanie zaczęła mnie przerastać swoim ciężarem i liczbą.

– Ustalmy jedno. Teraz jestem Sturmbannführer Munk, jasne? Kaprała Cuprysia już nie ma.

– Oczywiście. – Prawie się uśmiechnąłem. – Nikt nie lubi, jak najbliżsi przyjaciele nie mogą wymówić twojego nazwiska.

Cupryś zachmurzył się.

– Niech pan nie szarżuje. Może pan tylko pogorszyć swoje położenie.

– Jeszcze bardziej? Wydaje mi się, że tak.

– Uśmiechnąłem się bez troski, choć wszystko się we mnie trzęsło.

– Owszem. Ale jak pan będzie rozsądny, nikomu nie stanie się krzywda.

To mogło oznaczać wszystko.

– Co oznacza słowo „rozsądny” według waszych standardów?

– Współpracę.

– Na czym miałyby polegać?

Cupryś zawahał się i spojrzał na swoich przełożonych? Przyjaciół? Wspólników?

Tłumacz przekładał naszą wymianę zdań, więc byli na bieżąco. Szef nieznacznie skinął głową.

– Wiemy, że jest pan w Polsce z kilkoma przyjaciółmi. Mamy w swoich rękach pana żonę. Propozycja brzmi tak: oddaje pan w nasze ręce emiter pola siłowego, uruchamiamy system i przenosimy się w nasze czasy razem z pana ekipą.

Kusząca propozycja.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem – odpowiedziałem ostrożnie, udając głupiego. – Proponujesz wspólne uruchomienie systemu i przenosiny do dwa tysiące siódmego. Zakładam, że nie będziemy sami. Na pokład wejdziesz ty i zapewne paru twoich kumpli. Dobrze kojarzę?

– Bardzo dobrze. – Cupryś nie okazywał żadnych emocji.

– Wiem, po co chcę wrócić ja, a także moi koledzy. Mogę założyć, że wiem, po co ty chcesz wrócić. Pewnie też ci się tu znudziło. – Pokazałem brodą dookoła. – Ale po co nam rycerze Adolfa w naszych czasach? – Pytanie było retoryczne, ale i tak je zadałem. Myślę, że wszyscy się tego po mnie spodziewali.

– Panie Grobicki, niech pan na sytuację spojrzysz czysto pragmatycznie – wtrącił szef, uśmiechając się wąskimi ustami. – Jest pan w naszych rękach. Pana żona również. Mamy także na oku waszego syna i firmę. Możemy was zniszczyć na wiele sposobów, nawet nie zabijając. FBI już zaczęło się koło was kręcić, prawda? Proponujemy panu korzystny układ, dla obu stron korzystny. Pan wróci do domu, a my uzyskamy pewną, hm, niezbędną wiedzę, konieczną do budowy wielkości Rzeszy.

– Niech pan mnie nie rozśmiesza – powiedziałem, choć niejasno zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem ich drażnić. Zdenerwował mnie jednak tą propagandową gadką. – Jestem człowiekiem urodzonym grubo po wojnie. Każde dziecko w moim kraju wie, że wasza tysiącletnia Rzesza potrwa jeszcze dziewięć miesięcy.

Szef i Spilker nie poruszyli się, ale gruby poczerwieniał i aż wybałuszył oczy z wściekłości.

– Milczeć! Nic nie jest przesądzone. To my tworzymy historię! I zwyciężamy!

– Mhm. Zwłaszcza Grupa Armii Środek przez pięć ostatnich tygodni. I wasze armie we Francji. Już nie mówiąc o zwycięskim pochodzie pod Monte Cassino – brnąłem na całego. – To tyle o sytuacji strategicznej. Pomówmy teraz o personaliach. Pan się nazywa Hahn, prawda? Ludwig Hahn. Pamiętam pana ze zdjęć z procesu. Pańskiego procesu. Skończy pan życie w niemieckim pierdlu. Właśni rodacy pana zapuszczają. A pan – zwróciłem się do szefa – jest Brigadeführer Geibel, o ile się nie mylę. Popęlni pan samobójstwo w roku sześćdziesiątym szóstym po dwudziestoletniej odsiadce w więzieniu mokotowskim. Tu, niedaleko. Ta odsiadka, odbyta z polskimi współwięźniami, nie będzie łatwa, mogę zapewnić. Więc nie mówcie mi o budowie wielkiej Rzeszy.

To, co robiłem, było jednym wielkim głupstwem. Nie powinienem z nimi w ogóle dyskutować o przyszłości, pryncypiach, ideologii ani o niczym innym. Tym bardziej nie powinienem im ujawniać, w jak ponury sposób skończą, bo chęć odwrócenia tego, co nieuchronne, zdominuje następne ruchy moich przeciwników. Powinienem być cwany. Przystać na propozycję, cokolwiek by sobą przedstawiała i z jakimikolwiek konsekwencjami by się wiązała, zażądać spotkania z Nancy, dać do zrozumienia, że pójdę na daleko idącą współpracę, a kiedy nadarzy się okazja, zwać gdzie pieprz rośnie. Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że poniosła mnie ułańska fantazja.

Całe szczęście, gestapowcy zareagowali spokojnie. Aż za spokojnie. Szef, choć mimo wszystko wyglądał na poruszonego wzmianką o swoim samobójstwie, surowo spojrzał na gotującego się grubego, a potem zwrócił się do mnie:

– Drogi panie, nie będę się z panem wdawał w dyskusję. Tu obecny Sturmbannführer Munk sporo nam opowiadał o losach tej wojny. My jednak uważamy, że współtworzymy historię Niemiec i to w istotnym stopniu. Mamy też swoje obowiązki. Proponujemy korzystne wyjście z sytuacji. Ma pan wszystko do zyskania. W razie oporu wszystko do stracenia. Wybór należy do pana.

Zastanowiłem się. Emocje pomalutku zaczęły opadać.

Chociaż Geibel opowiadał o dwóch możliwościach do wyboru, ja doszukałem się jeszcze trzeciej opcji.

Pierwsza.

Zgodnie z narodową romantyczną tradycją trwać dalej w niezłomnym oporze, po cichu licząc na pomoc Wojtyńskiego i moich druhów. Jeżeli pomoc zawiedzie, polec w blasku chwały i z honorem, acz w męce.

Druga.

Niezdanie z narodową tradycją romantyczną udać, że zgadzam się na współpracę, licząc na to, że później coś wymyślę i ucieknę razem z Nancy.

Albo...

Wzorem tylu innych narodów i ich pojedynczych przedstawicieli, którzy per saldo o wiele lepiej od nas na tym wyszli, zgodzić się na współpracę poważną i serio. Pomóc Niemcom odnaleźć emiter, uruchomić system i nie bacząc na to, kto jest współpasażerem podróży, wrócić do domu.

Czysta pragmatyka.

Najbardziej pragnąłem wrócić do domu.

Z Nancy.

6.

Kapitan Jan Wieteska nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą – tym bardziej, rzecz jasna, nie przyznawał się do tego przed innymi – ale w głębi duszy bał się. Według niego sprawy szły w złym kierunku. Nawet nie chodziło o to, że żadne plany nie zakładały uczestnictwa w nadchodzących walkach. To był koszt, który akurat już zaakceptował, nawet mu przez myśl nie przeszło, że można by zostawić dowódcę samemu sobie w takich opałach. Jeśli da się uniknąć walki, świetnie, jeśli nie, trudno, będzie to po prostu dodatkowa cena za ich głupotę.

Chodziło o coś innego.

Kapitan miał nieodparte wrażenie, pewność właściwie, że Wojtyński, ich wybawca z kotła założonego przez Niemców w Górach Świętokrzyskich, kłamie. A przynajmniej nie mówi całej prawdy. Pomimo pozorów współpracy wykorzystuje fakt, że w akcji uwolnienia Nancy są na niego skazani i gra w swoją grę, na dodatek znaczonymi kartami, a jego intencje i cele pozostają nieodgadnione. Podstawienie Grobickiego jako pozornej przynęty szybko przekształciło się w faktyczne pojmanie pułkownika przez Niemców. Kapitan nie wierzył w żaden przypadek. Tak jak przypadkiem nie było założenie przez Niemców kotła w Górach Świętokrzyskich, tak teraz aresztowanie pułkownika – miał stuprocentową pewność – było

działaniem celowym. Co mogło oznaczać, że albo Wojtyński częściowo utracił kontrolę nad rozwojem wydarzeń, albo...

Kapitan spojrzał na siedzącego obok Galasia. Kapralowi było bardzo do twarzy w niemieckim pancerniackim mundurze. Wiatr rozwiewał mu czuprynę, minę miał poważną i skupioną. Jednak na jego obliczu nie było niestety wypisanych odpowiedzi na trapiące kapitana wątpliwości.

Kolumna złożona z samochodu pancernego i dwóch ciężarówek – w jednej znajdowały się komputery oraz zabezpieczony w maksymalny sposób i zaminowany emiter, w drugiej natomiast wzmocniona drużyna z dwoma karabinami maszynowymi i moździerzem – posuwała się dziurawą i błotnistą drogą prowadzącą z Piaseczna do Warszawy. Prędkość nie była zbyt duża, ale i tak kapitan czuł każdy wybój. Dojeżdżali do Służewca.

Dodatkowych trosk przysparzał kapitanowi fakt, iż miał się rozstać z Rozalką, z którą związany był bardziej, niż chciał się przyznać przed światem. Choć doceniał logikę argumentów, pomysł mu się nie podobał. Przyszło mu do głowy, że Wojtyński i w tej kwestii z nimi pogrywał. Początkowo nalegał na udział Rozalki w akcji. Wręcz wymusił zgodę kapitana. Teraz, korzystając z byle pretekstu, zrezygnował, na dodatek proponując ukrycie i Rozalki, i emitera. Ani słowem nie wspomniał o tym, jakie będą jego dalsze kroki po akcji. Czy będzie oczekiwał po ich grupie dalszej walki? Czy umożliwi im wycofanie się? Dla kapitana było całkowicie jasne, że tak jak niemożliwe jest odbicie kapitan Grobicki bez udziału majora i jego ludzi, tak i opuszczenie Warszawy razem z emiterem nie będzie możliwe wbrew woli tajemniczego komandosa.

– Wszystko to jest kiszka z wodą – odezwał się Galaś półgłosem, przerywając tok ponurych myśli i pytań bez odpowiedzi.

– Masz podsłuch w moim mózgu? – mruknął Wieteska równie dyskretnie.

– Melduję posłusznie, że nie, ale widać, że pan się martwi. Ja zresztą też się martwię, o ile to jest dla pana jakieś pocieszenie.

– Jak cholera. Ale to dobrze. Wspólne poglądy na tym etapie ułatwią nam życie.

Galaś zamyślił się głęboko.

– Zauważył pan, że nasza odwaga jest proporcjonalna do jakości sprzętu, którym dysponujemy? – zapytał po dłuższej chwili całkowicie nie na temat.

– Słucham? – Pytanie było tak niespodziewane, że Wieteska, zatopiony z powrotem w zadumie, z trudem oderwał się od swoich myśli.

– Tak se myślę, że wtedy, w trzydziestym dziewiątym, dobraliśmy się Niemcom do dupy, bo mieliśmy taką przewagę w sprzęcie i środkach ogniowych, że atak wydawał się nam stosunkowo fajną i niegroźną zabawą. Nikt przecież, przynajmniej początkowo, nie brał całej tej hecy na serio. Myśleliśmy, że ot, postrzelamy trochę i wrócimy do domu. Taki tam poligon z ostrą amunicją, gra wojenna na serio.

– Pieprzenie. Po tylu latach zebrało ci się na refleksje? – Kapitan jeszcze nie zdążył się

zirytować. Myślami był przy Rozalce, ale nauczył się już, że w większości wypadków warto słuchać tego, co Galaś ma do powiedzenia.

– Nie. Teraz też przecież nie jedziemy do Warszawy z poczucia obowiązku, no nie? Jedziemy, bo pomagamy pułkownikowi w uwolnieniu pułkownika i żony. Czyli w sprawie prywatnej. I, jak na warunki konspiracyjne, jesteśmy uzbrojeni po zęby. Więc jesteśmy odważni.

– O czym ty właściwie gadasz, Galaś?

– Po prostu jestem ciekaw, czy gdybyśmy mieli na czterech jeden pistolet z paroma nabojami i jeden konspiracyjnej produkcji granat, poszlibyśmy do ataku na bunkry. Nie dlatego, że pomagamy kumplowi, tylko dlatego, bo tak po prostu trzeba. Tak jak nasi koledzy z AK.

Wieteska aż skrzył się w środku i z trudem powstrzymał przed jakąś gwałtowniejszą reakcją. Nie miał głowy do rozważań moralnych. Kiedy jednak dotarł do niego sens słów kaprała, zamyślił się ponuro i do samej Warszawy nie wypowiedział ani słowa.

7.

– Gdzie jest emiter pola siłowego?

– Nnnie... wiem.

Cios.

Krzyk.

Ciemność.

Woda.

Brak powietrza.

– Nazwisko dowódcy oddziału specjalnego.

– Nie... wie...m.

Cios. Krzyk.

– Nazwisko.

– Nie... wiem.

Cios. Ciemność. Woda. Brak powietrza.

– Nazwisko.

– ...Woj...tyń...ski.

– A więc coś pamiętasz. Gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Nie... wi...działam go... od... pię...ciu lat.

– Dobrze. Gdzie znajduje się miejsce, gdzie ukryliście sprzęt w trzydziestym dziewiątym?

– ...

– Gdzie to miejsce?

Krzyk.

– Nie wiem.

Cios. Drugi. Trzeci. Czwarty.

Ciemność.

Woda.

Ciemność.

Woda. Brak powietrza.

Światło.

Nancy już od dłuższego czasu nie była w stanie poruszyć się samodzielnie. Początkowo siedziała na krześle, potem wisiała do góry nogami na belce przymocowanej do dwóch stalowych krzyżaków. Odkąd ją zdjęli, po prostu leżała na podłodze. Kopali i bili, a tłumacz stał w pewnej odległości od nich, mechanicznie tłumacząc pytania i nader rzadkie odpowiedzi.

Odkąd przekroczyła próg tego pokoju – dwie godziny temu? Dwie doby? Dwa lata? – wiedziała z żelazną pewnością, że nie wyjdzie z tego żywa. Chodziło jej już tylko o to, aby nie zaszkodzić Jerzemu i dziecku i żeby umrzeć możliwie jak najszybciej. Po kilku pierwszych potężnych uderzeniach wywróciła się na plecy, starając się uderzyć tyłem głowy o beton. Jednak skutek był inny, niż oczekiwała – utraciła przytomność na długie minuty i, sądząc po piekielnym bólu przedramienia, wybiła lub zwichnęła prawy bark. Po odzyskaniu przytomności ból stłuczonej głowy i barku szybko zszedł na drugi plan, miejsce w pierwszym rzędzie zajęły potworne, rozległe rany, które szybko objęły całe ciało.

Nie bardzo już zdawała sobie sprawę, gdzie jest i czego od niej chcą.

W końcu obaj gestapowcy doszli do wniosku, że przesłuchanie staje się coraz bardziej jałowe, i w badaniu nastąpiła przerwa. Jak na początek wystarczy. Mają czas. Po wymianie zdań między sobą i tłumaczem zdecydowali o odesłaniu więźnia do celi.

Nancy ocknęła się na korytarzu. Szorowała plecami o podłogę. Ból, nieznośny i nie do wytrzymania, rozlał się po całym ciele, miała wrażenie, że smaży się na wolnym ogniu. Pomyślała o Jerzym i o małym Johnie, oddalonym od niej o tyle tysięcy kilometrów. Pomyślała o tym wszystkim, co w życiu osiągnęła i co teraz, w ostatecznym rozrachunku, okazało się tak żałośnie nieważne.

Była przekonana, że jest u kresu sił, dlatego długi, pełen pierwotnej mocy krzyk, jaki wydobył się z jej gardła, zaskoczył nawet ją samą.

8.

Jeśli na sytuację spojrzeć z całkowicie obiektywnego punktu widzenia, teoretycznie istniała jeszcze jedna opcja. Miałem przed sobą najwyżej postawionych funkcjonariuszy sił

bezpieczeństwa w Warszawie. Najbardziej niebezpiecznych i wpływowych ludzi, z jakimi polskie podziemie miało do czynienia na tym terenie w owym czasie. Ludzi, którzy byli odpowiedzialni za masowe egzekucje, łapanki i wywózki, którzy powodowali, że dobrze jeszcze naoliwiona machina terroru zbierała na mieszkańcach Warszawy tak krwawe żniwo. Wysiliwszy mózgownicę, mogłem wyobrazić sobie, że posyłam do diabła wszystkich trzech: arystokratycznego, nadętego Geibla, brutalnego i chamskiego Hahna i lisio uśmiechniętego, przebiegłego Spilker. Tak po polsku: szaleńcza szarża na przeważające siły wroga i zabranie możliwie największej liczby spośród nich ze sobą do grobu.

Ta perspektywa jakoś mi się jednak nie uśmiechała.

Czysty pragmatyzm – oto co mną kierowało. Osiągnięcie maksimum zysków przy minimum strat.

– Rozważmy, na razie czysto hipotetycznie, jak wyobrażacie sobie współpracę – powiedziałem, gdy milczenie przeciągnęło się ponad zwykłą miarę.

Gdy tłumacz przełożył te słowa, wszyscy nieznacznie i bardzo dyskretnie odetchnęli z ulgą. Geibel i Spilker pozwolili sobie nawet na coś w rodzaju uprzejmego uśmiechu.

– To bardzo proste. Powie nam pan, gdzie znajduje się emiter pola siłowego. Urządzenie zostanie wywiezione pod eskortą do specjalnie przygotowanego miejsca, znajdującego się, oczywiście, poza Warszawą. Prace przygotowawcze potrwać kilka tygodni. Następnie urządzenie zostanie uruchomione i z panem na pokładzie odbędzie podróż do roku dwa tysiące siódmego.

– Bardzo dobrze. – Kiwnąłem głową. – Ale mam swoje warunki.

– Proszę nam o nich opowiedzieć.

– Po pierwsze zabieram ze sobą swoich przyjaciół...

– Tylko tych, z którymi pan przyleciał. O reszcie pana wrześnieowych żołnierzy, którzy przez pięć lat walczyli przeciwko nam, nie ma mowy.

Zastanowiłem się chwilę. To, że wtedy, pięć lat temu, zostali w Polsce, było w końcu ich wyborem.

– Dobrze. Po drugie – moja żona. Jedzie ze mną.

Nie mogłem widzieć tłumacza, który zza moich pleców dawał Geiblowi jakieś znaki.

– Oczywiście. Jest cała i zdrowa. Ale dołączy do nas... hm... w ostatniej chwili. Nazwijmy to naszą gwarancją pana lojalności.

– Ja z kolei nie mam żadnej gwarancji, że dotrzymacie słowa.

– Drogi panie Grobicki, dajemy panu szansę wyjścia obronną ręką z położenia, w którym się znalazł pan, pana rodzina i przyjaciele. Traktujemy to jak transakcję handlową: pan ma coś, co my chcemy kupić, a zabranie pana i reszty jest ceną, jaką musimy zapłacić. I nie jest to cena wygórowana. Dotrzymujemy zobowiązań. Setki tomów napisano o tym, jak dotrzymywali.

– Po trzecie mój syn i firma w Stanach.

– Pańskiego syna jesteśmy w stanie sprowadzić kanałami dyplomatycznymi przez Szwecję lub Szwajcarię. Zajmie to około dwóch tygodni, a tyle zapewne czasu potrzeba, aby przygotować wszystko do odjazdu. Na firmie i pieniądzach musi pan niestety postawić krzyżyk. Nie będziemy się tym zajmować.

Nasze amerykańskie aktywa były warte około pięciu milionów ówczesnych dolarów. Dość wysoka cena za życie.

Czy za wysoka?

Nie sądzę, aby Wieteska i spółka byli szczęśliwi z tego powodu, ale na razie powiedziałem:

– To mogę zaakceptować.

Westchnienie ulgi tym razem było wyraźnie słyszalne. Wszyscy się rozluźnili. Może byliby odrobinę bardziej spięci, gdybym zakomunikował, że owszem, dostaną emiter, będą mieli zasilanie, Scotta Raileya z laptopem i oprogramowaniem, nawet parę zapasowych komputerów i Wybitnego Specjalistę Cuprysia na dokładkę, ale w życiu nie uruchomią tej futurystycznej maszynerii bez kaprała Galasia, w którego kieszeni spoczywał moduł odpowiedzialny za komunikację emitera z oprogramowaniem sterującym. Brak tego jednego elementu powodował, że cały misterny plan moich nowo pozyskanych gestapowskich znajomych nie był wart funta kłaków.

Tak to sobie wymyśliłem i wydawało mi się, że jestem cwany. Nie przewidziałem niestety tego, co nieprzewidywalne.

W ramach gestu dobrej woli zdjęto mi kajdanki, jakiś sztywny jegomość przyniósł nawet śniadanie – choć był to chyba dość późny obiad, ale wyglądał jak śniadanie – i potoczyła się niezbyt interesująca rozmowa na tak zwane tematy ogólne. Nie chciałem ich wrogo do siebie nastawiać, więc unikałem zbyt surowych ocen. Zgodziłem się z poglądem, że wszystko jest zależne od nas, uczestników wydarzeń, a nie z góry zdeterminowane zapisami w podręcznikach historii. Dla nich było to oczywiste, wyrażali natomiast zadowolenie, że ja, człowiek z przyszłości, wygłaszam podobne, niedeterministyczne stwierdzenia. Zresztą może nawet wierzyłem w to, co mówię. Przecież choćby sam fakt mojej obecności w tym gabinecie był już alternatywną wersją wydarzeń historycznych. W żadnym normalnym podręczniku traktującym o drugiej wojnie światowej nikt nigdy nie znajdzie żadnego pułkownika Grobickiego, dowódcy Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, a później odnoszącego sukcesy biznesmena.

Czyli rzeczywistość była inna i przyszłość była inna. Jeśli wrócimy do przyszłości, przeszłość także będzie inna.

Taka oto filozofia zaczęła mi przyświecać tego pięknego popołudnia pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku na ulicy Szucha dwadzieścia pięć w Warszawie. Mająca się za momencik rozpocząć współczesna wersja Armagedonu nie miała dostępu do mojego coraz bardziej rozluźnionego jestestwa. Osiągnąłem stan zadowolenia i

nie chciałem, aby cokolwiek go zakłócało.

Krzyk.

Przenikający do szpiku kości.

Dochodzący z korytarza pierwotny zew, tak pełen bólu i strachu, że nawet bez specjalnego wysilania wyobraźni poczułem, że cierpie mi skóra.

Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale w jednym ułamku sekundy zespoliłem się z krzyczącą istotą i tak jak ona poczułem, że umieram. Że zostały mi ostatnie sekundy życia.

Czas stanął w miejscu.

Jak w wielkiej soczewce zobaczyłem niemal całe swoje życie, długą drogę, którą szedłem przez lata, aż w końcu dotarłem tu, do gabinetu szefa niemieckich sił bezpieczeństwa w Warszawie. I przeraźliwie jasno zdałem sobie sprawę, że jeżeli nie zacznę działać, nie zrobię czegoś radykalnego, gwałtownego i przynoszącego ocalenie, umrę w czasie krótszym niż zmówienie pacierza. Umrę razem z więźniem z korytarza, moją bratnią duszą, moją lepszą, bardziej szlachetną połową.

Z Nancy.

Mój mózg wyłączył racjonalne myślenie. Górę wzięła Big Bang, znany mi całkiem dobrze stan, w którym władzę nad ciałem obejmują wyłącznie wyszkolone odruchy, wspomagane przez całkowicie uwolniony z oków cywilizacji i dobrego wychowania morderczy instynkt i huczącą w żyłach adrenalinę. Big Bang to była moja autorska nazwa dla tego niezwykle interesującego zjawiska.

Choć od krzyku więźnia nie upłynęło więcej niż trzy sekundy, moje prywatne centrum dowodzenia dokładnie rozpoznało teren, skalkulowało ryzyko i przygotowało precyzyjny plan działania.

Cel numer jeden: trzech najważniejszych facetów skupionych dookoła biurka. Odległość: półtora metra. Biurko drewniane, ciężkie, masywne. Uzbrojenie: broń krótka.

Cel numer dwa: strażnik obok mnie. Stojący, patrzący bezmyślnie w przestrzeń. Uzbrojony w pistolet maszynowy.

Cel numer trzy: tłumacz. Odległość: dwa metry. Stojący. Patrzący raczej na szefów niż na mnie. Ubrany po cywilnemu. Uzbrojenie niewidoczne.

Cel numer cztery: protokolant pod ścianą. Odległość: trzy i pół metra. Siedzący bokiem do mnie. Uzbrojony w broń krótką.

Cel numer pięć: Cupryś. Odległość trzy metry. Stojący niedaleko za moimi plecami. Uzbrojony w broń krótką.

Cel numer sześć: strażnicy na korytarzu. Liczba: nieznana. Uzbrojenie: nieznane. Założenie: co najmniej dwóch ludzi uzbrojonych w broń krótką.

Zadanie: odbicie więźnia z korytarza. Zabarykadowanie się w pomieszczeniu. Wzięcie co najmniej jednego wysokiego rangą zakładnika.

Sześć celów.

Co najmniej dziewięciu ludzi.

Dziesięć sekund.

Krzyk nie powtórzył się, niemniej moi rozmówcy zamilkli, starając się ustalić, czy zwróciłem na niego uwagę i czy rozpoznałem krzyczącą osobę.

Uśmiechnąłem się niepewnie. Tamci również się uśmiechnęli, spojrzeniami przeprasząc za kłopot i niezręczność sytuacji.

Stary numer, na który całe szczęście dali się nabrać.

Orliku, mój bracie z celi, to również dla ciebie.

Odbiłem się gwałtownie z obu nóg i z całej siły pchnąłem biurko, jednocześnie przewracając je w stronę siedzących za nim mężczyzn. Nawet nie poczułem stukilowego ciężaru. Geibel i Hahn polecili razem z meblem pod okno. Spilker, zahaczony kantem biurka, upadł wraz z krzesłem na podłogę. Wszyscy trzej wyglądali na ogłuszonych.

Co najmniej piętnaście sekund na ewentualne poprawki.

Piętnaście sekund to było dla mnie aż nadto.

Stojący obok mnie strażnik, uderzony z półobrotu w splot słoneczny, zgiął się bezgłośnie, po czym w milczeniu, wytrzeszczając niczego nierozumiejące oczy, upadł na ziemię. Nic dziwnego – siła ciosu zapewne powaliłaby wołu. Spadający z góry obcas eleganckiego, skózanego buta przygwoździł jego głowę do ziemi, pozbawiając przy okazji połowy twarzy.

Na tłumacza przyszła kolej pięć sekund po rozpoczęciu akcji. Dосkoczyłem do niego jednym susem, zanim w ogóle zdążył zrozumieć, co się stało. Podniosłem go w górę i z rozmachem rzuciłem w protokolanta pod ścianą, właśnie kończącego półobrót i wstającego. Tłumacz, pchnięty przeze mnie niczym kula armatnia, wpadł na biurko faceta od maszyny, zmiażdżył mebel i człowieka, a następnie uderzył z hukiem o ścianę. Cała grupa zastygła w bezruchu.

Cupryś, mający sporo oleju w głowie i dobry refleks, jako jedyny z pokoju zdążył zareagować. Gdy strażnik obok niego skończył na podłodze, a tłumacz razem z protokolantem zamieniali się właśnie w nierozpoznawalną, skłębioną masę, odskoczył w tył i zaczął pośpiesznie gmerać przy kaburze pistoletu. Zabrakło mu może półtorej sekundy.

W dziesiątej sekundzie akcji miałem już bowiem w rękach schmeissera zerwanego z szyi strażnika, który leżał bez ruchu u moich stóp. Miałem również wielką ochotę wpakować przyzwoitą serię – powiedzmy, pięć pocisków – w każdego, kto choć odetchnie głębiej, niż uznaję za stosowne zaakceptować.

Cupryś doskonale to wyczuł, bo zaprzestał wydobywania pistoletu i zastygł jak słup soli. Właśnie takiej reakcji oczekiwałem, więc nie zastrzeliłem go.

– Natychmiast zawołaj tych ludzi z korytarza – powiedziało centrum dowodzenia, używając w tym celu mojej szczęki i ust.

– Niech pan nie strzela...

– Nie gadaj. Zawołaj ich.

Cupryś ostrożnie ruszył w stronę drzwi, a ja zerknąłem na gestapowskich notabli próbujących wyplątać się z ruin biurka. Nie szło im składnie – całą trójkę objął w posiadanie szok, być może doszły także jakieś złamania czy lżejsze kontuzje. Niemalą rolę w ich niezdarnej reakcji na atak odegrało zaskoczenie i niedowierzanie – jestem przekonany, że nigdy w swojej karierze katów nie spotkali się z oporem w tym miejscu, zwłaszcza na taką skalę i tak skutecznym.

Cupryś otworzył drzwi i stanął w nich bokiem, abym mógł go widzieć i nie powziął podejrzeń, że daje swoim kolegom jakieś znaki. Zawołał energicznie. Tamci, oddaleni już o dobrych piętnaście kroków, odpowiedzieli gniewnie, Cupryś odrobinę podniósł głos. Na pierwszy plan wysforowały się słowa „Geibel” i „Befehl”.

Kiwnąłem głową, Cupryś cofnął się w głąb pokoju. Po krótkiej chwili w drzwiach ukazały się sylwetki dwóch ludzi, prowadzących, a właściwie niosących trzeciego. Przystąpili próg, Cupryś zamknął drzwi, po czym przynaglony spojrzeniem przekręcił klucz w zamku. Wtedy do strażników zaczęło docierać, że coś jest bardzo nie tak.

– Powiedz im, że jeżeli powiedzą jedno słowo, jakiegokolwiek, zastrzelę ich.

Cupryś zaszwargotał szybko, nerwowo, wkładając w krótkie zdanie całe serce. Nie miał żadnych złudzeń, że czas zabijania się nie skończył. I chciał za wszelką cenę odwlec tę chwilę.

Ja też nie miałem żadnych złudzeń i wątpliwości. Nie po tym, co zobaczyłem.

Nancy nadal podtrzymywana była przez swoich oprawców pod ramiona. Tylko dlatego nie upadła na ziemię. Spadochroniarski kombinezon w strzępach. Twarz kompletnie pokryta krwawymi ranami. Jedno oko zapuchnięte. Krwawe pręgi na całym ciele, ramionach, tułowi, nogach, piersiach. Bezwładna prawa ręka.

Była przytomna, ale nie sądzę, żeby miała świadomość, co się dzieje i gdzie się znajduje.

– Niech ją położą na ziemi. Delikatnie. Na boku.

Mówiłem cicho, wpatrując się intensywnie w obu strażników. Za moimi plecami Geibel, Hahn i Spilker ucichli. Już nie podejmowali prób powstania.

Strażnicy uklękli i położyli Nancy na podłodze. Zważywszy na ich profesję, starali się to zrobić naprawdę delikatnie. Nancy jęknęła cicho.

– Cupryś, powiedz wszystkim, że mają powoli wyjąć z kabur pistolety i położyć je na podłodze. Ty też. Potem każ szefom stanąć po ścianą. Ręce na kark, twarzą do ściany. Zamknij drzwi na klucz i sam też stań pod ścianą.

Przetłumaczył. Trzymałem schmeissera wysoko, łagodnymi ruchami omiatając pomieszczenie. Musiałem być przekonywający, bo cała szóstka posłusznie wykonała polecenie. Cupryś kopnął pistolety w moją stronę.

Wycofał się cicho i stanął jak najdalej ode mnie, na samym końcu szeregu.

Strażnik, któremu zabrałem schmeissera, a także tłumacz i protokolant nie dawali znaku życia.

Trzymając całą szóstkę na muszce, cofnąłem się w stronę wywróconego biurka. Jeszcze podczas pogawędki z Geiblem zauważyłem leżący na nim sporych rozmiarów nóż do cięcia papieru. Nie był ostry, ale na moje potrzeby wystarczał całkowicie.

Jednocześnie patrząc na jeńców i zezując w tył, gmerałem w stercie papierów i szczątkach krzeseł. W końcu znalazłem. Kilkadziesiąt dekagramów solidnej, chłodnej stali wyładowało w lewej ręce. Schmeiessera trzymałem tylko prawą, ale nie czułem ciężaru. Big Bang działał z pełną mocą.

Uważając, aby nie potrącić leżącej na podłodze Nancy, podszedłem powoli do jej oprawców. Stałem metr przed nimi. Każdemu przyjrzałem się bardzo uważnie. Było to długie spojrzenie, pełne ciekawości.

Chyba nie tylko ciekawość wyczytali w moich oczach, bo zastygli w bezruchu niczym króliki obserwowane przez węża.

Byli wielkimi, silnymi mężczyznami o brutalnych twarzach. Opinające ich torsy koszule, a także spodnie pokryte były niewyschniętymi jeszcze, rdzawymi plamami.

Gwałtownie wyprostowałem lewą rękę. Ostrze sztyletu wbiło się w gardło lewego strażnika. Rzucił się w tył, ale nie traciłem czasu na walkę. Wyszarpnąłem nóż, miękko przemieściłem się pół kroku w prawo i ugodziłem z rozmachem drugiego faceta, zanim zdążył zareagować na pierwszą napadź. Po sekundzie odskoczyłem w tył.

Obaj stali jeszcze z wyrazem przerażenia i bólu na twarzach. Próbowali zatamować wylewającą się z ran krew, ale były to daremne wysiłki. Krwotok był zbyt obfity, tchawice przecięte.

Najpierw jeden, nieco później drugi niczym stuletnie dęby targane wichurą zachwiali się, opadli na kolana, po czym powoli, niemal majestatycznie upadli na twarze. Cała scena nie trwała dłużej niż minutę i odbyła się, jeśli nie liczyć świstu powietrza uciekającego z przebitych gardeł i bulgotu krwi, w całkowitym milczeniu.

Chociaż byłem aktywnym uczestnikiem wydarzeń, wszystko obserwowałem z całkowitą obojętnością, klęcząc u boku Nancy. Trzymałem na muszce pozostałych przy życiu gestapowców, ale większość uwagi skupiłem na leżącej na podłodze żonie. Odzyskała przytomność, patrzyła na mnie trzeźwo i nawet próbowała się uśmiechnąć.

– Teraz poczekamy – powiedziało ukryte we mnie i starannie zamaskowane centrum dowodzenia.

V. GODZINA W

1.

Kapitan Wojciech Kurcewicz spojrział na zegarek. Było dwadzieścia po czwartej, jego oddział do przejechania miał jeszcze ładnych kilka kilometrów, a sprawy nie szły dobrze. Problemy zaczęły się czterdzieści minut temu, kiedy spotkali nadmiernie dociekliwy patrol żandarmerii polowej. Na nic zdały się wysiłki przekonania Niemców, że są normalnym oddziałem pancernym Wehrmachtu, tyle że uzbrojonym w nietypowy sprzęt. Doskonała niemieczyna porucznika Jurka – przydzielonego kapitanowi przez Wojtyńskiego swego rodzaju asystenta akowskiego chowu, doskonale obeznanego z realiami okupacyjnymi – dokładność kroju mundurów, papiery – wszystko to nie zadziało. Dowódca patrolu uparł się, że zapyta dowództwo 9. Armii, czy w istocie spodziewa się takiego oddziału.

Jednak zanim Niemiec uzyskał połączenie telefoniczne ze sztabem, Kurcewicz rzucił do mikrofonu krótkofalówki krótkie polecenie i z ostatniego rosomaka bezszelestnie wyskoczyły trzy ciemne postacie, trzymające w rękach pistolety maszynowe heckler&koch MP-5 z przedłużoną przez tłumik lufą. Niezauważone przez nikogo przebiegły wzdłuż kolumny od jej zewnętrznej strony, po czym znienacka ukazały się przed żandarmami. Ci nawet nie zdążyli zauważyć, co się właściwie stało. Kilkanaście serii przypominających stłumiony kaszel trafiło bezbłędnie w cel. Żandarmi upadli na ziemię, po czym zostali odciągnięci w krzaki, pozbawieni uzbrojenia i zapasów amunicji, a także dokumentów. Przecięto kable telefoniczne, zniszczono aparat, po czym kolumna ruszyła dalej. Odkąd kapitan mruknął swoje krótkie zdanie do krótkofalówki, minęło niespełna półtorej minuty.

Akcja trwała krótko, nikt nie zauważył zamieszania, ale Kurcewicz zdawał sobie sprawę, że szczęście może się skończyć w każdej chwili. Wojska na drodze było sporo, co z jednej strony pozwalało zniknąć w tłumie, z drugiej jednak zwielokrotniało ryzyko dekonspiracji. Twarde zwracały na siebie uwagę zarówno niskimi, barczystymi sylwetkami i długimi lufami, jak i ogromnym jak na owe czasy kalibrem dział. Szybka uszłaby w tłoku, gdyby nie antena radaru. Wymalowane na wieżach wodną farbą niemieckie krzyże nie na wiele się w tej sytuacji zdawały.

Bardziej nawet niż problemy techniczne i operacyjne zaniepokoiły Kurcewicza zmiany, jakie zaszły w nim samym. Początkowo był przeciwny akcji, uważał ją za idiotyzm, tym tylko

różniący się od samobójstwa, że rozłożony w czasie, no i rodzaj śmierci pozostawał niewiadomą. Teraz jednak, stojąc w otwartym włązie prowadzącego kolumnę rosomaka, ku swojemu zaskoczeniu poczuł coś w rodzaju dumy. A także, choć skrzywił się z niesmakiem, gdy to sobie uświadomił, podniecenie czekającą go walką. Może widok dawnych towarzyszy broni, którzy przez pięć lat nadstawiali karku w okupowanym kraju, może widok młodych, entuzjastycznie nastawionych bojowców z AK, może widok zniszczonych i zrujnowanych miast i miasteczek, które mijali, spowodował, że zapragnął się bić. Chciał się bić i – co było logicznym zwieńczeniem tego chcenia – wygrywać. Zniszczyć, rozbić, obezwładnić nieprzyjaciela. Obojętnie jakimi środkami, z całą siłą i biegłością taktyczną, jaką miał do dyspozycji. Uświadomił sobie, że dawne umiejętności wróciły, jakby ktoś zapalił światło w ciemnym pomieszczeniu. Doskonale wiedział, co robić i jakie wydać rozkazy.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym całkowicie zatopił się w dowodzeniu.

Czwarta trzydzieści. Jeszcze kilka minut jazdy wyboistym i dziurawym, acz teoretycznie brukowanym traktem, i powinni osiągnąć wysokość Dworca Południowego. Potem cztery kilometry jazdy względnie równą ulicą Puławską i dotrą na pozycje wyjściowe do natarcia. Wcześniej dołączy do nich kompania dowodzona przez starego znajomego z dawnych czasów, porucznika Jamroza.

Siedzący obok kapitana podporucznik Jurek – takim pseudonimem został przedstawiony przez Wojtyńskiego – rodowity warszawiak, na oko najwyżej dwudziestoletni, łamiąc zasady konspiracji, z zapałem opowiadał kapitanowi o swoim plutonie, o wspaniałym uzbrojeniu i o kimś na kształt antycznego herosa – majorze Wojtyńskim. Chłopak aż kipiał entuzjazmem.

Kapitan słuchał go jednym uchem.

Czwarta czterdzieści. Ruch uliczny znacznie się wzmógł, musieli lawirować pomiędzy ciężarówkami, wozami konnymi i riksami. Przechodnie przypatrywali im się uważnie. Na wielu twarzach nie było widać strachu. Owszem, zdumienie potęgą przeciągającego z łomotem sprzętu, długością kolumny, ale i zuchwałość. Wielu młodych ludzi miało takie miny, jakby chcieli wykrzyknąć: „pokażemy wam, dziady”.

Na wysokości Woronicza musieli się zatrzymać. W poprzek ulicy ustawiona była blokada złożona z kozłów hiszpańskich pokrytych drutem kolczastym. Kolejna kontrola, na której spokojne przejście nie mieli już niestety czasu. Kurcewicz dał znak i rosomak zaczął wymijać stojącą w kolejce kolumnę cywilnych samochodów.

– Tu zaraz obok są koszary SS. Trzystu ludzi – powiedział cicho „Jurek”.

– Trzystu? – Kurcewicz wzruszył ramionami, czując, że adrenalina opanowuje go już na całego. – Broń pancerna? Artyleria?

– Nie. Ale mają ciężką broń maszynową. Cały budynek umocniony.

– Nie będziemy się teraz nimi zajmować. Mamy rozkaz dotrzeć do placu Unii Lubelskiej w ciągu... – spojrzął na zegarek – niewiele ponad piętnastu minut.

Jurek już otworzył usta, ale dojechali właśnie do zapory. Stojący przy niej Niemiec

podniósł rękę, a usta ułożyły mu się w dobrze znane w Polsce słowo „halt!”. Kurcewicz pokręcił głową. Transporter nie zwolnił biegu. Niemiec zaczął wrzeszczeć i zdejmować z ramienia automat.

– Nie dziś, przyjacielu. Dziś już nikogo więcej nie zabijesz – mruknął do siebie kapitan, po czym wrzasnął do mikrofonu interkomu: – Gazul! – i zniknął za masywną klapą osłaniającą właz do wieży transportera. Kątem oka zauważył, że Jurek idzie jego śladem.

Dwudziestodwutonowy transporter ostro szarpnął do przodu, po czym zaczął przyspieszać. Pięciusetkonny silnik firmy Scania wyposażony w automatyczną, sześciostopniową skrzynię biegów miał wspaniałe możliwości, więc pojazd na krótkim odcinku osiągnął niemal siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Kapitan poczuł, jak przedni pancerz uderzył w coś miękkiego, maszyną szarpnęło, z hukiem pękły drewniane kozły z drutem kolczastym i blokada została sforsowana. Kierowca zwolnił nieco, aby czołgi mogły nadążyć.

– Uwaga wszystkie wozy – powiedział Kurcewicz do mikrofonu, przełączając się z interkomu na kanał dostępny dowódcom poszczególnych pojazdów i pododdziałów. – Gaz do dechy. Ubezpieczamy się wzajemnie. Grupa numer jeden jako awangarda porusza się lewą stroną ulicy i ubezpiecza prawą stronę. Grupa numer dwa jako ariergarda – odwrotnie. Porusza się prawą i ubezpiecza lewą. Ciężarówki w środek. Mamy kwadrans do ataku i kilka kilometrów przed sobą.

Dwa twarde i dwa rosomaki, wliczając w tę liczbę wóz Kurcewicza, wysforowały się do przodu i rozpędziwszy się do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, maksymalnej prędkości, jaką mogły rozwinąć czołgi, pognały przed siebie. Za nimi podążyły szyłka, moździerz amos, dziesięć ciężarówek ze sprzętem i kolejna grupa pancerna – dwa czołgi i dwa transportery. Szyby dzwoniły w oknach, ziemia się trzęsła, nieliczni przechodnie znikali w bramach, a pojazdy skręcały w przecznice.

Dla pędzącego ku swemu przeznaczeniu pancernego żądla reaktywowanego Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, godzina W właśnie wybiła.

2.

Kiedy samochód wiozący hrabiego Dzieduszyckiego przejechał obok Wieteski, kapitan pomyślał, że przyjdzie mu oszaleć.

Gdyby wszystko szło zgodnie z harmonogramem czasowym założonym przez Wojtyńskiego, nigdy by się nie spotkali. Ale kapitan ze swoją ekipą przybył na plac Na Rozdrożu pół godziny wcześniej, niż to było założone, natomiast zespół minerski z niewiadomych przyczyn się spóźnił. Drużyna Wieteski rozłożyła swoje stanowiska w poprzek Alej Ujazdowskich. Żołnierze byli doskonale wyszkoleni, wspaniale uzbrojeni i bardzo

sprawni. Okoliczni niemieccy wartownicy wzięli ich oddział za swój i początkowo nie wykazywali większej podejrzliwości.

Rozgrywająca się przed niespełna czterdziestoma minutami scena pożegnania Rozalki nie była dla kapitana łatwa. Miał świadomość, że zostawienie żony w dobrze zabezpieczonej willi na Mokotowie – że jest dobrze zabezpieczona i chroniona, musiał co prawda uwierzyć Wojtyńskiemu na słowo – na dodatek pod opieką bystrego i lojalnego kaprała Galasia, jest najlepszym z możliwych rozwiązań. Rozalka nie ułatwiała mu zadania, na przemian płacząc i złoszcząc się, a także żądając udziału w akcji. Kierowały nią wyrzuty sumienia i chęć niesienia pomocy Nancy i pułkownikowi, a także, może niezbyt przez dziewczynę eksponowany, ale starannie wykształcony patriotyzm. Rozalka skończyła tylko szkołę powszechną, ale w systemie edukacyjnym II Rzeczypospolitej przykładano wielką wagę do takich spraw jak wychowanie obywatelskie. W końcu po wielu próbach dała się przekonać do pozostania w willi, na poły zatrwożona, na poły obrażona na cały świat, a zwłaszcza na męża. Gdy kapitan przypomniał sobie tę scenę, lekko się odprężył i nawet przemknęło mu przez myśl, że wszystko się jednak mimo trudności układa i szaleńczy plan uwolnienia obojga przyjaciół może się jednak udać. Jego samopoczucie zmieniło się w okamgnieniu, gdy dostrzegł nadjeżdżający Alejami Ujazdowskimi samochód hrabiego. Kapitan w jednej chwili uświadomił sobie, jakim głupstwem był ten element planu. Wystarczył jeden podejrzliwy gliniarz, nadmiernie gorliwy cieć czy przesadnie czujny kapuś – a od tego towarzystwa w kasynie z pewnością aż się roilo – i cała akcja brała w łeb. Kapitan nie miał żadnego doświadczenia w działaniach dywersyjnych, więc wyobrażenia podpowiadała mu sto możliwych scenariuszy, jeden bardziej ponury od poprzedniego.

– Coś długo nie wychodzą – mruknął do przydzielonego mu przez majora przewodnika, porucznika Wiecheckiego, mniej więcej piętnaście minut po zniknięciu hrabiego Dzieduszyckiego i kierowcy ochroniarza za drzwiami kasyna.

– Nie mogą tak od razu, wzbudziliby podejrzania – odmruknął tamten, starannie, jakkolwiek bardzo dyskretnie przepatrując otoczenie.

Wieteska zerknął na zegarek.

– Może i wzbudziliby, ale za niecały kwadrans nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Porucznik nie odpowiedział, pochłonięty obserwacją stojącego pięćdziesiąt metrów od nich strażnika. Właśnie zdawał on relację oficerowi, wskazując kilkakrotnie na ich stanowiska. Wiechecki nieznacznym ruchem położył rękę na uchwycie schmeissera.

– Idę – powiedział kapitan. – Coś się musiało stać.

– Niech pan zaczeka...

– Nie ma na co czekać. Za chwilę będzie za późno. Gdyby wszystko było okej, wyszliby.

Nie oglądając się za siebie, ruszył. Wiechecki z coraz większym niepokojem spoglądał na strażnika rozmawiającego z oficerem, którym najwyraźniej coraz mniej podobał się nadprogramowy oddział wartowniczy w pobliżu siedziby dowództwa sił bezpieczeństwa.

Oficer wydał jakieś polecenie wartownikowi, po czym oddalił się pośpiesznie w stronę budynku na Szucha, kilkakrotnie oglądając się przez ramię.

Wiechecki przywołał gestem kaprała dowodzącego drużyną.

– Idziemy z kapitanem do kasyna. Na chwilę. Tutaj szwabysy zaczynają coś podejrzywać. Jeżeli zrobi się niewyraźnie, od razu zdejmujcie wszystkich wartowników, tak jak było ustalone. I uważajcie, żeby nas nie postrzelić, kiedy będziemy się wycofywać z kasyna. Gdyby się okazało, że nie wracamy, po zlikwidowaniu wartowników atakujecie budynek gestapo zgodnie z planem.

Tamten z przejściem kiwnął głową. Plan był wielokrotnie omawiany i ćwiczony na sucho, ale godzina próby się zbliżała, więc żołnierz nie mógł ukryć emocji.

Oddziałkiem faktycznie dowodził Wieteska, jednak z racji perfekcyjnej znajomości niemieckiego porucznikowi przypadła rola formalnego dowódcy grupy. Jako oficerowi nie wypadało mu więc biegać po pełnym Niemców placu, jednak mimo to puścił się pędem za kapitanem, bo ten zdążył już oddalić się na sporą odległość. Dogonił go niemal w drzwiach kasyna.

– Jak pan chce to rozegrać? – zapytał zdyszany.

– Coś wymyślę – odparł Wieteska. Tego rodzaju zapowiedzi zwykle wróżyły kłopoty, o czym porucznik nie wiedział, bo znali się od trzech godzin. Gdy jednak przyjrzał się z boku twarzy kapitana, nabrał pewności, że chodziło o coś bardzo poważnego.

Chodziło o eksplozję bomby atomowej.

Wiechecki westchnął dyskretnie, naciągnął sprężynę automatu i pchnął drzwi.

Znaleźli się w obszernym, eleganckim, wyłożonym drewnem holu, z którego prowadziło kilkoro drzwi do pomieszczeń znajdujących się w głębi budynku. Nie mieli jednak czasu na dalsze obserwacje topograficzne, albowiem to, co rozgrywało się tuż przed nimi, było daleko bardziej istotne.

Hrabia Dzieduszycki, a także żołnierz pełniący rolę kierowcy i ubezpieczenia, stali z rękoma na karku twarzami do ściany. Niemców było co najmniej dziesięciu, w większości mundurowych, z bronią wycelowaną w pechowych dywersantów. Najwyższy rangą gestapowiec wygłaszał spicz do obu jeńców, ale ponieważ mówił po polsku z okropnym akcentem i zniekształcał większość słów, trudno było stwierdzić, czy poza nim samym ktokolwiek go rozumie. Na podłodze, tuż przy nogach przemawiającego oficera, spoczywała torba z pieniędzmi i bombą.

Wszystko to Wieteska ogarnął jednym spojrzeniem, gdy Niemcy – przynajmniej niektórzy – zaczęli odwracać się w stronę nowo przybyłych.

Wiechecki miał już otworzyć usta, aby uzasadnić swoją i kapitana obecność w tym miejscu i czasie, gdy rozległo się stłumione kasznięcie. Po nim drugie, trzecie i czwarte. Kule znalazły drogę do celu – na taki dystans nie mogły nie znaleźć – i przemawiający Niemiec, a także stojący obok niego oficer gestapo upadli na ziemię. Kapitan Wieteska podniósł pistolet

z lufą zakończoną grubym cylindrem tłumika na wysokość oczu i celując w grupę pozostałych wpatrujących się w niego z bezbrzeżnym zdumieniem Niemców, powiedział cicho:

– Hande hoch!

3.

Nancy na dobre odzyskała przytomność. Jedno oko było całkowicie zasłonięte przez opuchliznę, ale drugie spoglądało na mnie z mieszaniną radości i niedowierzania. Klęczałem na podłodze, a jej głowa spoczywała na moich kolanach. Schmeissera jako mniej poręcznego przewiesiłem przez plecy, na podorędziu miałem natomiast kilka odbezpieczonych pistoletów zabranych jeńcom. Nadal stali pod ścianą gabinetu z rękoma na karku. Odległość była spora, w razie gdyby któryś próbował szczęścia – w co, zważywszy na ostatnie wydarzenia i moją, hm, radykalną stanowczość w okazywaniu swej woli, mocno wątpiłem – miałem dostatecznie dużo czasu, aby sięgnąć po pistolet i otworzyć ogień. Na razie zajmowałem się Nancy, próbując za pomocą zwilżonej wodą chusteczki obetrzeć jej krew z twarzy. Nie miałem do dyspozycji żadnych środków, aby przeprowadzić bardziej zaawansowane zabiegi medyczne.

– Żyjesz, mała? – zapytałem.

– Bywało lepiej – odparła cicho. – Wybiłam bark. I wszędzie mnie boli.

– Wiem. Jesteś bardzo dzielna.

– Wiem. Nic im nie powiedziałam.

– Twardziel z ciebie. Obaj już zapłacili za to, co ci zrobili.

Obróciła lekko głowę i spojrzała na dwa ciała leżące nieopodal.

Przez moment na jej pokiereszowanej twarzy błysnął charakterystyczny skurcz, który widziałem zaledwie kilka razy w życiu. Po raz ostatni wtedy, gdy rozprawiła się z wujem i przełożonym Cuprysią, majorem Ryszardem Łapickim. Dla Łapickiego ta rozprawa nie skończyła się dobrze.

– Należało im się – powiedziała cicho. – Co robimy dalej?

– Za pół godziny na budynek uderzą nasi ludzie. Wieteska, Galaś Kurcewicz, Wojtyński...

– Jako że nie miałem żadnej pewności, czy któryś ze zgromadzonych w pokoju Niemców lub Cupryś nie zna angielskiego na tyle, by nas zrozumieć, powiedziałem to najciszej i najszybciej, jak tylko potrafiłem. Ale i tak musiałem przerwać, bo Nancy dała mi gwałtowny znak, żebym się zamknął.

– O niego mnie głównie pytali – wyszeptała. – O tego ostatniego... Chyba równie im zależy na odnalezieniu emitery, jak i na złapaniu... – Nie skończyła, ale nie musiała.

Wojtyński. Wojownik, komandos i, jak widać, gwiazda konspiracji. Musiał Niemcom mocno zależeć za skórę. Bardzo dobrze. Tym lepiej dla mnie.

– Musimy się przygotować – mruknąłem. – Szczęście nie trwa wiecznie. Ktoś może mieć jakiś interes do tych trzech – pokazałem brodą – albo telefon zadzwoni. Dasz radę wstać?

– Możliwe. Tym zajmiemy się później. Na razie pomóż mi usiąść, najlepiej oprzyj mnie o ścianę. Potem daj mi dwa pistolety. Boli mnie cała prawa strona, więc mogę nie dać rady zmienić magazynka, ale powinnam dać radę wyciągnąć z kieszeni drugi pistolet.

Spojrzałem na nią z czułością i podziwem. Jeszcze kilkanaście minut temu przeżywała piekło, znosząc najbardziej brutalne bicie z repertuaru najlepszych speców tej szacownej instytucji, a teraz jest już gotowa, aby pomóc mi zrealizować plan wydostania się z budynku.

Ostrożnie, aby nie urazić kontuzjowanego ramienia, podniosłem ją do pozycji siedzącej i przeciągnąłem pod ścianę. Oparła się o nią mocno plecami i pomimo widocznego na twarzy cierpienia pewnie chwyciła podane przeze mnie pistolety. Jeden schowała do kieszeni, w drugim sprawdziła magazynek, po czym odbezpieczyła broń i położyła na kolanie.

Wsparcie ogniowe, i to w najlepszym gatunku, miałem więc zapewnione.

Podniosłem się z podłogi, podszedłem do martwego strażnika, wyciągnąłem z ładownic kilka zapasowych magazynków do automatu, po czym schowałem do kieszeni trzy pozostałe parabelki.

– Cupryś – odezwałem się. – Chcesz żyć?

Pytanie było retoryczne, ale Cupryś postanowił odpowiedzieć.

– Jak każdy.

– Pytam ciebie. Czy ty chcesz żyć?

– Pewnie.

– A ile jest warta twoja lojalność wobec obecnych mocodawców?

Wahanie.

– Mów śmiało. Nie powiem im.

– Oni zginą?

– A co cię to obchodzi? Pytaj, czy ty przeżyjesz.

– Przeżyję?

– To zależy, ile jest warta twoja lojalność wobec obecnych mocodawców.

Wahanie. Cupryś zdawał sobie sprawę, że Spilker, a być może również pozostali, sporo rozumieją po polsku. Właśnie miał przekreślić świetlaną przeszłość i określić niepewną przyszłość.

– Pierdolę ich.

– Bardzo?

– Bardzo.

– Dobrze. Rób dokładnie, co mówię, a przyrzekam, że przeżyjesz. To znaczy może zginiesz, pies cię trącał, ale nie z mojej ręki. Jeśli nam pomożesz wydostać się z budynku, zapomnę o przeszłości. Może odkupisz winy, kto wie?

Chyba nie zrozumiał tej ostatniej uwagi, ale propozycją był zainteresowany. Kto by nie

był w jego sytuacji?

– Jest mniej więcej za dwadzieścia piąta, tak?

Spojrzał na zegarek.

– Za dwadzieścia pięć.

– Za kwadrans podniesiesz słuchawkę, zadzwonisz do oficera dyżurnego i przedstawisz mu sytuację. Powiesz, że dwóch bardzo dobrze uzbrojonych i gotowych na wszystko polskich żołnierzy ma w ręku tych oto trzech najważniejszych szefów. Jeżeli ktokolwiek będzie próbował jakiegokolwiek akcji uwolnienia ich albo przeszkodzi nam w opuszczeniu budynku, strzelam bez ostrzeżenia. Powiedz im, że nie mamy nic do stracenia. Będę strzelał do wszystkiego w zasięgu wzroku. A rzadko chybiam, sam wiesz. Wy tłumacz im to. Za dwadzieścia minut stąd wyjdziemy i skierujemy się do wyjścia. Chcemy wydostać się z budynku, nic więcej. Na placu Na Rozdrożu uwolnię zakładników.

– Naprawdę? Uwolni ich pan?

– Przekonasz się.

– A ja?

– Co ty?

– Co będzie ze mną?

– Jeszcze nie sprzedałeś towaru, a już dopominasz się o zapłatę? Najpierw mi pomóż, ale tak uczciwie, bez kantowania. Tak jakbyś sam chciał się wydostać z tego gmachu pod ostrzałem.

– Ale nic pan nie gwarantuje?

– Zaryzykuj. Ryzyko czasami się opłaca.

Kiwnął głową i odwrócił się w stronę telefonu. Powstrzymałem go gestem dłoni.

– Odwrócić się – powiedziałem po niemiecku, głośno i powoli.

Początkowo nie skojarzyli, że to do nich, ale po chwili Geibel odwrócił nieznacznie głowę i spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Tak, wy. Mówię do was – powtórzyłem.

Wszyscy trzej odwrócili się, powoli, z wahaniem. Zdumieni moją znajomością niemieckiego, przerażeni losem, który spotkał strażników, ale i wściekli. Jednak ręce trzymali nadal splecione na karkach, bo pistolet trzymałem wysoko, na wysokości ich twarzy.

– Za chwilę z tego pokoju wyjdziemy i pójdziemy na dół, w stronę wyjścia. – Moja szkolna niemczyzna była może i nieporadna, ale w tej sytuacji miała moc salwy baterii stu pięćdziesięciopięciomilimetrowych haubic. – Wy pójdziecie przodem. Nie będziecie nikomu dawać żadnych znaków. Jeden krok w bok – strzelam. Jedno słowo – strzelam. Jeden niepotrzebny gest czy ruch – strzelam. Wydostaniemy się poza budynek – uwolnię was. Czy wszystko jasne?

– Nie wyjdzie pan stąd żywy, pułkowniku. – To przemówił Spilker, największy cwaniak i najbardziej niebezpieczny przeciwnik z tej trójki.

– Ale ty zawsze przodem, Alfredzie. – Celowo nie użyłem stopnia ani formy grzecznościowej. – Strzelę ci w łeb, zanim zdążysz głębiej westchnąć. I wam dwóm też. Rozumiecie?

Ich zaskoczenie nie minęło jeszcze, ale powoli skinęli głowami.

Cupryś stał i gapił się na mnie z mieszaniną zaskoczenia i podziwu.

– Ale z pana numer. Pan nie potrzebuje żadnego tłumacza. Staliśmy po dwóch różnych stronach barykady, a jednak spodobał mu się sposób, w jaki wystrychnąłem wszystkich na dudka.

– Poczekamy jeszcze, a potem dzwoń. Na gratulacje przyjdzie czas później.

Po szarpiącym nerwy oczekiwaniu w końcu podniósł słuchawkę i połączył się z oficerem dyżurnym.

4.

Chociaż zaskoczeni strzałami Niemcy nie stawiali oporu, Wiechecki poczuł, że ogarnia go wściekłość i z najwyższym trudem powstrzymał się przed otwarciem ognia. Najgłośniejszemu jak potrafił szczękniętą sprężyną schmeissera i przesunął lufę w prawo, w stronę kilku ludzi – może pracowników kasyna, tajniaków, a może po prostu zaplątanych przypadkowo gości.

Kapitan, nie opuszczając broni, postąpił dwa kroki do przodu i zaczął szukać wzrokiem jeńców. Przyszło mu poniewczasie do głowy, że któryś z członków grupy mógł dostać zbłąkaną kulą albo rykoszetem, ale na szczęście były to próżne obawy. Kapitan strzelał bardzo celnie, a i tak hrabia Dzieduszycki i jego kompan po pierwszych strzałach upadli na podłogę, z której teraz podnosili się zdumieni i przerażeni, ale szczęśliwi. Jeszcze minutę temu, pomni okupacyjnych doświadczeń, pewnie żegnali się z życiem. Wieteska w myślach gratulował sobie, że nie do końca posłuchał rozkazu majora i nie oddał mu swojego drugiego pistoletu, a także ukrytego w zakamarkach munduru tłumika. Zwłaszcza ten drugi przedmiot niezwykle się teraz przydał, udało się bowiem opanować sytuację bez stawiania połowy niemieckiego garnizonu na nogi.

Porucznik Wiechecki wszystkich zgromadzonych w holu Niemców zagonił w kąt i gestem nakazał zachowanie ciszy.

Wieteska dość szybko się ocknął. Zdawał sobie sprawę, że liczy się każda minuta.

– Potem opowiecie, co się stało. Poruczniku, stańcie na lipku i pilnujcie wejścia. A ty – zwrócił się do żołnierza kierowcy, podając mu podniesionego z ziemi schmeissera – zabierz stąd jeńców i pilnuj, czy kogoś stamtąd diabli nie niosą. – Machnął ręką w głąb budynku.

Wiechecki błyskawicznie zajął stanowisko przy drzwiach, dyskretnie je uchylił i zaczął obserwować teren przed wejściem do budynku. Kierowcy również nie trzeba było dwa razy powtarzać – zmusił jeńców do biegu i cała grupa zniknęła za drzwiami.

– Czy w torbie nadal jest ładunek i zapalnik? – zapytał hrabiego Wieteska.
– Tak. Nie zdążyli z niej niczego wyjąć – odparł wciąż jeszcze pobladły.
– Gdzie jest reszta C4?
– W jednej z toalet.
– Proszę nastawić zapalnik na piątą i ukryć torbę zgodnie z planem. Ma pan na to dwie minuty. Musimy się jak najszybciej zwijać.

– Zwijać? – zapytał tamten.
– Uciekać. Proszę się pośpieszyć. Zaraz będziemy mieli na głowie połowę SS z miasta. Dzieduszycki podniósł torbę z ziemi i zniknął w głębi korytarza.

Czas ciągnął się w nieskończoność, każda sekunda zdawała się trwać wieczność. Razem z porucznikiem starali się kontrolować wejście do budynku, jak i prowadzące w głąb korytarze. Na szczęście nikt nie próbował wyjść ani wejść do budynku.

W końcu Dzieduszycki ukazał się z powrotem i skinął głową.
– Chodźmy.

Wieteska zawołał żołnierza kierowcę, zamknęli na klucz drzwi, za którymi zgromadzeni byli jeńcy, i cała czwórka wycofała się z budynku. Po prawej stronie znajdowała się oddalona o niecałe pięćdziesiąt metrów siedziba gestapo. Kapitanowi przeleciało przez głowę, że ich rozpaczliwa improwizacja być może przyniesie jednak jakiś skutek, gdy wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

W odległości może dwudziestu metrów przed nimi przemknęły dwa samochody wiozące fałszywego generała Schellenberga wraz z obstawą. Prawie dotarły do wejścia gmachu przy Szucha dwadzieścia pięć, gdy na placu Na Rozdrożu rozpętała się gwałtowna strzelanina. Wieteska dostrzegł, że żołnierze z jego oddziału, działając dokładnie według założonego planu, otworzyli ogień z obu karabinów maszynowych i moździerza. Również działko samochodu pancernego zabrało głos, zdecydowanie górując nad resztą maszynek. Przewaga siły ognia, jak i zaskoczenie były po stronie oddziału Wieteski. Niemieckie posterunki, rozmieszczone gęsto u wylotu alei Szucha, na samym placu Na Rozdrożu oraz na wylotach Alej Ujazdowskich i ulicy 6 Sierpnia, z morderczą precyzją zostały zlikwidowane jeden po drugim. Nieprzyjaciel odpowiedział jednak bardzo silnym ogniem ukrytych w budynkach przy ulicach 6 Sierpnia i Szucha kaemów. Kapitanowi, biegnącemu co sił w stronę swojego oddziału, przemknęło przez głowę, że Niemcy podejrzanie szybko się pozbierali i mają zbyt dobre stanowiska strzeleckie. Jego ludzie tkwili na placu Na Rozdrożu niczym na tarczy strzelniczej. Coś było nie tak i to nie tylko dlatego, że plan ataku z powodu wścibstwa strażników na placu wszedł w życie za wcześnie. Była punktualnie za dziesięć piątą.

– Karabin maszynowy, prawo czterdzieści, dzwonnica.

– Ognia!

Transporterem wstrząsnął huk krótkiej serii. Kurcewiczowi nie dane było zaobserwować skutków ostrzału, bo dowodzenie wozem, a co za tym idzie celowanie i strzelanie pozostawił obsłudze. Ponieważ jednak dowódca wozu nie powtórzył komendy, a nieprzyjemne grzechotanie kul nieprzyjacielskiego cekaemu o pancerz rosomaka umilkło, kapitan wysnuł wniosek, iż nie ma potrzeby marnować więcej pocisków.

Nie zwolniwszy tempa, minęli skrzyżowanie Puławskiej z Odyńca. To właśnie z dzwonnicy kościoła św. Michała ostrzelał ich niemiecki kaem. Poza nim spotkali tylko kilka pieszych patroli, które nie podejmowały walki. Uczestnicy normalnego ruchu ulicznego, czyli przechodnie, riksze, wozy konne i motorowe, wiedzeni jakimś instynktem, a może zawiadomieni drganiami i hukiem nadciągającej apokalipsy, przezornie ustępowali drogi i czym prędzej znikali w przecznicach.

Zbliżali się do pierwszego z wyznaczonych na ten dzień celów.

– Orzeł 1, zgłoś się. – System łączności, którego zakończenie w postaci słuchawek wmontowane było w pancerniacki hełmofon, działał bardzo dobrze, toteż Kurcewicz nie dziwiła wysoka jakość przekazu. Głos Jamroza był słyszalny głośno i wyraźnie.

– Tu Orzeł 1. Zgłaszam się. – Nawet nie musiał się zbytnio wysilać, aby uwierzyć w zapewnienia Wojtyńskiego, że sprzęt łączności jest odporny na niemiecki podsłuch. Organizacja, wyszkolenie i poziom techniczny oddziału zrobiłyby wielkie wrażenie nawet w dwa tysiące siódmym roku.

– Tu Orzeł 2. Jestem na pozycji. Czekam na ciebie.

– Dojeżdżamy.

– Widzę was. Przed wami czysto. Skrzyżowanie z Madalińskiego także czyste.

– Dalej?

– Patrol meldował, że aż do placu Unii spokój. Dużo Niemców, ale bez zorganizowanego przeciwdziałania.

– Okej.

Rozmowa urwała się, bo rosomak dojechał do skrzyżowania. Kurcewicz zaryzykował i wychylił się z wieżyczki. Po lewej stronie horyzont zamykał rząd pięciopiętrowych kamienic. Z wielu okien wyglądały zaciekawione twarze.

Z kilku bram wysypały się ze dwie setki ludzi. Nieliczni ubrani po cywilnemu, w zdecydowanej większości – w mundury pustynnego wzoru, pobrane pięć lat temu z magazynów z myślą o wyprawie afgańskiej.

Kurcewicz dostrzegł idącego na czele grupy porucznika Jamroza, we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku dowódcę plutonu piechoty, a następnie jednej z mieszanych grup bojowych batalionu. Kapitan zapamiętał go jako świetnego, precyzyjnego oficera, twardą ręką trzymającego podwładnych.

Porucznik zasalutował, Kurcewicz odwzajemnił pozdrowienie. Ludzie Jamroza błyskawicznie wskakiwali na platformy ładunkowe hamujących ciężarówek. Po krótkiej chwili w rękach żołnierzy zaczęły lądować beryle, kaemy, granatniki RPG oraz pozostałe umundurowanie i wyposażenie. Uzbrojenie kompanii zajęło może trzy minuty. Błyskawicznie sformowały się plutony, żołnierze w biegu dopinali guziki mundurów i pasy z amunicją. Wszystko odbyło się w całkowitej ciszy.

– Ruszamy – powiedział Kurcewicz i jako że nadal jeszcze mieli szanse na zaskoczenie, dorzucił: – Kompania Orzeł 2, zająć miejsca.

Ludzie Jamroza wskoczyli do ciężarówek, a także na pancerze czołgów i transporterów. Byli upchani jak śledzie w beczce. Kolumna ruszyła z rykiem silników.

Po dwóch minutach osiągnęli plac Unii Lubelskiej, czyli podstawę wyjściową do ataku. Kurcewiczowi, wbrew wszelkiemu rozsądkowi nadal wychylonemu z wieży mknącego na czele rosomaka, wydawało się, że słyszy z oddali nasilającą się strzelaninę. Obecni na placu Niemcy zaczęli okazywać pewne zdenerwowanie i podejrzliwość w stosunku do nieznanego sobie oddziału pancernego. Czas zabawy w ciuciubabkę się skończył.

– Piechota na ziemię. Grupa Orzeł 1 atakuje na wprost, wzdłuż alei Szucha. Czołgi w pierwszej linii. Oddział Orzeł 2 posuwa się wzdłuż osi ulicy Marszałkowskiej. – Kapitan mówił całkowicie spokojnym głosem. – Powodzenia.

Już miał zniknąć w głębi transportera, gdy usłyszał silny, choć stłumiony przez odległość wybuch. Po nim, niemal jednocześnie, drugi, bez porównania potężniejszy. Oba dochodzące z drugiej strony alei Szucha, z kierunku placu Na Rozdrożu.

Wybiła piąta.

6.

– Jesteś gotowa?

– Tak.

Nie brzmiało to zbyt pewnie. Po pierwszej euforii związanej z uwolnieniem z łap gestapowców Nancy zaczęła ze zdwojoną siłą odczuwać skutki bicia – widoczne na całym ciele obrażenia to nie były powierzchowne rany. Próbowwała jednak za wszelką cenę wziąć się w garść, bo przecież zdawała sobie sprawę, że kiedyś musimy opuścić gabinet. I ten moment właśnie nadszedł.

Była dzielna.

Korzystając ze ściany jako punktu podparcia, niepewnie i chwiejnie podniosła się na nogi. Twarz, tułów, nogi, wybity bark – to wyglądało bardzo źle i nadawało się wyłącznie do szpitala. Jednak ośrodek dowodzenia – skryty za śliczną twarzą mózg – zawiadujący centrum zaczepno-odpornym, czyli w tym wypadku lewą ręką, zbrojną w walthera kalibru dziewięć

milimetrów, pojemność magazynka osiem naboí, sprawiał wrażenie granitowo pewnego.

To ja miałem być tym twardym. I jednocześnie szlachetnym. Z wielkim trudem opanowałem natychmiastową chęć mordy i powiedziałem:

– Odwrócić się!

Lufa schmeissera znakomicie im zrobiła na wzmocnienie motywacji. Wszyscy trzej obrócili się niechętnie, ale ujrzawszy mnie, z trudem trzymającą się na nogach Nancy i Cuprysia, który najwyraźniej przeżywał męki zdradzonej lojalności, postanowili na razie nie fikać. Być może byli tchórzami. Jedno jest pewne – nikt ich nigdy nie postawił w takiej sytuacji.

Nancy spojrzała na mnie, uśmiechnęła się kącikiem ust i powiedziała:

– Idziemy?

– Jesteś niezła laska i kocham cię bardzo – odpowiedziałem.

Skinęła głową.

Wyprostowałem się.

– Wy przodem, ja za wami – powiedziałem w stronę gestapowców niedoskonałą, ale świetnie zrozumiałą niemczyzną. – Żeby wszystko było jasne: mam pistolet maszynowy, w nim magazynek na trzydzieści dwa naboje, w kieszeni dwa następne magazynki i trzy pistolety. Mogę zastrzelić każdego z was pięciokrotnie. Jakies pytania?

Nie mieli żadnych.

– Cuprys.

– Jestem.

– Gdy wyjdziemy z tego pokoju, będziesz pomagał iść mojej żonie. Bardzo delikatnie. Podtrzymuj ją tak, aby miała swobodę operowania lewą ręką. Trójka naszych przyjaciół pójdzie przodem. Ja za nimi. Wy na końcu. Nie rób żadnych numerów w rodzaju próby wyrwania mojej żonie pistoletu. Nie krzycz, nie wzywaj pomocy.

– Już mówiłem. Pomogę panu.

– To dobrze. Cały czas pamiętaj o tym, co mówiłeś.

Było sporo do zrobienia, za to nic więcej do dodania. Zdusiłem w sobie myśl, że wkraczam zapewne w ostatnie sekundy życia.

Skinąłem głową i trójka gestapowskich notabli z ociąganiem ruszyła do przodu. Możliwe, że upatrywali w opuszczeniu pokoju jakiejś szansy, której w środku raczej nie mieli, zdani na moją łaskę i niełaskę, jednak wydawało im się, że w znanym im dobrze gabinecie stanowią jedną ze stron czegoś, co można by nazwać równowagą sił. Zdawali sobie sprawę, że są mi potrzebni i już chociażby z tego powodu pozostawię ich przy życiu.

Nie docenili wściekłości, żalu i siedzącej gdzieś głęboko chęci zemsty. Byłem w końcu człowiekiem ukształtowanym przez powojenną literaturę i film, które przez dziesięciolecia karmiły mnie i miliony moich rodaków antyniemiecką propagandą. Nie bez pewnego powodzenia.

Spilker otworzył drzwi i wszyscy trzej wyszli gęsiego. Pochód zamykał Geibel, któremu przypominałem o powadze sytuacji lufą schmeissera wbity w krzyż.

Tuż za mną, niemal na moich plecach, wyszła z pokoju Nancy podtrzymywana przez Cuprysia.

Przed nami, na końcu korytarza rozświetlonego wpadającymi przez wielkie okna promieniami słonecznymi, stała zwarta grupa Niemców. Przynajmniej piętnastu. Strażnicy uzbrojeni w pistolety maszynowe i gestapowcy z bronią krótką. Wyglądali złowieszczo, ale chyba nie wiedzieli, co robić. Być może nie mieli jeszcze do czynienia z czystym przejawem terroryzmu w sercu swojej siedziby.

Idący na czele naszego pochodu Hauptsturmführer Spilker zawahał się i zwolnił kroku. Nie podejrzewałem go o świadomy sabotaż moich zarządzeń – jeszcze nie na tym etapie – ale pomimo to powiedziałem głośno:

– Idź dalej. Powiedz tym ludziom, żeby się rozstąpili.

Powtórzył polecenie głośno i wyraźnie. Widać uznał, że na razie będzie współpracował bez oporu.

Zerknąłem za siebie. Nancy podtrzymywana przez Cuprysia, który zdawał się przykładac dużą wagę do tego, aby być naprawdę delikatnym, podążała za mną z wyrazem cierpienia na twarzy. Ale pistolet trzymała pewnie. Co jakiś czas oglądała się przez ramię – nie dalej niż parę metrów za nami podążała grupka uzbrojonych esesmanów. Trzech.

Ekipa przed nami rozstąpiła się. Zostawiła przejście może metrowej szerokości.

– Stać – powiedziałem głośno, gdy byliśmy już tylko o kilka kroków od tego jedyne w swoim rodzaju komitetu powitalnego. Idąca przede mną trójka posłusznie się zatrzymała. Ręce splecione na karku idącego bezpośrednio przede mną Brigadeführera Geibla zauważalnie drżały. Pocił się mocno. Zresztą jak pozostała dwójka kompanów.

– W tył zwrot. Opuścić broń. Zejść powoli po schodach. Zostawić przejście – mówiłem wolno i wyraźnie w stronę komitetu powitalnego. – Macie na to pięć sekund. Potem strzelam.

Stojący na czele oficer zawahał się, ale Geibel warknął krótko:

– Wykonać! – i to przesądziło sprawę. Tamci zaczęli się wycofywać. Po chwili, idąc tyłem, doszli do schodów i zaczęli schodzić w dół.

My również ruszyliśmy. Chociaż przez tę chwilę Nancy zdążyła trochę odpocząć, poruszanie się przychodziło jej z coraz większym trudem. Słyszałem, jak ciężko oddycha, widziałem kątem oka, jak coraz bardziej opiera się na ramieniu Cuprysia, jak coraz bardziej opuszcza rękę z bronią.

Doszliśmy do szczytu schodów. Patrzyłem z góry na zgromadzonych na dole ludzi. Zdecydowanie ich przybyło. Wszyscy spoglądali na nas z nienawiścią, zostawili jednak dość szerokie przejście prowadzące do drzwi wyjściowych.

Nie było miejsca na wahanie czy na rozstrzyganie wątpliwości.

– Idziemy – powiedziałem do zakładników. – Powoli.

Zaczęliśmy schodzić. Palec na spuście zdrętwiał i powoli przestawałem go czuć, co nie było dobre. Palca na spuście potrzebowałem bardzo. Grał główną rolę w moim planie.

Plan niestety zawalił się parę sekund później.

Usłyszałem, jak Nancy westchnęła głośno i w tym samym momencie poczułem silne uderzenie w plecy. Zachwiałem się, ale nie straciłem równowagi. Uchwyciłem schmeissera mocno prawą ręką, drugą starając się podtrzymać upadającą żonę. Jednak spóźniłem się o pół sekundy. Nancy ciężko uderzyła prawym, kontuzjowanym bokiem o schody, przy okazji pociągając za sobą Cuprysia.

Zobaczyłem, jak jeden ze stojących na dole gestapowców podrywa pistolet i strzela, niemal nie celując. Kula świsnęła koło mnie, odbiła się od ściany i poleciała w górę schodów. Kilku jego kolegów nosiło się z podobną myślą – w polu widzenia dostrzegłem co najmniej pięć wycelowanych w nas, chociaż miałem przemożne wrażenie, że bezpośrednio we mnie – pistoletów i automatów.

Czas chwiejnego zawieszenia broni skończył się definitywnie.

7.

Kapitan Wieteska był wściekły. Zdawał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo nie zmniejszyło się, zmienił się tylko jego charakter. Zarówno on, Wiechecki, jak i obaj uwolnieni dywersanci, zaskoczeni gwałtowną strzelaniną i niebezpiecznie blisko przelatującymi kulami, zalegli o sto metrów od swojego oddziału. Chociaż znajdowali się w swego rodzaju martwym polu pomiędzy budynkiem kasyna a siedzibą gestapo, ich stanowisko nie było najbardziej bezpiecznym z azylów.

– Borsuk, zgłoś się! – rzucił zdyszany Wieteska do krótkofalówki. Jakże kochał te wojskowe kryptonimy.

Dowodzący pod jego nieobecność kapral odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

– Zgłaszam się. – Z trudem można było go zrozumieć. W słuchawce dominowały strzały z broni maszynowej.

– Po cholere zaczęliście walkę? Jest za wcześnie... – Kapitan zdawał sobie sprawę, że wszelkie pretensje są mocno spóźnione, ale nie mógł się powstrzymać.

– Chcieli nas legitymować. Otoczyli nas...

– Palanty. – Kapral nie mógł się domyślić, pod którym adresem ta uwaga jest skierowana.

– Straty są?

– Jeden z naszych dostał. Ale żyje.

– Dobrze. To znaczy niedobrze.

Ogień karabinowy osłabł nieco. Najwyraźniej ostrzał działka pancerki, moździerza i dwóch kaemów uciszył część niemieckich stanowisk. Kapitan wychylił się zza drzewa. Przed

sobą miał około stu metrów otwartej przestrzeni. Po prawej potężny budynek. Siedziba gestapo. Cel ich ataku.

Kapitan zastanawiał się. Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą.

– Ruszajcie się. Wykorzystajcie samochód pancerny jako osłonę. Niemcy strzelają przeważnie z prawej. Pobiegniecie z lewej strony samochodu, wykorzystując go jako osłonę. Przed wami jest niemieckie stanowisko. Zajmijcie je, a pancerka niech jedzie dalej. Niech zlikwiduje niemiecki ogień w budynku naprzeciwko. Wykonać.

Przemknęło mu przez głowę, że chociaż całe swoje zawodowe życie był lotnikiem, coraz lepiej szło mu dowodzenie piechotą. Może jego powołaniem było zostanie generałem wojsk lądowych, a on o tym przez całe swoje zawodowe życie nie wiedział?

Kapral ruszył skulony w stronę stanowisk karabinów maszynowych i moździerza, aby wydać odpowiednie dyspozycje. Działko pancernki warknęło krótko i kolejna niemiecka maszynka przestała strzelać. Nastąpiła chwilowa przerwa w działaniach zaczepnych.

– Co myślisz? – rzucił przez ramię kapitan do skulonego za jego plecami porucznika.

– Szkopy koncentrują się na naszych chłopakach na placu. Strażnicy sprzed budynku zniknęli. Zaraz z tamtej strony uderzy kapitan Kurcewicz. Mamy szansę...

– Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że zaczęliśmy powstanie narodowe nieco za wcześnie – rzucił kapitan bardziej do siebie niż do towarzyszy.

Obejrzał się. Hrabia rozglądał się na boki z obawą, natomiast ochroniarz kierowca zachowywał zupełny spokój. Uzbrojony był w zdobycznego schmeissera, Dzieduszycki natomiast objął w posiadanie pistolet parabellum, przejęty od któregoś z jeńców. Jak na warunki powstańcze byli uzbrojeni po zęby.

– Naprzód! – krzyknął kapitan do mikrofonu.

Wóz pancerny ruszył nieśpiesznie, skrywając skuloną za jego kadłubem grupę bojową. Żołnierze uginali się pod ciężarem obu kaemów, moździerza i skrzynek z amunicją. Dojechali do niemieckiego stanowiska, którego załogę zlikwidowały wcześniej celne serie. Wieteska, obserwując uważnie rozwój sytuacji, zakomenderował:

– Jeden kaem i moździerz zostają. Załoga ubezpiecza natarcie i czeka na trzecią kompanię. Nie postrzelajcie się z nimi. Reszta naprzód.

Sześciu ludzi oderwało się od grupy i wrzuciwszy uprzednio sprzęt do środka schronu, zajęło stanowiska bojowe. Byli solidnie osłonięci metrowej wysokości wałem zbudowanym z worków z piasku. Wyrzucili martwych Niemców na zewnątrz, przejęli broń i amunicję – w tym ciężki karabin maszynowy, zwiększający stan posiadania fortalicji o sto procent – i już po chwili dwa kaemy i moździerz były przygotowane do strzału. Operacja zyskała solidny punkt wparcia ogniowego.

Grupa szturmowa ruszyła dalej.

Niemcy szybko otrząsnęli się z pierwszego i drugiego zaskoczenia. Zarówno z siedziby gestapo, jak i stojącego po przeciwnej stronie ulicy budynku Szucha dwadzieścia jeden

rozległy się strzały. Z każdą chwilą gęstniały, widać coraz więcej Niemców obsadzało stanowiska ogniowe. Kapitanowi przemknęło przez głowę, że pozostaje kwestią czasu, by nieprzyjaciel podciągnął cięższy sprzęt i celnym strzałem pozbawił ich jedyne w tej chwili – bo zaskoczenie jako czynnik taktycznej przewagi już się wyczerpało – solidnego atutu, czyli samochodu pancernego.

Wydawało się, że szybkość działania i brutalność ataku są jedynym lekarstwem w tej sytuacji. Karabin maszynowy ze zdobytą przed chwilą szanca otworzył ogień w stronę niemieckich pozycji.

Kapitan nie miał ochoty na to, co przyjdzie mu zrobić, ale wiedział, że musi zaryzykować.

– Wiechecki, ile masz amunicji?

– Sześć magazynków i cztery granaty.

– Oślonisz mnie i resztę. Dasz radę?

Budynek przy Szucha dwadzieścia jeden, skąd dochodził gwałtowny ogień, był oddalony o około stu metrów. Maksymalny zasięg skutecznego ognia schmeissera.

– Wolałbym karabin. Ale postaram się...

– Postaraj się.

– Tak jest.

Porucznik spokojnymi ruchami przygotowywał się do otwarcia ognia. Wyjął z ładownic zapasowe magazynki, wygodnie oparł się na łokciach i spojrzał wyczekująco na Wieteskę.

– No to do roboty – powiedział kapitan.

Wyczekał moment, kiedy nieprzyjacielski ogień nieco się zmniejszył, i wyskoczył zza drzewa. Za nim poderwali się kierowca i hrabia Dzieduszycki.

Biegł szybko, najszybciej jak mógł. Nie myślał o tym, co może go spotkać. Schmeissera trzymał nisko, aby nie przeszkadzał w biegu. Mimo to kolba boleśnie obijała udo.

Zza pleców rozległy się strzały. To porucznik Wiechecki krótkimi seriami starał się wyeliminować z walki nieprzyjacielskie punkty ogniowe. Był świetnym strzelcem, jednak dystans był bardzo duży, toteż skuteczność ostrzału nie była wystarczająca. Usłyszał jęk. Trafiony celną serią hrabia upadł na ziemię. Kapitan wiedział, że jeżeli zacznie sprawdzać stan rannego, zginie. Jedyne ratunku upatrywał w jak najszybszym biegu i maksymalnym pochyleniu nad ziemią.

Skromne, dwuosobowe natarcie wsparł ogień prowadzony ze stanowiska uprzednio zajętego przez ludzi Wieteski, jak i z samochodu pancernego. Na ulicy, bliżej budynku Szucha dwadzieścia jeden, zaczęły wybuchać ciężkie granaty. To rozpoczął ogień moździerzy. W sposób bardzo skuteczny pomogło to atakowi. Eksplozje, sięgające wysokości pierwszego piętra, zmusiły Niemców do schowania głów oraz zasnuły ulicę ciężkim, czarnym dymem. Samochód pancerny prowadził ogień na przemian do stanowisk w budynku gestapo, jak i ukrytych w głębi ulicy.

Kapitan dobiegł do rogu budynku. Na karku czuł ciężki oddech towarzyszącego mu żołnierza. Wychylił się ostrożnie.

Przed znanym z co drugiego powojennego filmu wejściem nie było nikogo, nie licząc zwłok kilku niemieckich żołnierzy, zastrzelonych bądź przez grupę fałszywego Schllenberg, bądź, co bardziej prawdopodobne, przez celny ogień maszynek oddziału Wieteski.

Kapitan obejrzał się. Stojący za nim żołnierz był zasapany i przestraszony gwałtownością strzelaniny, patrzył jednak uważnie i był gotów iść dalej. Po chwili dołączył do nich Wiechecki. Ten z kolei wyglądał świeżo i dziarsko, sprawiał wrażenie, jakby był na ćwiczeniach.

Samochód pancerny dojechał na wysokość wejścia do budynku. Wieża odwrócona była w stronę budynku po drugiej stronie ulicy. Zza wozu wybiegło kilku żołnierzy i szybko dołączyło do Wieteski i towarzyszy. Siła oddziału zwiększyła się do siedmiu ludzi.

Kapitan zdążył zrobić kilka kroków w kierunku wejścia. Za nim, gęsiego, podążył Wiechecki i reszta. Dym wywołany moździerzowym ostrzałem zasłonił ich przed ogniem z budynku naprzeciwko. Dodatkową osłonę dawała stojąca nieopodal pancerka.

Nagle podwójna eksplozja, o wiele silniejsza niż inne, targnęła powietrzem. Samochód pancerny został trafiony wiązką trzech przeciwpancernych granatów. Podmuch oderwał wieżę i odrzucił ją na bok. Samochód momentalnie się zapalił. Dym przesłonił wszystko inne.

Druga eksplozja, nieporównywalnie potężniejsza, zawałiła całe lewe skrzydło kasyna. Fala uderzeniowa w ułamku sekundy pokonała krótki dystans dzielący ją od budynku gestapo i zaatakowała go. W ślad za nią z niewielkim opóźnieniem nadleciały fragmenty ścian i mebli, cegły, deski i tysiąc innych przedmiotów.

Oddziałek kapitana Wieteski, jak bokser uderzony prawym sierpowym, padł pokotem na ziemię.

8.

– Orzeł 1, po prawej masz bunkier. Za nim rozwija się piechota, co najmniej pluton z ciężką bronią maszynową. Idź na wprost. Jak opanujesz te stanowiska, melduj.

– Orzeł 2, gdzie jesteś? Rozbiłeś stanowisko cekaemu? Brawo. Idź naprzód. W budynkach po prawej stronie masz Niemców. Dwie drużyny z bronią strzelecką. Czyść teren. I posuwaj się, bo Orzeł 1 cię wyprzedził.

Przyklejony do peryskopu kapitan nie miał łatwego zadania. Musiał jednocześnie obserwować teren, zerkać na mapę i konfrontować informacje z otrzymanymi od Wojtyńskiego notatkami z wyszczególnieniem niemieckich pozycji. Zdawał sobie sprawę, że od jego koncentracji i umiejętności zależy życie powierzonych mu żołnierzy. Był więc maksymalnie skupiony, chłonąc rozwój sytuacji każdym zmysłem.

Wywiadowcy majora pracę domową odrobili bardzo dokładnie, bo jak na razie wszystko się zgadzało: siła niemieckich posterunków, ich rozmieszczenie, a nawet zapasy amunicji i środki łączności. Ludzie Kurcewicza (jacy moi ludzie, to wszystko zasługa Wojtyńskiego, pomyślał kapitan z nieoczekiwaną goryczą) zdobyli już granice dzielnicy niemieckiej i posuwali się w głąb alei Szucha i Marszałkowskiej. Rosomak, w którym znajdował się Kurcewicz wraz z załogą i żołnierzami desantu, a także zestaw przeciwlotniczy szyłka oraz samobieżny moździerz amos stanowiły wsparcie ogniowe oraz odwód obu grup bojowych i znajdowały się sto metrów za szturmującymi oddziałami. Kapitan pomyślał, że natarcie tak naprawdę wisi w powietrzu – nie ma ani zabezpieczonych skrzydeł, ani tyłów. Na szwank wystawiona jest kolumna transportowa oddziału – kilkanaście opuszczonych teraz ciężarówek. Kapitan rozkazał podążającej z nim ośmioosobowej drużynie opuścić transporter i zająć stanowiska ogniowe skierowane na południe, ale zdawał sobie sprawę, że takie zabezpieczenie może okazać się dalece niewystarczające. Wojtyński wspominał co prawda o współdziałaniu kilku powstańczych oddziałów, mających atakować rozmaite cele w okolicy, ale zrobił to bez przekonania – najwyraźniej nie wszystkie rzeczy przed godziną udało się uzgodnić i skoordynować. Kapitan nie miał zielonego pojęcia, jak naprawdę wygląda uzbrojenie i organizacja sił AK w Warszawie pierwszego sierpnia czterdziestego czwartego roku, a nie mógł sobie tego przypomnieć z dawno przerabianych lekcji historii. Klnąc w duchu, machnął na te rozterki ręką – na rozwój sytuacji strategicznej nie miał wielkiego wpływu. Jednak obserwacja panoszących się do niedawna Niemców, którzy teraz uciekali co tchu, aby skryć się przed ogniem obu grup bojowych, sprawiła mu satysfakcję. I nawet nie starał się z tym walczyć.

Czołgi posuwające się wzdłuż alei Szucha rozbiły ogniem działowym kilka niemieckich posterunków i wjechały w głąb dzielnicy niemieckiej. Każdy kolejny punkt niemieckiego oporu rozbijany był z dystansu ogniem prowadzonym z granatników RPG lub pallad przez posuwającą się za czołgami piechotę. Jako pierwsze zaatakowała dwa flankujące ulicę budynki, po krótkiej walce wykurzając stamtąd Niemców. Natarcie zyskało solidną, ufortyfikowaną podstawę, zgodnie z planem obsadzoną przez jeden z plutonów, mających na swoim wyposażeniu, oprócz granatników, również ciężką broń maszynową. Kapitan miał nadzieję, że ta reduta będzie w stanie powstrzymać każdy niemiecki kontratak.

– Tu Orzeł 2 – zatrzeszczał w słuchawce głos Jamroza. – Doszliśmy do rogu Litewskiej. Opór stosunkowo słaby, Niemcy bronią się tylko w jednym budynku po lewej.

– Broń ciężka?

– Na razie brak. Cekaemy, broń strzelecka, granatniki. Poradzimy sobie.

– Jak szybko osiągniesz plac Zbawiciela?

– Jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, za piętnaście minut. – Rozmowa przerywana była silnymi eksplozjami. To studwudziestopięciomilimetrowe granaty dział czołgowych likwidowały niemieckie punkty oporu. – Napotkałem czołówki batalionu Ruczaj.

Kilka słabo uzbrojonych plutonów, ale przejęli sporo zdobycznej broni, więc jest już trochę lepiej. Obsadzają zdobyte budynki wzdłuż Marszałkowskiej.

– Bardzo dobrze. Trzeba bezwzględnie utrzymać linię Marszałkowskiej. Jak dojdiesz do placu Zbawiciela, obsadź wszystkie wyloty ulic i czekaj na grupę Orzeł 1. Któryś z plutonów możesz pchnąć wzdłuż ulicy 6 Sierpnia na spotkanie z chłopakami od Stańczaka i Wojtyńskiego. Jak dołączą ludzie z Ruczaja, zostaw im plac Zbawiciela i podążaj resztą sił za pierwszym plutonem. W ten sposób zamkniemy okrążenie. Pilnuj boków i tyłów.

– Tak jest. Odmeldowuję się.

– Grupa Orzeł, zgłoś się – usłyszał w słuchawce Wojtyńskiego.

– Zgłaszam się.

– Melduj rozwój sytuacji.

– Zdobyliśmy skraj dzielnicy. Grupa Orzeł 1 posuwa się w głąb alei Szucha. Orzeł 2 minął Litewską. Opór silny, ale bez broni ciężkiej.

– W porządku. My opanowaliśmy plac Na Rozdrożu. Jeden pluton posłałem dalej wzdłuż Alei Ujazdowskich, w stronę Belwederu. Większością sił podchodzimy pod budynek gestapo. Przed nim płonie wasz samochód pancerny. W środku budynku ciężkie walki. Idziemy z pomocą. Bardzo silny ogień z głębi ulicy, ale widzę czołgi Orła 1. Pchaj ludzi naprzód, liczy się każda minuta.

– Tak jest. Odmeldowuję się.

Kurcewicz zamyślił się ponuro. Nie spodziewał się, że atak na siedzibę gestapo połączony z próbą odbicia Grobickich pójdzie gładko jak w amerykańskim filmie akcji, ale wiadomości uzyskane od Wojtyńskiego potwierdziły najgorsze obawy. Walka wewnątrz budynku, zwłaszcza w obliczu liczebnej przewagi Niemców, niosła ze sobą śmiertelne ryzyko, nawet zakładając czynnik zaskoczenia, przewagę w uzbrojeniu i wyszkoleniu. Grobicki był urodzonym farciarzem, całe życie, o ile się kapitan orientował, wychodził obronną ręką z rozmaitych opresji – może z wyjątkiem tej cholernej wycieczki w przeszłość, bo jej atrakcyjność, jeżeli w ogóle, była bardzo kontrowersyjnej natury – ale mimo wszystko szczęścia mogło mu zabraknąć w tym jednym decydującym momencie. Pułkownik był zdany na własne siły przez ponad pięć godzin. W tym czasie niemieccy specjaliści od prawdomówności mogli go zatłuc kilka razy. Pchnięty nagłym impulsem, znacznie głośniejszym niż zwykle zakomenderował:

– Orzeł 1, gaz do dechy! Macie trzysta metrów do celu.

9.

Gestapowiec chybił, nawet gdyby jednak trafił, strzelając do mnie przez stojących na linii ognia zakładników, dałby świadectwo swojej niekompetencji i głupoty. Nie mogłem liczyć na

to, że wszyscy inni zgromadzeni na dole Niemcy celujący do mnie z pistoletów i automatów okazały się równie źle wyszkoleni. Najszybciej jak tylko mogłem rzuciłem się w tył, starając się zasłonić Nancy.

Szarpnąłem Geibla za kołnierz, po czym, trzymając automat jedną ręką, nacisnąłem spust. Pozycja do strzału była idiotyczna, ale miała tę zaletę, że przynajmniej częściowo zostałem zasłonięty przez ciężką, wykutą z żelaza balustradę. Marna to była osłona, ale lepsza niż żadna, a ja nie miałem nic innego na widoku.

Seria była celna, z tej odległości można było trafić w obiekt z zamkniętymi oczami. Stojący o trzy schodki niżej Hann, ugodzony kilkoma pierwszymi pociskami, krzyknął krótko:

– Mutti! – i runął w dół prosto na stojącego poniżej towarzysza niedoli.

Ponieważ schmeisser szczekał dalej, Spilker również oberwał. Oba wpakowałem w plecy po kilka kul, tym prostym sposobem wymierzając dziejową sprawiedliwość oraz pozbawiając siły niemieckie w Warszawie znaczących dowódców, a siebie – dwóch z trzech chroniących do tej pory me życie zakładników.

Obaj w postaci skłębionej kuli ciał, nóg i rąk dolecieli na sam dół schodów i tam się zatrzymali. Zgromadzeni w holu gestapowcy zamarli w zdumieniu i ten fakt dał mi kilka niezbędnych sekund na rzucenie zszokowanego gestapowca pod ścianę i zmianę magazynka.

Dokładnie w momencie, kiedy lądowałem na plecach i przymierałem się do ponownego otwarcia ognia, Nancy otrząsała się z chwilowego zamroczenia wywołanego upadkiem. Miała wystarczająco dużo przytomności umysłu i wspomaganego umiejętnościami instynktu, żeby nie wypuścić z ręki pistoletu. Gdy już przejaśniło jej się w głowie, przekreśliła się w prawo, podniosła walthera i zaczęła strzelać.

Podążający za nami od wyjścia z pokoju trzech Niemcy byli czujni i spięci, ale tak samo jak wszyscy zaskoczeni rozwojem wydarzeń, zapoczątkowanych przez upadek Nancy. Toteż pierwszych dwóch padło na ziemię z przestrzeloną głową, nim zdążyli nacisnąć spust. Jednak trzeci, bystrzejszy widać od towarzyszy, otworzył ogień, zanim moja żona wzięła go na muszkę. Być może gdyby zaczęła likwidację naszego ogona od tego właśnie żołnierza, sprawa zakończyłaby się lepiej. Ale nie zaczęła, więc pięć pierwszych pocisków serii poleciało po ścianie w głąb klatki schodowej, nie czyniąc żadnych szkód. Szósty, po rykoszecie, zranił Cuprysia w rękę i odrzucił w dół schodów.

Siódmy pocisk trafił Nancy prosto w pierś.

Upadając, strzeliła jeszcze raz. Nie był to tak idealny strzał jak dwa poprzednie, ale spełnił swoje zadanie. Niemiec dostał w brzuch, kilka centymetrów poniżej mostka. Wywrócił się na ziemię i znieruchomiał.

Pół sekundy później opadła ręka z pistoletem. Nancy straciła przytomność.

Wszystko to widziałem kątem oka, zajęty burzliwie rozwijającą się akcją na dole. Niemcy zaczęli strzelać. Huk wystrzałów, metaliczne dźwięki kul odbijających się od żelaznej bariery,

pył ze ścian łupanych pociskami, dym prochowy – w jednej sekundzie spokojny dotąd i elegancki budynek zamienił się w prawdziwe piekło. Odpowiedziałem ogniem, prawie bez celowania wystrzeliwując w dół cały magazynek. Na tak małej przestrzeni celowanie nie było tak ważne, Niemcy byli odsłonięci. Większa część kul znalazła drogę do celu. Paru gestapowców zwaляło się na podłogę. Zmieniłem szybko magazynek, mając pełną świadomość, że to już ostatni. Pomyślałem przy tym, że być może więcej magazynków nie będzie mi potrzebnych. Jeżeli Nancy nie żyje, nie będę już zainteresowany wydostaniem się z budynku. Chodzi mi tylko o to, aby pociągnąć za sobą maksymalną liczbę tych skurwysynów.

Stop. Mały Johny.

Jestem ojcem.

Mam obowiązki.

Zerknąłem na żonę. Leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Poszarpany spadochroniarski kombinezon czerniał coraz bardziej od szyi aż po brzuch. Twarz miała bladą, tak bladą, jakby cała krew z niej odeszła. Z ust wydobywała się krwawa piana.

Jednak przez ułamek sekundy, przez mgnienie oka wydało mi się, że klatka piersiowa poruszyła się. Spojrzałem ponownie. Tak, bez wątpliwości.

Nancy zakaszłała gwałtownie, plując krwią.

Takie objawy z reguły występują przy postrzałach w płuca. Czas zaczął grać decydującą rolę.

Stałem się ponownie bardzo zainteresowany wydostaniem się z budynku. Musiałem wykombinować, jak to szybko zrobić, mając na dole kilkudziesięciu Niemców, w automacie jeden magazynek, trzy pistolety w kieszeniach i ciężko ranną żonę do wyniesienia.

Niemcy zaprzestali kanonady, widząc, że nie przynosi ona żadnego skutku. Jeżeli nie dotrze do nich, że Geibel żyje i nadal jest ze mną, wrzucą mi na górę parę granatów, które załatwią sprawę w okamgnieniu. Geibel zginie, klatka schodowa będzie nadawała się wyłącznie do generalnego remontu, ale nie podejrzewałem, aby to stanowiło główne kryterium w niemieckim procesie decyzyjnym. W końcu trochę tynku i farby to nie jest wielka cena za rozprawienie się z facetem, który zlikwidował dwóch dowódców niemieckich sił bezpieczeństwa w tym pięknym mieście. Jest pytanie, czy dla takiego celu poświęcą najważniejszego szefa.

Obejrzałem się. Ranny w rękę Cupryś przeturlał się pod ścianę i klęknął. Wyglądał na zszokowanego, ale generalnie nie dolegało mu nic poważnego. Nadal go potrzebowałem.

– Musimy się stąd wynosić – szepnąłem w jego stronę, korzystając z chwilowego zawieszenia broni. – Pomożesz mi.

– Jestem ranny – zaprotestował słabo.

– Nic ci nie będzie. Zatomuj krwotok. – Oddarłem względnie czysty kawałek rękawa koszuli i podałem mu, a widząc, że przymierza się do przewiązania sobie ręki, dodałem: – Nie sobie. Jej. Zatomuj krwotok jak najszybciej.

Może wyglądało to na bezduszość, ale nie mogłem – chociaż bardzo chciałem – udzielić Nancy pierwszej pomocy, bo zajmując się tym, straciłbym jakąkolwiek kontrolę nad zakładnikiem, Cuprysiem i resztą wydarzeń.

Były kapral zerknął na ranną, po czym już bez dalszych protestów przeczołgał się w przód i zabrał się do przewiązywania rany.

- Powiedz im, żeby nie strzelali – rzuciłem Geiblowi.
- Zastrzelił pan tamtych. Nie posłuchają... – odparł słabo.
- Wydaj im rozkaz. Jesteś tu szefem.

Wahał się jeszcze, ale w końcu uznał, że nie warto protestować. Nie miał żadnych argumentów, by zmusić mnie, żebym nie zrobił tego, co zechcę. W bardzo ograniczonym co prawda zakresie.

Krzyknął więc głośno w stronę schodów:

- Mówi Brigadeführer Geibel. Uwaga! Nie strzelać. Powtarzam: nie strzelać. To rozkaz!

Trudno było stwierdzić, czy polecenie dotarło do adresatów i czy się do niego zastosują. I tak nie miałem innego wyjścia. Musiałem zaryzykować i potraktować rozkaz jako wykonany.

Cupryś skończył zakładanie prymitywnego opatrunku. Krwawienie ustało, ale Nancy pojękiwała cicho. Uznałem to za dobry znak. Za jedyny dobry znak od nie wiadomo kiedy. Pokazałem na migi, że ma ją wziąć na ręce i podążać za mną. Wiedziony przemożnym impulsem wstałem, wymownym ruchem lufy nakazałem powstanie Geiblowi i szybko zerknąłem w dół. Już miałem nacisnąć spust, by stworzyć jakąkolwiek namiastkę ogniowej osłony odwrotu, gdy dobiegły mnie odgłosy strzelaniny, której bynajmniej nie byłem autorem. Odgłosy dochodziły z zewnątrz budynku, z okolic placu Na Rozdrożu, i miały charakter gwałtownej wymiany ognia, w której brało udział kilkudziesięciu ludzi. Zupełnie nie miałem pomysłu, czy to dla mnie dobrze, czy źle. Mogłem się tylko domyślać, że w pobliżu są jakieś polskie siły. Być może Wojtyński trzymał się planu i zorganizował próbę odbicia Nancy i mnie.

Tak więc zawahałem się i nie nacisnąłem spustu. Mogło mnie to kosztować życie, bo Niemcy byli gotowi na powitanie, celując w górę z kilkunastu maszynek, co zresztą świadczyło o nierespektowaniu rozkazów wydawanych przez przełożonego. Ta smutna konstatacja byłaby zapewne ostatnią w moim niezbyt długim życiu, gdyby nie fakt, że właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe do budynku i ukazał się w nich jakiś człowiek, w dość licznym zresztą towarzystwie.

Jak już wspomniałem wcześniej, nie znałem się zbyt wiele na niemieckich szarżach i umundurowaniu, lecz ten człowiek roztaczał wokół siebie taką aurę władzy i siły, że mógłby nosić więzienny drelich, a i tak miałby autorytet. Nie nosił więziennego drelichu, tylko grafitowy mundur gęsto szamerowany srebrem. Gdy nie przejmując się szalejącą na zewnątrz strzelaniną, przekroczył próg, uwaga zgromadzonych na parterze Niemców skupiła się na nim. W ślad za szefem w drzwiach ukazało się kilkunastu jednolicie umundurowanych

żołnierzy stanowiących jego sztab lub może ochronę.

Już po sekundzie wiedziałem, że znalazłem się po jasnej stronie Księżyca, a przynajmniej opuściłem jego ciemną połowę. Wśród asysty przybysza rozpoznałem bowiem Stańczaka, kilku członków wrześnieowego plutonu GROM-u, paru niezłych kozaków od Borka, a także kaprała podchorążego Witka, poznanego na odprawie u Wojtyńskiego kilkanaście godzin wcześniej żołnierza konspiracji, który asystował mi podczas podróży do Warszawy i odprowadził mnie niemal pod same drzwi konspiracyjnego lokalu na Hożej.

Otwierający pochód oficer był tylko figurantem, natomiast Stańczak, najpewniej faktyczny dowódca, wykazał się nie lada przytomnością umysłu. Jednym spojrzeniem ogarnął sytuację, wydał półgłosem rozkaz, którego nie słyszałem, ale sądząc z reakcji podkomendnych mogłem się z łatwością domyślić jego treści.

Grupa towarzysząca oficerowi w jednej chwili rozsypała się na boki i otworzyła ogień. Kilkanaście pistoletów maszynowych zamieniło się w podręczną wersję maszynki do mielenia mięsa, a hol w jatkę. Większość Niemców padła na ziemię jak zdmuchnięta huraganem. Huk wystrzałów, wzmocniony przez kościelną akustykę budynku, był powalający. Odtąd dzwonienie w uszach i mocno przytępiony słuch będą nieodłącznym elementem mojego powstańczego życiorysu.

Nie wszyscy gestapowcy dali się jednak zaskoczyć. Część odpowiedziała ogniem i kilku napastników zostało wyeliminowanych z walki.

Błogosławiąc Stańczaka i jego punktualność – w kategoriach last minute, co prawda – obejrzałem się, puściłem krótką serię w głąb korytarza, aby zagonić wynurzających się z dalszych pokoi Niemców, szarpnąłem Geibla za kołnierz munduru, nieomal zostając z tym fragmentem garderoby w ręku, krzyknąłem na Cuprysia:

– Idziemy – i zacząłem schodzić po schodach, najlepiej jak mogłem, zasłaniając siebie i sapiącego z wysiłku kaprała SS-Brigadeführerem. Wyciągnąłem z kieszeni jeden z pistoletów, a schmeissera przewiesiłem przez plecy. Geibel nie stawiał oporu, skulił się tylko i rażno przebierał nogami. Strzeliłem w biegu do Niemca stojącego u podnóża schodów, potknąłem się, złapałem równowagę i szczęśliwie znaleźliśmy się na parterze w odległości może dziesięciu metrów od wyjścia. Już zacząłem myśleć, że może się jednak uda wydostać z tego piekła, gdy silna eksplozja zatrzęsała budynkiem. Wszyscy pozostali jeszcze przy życiu uczestnicy walki zachwiali się na nogach. Założę się, że przez niejedną głowę przemknęła wcale nieteoretyczna myśl, że budynek, solidny przecież, o grubych murach, może nam zawalić się na głowy, grzebiąc po równo zwycięzców i pokonanych. Przez moją głowę taka myśl w każdym razie przebiegła.

Jednak nic się nie stało, przynajmniej nic takiego, co nie pozwoliłoby na kontynuowanie walki. Ponownie odezwały się maszynki po obu stronach, ale pozostali przy życiu Niemcy zaczęli wycofywać się bocznymi korytarzami w głąb budynku. Oddział Stańczaka podzielił się na kilka mniejszych grup i nadal parł na Niemców, nie pozwalając odetchnąć i

przygotować jakiejś bardziej stanowczej obrony. Polski dowódca do maksimum wykorzystywał element zaskoczenia i chwilowej przewagi ogniowej. Biorąc pod uwagę, że Niemców było wielokrotnie więcej, była to zapewne jedyna taktyka rokująca jakieś widoki powodzenia.

– W porządku? – wrzasnął Stańczak, podbiegając do mnie. Wprawnie zmienił magazynek. Na widok składu osobowego naszej grupki zamarł w zdumieniu. Zapewne znana mu była z fotografii albo opisów wywiadu twarz Geibla, a z pewnością rozpoznał po dystynkcjach wysoką szarżę. Jednak tak naprawdę opadła mu szczeka, kiedy zobaczył sapiącego z wysiłku i zgiętego pod ciężarem mojej żony Cuprysia.

Stañczak nigdy nie przepadał za byłym kapralem, uważając go za głupkowatego cwaniaka najgorszego sortu. Rzeczywistość pokazała, że Cupryś głupi nie był, reszta się zgadzała. Na dodatek okoliczności spotkania oraz szary gestapowski mundur wyjątkowo nie sprzyjały wybaczeniu dawnych i aktualnych win. Toteż nie zważając na niesioną przez kaprała Nancy, Stańczak podniósł automat i szczęknął zamkiem.

– Spokojnie! – krzyknąłem, łapiąc w ostatniej chwili za koniec lufy i wykręcając ją w bok. – Cupryś jest ze mną.

Porucznik szarpnął schmeisserem, ale nie puszczałem.

– Zostaw – powiedziałem głośno. – Zajmij się jeńcem. Muszę ją stąd wywieźć.

– Co z nią? – Stańczak ochłonął już z pierwszej furii.

Z głębi gmachu dochodziła gwałtowna strzelanina.

– Postrzał. Wygląda paskudnie. Muszę natychmiast do szpitala.

– Szpital jest tuż obok parku Ujazdowskiego. Dwie minuty stąd. Wojtyński przed chwilą przekazał mi, że go opanował. Przed budynkiem stoją samochody osobowe. Weź jeden i jedźcie. Na zewnątrz są ludzie Wieteski, pomogą ci.

– Są tu? – ucieszyłem się. Obecność mojego przyjaciela lotnika zawsze poprawiała mi humor.

– Mieli do nas dołączyć. Jeńca przekaż tamtym. Ja muszę skończyć tutaj, co zacząłem.

– Dobra – odparłem, po czym rzuciłem w stronę Cuprysia: – Idziemy.

Omijając kilkanaście trupów leżących przy wejściu, wyszliśmy na dziedziniec. Po lewej stronie stały zaparkowane samochody osobowe, którymi przyjechała grupa Stańczaka. Pierwszy stał piękny mercedes na policyjnych numerach.

– Umiesz to poprowadzić? – zapytałem Cuprysia.

– Tak – stęknął.

– Dobrze. Połóż ją ostrożnie na tylnym siedzeniu.

Podszedł powoli do samochodu. Otworzyłem mu drzwi, nie spuszczać oka z Geibla. Nancy nadal była nieprzytomna i, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bledsza niż przed pięcioma minutami. Gdy zastanawiałem się właśnie, co zrobić z jeńcem, przy wejściu na dziedziniec ukazała się grupka żołnierzy w niemieckich mundurach. Instynktownie rzuciłem

się w bok, aby skorzystać z samochodu jako osłony. Pomyślałem z przerażeniem, że po strzelaninie zostało mi może pół magazynka naboji. Mimo to szybko zamieniłem pistolet na automat, wystawiłem lufę schmeissera nad maską auta i wtedy idący na czele żołnierz, mocno kulejący, z nierozpoznawalną pod warstwą sadzy i brudu twarzą, zawołał głośno, z trudem przekrzykując strzelaninę:

– Towariszcz, nie strielaj. My nastajaszczije bolszewiki.

Pistolet maszynowy zadrżał w moich rękach.

VI. NANCY

1.

O ile pamiętam z historii przebieg powstania warszawskiego, dzielnica niemiecka nigdy nie została zdobyta. Również plac Na Rozdrożu, ulice Piękna (wtedy nazywała się Piusa XI) i Górnośląska pozostały w rękach Niemców. Jednak działalność energicznego majora Wojtyńskiego i jego żołnierzy, staranne przygotowanie ataku, przewaga techniczna, precyzyjnie wybrane cele, doskonała łączność i perfekcyjne skoordynowanie działań spowodowały, że „nasze” powstanie zaczęło się zupełnie inaczej niż to opisane w setkach opracowań, prac naukowych i podręczników.

Cała policyjna dzielnica niemiecka, na czele z budynkiem gestapo, ograniczona ulicami Marszałkowską, 6 Sierpnia, placem Unii Lubelskiej oraz Alejami Ujazdowskimi, została opanowana. Z ponurych kazamatów w piwnicach budynku uwolniono kilkudziesięciu więźniów. Żołnierze batalionu (z chwilą wybuchu powstania przemianowanego na Batalion Uderzeniowy) wraz z dzielnymi żołnierzami ze zgrupowania Ruczaj wzięli kilkuset jeńców, w tym wielu oficerów. SS Brigadeführer Otto Geibel, którego przekazałem jednemu z ludzi Wieteski, był niewątpliwie największą ozdobą tej kolekcji. Straty wśród Niemców sięgały tysiąca ludzi w zabitych i ciężko rannych. Reszta znajdujących się przed godziną W na tym terenie Niemców w panice wycofała się wzdłuż nie do końca jeszcze opanowanych przez powstańców Alej Ujazdowskich w stronę dzielnicy rządowej, czyli okolice Hotelu Europejskiego, pałacu Bruhla i Teatru Wielkiego.

Opanowanie niemieckiej dzielnicy policyjnej było wielkim sukcesem. Zginęło bądź zostało wziętych do niewoli wielu niemieckich dowódców, co w dużej mierze sparaliżowało system dowodzenia w Warszawie. Pozwalało solidnie oprzeć dalsze działania o plac Na Rozdrożu w kierunku północnym i plac Unii Lubelskiej w kierunku południowym oraz zachodnim – w rejon twardo trzymanej przez Niemców ulicy Rakowieckiej.

O tym wszystkim dowiedziałem się później, bo, Bóg mi świadkiem, nie myślałem o sytuacji ogólnej ani tym bardziej nie prowadziłem analiz porównawczych. Pędząc na złamanie karku zabranym sprzed siedziby gestapo mercedesem, trzymając na kolanach głowę Nancy, myślałem tylko o rzeczach praktycznych: o lekarzach, szpitalu i o tym, czy zdążymy dojechać, zanim jej stan się pogorszy. Zarówno prowadzący samochód Cupryś, jak i siedzący

obok niego Wieteska, nadal śmierdzący dymem, syczący na wybojach i krwawiący z paru powierzchownych, zdaje się, ran, nie odzywali się. Żaden z nas nie myślał o tym, że okolica nie jest do końca oczyszczona z sił nieprzyjaciela, więc jeden durny patrol żandarmerii, uzbrojony w broń maszynową, mógł przerwać naszą szaleńczą jazdę. Jednak mieliśmy szczęście – żaden patrol się nie napatoczył. Jak na razie Niemcy byli zajęci chronieniem swoich tyłków.

Cupryś skręcił kierownicę, samochodem szarpnęło i ruszyliśmy Piękną. Po prawej stronie ciągnął się rząd budynków. Cupryś ponownie skręcił w prawo i wjechaliśmy na teren obszernego kompleksu budynków, zajmujących rozległą przestrzeń pomiędzy ulicą Piękną, Agrykołą i parkiem Ujazdowskim. Cały ten kompleks, wybudowany w ostatnich latach dziewiętnastego wieku, nosił nazwę Szpitala Ujazdowskiego. Po stu metrach Cupryś stanął przed wielkim starym gmaszyskiem z czerwonej cegły, jak się okazało, głównym budynkiem szpitalnym.

Następne dwie godziny minęły w jakimś szaleńczym tempie. Na zewnątrz szalała gwałtowna kanonada, gęsto przeplatana wybuchami pocisków artyleryjskich. Powietrze zasnuwały dymy pierwszych pożarów, częściowo ugaszonych przez deszcz, który zaczął padać około ósmej. Do szpitala przybywali dalsi ranni, personel dokonywał najwyższych wysiłków, aby wprowadzić w ten chaos odrobinę profesjonalnej organizacji.

Tego wszystkiego nie dostrzegałem. Wpatrzony byłem w stalowy stół operacyjny, w pochylonego nad żoną chirurga, w dwie siostry zakonne, które z pełnym skupieniem asystowały przy operacji. Pomyślałem wtedy, że zmuszony jestem zaufać umiejętnościom lekarza, który w najlepszym razie kończył studia we wczesnych latach trzydziestych, posługiwał się sprzętem nawet na moje niefachowe oko prymitywnym i w dalece niewystarczającej ilości, a w budynek w każdej chwili trafić mógł – przypadkowy bądź nie – pocisk artyleryjski.

Wieteska próbował coś do mnie mówić, ale nie reagowałem. Zdołałem tylko mu szepnąć, żeby miał oko na Cuprysia. Były kapral pomógł mi w ucieczce – zmuszony pod lufą, to prawda – więc należały mu się jakieś względy z tego powodu, ale jednak był jeńcem wziętym do niewoli w niemieckim mundurze. Nie chciałem, żeby uciekł, nieco wcześniej przemknęło mi przez głowę, że może się jeszcze do czegoś przydać.

Wszystko to jednak było mało ważne. Główna bitwa, z mojego punktu widzenia, rozgrywała się na stole operacyjnym. Nie bardzo wiem, co wtedy czułem. Na pewno żal, rozsadzającą piersi wściekłość, strach. O nią, o siebie bez niej, o małego Johna ukrytego tyle tysięcy kilometrów stąd i nieświadomego, że życie jego matki wisi na włosku. Nie muszę dodawać, że tym wszystkim uczuciom towarzyszyła nadzieja, ten śmieszny, optymistyczny pomiot sytuacji beznadziejnych.

Nadzieja, jak wiadomo, umiera zawsze ostatnia.

Dotknięcie czyjejś ręki przywróciło mnie do rzeczywistości. Musiałem się zdrzemnąć,

znużony wydarzeniami długiego dnia, może odreagowując stres. Lekarz, który operował Nancy, pochylał się nade mną i chyba mówił coś do mnie od pewnego czasu, bo usłyszałem tylko:

– ...wyjąłem kulę. Ma uszkodzone płuco i silny krwotok wewnętrzny. Zszyłem, co się da, podałem leki przeciwzapalne.

Ocknąłem się na dobre.

– Co to znaczy, panie doktorze? Będzie żyła?

– To już nie zależy ode mnie. Ja zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Straciła bardzo dużo krwi. Ktoś dobrze się zachował. Przy postrzale w płuco niezatkanie rany błyskawicznie powoduje oddech i śmierć. Gdyby pan ją przywiózł bez tego opatrunku, przywiózłby pan trupa.

Zdanie to wisiało w powietrzu dobrą chwilę, zanim uświadomiłem sobie, co naprawdę znaczy. Cupryś, w końcu wróg i zdrajca, zasłużył sobie na pomnik, przynajmniej w moim sercu. Mój stosunek do niego zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Uregulowanie moich stosunków z Cuprysiem musiałem jednak odłożyć na później.

– Czy ona... jest przytomna?

– Teraz śpi. Nie umiem powiedzieć, kiedy się wybudzi. Może za godzinę, może za dwie. Może w ogóle.

– Mogę ją zobaczyć?

Lekarz spojrzał na mnie ostro. Być może pytanie wydało mu się nie na miejscu w obliczu otaczającej nas apokaliptycznej rzeczywistości, zwiastowanej przez dziesiątki rannych napływających do szpitala coraz szerszym strumieniem. Jednak wytrzymałem spojrzenie, mając w sobie tyle pokory, na ile mogłem się zdobyć. A w tych okolicznościach mogłem się zdobyć na całkiem sporo.

– Dobrze. Jest w sali numer cztery. Jeżeli się obudzi, proszę jej nie męczyć.

– Nie będę na pewno – obiecałem.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, a ja ruszyłem w drugi koniec korytarza, gdzie z ręką na kolbie schmeissera drzemał Wieteska, zasłaniając sobą ewentualną drogę ucieczki Cuprysiowi, który zajmował sąsiednie krzesło. Zresztą nie zauważyłem, aby ten przejawiał jakąś specjalną chęć dania drapak. Nie spał co prawda, tak jak kapitan, ale siedział spokojnie, ze spuszczoną głową, z rezygnacją wpatrując się w podłogę.

– Cupryś, jesteś wolny – oznajmiłem, kiedy przed nim stanąłem.

Kapral podniósł głowę i spojrzał na mnie ze zdumieniem. Może myślał, że się przesłyszał.

– Serio. Możesz iść.

Wieteska potrząsnął głową i otworzył oczy. Umiał budzić się błyskawicznie, toteż zabrał głos, zanim Cupryś nabrał powietrza w płuca.

– Oszalałeś? To zdrajca. Gdyby mógł, utopiłby nas w łyżce wody...

– Może. Ale mnie pomógł, i to dwukrotnie. Niech idzie, gdzie chce... Słyszysz, Cupryś?

Zwijaj się.

– Dziękuję, panie pułkowniku – odparł, jakoś podejrzenie nie wykazując entuzjazmu z powodu propozycji. – Ale...

– Ale co?

– No... – Zawahał się.

– Przecież to proste – odezwał się Wieteska, błyskając sardonicznym uśmiechem w półmroku kiepsko oświetlonego korytarza. – Do swoich nie chce wracać, bo za bardzo nie ma do kogo. Niemcy dziarsko zbierają w dupę i jak tak dalej będzie wszystko szło, to za parę dni zostanie po nich wspomnienie. A do naszych też nie pójdzie, bo nasi pewnie cięci na niego są. Może nawet jakiś wyroczek mamy na karku, co, Cupryś? – Kapitan nigdy nie lubił wiecznie rozczochranego łącznościowca, więc i tym razem się nie krępował. Milczenie.

– To prawda? – zapytałem.

– No – przytaknął z ociąganiem. – Prawda.

Zdumiewająca była zmiana, która zaszła w tym człowieku w ciągu ostatnich kilku godzin. Z pewnego siebie butnego cwaniaczka z ego wzmocnionym gestapowskim mundurem, który w tej rzeczywistości powodował, że mógł się czuć panem życia i śmierci, stał się małym, złamanym graczem, który wie, że przegrał, co wprawia go w zdumienie, bo wydawało mu się, że trzyma wszystkie atuty w ręku, grając przecież znaczonymi kartami. Może zaczęło do niego docierać, co zrobił przez ostatnich pięć lat, i zaczynał mieć poczucie winy?

– Po co ci było to wszystko? – zapytałem. – Na cholerę ci były konszachty ze szkopami? Przecież wiesz, jacy oni są.

– Wiem – odparł cicho. – Są jeszcze gorsi, niż pan myśli. Są zdolni do każdej zbrodni albo w imię tej swojej chorej ideologii, albo dla zysku. Często ideologią zasłaniają zwykłe rabunki. To, co się tu działo przez te lata, nie da się opisać.

– A ty przyłożyłeś do tego rękę – powiedziałem. – Dzięki twojej wiedzy byli silniejsi.

– Nie. – Pokręcił głową. – Wiedzieli, że pochodzę z dwa tysiące siódmego, więc układ był taki, że pomagałem im w odtworzeniu maszynki do przenoszenia się w czasie, ale nic ponadto. Nie szkodziłem polskiemu podziemi...

– Pieprzenie. – Chociaż jeszcze przed chwilą pełen byłem ciepłych uczuć do tego człowieka, teraz zalała mnie krew. – Może nie szkodziłeś naszym bezpośrednio, ale umożliwiając Niemcom przeniesienie się do dwa tysiące siódmego, nawet tytułem rekonesansu, narobiłbyś Polsce szkód na najbliższych sto lat. Człowieku, wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby Niemcy uzyskali dostęp do nowoczesnych technologii? Wystarczyłoby, aby porwali kilku kluczowych fizyków i mieli by bombę atomową jak się patrzy. A mają jeszcze dość siły, aby ją rzucić tu i tam... Nie mówiąc o tym, że mogliby gwizdnąć parę nowoczesnych myśliwców, rakiet, pocisków kasetowych, systemów łączności szyfrowanych kodami niemożliwymi do złamania i tak dalej...

Aż się zasapałem ze złości, więc improwizowane przesłuchanie kontynuował Wieteska.

- Po co chciałeś odtworzyć system?
- Nie mogłem już tu wytrzymać. Tu się nie da wytrzymać. To nie są moje czasy.
- I dlatego skumałeś się z wrogiem?
- No...

Wieteska spojrzał mi w oczy, a we mnie się w środku wszystko przewracało.

Musiało mu bardzo zależeć, temu mojemu byłemu podkomendnemu, na powrocie na stare śmieci. W tym celu gotów był zrobić każde świństwo, firmować swoim nazwiskiem – nic to, że zmienionym – każdą zbrodnię okupantów.

Dałem znak Wietesce, aby kontynuował badanie. Rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót, ale zaszła już tak daleko, że była szansa, iż dowiemy się czegoś o pewnych tajemniczych wydarzeniach z niedalekiej przeszłości, a także spróbujemy rozświetlić najbliższą przyszłość.

- W jaki sposób chciałeś im pomóc odtworzyć system?

– No... – Wahał się, ale już wiedziałem, że będzie mówił. Chciał to zrzucić z siebie, pozbyć się ciężaru. – Wtedy, w trzydziestym dziewiątym, zanim się ulotniłem, widziałem, jak bomba trafia ciężarówkę, ale samo urządzenie wyglądało na nieuszkodzone. Przyjąłem, że emiter pola siłowego ocalał i że go gdzieś ukryjecie, bo ktoś z was się zorientuje, że później, kiedyś, może się przydać. Czyli emiter był. Niemieckiemu wywiadowi bardzo się nie podobało to, co się stało we wrześniu. Mieli zeznania świadków, którzy mówili o jakichś nieprawdopodobnych technologiach. Niemcy szybko wpadli na to, że ówczesna Polska nie mogła mieć takiej broni sama z siebie. Powstało zatem pytanie, skąd ją miała? Jak się skończyła kampania jesienna, w listopadzie trzydziestego dziewiątego, po zakończeniu oblężenia Warszawy, wzięto do niewoli paru żołnierzy batalionu. Zeznali, że są przybyszami z przyszłości. I wtedy Niemcy dodali dwa do dwóch. Z drugiej strony nie udało im się zdobyć nic ze sprzętu – wszystko starannie zniszczyliście. Więc jak zaproponowałem, że mogę im pomóc złożyć do kupy maszynkę do przenoszenia w czasie, przyjęli mnie z otwartymi ramionami. Ale postawiłem warunek – nie robię nic, co szkodzi naszym...

- Naszym – wtrącił Wieteska.

– No mówię. Dowiedziałem się z zeznań jeńców, że część żołnierzy batalionu ruszyła do Rumunii, w tym wszyscy Amerykanie, którzy ocaleli z walk. Założyłem, że Amerykanie na pewno wrócą do swoich, bo co robiliby w Rumunii? No i wymyśliłem, żeby wywiad poszukał w Ameryce kogoś z obsługi MDS-a. Długo to trwało, ale w końcu się udało – wiosną tego roku namierzyliśmy Raileya, a także, ku mojemu zdumieniu, namierzyliśmy was, czyli pana, panie pułkowniku, panią Nancy i resztę kolegów...

- Nie jestem twoim kolegą, baranie – rzucił ze złością Wieteska.

Ja też zacząłem się gotować, bo już się domyślałem, o czym Cupryś za chwilę powie. I oczywiście chciałem to usłyszeć.

- Mów dalej – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

– No więc... – Zaczął się jakoś ociągać, ale przynagliłem go wściekłym spojrzeniem. – No więc podrzuciłem Raileyowi sposób zasilenia pola. Chodziło o ten trik z elektrownią, pamięta pan? W ten sposób Galaś z Raileym uznali, że problem z zasilaniem mają rozwiązany, brakuje im tylko emitera pola siłowego. Dlatego Galaś namówił pana na wyprawę do Polski...

– Galaś pracuje dla ciebie? – zapytałem, z trudem łapiąc oddech. Od tej odpowiedzi zależała przyszłość nas wszystkich, bo jeżeli będzie twierdząca, to biorąc pod uwagę, że Galasia uczyniliśmy strażnikiem emitera...

– Nie – odparł. – Założyłem, że nie da się go przekabacić, ale podrzuciłem parę informacji FBI, żeby zaczęli koło was węszyć i wywarli dodatkową presję. No i nie myliłem się, bo łatwo się pan zgodził na wyprawę do Polski.

– Ale po co wam to było?

– Nie wiedzieliśmy, gdzie jest emiter. Pomimo zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań nie udało się wpaść na trop kryjówki ani na nikogo, kto wiedziałby, gdzie ona jest. Więc chcieliśmy po nitce do kłębka...

– Ten kocioł w Górach Świętokrzyskich to wasza robota? – To nie było pytanie, to było stwierdzenie.

Skinął głową.

– A Nancy? – zapytałem. – Co z moją żoną? Na nią też czekaliście?

– Nie. Założyliśmy kilka kotłów, bo nie wiedzieliśmy, gdzie dokładnie wylądujecie. Ona wpadła w nasze ręce przypadkowo. Nie wiedzieliśmy, że przyleci z wami.

– Ty sukinsynu. Wiesz, co z nią zrobili? Omal jej nie zatłukli...

– Nie miałem na to wpływu – zawołał żarliwie. – Hahn osobiście nadzorował tę część śledztwa. Ja zajmowałem się stroną techniczną.

– No, jak widać nie tylko. Ta operacja w Ameryce to twoje dzieło.

– Tylko w sferze pomysłów. Oni...

– No?

– Oni w gruncie rzeczy traktują mnie jak psi pomiot. Dali awans i poklepują po ramieniu, ale tak naprawdę potrzebny im jestem tylko dlatego, że chcą zdobyć tę technologię, a beze mnie nie dadzą rady.

– Sam sobie na to zasłużyłeś – powiedziałem z obrzydzeniem. Mój stosunek do tego człowieka przypominał karuzelę. – Zmieniłem zdanie. Muszę się zastanowić, co z tobą zrobić. Na razie siedź tutaj i się nie ruszaj. A ty, Johny, pilnuj go. Idę do Nancy.

Wieteska posłusznie skinął głową, choć wcale nie uśmiechało mu się siedzenie na coraz bardziej ruchliwym korytarzu i pilnowanie naszego niby-jeńca. Jednak podobnie jak ja zdawał sobie sprawę, że rozgrywka, której jesteśmy częściowo mimowolnymi uczestnikami, idzie o tak dużą stawkę, że nie możemy się pozbyć atutu, jakim było posiadanie w ręku byłego kaprała Cuprysia. Toteż pchnął go na krzesło, warknął:

– Siedź i morda w kubel – i zajął miejsce obok.

Cupryś kolejną zmianę swojego położenia przyjął z całkowitą rezygnacją.

Pomaszerowałem do sali, w której leżała Nancy. Dość już czasu zmitrężyłem na rozmowy z Cuprysiem, ale jego wyznania miały dla nas istotne znaczenie, dlatego chyba warto było. Okazało się, że niczego nie przegapiłem, bo Nancy nadal była nieprzytomna. Leżała w niewielkiej sali, z trzech pozostałych łóżek tylko jedno było zajęte. Sądzę zresztą, że ten stan zmieni się bardzo szybko, jeśli rannych będzie przybywać w dotychczasowym tempie. Chory na łóżku pod oknem spał głęboko.

Usiadłem na krześle przy łóżku. Twarz Nancy była upiornie blada i słabe światło padające z korytarza przez uchylone drzwi tylko tę bladość potęgowało. Klatkę piersiową miała zabandażowaną aż po szyję. Rany na twarzy zostały opatrzone i zszyte.

Następne dwie godziny minęły jak w malignie. Wpatrywałem się tępo w żonę, jacyś ludzie wchodzili i wychodzili, możliwe, że zajął nawet Wojtyński, choć tego nie jestem pewien. Lekarze coś do mnie mówili, jeden posunął się do próby usunięcia mnie z sali. Nie przyjmowałem do wiadomości głodu, potrzeb fizjologicznych, zmęczenia czy senności. Po prostu siedziałem i czekałem.

2.

– Dżazi... – Szept był tak słaby, że ocknąłem się dopiero po dłuższej chwili. Nancy odzyskała przytomność i wpatrywała się we mnie. Siniec pod prawym okiem spowodował, że było niemal całkowicie zasłonięte grubym wałem fioletowokrwawej opuchlizny.

– Nancy! – odparłem uradowany i jednocześnie przerażony jej słabością.

– Dżazi... muszę ci powiedzieć coś ważnego... – Jej głos dochodził do mnie z trudem.

– Nic nie mów na razie. Jesteś bardzo słaba.

– Zaraz będzie za późno... Musisz posłuchać.

– Za późno? Na co?

Zakaszłała gwałtownie i skrzywiła się z bólu. Chwilę oddychała ciężko z wyraźnym świszczącym odgłosem. Miała gorączkę, ale nie chodziło o zwykłą gorączkę. Trawiła ją jakaś inna choroba – choroba umysłu. Miałem wrażenie, że nic – ani fizyczne cierpienie, ani groźba pogorszenia jej stanu – nie jest dla Nancy ważniejsze, niż powiedzenie mi tego, co według niej jest priorytetem numer jeden. Po wysłuchaniu tego, co miała do powiedzenia, musiałem jej ze zgrozą przyznać rację.

– Nieważne. Gdzie jest emiter?

– Ukryty. Galaś go pilnuje.

– Posłuchaj... To nie wystarczy. Musisz zrobić wszystko, żeby emiter nie wpadł w ręce Niemców... to jest najważniejsze, rozumiesz?... Nie mogą go przechwycić... mają Raileya...

– Wiem – powiedziałem.

– Wiesz? – zapytała słabo.

– Od Cuprysia. Pracował... pracuje dla nich od początku, odkąd nam zwiął. Od trzydziestego dziewiątego.

Skinęła nieznacznie głową.

– Zgadza się. Niemcy od początku wiedzieli bardzo dużo. – Odetchnęła z trudem i znowu się rozkaszała. Przerwy między zdaniami były coraz dłuższe.

– Nancy, odłóżmy tę rozmowę. Musisz odpocząć – powiedziałem z rozpaczą.

– Nie ma czasu. Ty nie masz czasu, a ja... – Zamilkła na moment. – To bez znaczenia.

– Posłuchaj...

– Jak tylko przyjechaliśmy do Stanów pięć lat temu – powiedziała sennie, w ogóle nie zwracając uwagi na moje słowa – zgłosiłam się do władz... do armii... Opowiedziałam im o wszystkim. Początkowo nie uwierzyli, ale posprawdzali informacje i okazało się, że rzeczywiście w Polsce nastąpiło przeniesienie w czasie amerykańskiego oddziału z roku dwa tysiące siódmego do trzydziestego dziewiątego.

Słuchałem tego z rosnącym zdumieniem.

– Po co? – zapytałem, gdy przerwała dla nabrania oddechu. – Po co zgłaszałaś się do władz? Przecież ustaliliśmy, że mamy siedzieć cicho i rozkręcać biznes.

– Jestem oficerem armii amerykańskiej. Nieważne, czy jest rok dwa tysiące siódmy, czy trzydziesty dziewiąty. Uznałam, że moim obowiązkiem jest zgłosić się do władz, opowiedzieć o wszystkim, a oni niech decydują, co dalej...

Nie wiem, czy przyszłoby mi do głowy zwracać się do władz wojskowych w takiej sytuacji. We wrześniu trzydziestego dziewiątego rozmawiałem, co prawda, z marszałkiem Rydzem-Śmigłym, ale nie zamierzałem mu się podporządkowywać ani słuchać jego rozkazów.

– No i?

– Zweryfikowali wszystkie informacje. Oczywiście byli zainteresowani know-how i nie chcieli, żeby ta technologia, nawet niekompletna, wpadła w ręce Niemców. Więc zorganizowali wyprawę po emitera... w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Okazało się, że emitery nie ma w starej kryjówce i nikt nie wie, gdzie jest. Pomimo wysiłków nie udało się natrafić na ślad ludzi Wojtyńskiego. Fiasko. Misja wróciła do Stanów. Armia przeanalizowała sytuację i uznała, że system jest tak zdeintegrowany, że nie ma zagrożenia, by Niemcy złożyli go w całość. Więc zaprzestała dalszych działań. Pozwoliła nam się urządzić, otoczyła wszystkich dyskretną opieką. Trzymała z dala urząd emigracyjny, kontrwywiad i FBI. Ja miałam meldować o każdej zmianie sytuacji. Był to... swego rodzaju układ: my się nie wychylamy, oni dają nam żyć, a w zamian za to korzystają z wiedzy... mojej, Raileya i pozostałych członków ekipy. Namierzili wszystkich i wszyscy współpracują...

– I tak to sobie trwało pod moim bokiem, niczego nieświadomego pacana. – Powinienem

być zły, ale nie mogłem wykrzesać z siebie żadnych emocji. Już nie. – Aż pewnego pięknego dnia zniknął Railey. To zaniepokoiło twoich szefów. Może nawet wcześniej otrzymali sygnały, że niemiecki wywiad węszy koło nas. No więc Railey zniknął i nagle zrobiło się całkiem prawdopodobne, że Niemcy mają oprogramowanie z informatykiem do obsługi, zasilanie – bo nie trzeba być geniuszem, żeby wpaść na numer z elektrownią, a nawet gdyby nie, zawsze można połaskotać Raileya tu i tam i poprosić go o rozwinięcie twórczej inwencji. Brak im tylko emitera. A jest on w Polsce. Więc Niemcy mają największe możliwości ze wszystkich zainteresowanych, aby złożyć system do kupy. W końcu nowe miejsce ukrycia emitera zna parę osób i jest prawdopodobne, że choćby przypadkiem któraś z nich może się znaleźć w łapach Niemców. Więc twoi szefowie podpowiedzieli ci, że nie byłoby od rzeczy zorganizowanie następnej wyprawy po złote runo. Wobec mnie dla pozoru byłaś przeciw, ale w rzeczywistości inspirowałaś cały ten bałagan, zgadza się?

Przy ogromnej dozie dobrej woli można było wziąć grymas przebiegający przez jej twarz za cień uśmiechu.

– Bystrzak z ciebie...

– Ale po co twój bezpośredni udział?

– Kazali mi osobiście wszystkiego dopilnować z racji znajomości z Wojtyńskim. A wiedziałam, że na pewno się nie zgodzisz, abym wzięła udział w wyprawie. Więc polecałam z wami nieoficjalnie...

– A Rozalka?

Nancy skrzywiła się.

– Głupia koza. Wieteska jej wypaplał, że się przygotowujecie do wyjazdu. No i uczepiła się mnie jak rzep psiego ogona. Żebyśmy razem na was naciskały. Jakoś się domyśliła, nie wiem jak, że was kantuje i zamierzam wziąć udział w misji. Więc powiedziała, że jak jej nie zabiorę ze sobą, to wszystko wam powie. Nie mogłam do tego dopuścić, bo emiter i cała ta sprawa jest znacznie ważniejsza niż czyjeś widzimisie. No i polecałyśmy we dwie. Ona żyje?

– Żyje, nie jej nie jest. Odbiliśmy ją w godzinę po tym, jak was złapali. A Wojtyński... Tam, w Górach Świętokrzyskich. Czekał na nas? Wiedział, że przylecimy?

Odpowiedź uniemożliwił kolejny atak kaszlu, tak silnego, że Nancy omal nie spadła z łóżka. Chusteczka przytknięta do ust szybko zabarwiła się rubinową czerwienią. Nancy straciła przytomność i zanim ją odzyskała, minęło pięć pełnych grozy minut. Była już bardzo słaba. Żeby zrozumieć, co mówi, musiałem niemal przytknąć ucho do jej ust.

– Nic nie mów. Kocham cię. Zaopiekuj się Johnem. I... ucałuj go ode mnie. A teraz słuchaj, co masz zrobić...

Mówiła dobre trzy minuty, po czym powtórnie straciła przytomność. Ostatnie zdania były wypowiedziane tak cicho, że ich treści mogłem się tylko domyślać.

Przesłanie było jednak jasne i klarowne. Jego wypełnienie w sposób drastyczny wpłynie na osobiste losy przyjaciół i moje, a także, a może przede wszystkim, radykalnie zmieni

sytuację militarną największego polskiego zrywu powstańczego w dziejach.

3.

Nancy zmarła o drugiej trzydzieści nad ranem drugiego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku w Szpitalu Ujazdowskim, nie odzyskawszy świadomości. Towarzyszyłem jej do końca, nie mając mocy sprawczej, aby odwlec choćby o minutę to, co nieuchronne. Nie sposób opisać mojego samopoczucia w tych ostatnich chwilach.

Potem nie myślałem o niczym. Nie zastanawiałem się nad Nancy i jej ostatnią wolą. Tylko siedziałem i patrzyłem w przykryty prześcieradłem zarys ciała.

Świtało już, kiedy się ocknąłem cały odrętwiały. Dwóch ludzi zabrało zmarłą, przyszedł ksiądz z pytaniem o pogrzeb, Wieteska ścisnął mnie za ramię, a ja dostrzegłem w jego oczach łzy.

– Trumna – mruknąłem. Głos nie chciał wydobyć się z gardła.

– Proszę? – zapytał kapitan.

– Chcę to zrobić jak należy.

– Jasne.

– Możesz to załatwić?

– Jasne – powtórzył. Znał mnie i wiedział, że to ważne.

– Chcę ją zabrać do domu...

– Do domu?

– Do Stanów..

– Zwario... to znaczy, to nie jest dobry pomysł.

– Jedyne...

– Niedobry.

– Uwierz mi – powiedziałem prawie szeptem. – Jedyne...

Uznał widać, że nie warto się spierać. Nie takie rzeczy robiliśmy razem.

– Dobra. Załatwię to. Trzeba skombinować ciężarówkę.

Potrącili mnie sanitariusze z noszami. Usunąłem się pod samą ścianę.

– Przykro mi – zaczął. Bardzo chciał mnie pocieszyć, ale za cholerę nie wiedział, jak to zrobić.

– Nie trzeba, Johny. Na razie nic nie czuję. Dotrze do mnie później. Przydasz mi się jeszcze...

– Zawsze możesz na mnie liczyć. O ile będę żył... – Za późno ugryzł się w język, ponieważświe uznając marną jakość żartu. Choć w obecnej sytuacji to wcale nie musiał być żart.

– Wiem. Idź już. Chcę jeszcze przez chwilę być sam. A potem musimy pogadać.

Odwrócił się i poszedł.

Było już zupełnie jasno. Nasiliła się kanonada, która w nocy słabła na długie chwile, a czasami zupełnie znikła. Dochodziła z różnych części miasta, ale raczej odzywała się w dość sporej odległości od szpitala.

Chirurg, który operował Nancy, skinął mi z oddali głową. Był całkiem pokryty krwią i wyglądał na bardzo wyczerpanego. Nie sędzę, aby spał choć przez chwilę. Był zapewne cały czas na nogach i ratował poharatane powstańcze żywoty.

Powiedziałem Wietesce prawdę. Nie czułem bólu. Niby byłem świadom sytuacji – moja żona została postrzelona i zmarła w wyniku odniesionej rany. Nie ma nic prostszego pod słońcem. Ludzie umierali, umierają i będą umierać. Ja też kiedyś umrę, być może całkiem szybko, co zresztą nie wydało mi się obecnie złym rozwiązaniem.

Ale czułem, że fakty nie dotarły do mnie w pełni. Na razie jeszcze nie wiedziałem, źle, właściwie wiedziałem, ale nie czułem – co dla mnie znaczy ta strata. Że, o ile przeżyję, będę samotnym ojcem. Że nie mam już z kim dzielić życia. I walczyć.

Walka.

To mi na pewno zostało. Okazji nie zabraknie. Może to jest wyjście.

Po półgodzinie wrócił kapitan. O ile można tak się wyrazić w tej sytuacji, cały rozpromieniony.

– Załatwione – powiedział. – Jest trumna, nawet całkiem elegancka. Nancy już... – Urwał. Czasami nie wiadomo, jak nazwać najprostsze rzeczy.

– Dzięki.

– Nie ma problemu. Zwijamy się.

– Poczekaj. – Chwyciłem go za rękaw kombinezonu. – Emiter gdzie?

– Na Mokotowie. Galaś go pilnuje. I Rozalka.

– Dobrze. Masz łączność z Galasiem?

– Mam. Będzie przy radiostacji o czwartej.

– Dobrze. To już za chwilę. Muszę z nim pogadać.

– Możesz pogadać. Coś ważnego?

– Dosyć...

– Ale nie masz ochoty mi powiedzieć.

– Później ci powiem. Na razie ty mi powiedz, jaka jest sytuacja?

– Wojtek prowadził atak kolumny pancерnej na dzielnicę policyjną. Wojtyński mu to zaproponował po twoim odjeździe, a on się zgodził, biedaczek. Jego oddział opanował całą dzielnicę, z moim skromnym udziałem, oczywiście. Stracili jednego twardziela i dwudziestu ludzi.

– Stracili czołg? Jak? – zainteresowałem się z czysto profesjonalnego punktu widzenia. Pancерz twardego wydawał mi się wyjątkowo trudny do ugryzienia przez współczesne środki bojowe.

– Z panzerfausta.

– Żartujesz.

– Nie. Jakiś palant odczekał, aż chłopaki podjadą blisko, i kropnął z drugiego piętra, od tyłu i od góry, prosto w silnik. Zaczęło się fajczyć jak cholera, nie było jak ugasić, bo odezwały się szkopskie kaemy i nie pozwalały podejść. Dopiero jak nasza piechota wyczyściła budynek, to ugasiłi. Ale już było pozamiatane.

– Szkoda. Co dalej?

– W nocy nasi oczyścili z Niemców Aleje Ujazdowskie aż po plac Trzech Krzyży. Zdobyli kupę broni, masę oddziałów powstańczych się dozbroiło, a właściwie w większości uzbroiło od zera, bo często nie mieli nawet jednej sztuki broni na pluton. Człowiek tu jest uznany za uzbrojonego, jak ma butelkę z benzyną, rozumiesz? – Pokręcił głową z dezaprobatą.

– Wiem. Czytałem. Co Wojtyński chce robić dalej?

– Teraz odpoczywamy. Po południu ruszamy abarot na Mokotów. A potem, w nocy, na zachód. Na lotnisko.

– O! – zaciekawilem się. To naprawdę było interesujące. Różne rzeczy zaczynały do siebie pasować.

– No! Wojtyński ma w planach zdobycie lotniska na Okęciu. Chce wyeliminować bazę szkopskiego lotnictwa.

– Brzmi sensownie – przytaknałem. Dobrze mi robiła ta rozmowa. Chwilami nawet udawało mi się zapomnieć o tym, co się stało o drugiej trzydzieści nad ranem. – Batalion ma siłę, żeby lotnisko zdobyć. Coś mi się zdaje, że jest solidnie bronione, więc to byłby duży sukces... – Zamyśliłem się.

– No...? – przynaglił mnie Johny.

– Jak możemy połączyć się z Brindisi?

Popatrzył na mnie ucieszony. I zły, że to nie on wpadł na to pierwszy.

– Galaś może.

– Dobrze. Muszę połączyć się z Galasiem.

Odpiął przytroczoną do pasa krótkofalówkę. Przestroił częstotliwość i podał mi aparat.

– Masz jeszcze trzy minuty.

– Dzięki. Gdzie teraz są nasi?

– Biwakują w parku Ujazdowskim. Dwieście metrów stąd.

– Masz transport?

– Mam. Pożyczyłem ciężarówkę od Wojtyńskiego.

– Weź... trumnę i jedź do nich. Ja za chwilę przyjdę.

– Dasz radę?... Sam?

– Dam. Dziękuję za troskę.

Poszedł. Odczekałem chwilę i wyszedłem przed budynek. Ruch panował jak w ulu, ale

właściwie tego nie widziałem. Nie widziałem ciężkiego od dymu, ale słonecznego dnia. Nie czułem powiewu wolności, którym entuzjazmowali się wszyscy dookoła, łącznie z tymi rannymi, którzy byli na tyle mało ranni, aby wiedzieć, co się dzieje dookoła.

Nie czułem woni zwycięstwa. Nie widziałem strachu nielicznych wziętych do niewoli Niemców, których spędzono na placyk nieopodal.

Wpatrywałem się w niewielką czarną skrzynkę opatrzoną krótką anteną i myślałem o okropnych rzeczach, które muszę zrobić, na dodatek bez żadnej gwarancji, że odniosą skutek. To właśnie było najgorsze. Można ryzykować wykonywanie wątpliwych moralnie posunięć, jeżeli prowadzą do wygranej. Natomiast zapomnieć o sumieniu oraz przyzwoitości i przegrać – to jest kompletna klęska. Pół biedy zresztą, gdyby dotyczyła tylko mnie.

Ale ewentualna porażka obejmie znacznie większy krąg osób.

– Galaś, słyszysz mnie? – powiedziałem do mikrofonu.

– Tak jest, panie pułkowniku, melduję się. – W jego głosie pobrzmiewała autentyczna radość. Zawsze był punktualny, więc czekał. Była równo czwarta nad ranem.

– Dobrze cię słyszeć. U ciebie w porządku?

– Tak jest. Mam wszystko pod kontrolą. A u pana?

– Ze mną wszystko okej. Natomiast Nancy nie żyje – powiedziałem o tym w ten sposób, w jaki zwykle mówi się o pogodzie.

– Jak?... Co się stało?

– Zbłąkana kula ze schmeissera. – Nie miałem w ogóle ochoty na te wyjaśnienia, ale kapralowi należała się choć drobna część informacji. Biorąc pod uwagę to, o co zamierzałem go poprosić.

– Współczuję panu. Naprawdę.

– Wiem. Musimy pogadać o czymś innym. Czy jesteś sam?

– Tak.

– Nikt nie słucha?

– Ci, co zostali, śpią na dole. Jestem na strychu.

– Dobrze. Gdzie jest ciężarówka? – Wojtyński zapewniał, że urządzenia telekomunikacyjne batalionu są całkowicie zabezpieczone przed podsłuchem, ale mimo to byłem ostrożny i mówiłem ogólnikami.

– Niedaleko. – Kapral dostosował się do ostrożnej konwencji.

– Masz do niej swobodny dostęp?

– Tak.

– Bardzo dobrze. Zrobisz parę rzeczy, zanim tamci się obudzą. Posłuchaj uważnie, musisz mnie dobrze zrozumieć...

Wydawanie poleceń zajęło mi równo cztery minuty.

4.

Żołnierze Batalionu Uderzeniowego, zmęczeni całonocnymi walkami, odpoczywali w cieniu parkowych drzew. Sprzęt ciężki, a także ciężarówki z zapasami, zostały starannie zamaskowane. Jedynie szyłka i samobieżny moździerz amos stały na stanowiskach bojowych, w pełnej gotowości do otwarcia ognia. Wojtyński przygotował działony na sparowanie zarówno ataku lotniczego, jak i ostrzału artyleryjskiego. Biorąc pod uwagę zasięg i precyzję stacji radiolokacyjnych, a także skuteczność obu środków walki, batalion mógł się czuć w miarę bezpiecznie, o ile takiego sformułowania można było w ogóle użyć w kontekście dziejącej się tuż obok bitwy.

Szedłem nieśpiesznie w kierunku parku Ujazdowskiego, wielkiego zielonego kompleksu ciągnącego się wzdłuż Alej Ujazdowskich od Pięknej aż po Agrykołę. Do sopranowej i dość dalekiej strzelaniny z broni ręcznej doszłusowały poważne basy artylerii. Najwyraźniej Niemcy na serio zabrali się do roboty. Pociski padały jednak dość daleko, na ucho sądząc, w okolice placu Powstańców Warszawy. To znaczy, jasne, placu Napoleona.

Jako że moje myśli krążyły leniwie wokół wydarzeń wczorajszego dnia, a także różnych rzeczy, które usłyszałem od Nancy, bliska salwa karabinowa wstrząsnęła mną. Gdy podniosłem głowę, dostrzegłem kilka setek żołnierzy rozłożonych na trawie wzdłuż parkowych alejek. Rzecz znamienita: wszyscy, którzy znajdowali się w zasięgu wzroku, mieli ściągnięte twarze i bardzo poważne miny. Złość? Satysfakcja?

Z gęściejszej niż inne kępy krzewów wyszła grupa kilku uzbrojonych żołnierzy, z Wojtyńskim na czele. Oddział szedł szybko, po czym złamał szyk i poszczególni ludzie dołączyli do swoich macierzystych jednostek.

Wojtyński podszedł do mnie sprężystym krokiem, po czym zasalutował. Odpowiedziałem takim samym pozdrowieniem, choć salutowanie do gołej głowy nie wygląda idiotycznie tylko na amerykańskich filmach, a i to nie zawsze.

– Głęboko panu współczuję – powiedział swoim zwykłym, wyprutym z emocji głosem. – Wygląda na to, że moi ludzie spóźnili się kilka minut.

– Pana ludzie wykonali kawał dobrej roboty – odpowiedziałem uprzejmie. W niezdradzaniu emocji mogłem z powodzeniem iść z majorem w zawody.

– Człowiek w takich wypadkach zawsze zastanawia się, czy nie można było zrobić więcej. Co się właściwie stało?

– To pytanie raczej do pana niż do mnie. Zostałem aresztowany przez prawdziwych Niemców, a nie przez pana ludzi. To na pewno pan wie. Przewieziono mnie na gestapo. Proponowano współpracę w zakresie pozyskania emitery. Odmówiłem. Obok przesłuchiowano moją żonę. Bardzo... brutalnie. Rozbroiłem strażników, wziąłem do niewoli Cuprysia, Hahna, Geibla i Spilkera. Podjąłem próbę wyjścia z budynku. Podczas walki zastrzeliłem Hahna i Spilkera, a jeden z Niemców postrzelił Nancy. Zmarła dziś nad ranem.

– Bardzo mi przykro z tego powodu. Mogę się domyślić, co dla pana znaczy ta strata.

Spilker przeżył, niestety. Nie znaleźliśmy go ani wśród jeńców, ani wśród poległych. Za to uwolniliśmy Amerykanina, informatyka Raileya. Nie jest w najlepszej formie...

Informacja ta nie obeszła mnie specjalnie.

– Co się tam stało? – Pokazałem brodą w stronę zarośli, skąd przed kilkoma minutami rozległy się strzały.

Wojtyński skrzywił się nieznacznie.

– Rozstrzelaliśmy zdrajcę. Jego wykrycie trwało długo, wczoraj wieczorem zyskałem ostateczne dowody.

– Wczoraj wieczorem? – zapytałem powoli.

– Tak.

– Czy...?

– Tak. W ogóle jestem winien panu wyjaśnienia. Ale jeśli pan pozwoli, za chwilę. Teraz muszę iść do swoich ludzi. Wydam rozkaz, aby zwrócono panu mundur, broń i pozostałe rzeczy. Pana koledzy są tam. – Machnął ręką w stronę jednego z narożników obozowiska.

Podziękowałem i poszedłem we wskazanym kierunku. Ściągałem wiele zaciekawionych spojrzeń. Cześć dawnych podkomendnych pozdrawiała mnie powściągliwie. Być może wieść o mojej stracie była już w batalionie powszechnie znana i nie chcieli mi się narzucać. A być może nie wybaczyli mi jeszcze owych pięciu lat urlopu od wojny.

Większej części twarzy nie znałem. Ludzie ci byli umundurowani tak samo jak weterani Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, ale musieli pochodzić z teraźniejszych czasów. Wymalowany na ich obliczach entuzjizm i widoczna gołym okiem chęć walki wydały mi się lekko przesadne. Ale z pewnością nie byłem obiektywny.

Przy starej rozklekotanej ciężarówce stali Kurcewicz i Wieteska. Obaj powitali mnie serdecznie. Wojtek trzymał mnie w objęciach z pewnością dłużej niż zwykle. Po raz pierwszy poczułem pod powiekami łzy. Nie wstydziłem się. Oni też nie.

Być może minęło tylko kilka minut. Możliwe jednak, że znacznie więcej.

Wojtek wyglądał na nieładnie zmęczonego, był brudny, śmierdział dymem prochowym, lewą część twarzy miał mocno osmaloną i poparzoną. Jednak odniosłem wrażenie, że po raz pierwszy od bardzo dawna pod warstwą zmartwienia śmiercią Nancy i troski o mnie jest zadowolony z życia. A przynajmniej zgodny z jego głównym nurtem. Być może po prostu zaczął dostrzegać w swoich działaniach jakiś głębszy sens.

– Gdzie Cuprys? – zagadnąłem.

– Siedzi w ciężarówce. Trumny pilnuje – odparł Wieteska.

Uniosłem brwi, na co wyjaśnił:

– Miałem do wyboru: albo go zastrzelić, albo puścić luzem. Wybrałem trzecią opcję. Gdybym go puścił, mógłby nam nabruździć, bo wie sporo, a naszych dalszych planów może się domyślić. A jak przekazałbym go Wojtyńskiemu, w dwie minuty dostałby czapę.

– Może i racja – powiedziałem. – Potem się zastanowimy, co z nim zrobić. Na razie nasze

rachunki są na zero.

– Nie jesteśmy zbyt konsekwentni – zauważył Kurcewicz, któremu Wieteska najwyraźniej zdążył już przekazać główne punkty naszej porannej rozmowy z byłym kapralem wojsk łączności. Wojtek pewnie uważał, że kilkanaście gram ołowiu w potylicy nie byłoby przesadzoną zapłatą za zaprzaństwo i zdradę. Ja zresztą też tak uważałem.

– Nie jesteśmy – przytaknąłem.

– Pies go trącał – podsumował Wieteska. – Ważne, co robimy dalej.

– Połączyłem się z Galasiem. Powiedziałem, że po południu przyjedziemy po niego i Rozalkę.

– Przegrupowanie zaczniemy punktualnie o dwunastej w południe. Przed wieczorem mamy zająć podstawy wyjściowe do ataku na Okęcie – wtrącił Kurcewicz.

– Dobrze. A więc potwierdzimy Galasiowi godzinę. Tak czy siak, ma być gotowy. Kazałem mu połączyć się z Brindisi i wezwać samolot.

Obaj oficerowie wymienili znaczące spojrzenia.

– Na kiedy? – zapytał Kurcewicz.

– Na dziś w nocy. Polecilem, aby załoga połączyła się z nami o drugiej nad ranem. Zakładam, że lotnisko będzie już do tej pory zdobyte, pasy startowe drożne, a nasz liberator będzie miał nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów do Warszawy.

– Śmiały plan – zauważył Wieteska. – Jest w nim tylko jedna niewiadoma...

– Oczywiście – nie dałem mu dokończyć. – Nawet więcej niż jedna. Przecież po drodze można spotkać nocne myśliwce. Albo my utkniemy na Mokotowie i nie przebijemy się...

– W to akurat wątpię. Widzę, jak Wojtyński dowodzi. Umie dobrze skoordynować działania, wykorzystuje różne oddziały akowskie do osłony skrzydeł, potem je szybko dozbraja ze zdobyczej broni i przekształca w pełnowartościowe jednostki. A poza tym tych parę czołgów to jest jakaś siła. Niemcy mocno okopali się na Okęciu, ale poradzimy sobie.

– Oby. – Ziewnięcie wykrzywiło mi twarz. – Dlaczego nie ruszamy teraz?

– Batalion walczył całą noc. Wojtyński chce dać odpocząć ludziom, uzupełnić amunicję z magazynów. Planuje zdobyć lotnisko, korzystając z ciemności. Z września zachowało się trochę noktowizorów, twarde i rosomaki mają systemy celowania do walki nocnej, a mosi i szyłka mają radary. Major chce zwielokrotnić nasze siły.

– W sumie słusznie. – Ponownie ziewnąłem. Denerwowała mnie strata czasu, ale nie miałem na to wielkiego wpływu. – Muszę się przespać.

– Tu jest całkiem wygodnie – powiedział Wieteska, wskazując miejsce pod pobliskim drzewem.

– Jasne. – Zdjąłem marynarkę, zrolowałem ją i na tej zaimprovizowanej poduszce złożyłem skolataną głowę. Obaj kapitanowie postali chwilę nade mną, ale zamknąłem oczy i tym samym dałem do zrozumienia, że audyencja skończona.

Nie spałem, raczej śniłem na jawie. Pewnie normalny sen byłby trudny w huku bliższej i

dalszej kanonady. Miałem wrażenie, że bardzo szybko płynę rwącym strumieniem, spadałem w przepaść, topię się i wypływam na powierzchnię, by za chwilę topić się ponownie.

To były bardzo złe obrazy.

Ocknąłem się, gdy słońce stało już wysoko, bardziej zmęczony niż rano. Przez chmury i dym widziałem niebieskie niebo, frywolny, nieprzyzwoicie optymistyczny, kompletnie niepasujący do otoczenia kawałek przyrody.

Dopiero po chwili zauważyłem, co mnie tak naprawdę wyrwało ze snu. Śmiechy i głośne krzyki dochodziły od strony grupki żołnierzy, która biwakowała kilka metrów ode mnie.

– ...wpadałem w korytarz. Nikogo. Patrząc drzwi. No to pchnąłem, a w środku Niemcy. Czternastu, jak się potem okazało. Stoją dookoła stołu i ładują broń. Mówię wam, mieli tam cały arsenał. Na to ja podnoszę schmeissera, naciskam spust, żeby wszystkich sprawiedliwie obdzielić, mrużę oczy i przygotowuję się na huk... A tu nic. Żaden strzał nie pada. Potem się okazało, że nie przeładowałem ze zdenerwowania. Oni zbaranieli. Ja też, tylko że ja na trochę krócej. Nie miałem innego wyjścia i długo się nie zastanawiałem, tylko krzyczę na cały głos: „Hande hoch!”. Wiecie, jak oni wrzeszczą, no więc wrzasnąłem jeszcze głośniejsze. I wyobraźcie sobie – wszyscy podnoszą ręce. Cała czternastka. A pierwszy z brzegu stał podoficer i z kabury mu wystaje kolba pistoletu. No to ja doskoczyłem, łapię za tę kolbę, wyrwam pistolet i celuję w nich. Przynajmniej miałem już coś w ręku. I tak ich wyprowadziłem i wziąłem do niewoli. – Żołnierz zaśmiał się wesoło, a pozostali zarechotali razem z nim..

– Czternastu... z zaciętą maszynką... niezły kozak z ciebie, Witek... – dogadywali życzliwie.

W opowiadającym rozpoznałem żołnierza, który wczoraj, obok rotmistrza Dużego, odwoził mnie na Kruczą. Kapral podchorąży Witek. Fighter. Słuchacze chrząkali z rozbawieniem, widać, że każdy ma do opowiedzenia swoją historię. My – ludzie z przyszłości – nie potrafilibyśmy się chyba tak cieszyć ze zwycięstwa.

– Za taki czyn co najmniej Krzyż Walecznych, podchorąży – rzucił jeden z otaczających Witka kolegów.

Kapral uśmiechnął się szeroko i w tym momencie zauważył, że przysłuchuję się rozmowie.

– Witam pana pułkownika – zagadnął przyjaźnie. – Cieszę się, że pana widzę w zdrowiu. A co do krzyża – ponownie zwrócił się do towarzyszy – major obiecał przekazać mojemu dowódcy wniosek o odznaczenie. Jak tylko wrócę do oddziału, chociaż łączność przerwana. Zresztą nie walczymy dla medali.

– Oczywiście. – Skinąłem głową. – Ale zgadzam się z kolegą, należy się panu ten krzyż. Gdzie rotmistrz?

Dobry nastrój żołnierzy zniknął jak zdmuchnięta świeczka. Przez twarze zgromadzonych przemknął cień. Tym niewinnym pytaniem najwyraźniej popsułem atmosferę radości z

wygranej.

– To lepiej, jak już panu major powie – powiedział kapral podchorąży.

– To aż takie tajne?

– Nie, ale ja nie mam upoważnienia... – Rozmowa na ten temat była mu najwyraźniej nie na rękę.

– W porządku. – Nie naciskałem dalej. – Dziękuję za sprawną akcję na Szucha...

– Panie pułkowniku, pan major pana prosi. – Obok mnie jak spod ziemi pojawił się zdyszany żołnierz. – Pan major...

– Słyszałem, dziękuję. Przebiorę się i idę.

Skinąłem głową Witkowi i jego kolegom i poszedłem w stronę swego legowiska. Podczas gdy odbywałem niespokojną drzemkę, jakaś życzliwa dusza położyła obok mnie spadochroniarski kombinezon, hełm, thompsona, USP, smitha&wessona, torbę z amunicją i granatami oraz resztę mojego bojowego wyposażenia. Gdy ujrzałem te rzeczy, z którymi przecież rozstałem się zaledwie przed trzydziestoma sześcioma godzinami, miałem wrażenie, że skok do Polski, walka na zboczu góry, odbicie Rozalki i spotkanie oddziału Wojtyńskiego zdarzyły się dwa albo trzy lata temu. To było tak dawno, że niemalże zostało zapomniane. Po prostu nowsze, znacznie bardziej dramatyczne wydarzenia wyparły te starsze.

Nieśpiesznie pozbyłem się sfatygowanego garniturku i włożyłem czarny kombinezon. Zasznurowałem długie, miękkie buty, przytroczyłem pas z ładownicami, schowałem oba pistolety. Wziąłem plecak, thompsona i wyruszyłem na spotkanie z majorem Januszem Wojtyńskim.

5.

– Mogę zaoferować panu śniadanie.

– Chętnie, dziękuję. – Nie byłem głodny, ale uświadomiłem sobie, że ostatni posiłek jadłem przedwczoraj wieczorem, więc rozsądek zwyciężył i przyjąłem poczęstunek. Wziąłem podaną puszkę z konserwą mięsną i dwie pajdy chleba grubo posmarowanego smalcem.

Obok Wojtyńskiego siedzieli porucznicy Jamróz, Stańczak oraz Borek. Starzy znajomi z czasów prehistorycznych, kiedy jeszcze beztrosko liczyliśmy dni do urlopu albo do wieczornych eskapad alkoholowo-erotycznych. Eh, czasy Piątej Brygady Pancерnej! Świat wydawał się wtedy naprawdę piękny. Przywitałem się z nimi serdecznie, oni odpowiedzieli poważnymi uściskami dłoni, które miały oznaczać współczucie i wybaczenie. Potrzebowałem takich gestów.

Wojtyński podał mi kubek z kawą, po czym niepytany zaczął mówić. Zbliżał się czas wyjaśnienia niektórych tajemnic.

– Gdy w trzydziestym dziewiątym przetrzepaliśmy Niemcom skórę, jak się pan zapewne

domyśla, wzbudziło to zainteresowanie wielu wywiadów, przynajmniej w Europie. Choć, jak się później okazało, nie tylko tu. Oczywiście głównymi zainteresowanymi byli Niemcy i Sowieci, którzy bardzo szybko, po kapitulacji Warszawy pod koniec listopada trzydziestego dziewiątego, zaczęli węszyć. Zresztą polski rząd emigracyjny, który otrzymał szereg meldunków o naszych wyczynach, też próbował dojść prawdy. Marszałek Rydz niespecjalnie współpracował, zdaje się. Jeżeli chodzi o nas... No cóż... Braliśmy udział w obronie Warszawy do końca, do kapitulacji. Panowie wyjechaliście za granicę, major Łapicki zginął, kapitan Wójcik zginął podczas walk, ustaliliśmy więc z pozostałymi oficerami, że obejmę dowództwo nad okrojonym batalionem. Po zakończeniu regularnych walk miałem pod swoją komendą około dwustu dwudziestu ludzi ze wszystkich formacji plus około pięćdziesięciu rannych w szpitalach. Akurat tak się złożyło, że z mojego plutonu zginął tylko jeden człowiek. Musieliśmy sobie odpowiedzieć na pytanie, co robimy dalej. Wszyscy byli zgodni, że włączamy się do walki konspiracyjnej, ale pozostawało kwestią otwartą, w jaki sposób to zrobić, aby przynieść jak najwięcej korzyści Polsce, jednocześnie nie dekonspirując się. Postanowiłem nie integrować się w pełni ze strukturami akowskimi, wykorzystując fakt, że jesteśmy obcy i żaden z nas nie ma rodziny, co paradoksalnie nie było do końca prawdą, bo większość miała już na świecie swoich rodziców, przeważnie w wieku przedszkolnym zresztą, i dziadków w okolicach trzydziestki. Zabroniłem stanowczo jakichkolwiek prób kontaktów z tymi ludźmi. No, generalnie wisieliśmy w społecznej próżni, co akurat w tym wypadku było plusem. Odbyliśmy szereg narad typu burza mózgów. Okazało się, że mamy w naszej grupie dwóch ludzi, którzy sporo wiedzą o tym okresie, zwłaszcza jeden był prawdziwym fanatykiem historii, szczególnie jeśli chodzi o stronę niemiecką. Prawdziwa kopalnia wiedzy, mógłby występować w teleturnieju. Przeprowadziliśmy zatem bardzo dokładną, wielowariantową analizę naszego położenia i możliwych sposobów działania.

Po zakończeniu kampanii jesiennej wydarzenia tak się potoczyły, że pułkownik Rowecki od razu został komendantem głównym ZWZ. Po prostu przeskoczono etap Służby Zwycięstwu Polski. Przez generała Czumę, któremu byłem podporządkowany podczas obrony Warszawy, dotarłem do Roweckiego i zagrałem w otwarte karty. No, częściowo otwarte. Opowiedziałem mu o nas, natomiast zataiłem fakt ukrycia sprzętu i zapasu amunicji w Górach Świętokrzyskich. Przedstawiłem pułkownikowi plan działania i opowiedziałem mu dokładnie, czym ta okupacja będzie dla Polski, a także jak w ogólnych zarysach potoczą się wydarzenia w Europie. Oczywiście nie byłem tego pewien na sto procent, bo przecież zmieniliśmy historię, ale doszedłem do wniosku, że zrobiliśmy to w skali taktycznej, może taktyczno-operacyjnej, czego dowodem jest kampania jesienna, która przeciągnęła się do listopada, a w konsekwencji znacznie większe straty Niemców i o wiele późniejsze wkroczenie Sowieców na teren Polski. Jednak summa summarum różnica potencjałów ekonomicznych i wojskowych była zbyt duża i oczywiście przegraliśmy. Na Niemców przeciągnięcie walki nie miało aż tak wielkiego wpływu, uznałem więc, że ich polityka się nie

zmieni. Zaatakują Francję, potem Sowieców i tak dalej. Pozostało wyciągnąć maksymalnie racjonalne wnioski dla nas, Polaków. I w taki właśnie sposób, razem z zarysem planu działania, przedstawiłem to Roweckiemu.

– A jaka była jego reakcja? – zapytałem, zafascynowany tym bezpośrednim świadectwem alternatywnego biegu dziejów ojczystych.

– Rowecki był bardzo mądrym człowiekiem i świetnym oficerem. Oczywiście nie uwierzył mi od razu, ale miałem w ręku parę dowodów na to, że nie majacze. Zresztą wśród wyższej kadry oficerskiej, a on był przecież dowódcą liniowym, rozeszły się wieści o naszych... to jest pana sukcesach i rozbiciu korpusu Hoeppnera, Rowecki więc słyszał to i owo. No i dostrzegł szansę efektywnego działania, choć jednocześnie przecież pozbawiłem go złudzeń co do przebiegu wojny, przynajmniej w jej początkowym okresie. Nie wdawałem się w szczegóły co do smutnego końca, czyli Jałty, zdrady aliantów zachodnich i oddania Polski w sowiecką strefę wpływów, bo po pierwsze nie chciałem mu odbierać nadziei, a poza tym, może naiwnie, liczyłem na to, że być może uda się ugrać dla Polski nieco więcej.

– No tak... – mruknąłem. Sam bym pewnie tak kalkulował, bo co szkodzi mieć nadzieję.

– Tak więc z błogosławieństwem Roweckiego powstał plan. Po pierwsze pełna autonomia oddziału. Podległość służbowa tylko i wyłącznie Komendantowi Głównemu. Wiedzieć o nas miał tylko on i szef sztabu, nikt więcej. Z kolei ja zagwarantowałem sobie dostęp do wszelkich danych wywiadowczych i kontrwywiadowczych, komórek legalizacji i rekrutacji, które miała w swoich kompetencjach Komenda Główna Armii Krajowej. Po drugie, stworzyłem własny kontrwywiad z racji wspomnianej aktywności wywiadowczej naszych nieprzyjaciół. Po trzecie, przenieśliśmy sprzęt w nowe miejsce i ograniczyłem do minimum liczbę ludzi, którzy znają położenie kryjówki. Po czwarte, otrzymałem prawo do rekrutacji nowych żołnierzy spośród miejscowej młodzieży, harcerzy i tak dalej. Po piąte, zająłem się produkcją broni i amunicji oraz utworzyłem odpowiednie struktury techniczno-organizacyjne. Po szóste, podniosłem poziom szkolenia do standardu jednostki GROM lub zbliżonego. Po siódme i najważniejsze – opracowywałem plany akcji zbrojnych, czy wręcz stworzyłem swoistą doktrynę walki. I tak dalej, i tak dalej.

– Ciekawe – zauważyłem. – I miał pan pełne poparcie Komendanta Głównego?

– Tak. Rowecki docenił szansę, którą stwarzało mu korzystanie z naszych doświadczeń. Oczywiście były pewne trudności, na przykład wynikało z przekazywania nam pieniędzy. Musiał ukryć fakt, że duże sumy znikają na jakieś nieokreślone cele. To oczywiście rodziło podejrzenia, zawiść i tak dalej.

– A jak rozwiązaście problem amunicji? Zauważyłem, że macie spore zapasy, przecież aż tyle nie zostało z trzydziestego dziewiątego.

– To było prawdziwe wyzwanie. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Broń jest stosunkowo łatwo wyprodukować, nawet w warunkach konspiracyjnych. Gorzej z amunicją. Utworzyliśmy specjalny zespół złożony z techników od Sawickiego... – oczywiście

pamiętałem, że porucznik Sawicki był szefem kompanii logistycznej w batalionie

– ...oraz inżynierów wykształconych w II Rzeczypospolitej, rzecz jasna po zaprzysiężeniu. Nie wyobraża pan sobie, jak nieprawdopodobny potencjał tkwi w takim połączeniu. Swoją drogą Sawicki to organizacyjny geniusz. Wszystko ustawił w taki sposób, że, po pierwsze, zapewnił pełne warunki do pracy, maszyny, zaopatrzenie i tak dalej. Części i podzespoły produkowane były w kilku różnych fabryczkach, a dopiero ostatni zakład montował broń w całość. Po drugie, bardzo głęboko zakonspirował produkcję, jednocześnie w maksymalny sposób korzystając z legalnych przedsięwzięć. Trzy czwarte produkcji odbywało się w zakładach kontrolowanych albo wręcz należących do Niemców.

– A jaki był zakres produkcji?

– Beryle, zmodyfikowane oczywiście. Części kompozytowe zastąpiono drewnem lub stalą, ale broń nie straciła nic ze swych walorów, myślę nawet, że pod pewnymi względami przewyższa oryginał. Karabiny maszynowe i snajperskie. Granatniki przeciwpancerne i zwykłe. Moździerze. Sprzęt łączności i wiele innych rzeczy. Największy problem był z amunicją, przede wszystkim ze względu na masowość produkcji, a także nietypowe kalibry. Chcieliśmy stworzyć spore zapasy amunicji czołgowej sto dwadzieścia pięć milimetrów, trzydzieści milimetrów do rosomaków, dwadzieścia trzy milimetry do szyłek i oczywiście do broni maszynowej, a także głowic do granatników.

– I? – zapytałem, gdy zatrzymał się, by sięgnąć po nowy kubek z kawą. Chociaż przebywałem w tej rzeczywistości już od pięciu lat, życie w Stanach nijak się nie miało do opisywanych tu spraw. Docierało do mnie powoli, dlaczego żołnierze Wojtyńskiego patrzyli na nas krzywo. Zapewne mieli nas za dezerterów.

– Spenetrowaliśmy i rozpracowaliśmy wywiadowczo fabrykę amunicji w Radomiu. Jak pan wie, po zajęciu Polski Niemcy ze szczególną uwagą zajęli się zakładami zbrojeniowymi. Ustanowili swoje zarządy, wprowadzili kontrole i tak dalej, ale personel techniczny pozostał w ogromnej większości polski. No więc zaczęliśmy penetrować to środowisko, jednocześnie rozpracowując związanych z fabryką Niemców. Bez większych trudności zwerbowałem do współpracy kilkunastu Polaków. Z miejsca przystali na nasze pomysły. Niemców zastraszyliśmy lub przekupiliśmy. Kilku opornych, którzy grozili dekonspiracją, zlikwidowaliśmy. Kluczową sprawą było zapewnienie opieki dyrektora naczelnego fabryki. To był stary partyjny aparatczyk, fanatyk. Zająłem się nim osobiście. – Uśmiech majora nie sięgnął oczu. – Połączenie dużej, bardzo dużej łapówki i gróźb przyniosło w końcu efekt. Otrzymał precyzyjny komunikat, że w razie ujawnienia naszej produkcji on i cała jego rodzina zostanie zlikwidowana. A ponieważ nieco wcześniej utonęło lub zginęło w wypadkach samochodowych kilku jego pracowników, w tym pierwszy zastępca, wiedział, że nie żartujemy. No i produkcja ruszyła. Maszyny udało się odpowiednio skalibrować, a produkowane przez nas partie nigdy nie były zbyt wielkie. Posuwaliśmy się do przodu małymi krokami i robiliśmy zapasy. Musieliśmy pokonać tysiąc różnych problemów,

choćby z zaopatrzeniem, transportem i tym podobnych. Oprócz tego prowadziliśmy normalną działalność operacyjną. Tu jest do opowiadania całkiem sporo i dnia nam nie starczy, aby choć pobieżnie streścić przebieg niektórych akcji. Mówiąc ogólnie, zaproponowałem metodę selektywnego terroru, ale nie reaktywnego, tylko uprzedzającego, proaktywnego. Po zainstalowaniu się w kraju władz okupacyjnych poszedł do nich jasno sprecyzowany komunikat: za każdy akt terroru odpowiedzialni zań funkcjonariusze wraz z rodzinami odpowiedzą głową. Rzecz jasna pierwsze ostrzeżenie zlekceważono i zaczęły się egzekucje. My niestety nie mogliśmy od razu zareagować, bo nie mieliśmy jeszcze rozpracowanego dokładnie niemieckiego aparatu bezpieczeństwa, a nie chcieliśmy uderzać na ślepo. Przyznaję, to był błąd, i to poważny. Trochę potrwało, zanim dokonaliśmy infiltracji sił policyjnych, gestapo, wywiadu, żandarmerii i tak dalej. Stosowaliśmy te same metody co w Radomiu: łapówki, szantaże i groźby. Klasyczne zagrywki z repertuaru werbunku wywiadowczego. Więc po naszych pierwszych niespełnionych groźbach Niemcy się rozzuchwalili. Wysiedlenia, egzekucje i szykany trwały w najlepsze. Kiedy byliśmy już gotowi, a było to wiosną czterdziestego roku, w okolicach kampanii francuskiej, uderzyliśmy. W całym GG w tym samym czasie odbyło się szereg akcji. Zamachy bombowe, snajperzy, ciężarówki wypełnione trotylem, wizyty w domach. Padło kilkudziesięciu funkcjonariuszy, w tym szef dystryktu krakowskiego. Równolegle poszła informacja: „Zostawcie nas w spokoju, to nie będziemy przeszkadzać, ale na represje odpowiemy większymi represjami”. Oczywiście nie posłuchali. Rozpętali jeszcze większą kampanię terroru i zaczęli na nas polować. My niezmiennie wysyłaliśmy sygnały i uderzaliśmy. Celnie. Czasami na masową skalę, jak wtedy, gdy przed siedzibą radomskiego gestapo wybuchła ciężarówka z dwoma tonami trotylu wzmocnionego dziesięcioma kilogramami C4. Ładunek zdmuchnął z powierzchni ziemi budynek wraz z trzystoma pracownikami. Czasami wybiórczo, jak czternastego grudnia czterdziestego drugiego roku, kiedy gubernator Hans Frank dostał w czoło kulą kalibru dwanaście i siedem dziesiątych milimetra wystrzeloną z karabinu snajperskiego barett z odległości dziewięciuset metrów. Można opowiadać jeszcze dużo.

– A efekty? – zapytał po dłuższej chwili, gdy przerwał dla zaczerpnięcia oddechu.

– No cóż, szczerze mówiąc, mam wrażenie, że terror jednak nie szalał tak mocno jak w tej wersji historii, którą pan i ja pamiętamy z podręczników. Udało nam się osiągnąć coś w rodzaju zbrojnego status quo, ale bardzo kruchego i chwiejnego. Niemcy trochę odpuścili, bo zorientowali się, że zaczyna im brakować chętnych do obsadzania wysokich stanowisk. – Major leciutko zachichotał. – I tak to się toczyło.

– W takim razie dlaczego powstanie wybuchło pierwszego sierpnia? Wszyscy wiemy, że nie była to zbyt szczęśliwie dobrana data ani tym bardziej godzina rozpoczęcia walki.

Major zasepił się. Możliwe, że i jego nurtowały podobne wątpliwości.

– Widzi pan, tak naprawdę nie na wszystko mieliśmy wpływ. Często nawet nasze oddziaływanie na różne rzeczy było znacznie mniejsze, niż można by się spodziewać. Na

przykład na politykę naszych władz wojskowych. Na ambicję poszczególnych dowódców. Na poronione plany strategiczne, których nie udało nam się ani skorygować, ani utracić. Takim przykładem jest powstanie. Wybuchło, tak jak wybuchło, bo nie udało mi się nikogo przekonać, że jest samobójstwem, nawet biorąc pod uwagę nasze siły pancerne. – Skrzywił się.

– A Rowecki? – zdumiałem się. – Nie poparł pana?

– Rowecki nie żyje.

– Nie mógł go pan ochronić? Przecież znał pan jego losy.

– Widzi pan... to nie takie proste. Oczywiście Kalkstein, Kaczorowska i Świerczewski, zdrajcy, którzy go wydali, zginęli jeszcze w czterdziestym drugim roku. Kaczorowska spadła ze schodów, Kalksteina przejechała ciężarówka, a Świerczewski utopił się podczas kąpieli.

– No więc w czym problem?

– Parę miesięcy później podczas rutynowej kontroli jego ochrona wdała się w strzelaninę z patrolem żandarmerii. Wszyscy żandarmi zginęli. Po naszej stronie stracił życie tylko jeden człowiek.

– Generał – powiedziałem.

– No właśnie. Po nim, pomimo przeciwdziałania z mojej strony, schedę objął Bór, co było najgorszym możliwym wyborem. Jak pan widzi, historia toczy się swoim trybem, a człowiek i tak skazany jest na podążanie za swoim przeznaczeniem.

– Ciekawe – mruknąłem. – Czyli wygląda na to, że nic się nie da zrobić.

– Tego nie powiedziałem. Można próbować i takie próby czasami się udają. Na przykład teraz. Uważam ten zryw za idiotyzm, żalosną karykaturę Somosierry, ale to nie znaczy, że nie zrobię wszystkiego, abyśmy wygrali, choć szanse nie są wielkie.

– Pewnie nie – zgodziłem się. – A jaką rolę ja odegrałem w tym wszystkim?

– Spotkaliśmy was przypadkowo – zaczął ostrożnie po chwili milczenia, a ja oczywiście mu nie wierzyłem. – Ale skoro się przyplątaliście i na dodatek szybko się okazało, że mieliście do nas interes, postanowiłem to wykorzystać...

– Mhm – przytaknąłem, wpadając mu w słowo. Mogłem już za niego dokończyć całą opowieść. – W waszej grupie była wtyczka gestapo, ale nie mógł jej pan namierzyć, w każdym razie nie miał pan wyraźnych dowodów przeciw temu człowiekowi, więc akcja z odbiciem Nancy spadła panu jak manna z nieba. – Nie spadła, ale nie chciałem, aby domyślał się, że wiem więcej, niż mu się wydaje. – Zawiesił mnie pan na haczyku i czekał na rozwój wydarzeń. Pozwolił pan, aby pana człowiek dał cynk Niemcom. Ponieważ ściśle selekcionował pan informacje, można było być pewnym, że tylko podejrzany może je przekazać. Dlatego do pomocy wziął pan człowieka z zewnątrz, kaprała podchorążego Witka. Wpadnę, znaczy, że przynęta zadziałała. No i stało się. Gestapo zawiozło mnie na Szucha, a pan dzięki swoim obserwatorom zyskał dowód, że zdrajca jest tym człowiekiem, na którego padały podejrzenia. Zapewne pod jakimś przygotowanym wcześniej pretekstem odsunął go

pan od akcji na Szucha, po czym aresztował i kazał zlikwidować. Zgadza się?

– Brawo. – Uśmiechnął się już drugi raz tego dnia. – Prawie w najdrobniejszych szczegółach.

– Powinienem być na pana wściekły. Zaryzykował pan moje życie bez pytania o zgodę. – Mówiłem tak, bo pewnie spodziewał się jakiejś reakcji w tym stylu. Właśnie uzyskałem potwierdzenie podejrzeń, że Wojtyński, biorąc jako swoistych zakładników mnie oraz resztę ekipy, prowadził grę zmierzającą do załatwienia swoich, a właściwie batalionowych interesów. Uznał, że koszty w razie niepowodzenia nie będą zbyt wielkie. Ten człowiek wszystkie posunięcia kalkulował w kategoriach zysków i strat, nie emocji.

Ja jednak w tym momencie nie mogłem wykrzesać z siebie żadnych uczuć. Żadnej złości, żadnej chęci rewanżu. Żal i rozpacz. I nic więcej.

Wojtyński patrzył obojętnie.

– Pozostaje tylko pytanie, kto to był – powiedziałem po chwili, chociaż niewiele mnie to w gruncie rzeczy obchodziło.

– Rotmistrz Duży. – O! Facet, który z kapralem podchorążym Witkiem, tym od zaciętego peemu, wiozł mnie do Warszawy przedwczoraj wieczorem. – Człowiek, który był z nami niemal od początku i z którym przeprowadziliśmy dziesiątki akcji, często bardzo ryzykownych. Odważny, świetny żołnierz, prawdziwy patriota.

– Co zatem się stało, że przeszedł na ciemną stronę mocy?

– Niemcy aresztowali jego żonę. Zagrozili jej śmiercią. I to ona namówiła go do zdrady. Postawiony przed wyborem: żona albo my, wybrał swoją szkolną miłość. Niemcy chwycili trop, miesiąc temu nastąpiły pierwsze aresztowania. Wpadł Sawicki i jeden z moich dowódców kompanii. Gestapo dostrzegło szansę zlikwidowania oddziału i mnie osobiście, na czym im chyba dość zależało.

– Owszem. – Przypomniałem sobie ściszony głos Nancy, gdy w pokoju na pierwszym piętrze siedziby gestapo wymieniłem nazwisko Wojtyńskiego. Musiałem jednak zacząć myśleć o przyszłości. – Co dalej pan zamierza?

Chociaż listę posunięć na najbliższych kilkanaście godzin referowali mi moi kapitanowie, wolałem usłyszeć to w interpretacji tego partyzanta polskich spraw, człowieka o gorącym sercu i duszy mordercy.

– Zakładam, że waszej grupie zależy na opuszczeniu miasta, a dziwnym zbiegiem okoliczności jest to zgodne z planem operacyjnym na najbliższą dobę... – Pewnie, że zgodne, pomyślałem. Gdyby ten zbieg okoliczności nie miał miejsca, dopiero byłoby ci to nie na rękę, prawda, majorze? – ...a właściwie nie tyle zgodne, co niekolidujące. Za dwie godziny ruszamy na Mokotów pomóc naszym kolegom z AK oczyścić kilka rejonów, ale przede wszystkim zdobyć podstawę wyjściową do ataku na lotnisko Okęcie. Przy okazji zabierzemy Galasia i Rozalkę, którzy zamelinowali się przy Różanej. W nocy uderzymy na Fort Mokotowski, który jest swego rodzaju bramą na lotnisko. Cel ostateczny mam nadzieję opanować przed świtem.

Może pan wzywać samolot. Pożegnamy się serdecznie i każdy z nas pojedzie w swoją stronę.

Doskonały plan. Idealnie zbieżny z naszym modus operandi. Rozwiązywał kilka zagadnień za jednym zamachem: wydostanie się z ogarniętego walkami miasta, transport emitera i zorganizowanie lądowiska dla ciężkiego samolotu.

– Panie majorze! Panie majorze! – Zanim zdążyłem otworzyć usta, aby podziękować Wojtyńskiemu za tak korzystny dla nas rozwój sytuacji, wpadł między nas jakiś człowiek, pół cywil, pół żołnierz, obsypany zmielonym tynkiem, okopcony i krwawiący. Na rękawie mocno przechodzonej marynarki jaśniała krzywo przyfastrygowana białoczerwona opaska. Facet wyglądał na rannego, potłuczonego i przestraszonego. – Panie majorze! – Nie mógł złapać tchu jak po długim biegu. – Niemcy... rozbili... barykadę... przebili się... atakują nasze pozycje...

– Dokładny meldunek. Gdzie? Jakie siły? Kierunek ataku?

– Tak jest. – Człowiek ów odetchnął głęboko i wreszcie zaczął mówić nieco składniej. – Barykada na Nowym Świecie koło Banku Gospodarstwa Krajowego rozbita i zdobyta. Niemcy posuwają się Nowym Światem w kierunku placu Trzech Krzyży. Bronimy się koło kościoła Świętego Aleksandra, ale przypuścili drugi atak od Brackiej. Nie utrzymamy się... Pan kapitan prosi pana majora o pomoc.

– Liczebność nieprzyjaciela?

– Co najmniej dwie kompanie, kilka czołgów i dział pancernych.

Wojtyński już wiedział, co robić, i nie słuchał więcej.

– Alarm bojowy – powiedział spokojnie do swoich dowódców, tym krótkim stwierdzeniem zmieniając nasze ustalenia sprzed minuty. – Kompania Orzeł 1 do rosomaków i jako desant na pancerze czołgów. Oś ataku: Aleje Ujazdowskie poprzez plac Trzech Krzyży. Cel ataku: odzyskanie barykady przy BGK. Kompania Orzeł 2 atakuje wzdłuż Brackiej do Alej Jerozolimskich. Utrzymywać łączność, nie rozpraszać się. Odbić budynek BGK. Kompania Orzeł 3 w odwodzie. Pluton alarmowy zostaje z ciężarówkami.

– Tak jest – zabrzmiało potrójne potwierdzenie rozkazu i wszyscy trzej dowódcy pobiegli do swoich oddziałów.

– Zmienia pan plan – zauważyłem.

– Opóźniam jego realizację. Muszę pomóc. Jeżeli zawali się obrona placu Trzech Krzyży... – Machnął ręką. – Pan zostaje. – Major spojrzał na mnie, raczej stwierdzając fakt, niż pytając.

– Nie. Proszę o pozwolenie udania się z kompanią Orzeł 1. – Postanowienie zapadło przed sekundą i było nieodwołalne. Nie wiedziałem, czy chcę iść do boju, ale z pewnością nie mógłbym znieść bezczynnego czekania.

Jeżeli był zdziwiony, nie dał tego po sobie poznać, ale decyzje podejmował szybko.

– Dowodzi porucznik Jamróz...

– Wiem. Nie chcę dowodzić. Chcę walczyć.

– Dobrze. Proszę dołączyć do pierwszej kompanii.

– Dziękuję. – Wyciągnąłem dłoń, którą uściskał mocno. Tym samym topór wojenny ostatecznie został zakopany.

Objuczony sprzętem i amunicją zrywałem się do biegu, gdy dobiegły mnie ryki odpalanych silników ciężkich maszyn bojowych. Sapiąc z wysiłku, wskoczyłem na pancerz twardego – czterdziestka z okładem na karku! – i wtedy przemknęła mi myśl, że w czasie całego swojego obszernego wykładu na temat zmodernizowanej Historii Walki i Męczeństwa Narodu Polskiego oraz działań Batalionu Uderzeniowego, major Wojtyński nie zająknął się ani słowem o emiterze, ani o batalii, jaka wokół niego rozgorzała. Mówił o ludziach, o polowaniach urządzanych przez Niemców, o akcjach bojowych, ale nie wspomniał o technologii, której przechwycenie przez którąkolwiek ze stron konfliktu pozwoliłoby wygrać wojnę w ciągu kilku miesięcy.

Interesujące.

VII. BARYKADA

1.

Metodę wożenia piechoty na pancerzach czołgów wymyślili Rosjanie podczas swojej jedynej w swoim rodzaju wojny, tak zwanej Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Oni nigdy nie przejmowali się takim drobiazgiem jak życie ludzkie, więc nie był to specjalnie wygodny sposób podróżowania, o jakimkolwiek, nawet najbardziej elementarnym bezpieczeństwie nie wspominając. Ale był stosunkowo szybki, dlatego użyliśmy go. Obok mnie, na mnie, przy mnie, pode mną tłoczyły się ze dwie drużyny piechoty, ściśnięte na trzech metrach czołgowego pancerza tylnego. W twarz wionęły spaliny, zapachy brudnych mundurów, niemytych ciał i zwykłego strachu. Ten ostatni był zresztą najgorszy.

Nie miałem nawet czasu specjalnie się nad tym zamyślić, ponieważ po chwili osiągnęliśmy cel, czyli plac Trzech Krzyży. Kurcewicz, który dowodził atakiem („Nie ma powodu, aby, dopóki jestem do dyspozycji, dowodził czołgami ktoś gorszy ode mnie, panie majorze. A ja jestem najlepszy” – powiedział tuż przed odjazdem Wojtyńskiego, po czym zniknął we wnętrzu rosomaka zaadaptowanego na wóz dowodzenia), wydał rozkaz przejścia do położenia bojowego i piechota jak zdmuchnięta znalazła się na ziemi.

Niemcy nie nauczyli się jeszcze taktyki walki z powstańcami, więc jak na razie atakowali zwartymi oddziałami piechoty wspartymi czołgami. Ufni w moc tygrysów i dział hetzer szli w sile około czterystu ludzi, okrążając plac Trzech Krzyży z dwóch stron – osiowo wzdłuż Nowego Świata, który kończy swój bieg właśnie na tym placu, oraz z lewego skrzydła, atakując broniących się wokół kościoła Świętego Aleksandra żołnierzy od ulicy Brackiej. Już pobieżny rzut oka na plac boju wskazywał, że zdążyliśmy w ostatnim momencie i musimy natychmiast przeprowadzić rozbieżny co do kierunku kontratak, aby zatkać lukę w obronie zarówno na osi centralnej, jak i na skrzydle. Kurcewicz wydał odpowiednie rozkazy i plutony rozbiegły się na boki.

Cieężko jest opisać uczucia, gdy się idzie do ataku. Latające nad głową kule słyszeć całkiem wyraźnie, obok ogłuszająco ryczy działo twardego, przy czym efekty dźwiękowe, w przerwach potrzebnych na załadowanie i znalezienie nowego celu, uzupełniane są przeraźliwym staccato czołgowych kaemów. Krótko, ale basowo i głośno warczy trzydziestomilimetrowe działko rosomaka. Trzaskają beryle. Trzaska też mój thompson

ustawiony na krótkie, trzystrzałowe serie. Tak jest celniej i znacznie bardziej oszczędnie.

Dymy wybuchów zasnuły plac. Budynki po lewej stronie zaczęły się palić, nawet w warunkach tak ograniczonej widoczności dostrzegłem mieszkańców w panice opuszczających swoje domostwa.

Niemiecka piechota była już na wysokości kościoła, częścią sił walcząc z kurczowo trzymającymi się stanowisk resztkami powstańczego plutonu, a częścią wychodząc na otwartą przestrzeń między kościołem a wlotami ulicy Mokotowskiej i Alej Ujazdowskich. Właśnie w tym momencie przybyliśmy na pole bitwy. Mój oddział z marszu otworzył ogień. Celność w takich warunkach nigdy nie jest najwyższa, ale czynnik zaskoczenia i przewagi ogniowej był zdecydowanie po naszej stronie, toteż Niemcy, chcąc uniknąć masakry, podali tyły, zostawiając na ziemi kilkudziesięciu kolegów.

Nieprzyjacielskie czołgi zajęte były w tym czasie dobijaniem stanowisk powstańczych ulokowanych w kościele, lecz najwyraźniej niemiecki dowódca był starym, otrzaskanym w walce wyjadaczem, bo na nasze przybycie zareagował naprawdę szybko. Jeszcze nie zdążyliśmy zmienić magazynków, gdy pchnięte rozkazem, nie dalej niż siedemdziesiąt metrów od naszych stanowisk, z dymu i wiszącego w powietrzu pyłu, wynurzyły się trzy tygrysy i pancerne działo szturmowe hetzer.

Trwają spory wśród historyków i znawców wojskowości o prymat wśród pancernych kolosów drugiej wojny światowej. Część ekspertów jest skłonna palmę pierwszeństwa przyznać sowieckiemu T-34, najbardziej uniwersalnemu czołgowi wojny, obdarzonemu znacznymi walorami bojowymi. Lecz inna część fachowców, wcale nie mniejsza, twierdzi, że najlepszym czołgiem minionej (minionej?) wojny był (jest?) czołg ciężki Pzkw VI Tiger.

Potężnie opancerzony (czołowy pancerz przeszło sto milimetrów), jak na swoją masę bardzo ruchliwy i zwrotny, uzbrojony w najlepszą na świecie osiemdziesięcioośmiomilimetrową armatę czołgową. Prawdziwy drapieżca wśród panter, pum i szakali.

Po drugiej stronie tego niezwykłego pojedynku stanął PT91A1 twardy, polska modernizacja sowieckiej konstrukcji o nazwie T-72. Polscy inżynierowie odwalili kawał dobrej roboty, dając czołgowi nowy silnik, nowoczesne przyrządy celownicze, reaktywny pancerz i szereg innych ulepszeń. Twardy szczycił się studwudziestopięciomilimetrową gładkolufową armatą jako głównym uzbrojeniem i była to дума uzasadniona. Działo o takich parametrach nie było ostatnim krzykiem mody w roku dwa tysiące siódmym, ale stanowiło absolutnie wizjonerski i nieosiągalny dla naszych przeciwników szczyt techniki w roku czterdziestym czwartym. Czołgiści twardego mogli wycelować znacznie dokładniej i na większy dystans niż niemieccy koledzy po fachu, a dzięki systemom nokto – i termowizyjnym niestraszne im były dymy pożarów czy noc. Pociski – te oryginalne, z przyszłości – były nieporównywalnie skuteczniejsze od nieprzyjacielskich. Zresztą także pociski wojennej roboty, choć słabsze od oryginałów, dzięki precyzyjnej konstrukcji i dużemu

kalibrowi zapewniały naszemu sprzętowi dużą przewagę siły ognia nad przeciwnikiem.

Toteż trójka naszych twardzieli szybciej skorygowała ustawienia luf i dała ognia jako pierwsza. Trzy ciężkie granaty potrzebowały małego ułamka sekundy, aby przelecieć siedemdziesiąt metrów. Wszystkie trafiły. Pierwszy tygrys zniknął w wielkiej chmurze dymu i potężnej ognistej eksplozji. Drugi dostał w wieżę. Siła energii kinetycznej wybuchu była tak wielka, że potężnie opancerzona, ważąca kilka ton wieża wyrwała się z obejm i razem ze swoim imponującym działem, a także trzema członkami załogi – czy też raczej tym, co z nich zostało – odleciała dobrych pięćdziesiąt metrów do tyłu. Dział hetzer otrzymało trafienie w pancerz boczny, o dwie trzecie cieńszy niż czołowy, toteż ciężki granat przeleciał przez pojazd na wylot, zabił dowódcę i wybuchając pięćset metrów za celem, odłupał kawał narożnika budynku przy początku ulicy Książęcej.

Trzeci, ostatni tygrys zdążył odwrócić się w naszą stronę, długa lufa przez chwilę poruszała się zgodnie z wolą celowniczego, po czym nastąpił wystrzał. Niemcy znali się na rzeczy. Czołowy twardy otrzymał czyste, ładne trafienie między włazem kierowcy a łozem lufy. Gdyby przeciwnikiem był amerykański sherman, brytyjski cromwell lub sowiecki T-34, albo nawet ciężki KW, taki strzał załatwiłby sprawę krótko i węzłowato – pancerze tych maszyn otworzyłyby się niczym puszki od sardynek poddane działaniu otwieracza. Ale twardy, jako się rzekło, pokryty był – umieszczonym na zwykłym kompozytowym pancerzu o grubości i tak dwa razy większej od pancerza tygrysa – pancerzem reaktywnym, czyli małymi ładunkami wybuchowymi, których zadaniem było rozpraszanie energii kinetycznej pocisku trafiającego w cel. Toteż niemiecki granat narobił dużo huku, załoga z pewnością boleśnie odczuła wstrząs akustyczny i być może termiczny, ale uszkodzeń nie było. Pojazd zachował właściwości bojowe.

Szybko zareagował dowódca rosomaka jadącego tuż za naszymi czołgami. Działko odezwało się kilkoma precyzyjnie odmierzanymi seriami. Trzydziestomilimetrowe pociski nie mogły co prawda przebić dziesięciu centymetrów pancernej blachy, ale celowniczy nawet nie celował w to miejsce, uznając, że szkoda amunicji. Pociski obramowały wieżę, w sekundę potrzebowały wszystkie peryskopy i urządzenia wentylacyjne. Uszkodziły też łożo armaty, po czym przeniosły się na dół, w stronę gąsienic. Z przeraźliwym, brzęczącym odgłosem pękła najpierw jedna, chwilę później druga i kolos stanął, oślepiony i bezradny. Zanim powtórnie wystrzelił któryś z czołgów, ze swojego stanowiska wychylił się operator ręcznego granatnika przeciwpancernego i z odległości nie większej niż sto metrów posłał nadkalibrowy pocisk w stronę Niemca. Błysk i huk powiedziały więcej, niż było trzeba. Tygrys zapłonął jasnym płomieniem. Zerwaliśmy się do biegu i ruszyliśmy w stronę kościoła. Po pół minucie minęliśmy go po lewej stronie, pchając przed sobą wycofujących się Niemców, jak mrówki pchają upolowanego żuka.

– Cekaem po lewej, pierwsze piętro! – wrzasnął dowódca plutonu.

– Widzę! – odkrzyknął strzelec z RPG.

Rzeczywiście, od dłuższego czasu biegliśmy w gorących strugach ołowianej ulewy, czego rozgrzani walką i ogłuszeni wszechobecną kanonadą nie zauważyliśmy. Przynajmniej ja nie zauważyłem aż do momentu, gdy biegnący obok mnie strzelec zwinął się z bólu i upadł na ziemię. Złożyłem się, ale operator granatnika był szybszy. Rakieta opuściła długą na metr rurę, rozpędziła się, rozłożyła lotki i trafiła w cel. Gdy dym opadł, na pierwszym piętrze budynku ziała wielka dziura ozdobiona strzępami balkonu zwisającego na kikutach zbrojenia.

– Z prawej Niemcy! – krzyknąłem, widząc dwunasto-, może piętnastoosobową grupę nieprzyjacielskiej piechoty, wbiegającą w bramę kamienicy, tej samej, której narożnik uszkodził przed chwilą pocisk twardego.

– Druga drużyna, oczyścić ten dom – rozkazał dowódca plutonu.

Prawa skrajna drużyna, ze mną w składzie, skręciła lekko i w chwilę po Niemcach wbiegła w bramę. Zanurzyliśmy się w półmrok. Brama, a raczej spory korytarz przechodzący przez całą głębokość frontowego budynku, miał ze dwanaście metrów długości i prowadził na obszerne podwórko obrosnięte oficynami. W środku korytarza znajdowały się wejścia do dwóch klatek schodowych. Niemcy mogli zniknąć w jednej z nich, w obu naraz lub pobiec dalej, by przez oficynę podjąć próbę wydostania się poza obręb budynku, w stronę alei Trzeciego Maja, gdzie obecnie stały kamienice mieszkalne, a po wojnie zbudowała swą siedzibę partia komunistyczna, która przez półwiecze rządziła Polską. Stamtąd mieli tylko skok do swoich, zajmujących pozycje na terenie Muzeum Narodowego.

Dowódca drużyny zawahał się, targany widać podobnymi wątpliwościami.

– Myślę, że raczej są w jednej z tych dwóch klatek. – Pokazałem na boki. – Może będą chcieli zająć stanowiska na piętrach i trzymać plac pod ogniem do czasu przybycia posiłków. Albo zwiewać strychemi.

Kapral spojrzał na mnie ostro, ale nie było czasu na dalsze dyskusje, zwłaszcza że prawdopodobnie miałem rację.

– Podzielimy się na dwie grupy – powiedział w końcu. – Ja wezmę klatkę po lewej, ty, Bocian – zwrócił się do jednego z żołnierzy, rzeczywiście długiego i chudego – zbadaj tę. – Pokazał brodą w stronę prawych drzwi.

Nie wziął mnie pod uwagę jako dowódcy grupy, co było zrozumiałe. Nie znał mnie przecież.

– Idziemy. – Bocian kiwnął głową, wciskając magazynek w łożę beryla.

Ruszyliśmy.

2.

Każdy rodzaj walki ma swoją specyfikę. Czym innym jest walka w polu, w naturalnych osłonach leśnych czy w górach. Czymś zgoła odmiennym – bój w mieście, jedynym w swoim

rodzaju tworze z całą tą płataniną ulic, piwnic i kanałów.

I budynków.

Myślę, że bój wewnątrz domu mieszkalnego, kiedy linia frontu biegnie nawet nie przez piętra czy klatki schodowe, ale poszczególne pokoje tego samego mieszkania, i na dodatek linia ta błyskawicznie się zmienia, nie zostawiając stronom chwili na oddech czy przegrupowanie sił, należy do najcięższych i wymagających najwyższych umiejętności. Uczestnicy muszą wykazać się hartem ducha, wolą walki i doświadczeniem.

Ja doświadczenia w tej materii nie miałem żadnego. Z wykształcenia jestem czołgistą, oficerem, dowódcą. Umiem dowodzić wojskiem w polu, a takie zadania jak obecne wolę zostawiać moim przyjaciółom z GROM-u.

Ale dziś napędzwały mnie wściekłość na cały świat, żal i głuchy ból. Wolą walki mogłem obdzielić dwóch ludzi. Zogniskowała się na żołnierzach przeciwnika, noszących te swoje charakterystyczne baniaste hełmy, będące dla wszystkich – łącznie ze mną, miłośnikiem wojennych filmów – symbolami przemocy. W tych warunkach nietrudno o wyzwolenie w sobie Big Banga, uczucia, które tak pomogło mi na Szucha.

Jedną z cech tego stanu jest wyostrenie wszystkich zmysłów, łącznie z szóstym. W moim wypadku szósty zmysł to mieszanka intuicji i daru jasnowidzenia.

Nim dotarliśmy do połowy pierwszego piętra, wrzasnąłem:

– Granaty! – i rzuciłem się na ziemię.

Moi towarzysze zareagowali jak na wychowanków Wojtyńskiego przystało. Wszyscy padli na schody i przeturlali się pod ścianę, zanim jeszcze wygasło echo po moim okrzyku. Trzy stalowe przedmioty zaopatrzone w charakterystyczne drewniane ręczki przeleciały obok nas, dwa metry niżej uderzyły o podłogę klatki schodowej i wybuchły jeden po drugim z ogłuszającym hukiem. Odłamki zagwizdały w powietrzu, parę odbiło się od ścian i poręczy, gryzący dym wypełnił gardło i załzawił oczy. Poderwałem się na nogi i z półobrotu, kalkulując, że Niemcy nie zdążyli wbiec wyżej niż na drugie piętro, pociągnąłem serią na wysokość drugiej kondygnacji. Jęk bólu powiadomił mnie, że przynajmniej jeden pocisk trafił, jednak szkop nie zleciał na dół, na co w duchu bardzo liczyłem. Mój oddziałek, trzymając się zewnętrznej ściany, pobiegł w górę.

Zmieniłem magazynek i ruszyłem z nimi. Gdy przebiegałem obok drzwi mieszkań na pierwszym piętrze, Big Bang dał znać o sobie po raz kolejny. Gdybym był na miejscu Niemców i ukrywał się gdzieś powyżej, zostawiłbym za drzwiami jednego z mieszkań na pierwszym piętrze ze dwóch żołnierzy, kazałbym im przeczekać, aż ścigająca mnie drużyna pobiegnie wyżej, wyjść zza drzwi i strzelać tej drużynie w plecy, ile fabryka dała. To wszystko przemknęło mi przez głowę na ułamek sekundy przed tym, nim minąłem ostatnie drzwi, ale okazało się, że było niemal za późno. Drzwi otworzyły się gwałtownie i z rykiem wypadł z nich wyższy ode mnie o pół głowy – co nie jest takie częste, zważywszy na sto dziewięćdziesiąt centymetrów prawidłowego pułkownikowskiego wzrostu – drab dzierżący w

rękach schmeissera. Nie miał czasu opuścić uniesionej, przygotowanej do strzału lufy, ja natomiast nie miałem czasu obrócić swojej ani tym bardziej złożyć się do strzału. Toteż zatrzymałem się w miejscu i zrobiłem gwałtowny wymach w tył, używając drewnianej kolby thompsona jako tarana. Celowałem, o ile można mówić o celowaniu w tych warunkach, w dołek, ale nie weszło. Szkop dostał w łokieć ręki, której palec zaciskał na spuście. Łokieć to też nie był zły cel, jak się okazało. Siła uderzenia była duża, włożyłem weń sporo serca, więc szkop zawył przeraźliwie i prawa ręka opadła mu bezwładnie. Już był mój. To znaczy, precyzyjnie rzecz ujmując, byłby mój, gdyby nie jego kolega, który również z bojowym, podszytym strachem rykiem sekundę po swoim pechowym poprzedniku wybiegł na korytarz. Mój automat nadal był odwrócony tyłem do napastników i nie bardzo mogłem go użyć zgodnie z przeznaczeniem. Drugi Niemiec zamierzał się ze mną rozprawić krótko i węzłowato, to znaczy po prostu mnie zastrzelić. Jednak moje szczęście w nieszczęściu polegało na tym, że żołnierz ów uzbrojony był w zwykły powtarzalny karabin, nieco za długi na walkę w zwarcu czy na bliski dystans. Toteż zdążyłem złapać broń za lufę, nim nacisnął spust. Wystrzał ogłuszył całą naszą trójkę, ale kula nieszkodliwie wbiła się w przeciwległą ścianę. Szarpnąłem, on szarpnął w swoją stronę, po czym zrobił klasyczną szermierczą fintę, jakby na końcu karabinu osadzony był bagniet. Bagnetu nie było, ale cios w żołądek okazał się bardzo silny. Zemdlilo mnie na ułamek sekundy i poluzowałem chwyt. Niemiec chciał wykorzystać ten czas, odskoczył i zaczął przeładowywać karabin. Kątem oka – przy nieco zamglonym z bólu spojrzeniu – dostrzegłem, jak pierwszy Niemiec, ten wyższy, lewą, nieuszkodzoną rękę podnosi, a w dłoni dzierży długi wojskowy bagniet, czyli urządzenie, którego brak u jego towarzysza ocalił mi przed chwilą życie. Nie miałem najmniejszych szans podnieść dyndającego gdzieś przy biodrze thompsona, ale w porę przypomniałem sobie o otwartej przed walką kieszeni, w której spoczywała tęponosa trzydziestkaósemka, sześciostrzałowy bębenkowiec wyprodukowany przez szacowną firmę Smith&Wesson. Jest to broń śmiertelnie skuteczna w walce na bliskie dystanse. Lewą ręką wyszarpnąłem rewolwer i bez celowania strzeliłem dwa razy w niższego szkopa, uznając go za większe zagrożenie. W niektórych okolicznościach – a ta należała do takiej kategorii – lewą ręką posługuję się równie dobrze jak prawą, więc oba strzały były celne. Niemiec poleciał w tył, a dwie dziury w jego klatce piersiowej wyglądały na takie, które definitywnie kończą sprawę. Nie patrzyłem na skutki, bo musiałem myśleć o drugim atakującym mnie żołnierzu. Odskoczyłem gwałtownie w tył i ramię z bagnietem przeleciało kilka centymetrów od mojego nosa. Uratował mnie brak doświadczenia tamtego w walce bronią białą. Gdyby uderzał szermierczym sztychem, już zbierałbym z podłogi własne flaki. Jednak postanowił zadać cios z góry na dół, do czego potrzebny jest zamach i czas, by go wykonać, nie mówiąc o tym, że ruch jest wyraźnie sygnalizowany. Tak więc znalazłem się metr od Niemca, spokojnie podniosłem broń i ponownie wystrzeliłem dwa razy. Stęknął, zgiął się wpół i z wyrazem męki na twarzy opadł na kolana. Ręce zacisnął na brzuchu, ale krew przelewała się przez tę

prowizoryczną tamę całymi strumieniami. Uderzył opadającą głową o ziemię, po czym przewrócił się na bok.

Dyszając ciężko, walcząc z oślepiającym bólem rozchodzącym się promieniście od miejsca zlokalizowanego pięć centymetrów poniżej mostka, patrzyłem na leżących u mych stóp facetów i pomyślałem sobie, że w momencie, kiedy przestanę odczuwać mdłości na widok zabitych przez siebie ludzi, nakładka z cywilizacji i wychowania na moje jestestwo, czy inaczej mówiąc – człowieczeństwo, ulegnie redukcji do zera. Na razie chciało mi się rzygać i nie było to spowodowane tylko ciosem lufy mauzera w brzuch. Dość daleko odszedłem od młodzieńczych walk bez reguł, w których startowałem beztrosko dla pieniędzy i które wtedy, dawno temu, w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, wydawały mi się ekstremalnie niebezpieczne i wymagające ‘twardości ducha i ciała.

Co nie zmienia faktu, że czułem – oprócz obrzydzenia własnym barbarzyństwem – niechęć satysfakcję z załatwienia w bezpośredniej walce dwóch uzbrojonych żołnierzy Wehrmachtu.

Z góry dobiegły strzały, które szybko przerodziły się w gwałtowną, kilkunastosekundową nawałnicę. Moi towarzysze zwarli się z resztą nieprzyjacielskiego oddziału. Huknął granat, a zaraz po nim następny. Z góry posypał się tynk.

Ostrożnie, przyklejony do ściany, wszedłem na stopnie. Automat dzierżyłem w rękach pewnie, chociaż brzuch ćmił jeszcze. Zadarłem głowę i czujnie obserwowałem wyłaniający się zza zakrętu podest drugiego piętra. Na szczycie schodów leżał, odziany w piaskowy, pustynny mundur, trup żołnierza ze zmasakrowaną twarzą. Tuż za nim, niemal opierając się głową o ramię towarzysza – następny. Bocian, dowódca sekcji.

Na piętrze tym znajdowały się trzy mieszkania. Drzwi do dwóch z nich zamknięte były na głucho, do trzeciego wyrwane wybuchem i odrzucone na bok. Reszta żołnierzy z mojego oddziałku stała pod ścianą z bladymi, ściągniętymi twarzami, flankując wejście do mieszkania. Trwała chwilowa przerwa w wymianie ognia. Na progu leżały zwłoki niemieckiego żołnierza. Nie było widać, co się dzieje w środku. Schody na trzecie piętro niknęły w półmroku.

Stało tam pięciu żołnierzy. Byli świetnie wyszkoleni, ale wahali się, co czynić dalej. Niemcy, schowani w głębi lokalu, mieli z pewnością dobry widok na wejście i mogli je z powodzeniem trzymać pod ogniem. Każda próba frontalnego ataku skończy się masakrą.

Pat.

Na migi pokazałem jednemu z żołnierzy, aby poszedł za mną. Odbezpieczyłem granat i odliczywszy do dwóch, rzuciłem w stronę holu wejściowego. Wybuch zaczepnego blaszaka jeszcze nie wybrzmiał, gdy skoczyłem i jednym susem przesadziłem światło drzwi. Droga na trzecie piętro stała otworem.

– Za pół minuty rzucicie następny granat i otworzycie ogień – szepnąłem do stojącego najbliższej żołnierza. – Jak usłyszycie wybuchy z drugiej strony mieszkania, wrzucicie kilka

obronnych i atakujcie. Głowy nisko, strzelacie gęsto. Uważajcie, żeby nas nie trafić. Wejdziemy do mieszkania od drugiej strony.

Skinął głową, ale nie byłem do końca pewien, czy mnie zrozumiał.

Wezwany szeregowy poszedł posłusznie w ślad za mną na górę. Ostrożnie wychyliłem głowę zza rogu i z ulgą stwierdziłem, że na trzecim piętrze nie ma nikogo. Układ mieszkań był taki sam jak piętro niżej. Oczekałem umówione pół minuty i kiedy na dole wybuchła zaordynowana strzelanina, posłałem krótką serię po zamkach w drzwiach mieszkania znajdującego się dokładnie nad fortem Niemców. Zamki były solidne, przedwojenne, ale puściły, gdy zostały brutalnie potraktowane jedenastomilimetroowymi pociskami. Wskoczyłem do środka z bronią gotową do strzału i przebiegłem przez przedpokój. Drzwi naprzeciwko prowadziły do pokoju dziennego. Trafiłem dobrze – ściana wychodząca na ulicę Książęcą ozdobiona była obszernymi drzwiami balkonowymi, prowadzącymi zgodnie ze swoim przeznaczeniem na balkon. Nie miałem czasu rozglądać się po otoczeniu, nawet nie wiem, czy w mieszkaniu ktoś był. Być może domownicy siedzieli skuleni gdzieś za szafą w najbardziej odległym pokoju, ale nie miałem czasu tego sprawdzać.

– Zaatakujemy od góry – powiedziałem do mojego towarzysza, wychylając się ostrożnie. Widziałem stąd górny fragment żelaznej barierki okalającej balkon poniżej. Odległość wynosiła przeszło trzy metry. Raczej bliżej czterech. Stare dobre przedwojenne budownictwo.

– Rzucimy granaty w okna. Mocno, żeby wpadły do środka. Spróbuję skoczyć na tamten balkon.

– Spróbuj pan? Jak? Jest za wysoko! – zaprotestował.

– Drobiazg. – Uśmiechnąłem się, aby dodać mu otuchy, choć sam najbardziej jej potrzebowałem. – Nie skacz za mną. Leć na dół pomóc kolegom. I uważajcie, żeby mnie nie postrzelić.

Przełknął głośno ślinę, zadowolony, że wyznaczyłem mu stosunkowo bezpieczną rolę. Po chwili jednak szepnął:

– Idę z panem.

Przewiesiłem thompsona przez plecy i upewniłem się, że ma pełny magazynek. Odpiąłem kaburę USP. Przeszedłem przez barierkę, starając się nie patrzeć na znajdujący się dobrych osiem metrów niżej bruk Książęcej. Jedną ręką mocno uchwyciłem barierkę i odwróciłem się tyłem do ulicy, drugą odpiąłem zawieszony przy pasie ciężki obronny granat. Akowiec poszedł w moje ślady, więc po chwili obaj wisieliśmy nad Książęcą niczym szympansy w zoo. Ponieważ w dole nadal trwała gwałtowna walka, należało przypuszczać, że plac Trzech Krzyży nie znajduje się jeszcze całkowicie w polskich rękach. Stanowiliśmy zatem doskonały cel nie tylko dla strzelców wyborowych, ale nawet dla byle nierozgamiętego gemajna z szybkostrzelną maszynką w rękach, który podniesie głowę odrobinę powyżej parteru.

Zębami wyciągnąłem zawleczkę. Zamknąłem oczy na ułamek sekundy, aby wszystko jeszcze raz starannie przemyśleć. Niestety, nie rysowała mi się w myślach żadna rozsądna

alternatywa, więc odetchnąłem głęboko, maksymalnie opuściłem się w dół, zginając kolana bardziej, niż to wydawało się możliwe, i rzuciłem. Nie widziałem dokładnie celu, rzut był wykonany na wycucie. Ryzykowałem, że granat uderzy w ścianę domu lub w barierę i narobi więcej szkody nam niż Niemcom.

Mój towarzysz z niewielkim opóźnieniem powtórzył moje manewry.

Podwójny brzęk stłuczonej szyby poinformował nas, że oba rzuty okazały się celne. Przytuliłem się do barierki, kiedy eksplozje, nieco przytłumione przez grube ściany budynku, targnęły powietrzem. Przez wybite okna wyleciała przedziwna mieszanina szkła, szczątków mebli, dymu i odłamków. Idące w ślad za nimi wrzaski rannych Niemców pozwalały sądzić, że atak jest przynajmniej w jakiejś części skuteczny. W głębi mieszkania rozgorzała gwałtowana kanonada, najwyraźniej reszta mojego oddziału realizowała założenia taktyczne ataku. Opuściłem się na rękach, rozbijałem nogi i skoczyłem. Przez pełne grozy pół sekundy leciałem w powietrzu, modląc się w duchu o celne – o miękkim nie marzyłem – lądowaniu. Życzenie to zostało częściowo spełnione. Stopy wylądowały na balkonie, reszta dolnych kończyn dostosowała się do tej lokalizacji, czego nie można powiedzieć o lędźwiowym odcinku kręgosłupa, który, choć ochronnie wygięty, z pełną mocą uderzył w poręcz. Pozostała część tułowia, wykorzystując końcówkę energii kinetycznej skoku, poleciała na betonową podłogę balkonu. Z trwogą nasłuchiwałem trzasku kręgów, co definitywnie zakończyłoby moje powstańcze przygody, z pewnością bowiem sparaliżowany i bezbronny nie dotrwałbym nawet do dzisiejszego wieczora. Ból, choć dojmujący i przenikliwy, był jednak w jakimś stopniu optymistyczny. Czułem go, a więc zachowałem możliwość odczuwania w ogóle, skąd wyciągnąłem błyskotliwy wniosek, że na paraliż dolnej części ciała przyjdzie mi jeszcze poczekać.

Mój towarzysz wylądował znacznie lepiej ode mnie. Był o połowę młodszy i być może bardziej zaprawiony w tego typu akrobatyce. Szybko wstał, wsadził lufę beryla w okno i pociągnął sprawiedliwym kolistym ruchem po wnętrzu pokoju. Ja w tym czasie walczyłem z mdłościami. Chwiejnie podniosłem się na nogi, co, jak sędzę, zajęło mi jakieś pół roku. Gdy zajrzałem do środka mieszkania, bitwa wyglądała na zakończoną. Dwóch Niemców, rannych, ogłuszonych i zdezorientowanych, stało pośrodku zrujnowanego pokoju z rękami do góry, a żołnierze z mojego oddziału obszukiwali ich z satysfakcją na umorusanych twarzach. Mieszkanie, nawet w pięć lat po przegranej kampanii jesiennej noszące znamiona przedwojennego luksusu i zamożności, wyglądało na kompletnie zrujnowane. Bogato inkrustowane, zabytkowe meble walały się po podłodze w postaci połupanych szczątków. Parkiet był w kilku miejscach rozerwany wybuchami, ściany ozdobione ospowatymi dziurami po kulach. Na korytarzu, w salonie i w kuchni leżało kilkanaście zwłok, ze zdecydowaną przewagą tych w mundurach feldgrau.

Żołnierze z niewygasłym jeszcze żarem bitewnym w oczach kręcili się po mieszkaniu, zbierali broń i amunicję i opowiadali sobie wzajemnie o wojennych przewagach. Nagle

jedyne ocalałe drzwi otworzyły się i ostrożnie, z wahaniem wyszło z sąsiedniego pokoju kilkoro ludzi: facet mniej więcej w moim wieku, młodsza od niego o kilka lat kobieta, pewnie żona, i dwoje dzieci, jedenasto – i czternastoletnie. Cała czwórka była zielona ze strachu, ale próbowała nadrobić miną. Miałem więc okazję zetknąć się z mieszkańcami Warszawy, cywilnymi świadkami polsko-niemieckiej wojny, której fragment na dodatek odbył się w ich własnym gniazdku. Myślałem, że rzucą się na nas z pięściami za zniszczenie mieszkania, nie mówiąc o całkiem realnej groźbie trafienia przypadkową kulą, ale gdzie tam. Faktycznie facet rzucił się na mnie, ale głównie po to, aby mnie całować i ścisnąć, czym wywołał zresztą kolejny paroksyzm bólu niesfornego kręgosłupa.

– Dziękuję, dziękuję – powtarzał w kółko jak nakręcony. – Tyle lat czekaliśmy! Polskie wojsko. Pięć lat! Aż miło patrzeć, jak im kota pogoniliście. Brawo.

Te zachwyty nie wydały mi się na miejscu w kontekście ogólnej demolki i kilkunastu trupów zalegających podłogę, ale do zaskoczeń czekających mnie w Warszawie w czasie letnich dni roku czterdziestego czwartego musiałem się chyba przyzwyczaić. Moja wiedza o mieszkańcach tego pięknego miasta i mechanizmach rządzących ich reakcjami nie była wielka, ale robiłem postępy.

3.

Walka na placu Trzech Krzyży powoli wygasła i przeniosła się nieco dalej na północ, w okolice Alej Jerozolimskich. Gdy stękając i trzymając się mocno poręczy zszedłem na parter, znalazłem się w tłumie rozradowanych ludzi, mieszkańców kilku okolicznych domów. Panował nastrój wesołego festynu, ludzie poklepywali się po plecach, krzyczeli głośno i wiwatowali na cześć zwycięskich sił powstańczych. Mężczyźni fachowymi głosami wymieniali uwagi na tematy wojskowe, kobiety interesowały się sprawami bardziej praktycznymi: czy nie jesteśmy głodni, spragnieni lub czy nie potrzebujemy jakiejś innej pomocy. Mnie te reakcje wydawały się przesadzone, ale akowscy koledzy w pełni dzielali entuzjazm cywili. Poganiani okrzykami zniecierpliwionego dowódcy plutonu niby wymigiwali się od poczęstunku, niby nie zwracali uwagi na zaczepki męskiej części członków tej małej, lokalnej społeczności, ale dało się dostrzec gołym okiem, że całe to zainteresowanie sprawiało im radość. Najwyraźniej nie doceniałem siły entuzjazmu i chęci dokopania Niemcom wyhodowanych w duszach tych ludzi przez pięć długich lat okupacji.

Po chwili jednak dowódca plutonu – jedyny w tym gronie, oprócz mnie, weteran Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego, a przy tym GROM-owiec – zarządził definitywny koniec krótkiego antraktu w działaniach wojennych i dwójkami ruszyliśmy w stronę odbitej barykady. Odcinek Nowego Świata między placem Trzech Krzyży a Alejami Jerozolimskimi jest krótki, liczy zaledwie dwieście metrów, więc marsz nie

zajął dużo czasu i nawet dla takiego rannego inwalidy jak ja nie stanowił zadania nie do wykonania. Wylot ulicy krzyżującej się w tym miejscu z Alejami Jerozolimskimi z lewej strony flankowany jest potężnym, czteropiętrowym gmachem Banku Gospodarstwa Krajowego, tego samego, w którym w moich czasach mieściła się Polska Agencja Prasowa. W miejscu zaś dawnej siedziby partii komunistycznej obecnie (to jest w czterdziestym czwartym, rzecz jasna) stało kilka solidnych, w swoim czasie eleganckich i zamożnych, kamienic.

Gdy się chce bronić południowej pierzei Alej Jerozolimskich przed atakiem z północy, zwłaszcza prowadzonym wzdłuż osi Nowego Świata, siedziba BGK stanowić będzie kluczowy bastion obrony. Wojtyński oczywiście zdawał sobie z tego sprawę, toteż w celu odbicia budynku z rąk Niemców rzucił w bój całą kompanię Orzeł 1. W walkach tego typu malała nieco nasza przewaga w uzbrojeniu – schmeissery tak samo dobrze zabijają na krótki dystans jak beryle, a RPG nie bardzo da się używać w zamkniętych pomieszczeniach – natomiast górę wzięło zaawansowane wyszkolenie. GROM jest jednostką specjalnie stworzoną do walki w takich warunkach – w ciasnych pomieszczeniach, o nieznanej topografii, w ciemności. Atakował małymi, trzy-, czteroosobowymi zespołami, które rzucały granaty i wykurzały obrońców pokój po pokoju, piętro po piętrze, aż znalazły się na ostatniej kondygnacji. Zdesperowani Niemcy, widząc, że Polacy nie biorą jeńców („to tylko zbędne obciążenie” – stwierdził Wojtyński przed walką), ewakuowali się na dach, licząc na ucieczkę tą drogą poprzez sąsiednie kamienice. Ale nic z tego – trzeci pluton kompanii Orzeł 2, który posuwał się ulicą Bracką i wypchnął Niemców poza Aleje Jerozolimskie, jedną z sekcji posłał na dach narożnej kamienicy, mając na uwadze doskonały punkt obserwacyjny i możliwość prowadzenia ognia w różnych kierunkach. Żołnierze wtaszczyli na górę karabin maszynowy PK, trzy tysiące sztuk amunicji i czekali. Pojawienie się nieprzyjaciela na dachu BGK, budynku oddalonego o pół strzału ze schmeissera, przyjęli bez zdziwienia, byli bowiem o tym uprzedzeni przez radio.

Karabin maszynowy otworzył ogień, zaczęli także strzelać pozostali żołnierze posterunku, dokładnie schowani za kominami. Z tej odległości ostrzał okazał się morderczy – resztki niemieckiej załogi zostały zlikwidowane w ciągu minuty. Część w całkiem widowiskowym stylu spadła na uliczny bruk cztery piętra niżej.

W ten sposób polski stan posiadania powrócił do status quo sprzed kilku godzin. Barykada wzniesiona w nocy przez żołnierzy AK, którzy obsadzali ten rejon, i zniszczona rano przez niemiecki szturm, była intensywnie odbudowywana. Wojtyński spodziewał się kontrataku, toteż na razie nie wycofywał swoich sił z tego rejonu, chociaż minęła już godzina, kiedy powinniśmy wyruszać na Mokotów, a stamtąd w stronę lotniska. Czołgi i reszta broni pancernej zostały na placu Trzech Krzyży, ukryte w cieniu jednego z podwórek.

Ból brzucha pomału ustępował, kręgosłup też z akordu przeszedł na dniówkę, więc w miarę swoich skromnych możliwości włączyłem się do pracy. Budulec barykady nie był zbyt

wyrafinowany – płyty chodnikowe, meble, worki z piaskiem, ziemia, a wszystko to oparte na przewróconym na bok tramwaju. Starannie zaplanowano otwory strzelnicze, osłonięte workami z piaskiem czy betonowymi płytami. Niebawem budowla sięgnęła wysokości pierwszego piętra.

Centralnym punktem ogniowym zostały wielkokalibrowy karabin maszynowy oraz granatnik RPG. Obsadę barykady stanowił pluton, którego członkiem się stałem godzinę temu, oraz reszta z pierwotnej akowskiej załogi, liczącej w tej chwili około dwudziestu ludzi, uzbrojonych dostatnio w zdobyczną broń. Mimo to nie sposób było nie zauważyć pełnych zazdrości spojrzeń na ludzi Wojtyńskiego. Przy pstrokato ubranych i pstrokato uzbrojonych powstańcach żołnierze Batalionu Uderzeniowego wyglądali na przybyszów z kosmosu. Co oczywiście w niczym nie zmieniało faktu, iż jedni i drudzy rwali się do walki prowadzonej z zacięłością i odwagą, wręcz brawurowo.

Półtorej godziny od rozpoczęcia bitwy linia obrony ciągnęła się wzdłuż Alej Jerozolimskich, od ulicy Brackiej, poprzez obsadzony przez drugi pluton z ciężką bronią piechoty budynek BGK, naszą barykadę i kamienice po prawej. W tym miejscu polski stan posiadania się kończył. Niemcy trzymali twardo znajdujący się nieco dalej kompleks Muzeum Narodowego i wlot na wiadukt mostu Poniatowskiego. Wojtyński uzgodnił z miejscowym dowódcą AK, że cele te będą zdobywane w następnej kolejności, po zapadnięciu zmroku.

– Aż oczy bolą patrzeć, jak się pan poświęca dla naszego klubu „Tęcza” – usłyszałem znajomy cytat. Wieteska był największym ze znanych mi miłośników twórczości Stanisława Barei. Znał jego filmy na pamięć. – To mówiłem ja, Jarząbek.

Musiałem podnieść wzrok, ponieważ od dłuższej chwili siedziałem oparty plecami o barykadę, zmęczony, kontuzjowany i pogrążony w zadumie. Wieteska i Kurcewicz stali przede mną pod słońce, więc nie widziałem ich zbyt wyraźnie.

– Witajcie – mruknąłem. – Cieszę się, że żyjecie.

– My też się cieszymy – zapewnił kapitan – chociaż paru szkopów chciało nas ustrzelić. Prawda, Wojteczku?

Kurcewicz skinął głową.

– Jak się czujesz? – zapytał. Pytanie było zdawkowe, ale troska najzupełniej szczerą.

– Źle – odparłem.

– Można ci jakoś pomóc?

– Pewnie można. – Wzruszyłem ramionami. – Tylko nie wiem jak.

W normalnych warunkach nie przyjęliby tej gburowatej odpowiedzi bez stosownej riposty, ale na razie byłem pod specjalną ochroną.

– Normalne jatki, mówię ci. – Wieteska był jeszcze rozgrzany walką. – Wojtyński tak ludzi prowadzi, że aż przyjemnie popatrzeć. Palant to on jest, ale na robocie się zna. Wykurzył Niemców, ani się zdążyli obejrzyć. I jeńców nie kazał brać, tylko najwyższej

oficerów.

– Wiem. – Pomyślałem o stosach zastrzelonych żołnierzy. Nie było to zgodne ani z konwencją genewską, ani z polską tradycją wojskową, ale gdy przypomniałem sobie, co w powstaniu wyprawiali Niemcy z naszymi jeńcami, byłem w stanie zrozumieć decyzję majora. Po prostu chciał wygrać bitwę i w maksymalnym stopniu ochronić swoich żołnierzy i ludność cywilną, więc stosował wszelkie dostępne środki, łącznie z tymi najbardziej bezwzględными.

– Co dalej?

– Podobno spodziewamy się ataku – wtrącił Kurcewicz.

– To dlaczego Wojtyński kazał wycofać czołgi? – zapytałem.

Wojtek wzruszył ramionami.

– Trzyma je jako odwód. Uważa, że odeprzemy atak siłami piechoty.

– Możliwe, o ile tamci nie podciągną artylerii.

– A dlaczego nie mieliby podciągnąć? – zainteresował się Wieteska.

– No właśnie, dlaczego?

Wszyscy zamyśliliśmy się.

– Niemcy trzymają most Poniatowskiego i Muzeum Narodowe. Mają dostatecznie dużo miejsca, aby z Pragi ściągnąć posiłki, a tam jest sporo jednostek frontowych, o ile pamiętam, łącznie z dywizją pancerną. Jak nam w skrzydło wejdzie boczne natarcie, to się ze śmiechu nie pozbieramy. – Z ulgą skonstatowałem, że bieżące zagadnienia taktyczne, nie mówiąc o samej walce, odciągają moje myśli od Nancy. Było to błogosławieństwem.

– No, pewnie nasz kochany major trzyma korpus pancerny na taką właśnie okazję – zauważył Wojtek i nawet się przy tym krzywo uśmiechnął.

Korpus! Trzy czołgi!

– Jasne – przytaknąłem. – Jak stoimy z amunicją?

– Pełna jednostka ognia w wozach, druga na ciężarówkach w parku Ujazdowskim. Plus setka naboju na trzy czołgi. Do rosomaków sporo, do kaemów i RPG też jeszcze sporo. Nawet zostało część tej oryginalnej amunicji, z naszych czasów.

– To dobrze – mruknąłem. – Umrzemy, broniąc się do ostatniego oryginalnego naboju.

Wymienili niepewne spojrzenia, bo powiedziałem to śmiertelnie poważnie.

– A coś ty taki pesymista? – zapytał Wieteska ostrożnie, bez zwykłej zaczepki.

– Pesymista? Nie.

Znowu zerknęli na siebie nawzajem i postanowili zmienić temat.

– Rozmawiałeś z Galasiem?

– Tak. Ustaliłem parę rzeczy.

– Dowiemy się czegoś?

– Jasne. Później. Teraz możemy zginać, to po co mam strzepić język na próżno?

4.

Niemieckie natarcie rozpoczęło się punktualnie o godzinie trzynastej i poprzedzone zostało dwudziestominutową uwerturą artyleryjską. Działa ulokowano na moście Poniatowskiego, strzelały zatem ogniem skośnym i skoncentrowały się raczej na prawym skrzydle naszej obrony, czyli kamienicach zlokalizowanych najbliżej Muzeum Narodowego. Z okolic placu Piłsudskiego natomiast otrzymaliśmy silny ogień moździerzowy i ten obdzielał wszystkich po równo: obrońców barykady, gmachu BGK i wylotu Brackiej, a czasem przenosił aż na plac Trzech Krzyży. Z domów naprzeciwko, z drugiej strony Alej Jerozolimskich, rozdarł się zapierający dech w piersiach ogień karabinów maszynowych. Wrażenie było takie, jakby z każdego okna strzelała jedna lufa. Może zresztą nie było to tylko wrażenie.

Zgodnie z rozkazem Wojtyńskiego wszyscy obrońcy mieli przeczekać ostrzał w bramach budynków i w głębokim rowie wykopanym w poprzek Nowego Światu. Moździerzowe pociski padały gęsto, odłamki latały na wszystkie strony niczym chmary odlatującego do ciepłych krajów ptactwa. Moździerz jest, jak wiadomo, bronią stromotorową, więc pociski często gęsto padały tuż za naszą barykadą i zaczęły powodować pierwsze straty.

W niemieckim scenariuszu bitwy było jeszcze miejsce na małą niespodziankę, pomimo huku wybuchów usłyszeliśmy bowiem mruczenie silników lotniczych. Gdy podniosłem głowę, widziałem tylko potężną ścianę gmachu BGK, ale wyraźnie dało się już usłyszeć, że od południa, od strony Okęcia, zmierza w naszą stronę co najmniej pięć, być może nawet sześć maszyn.

Wojtyński oczywiście tego nie przeoczył. Rozkazał załodze szyłki wyjechać na środek placu Trzech Krzyży, skąd mogła zapewnić sobie optymalne w tych warunkach pole ostrzału i obserwacji. Radar zestawu miał zasięg czterdziestu kilometrów, w tym wypadku więcej niż wystarczająco, ponieważ odległość od niemieckiej bazy na Okęciu wynosiła najwyżej dwanaście kilometrów w linii prostej. Tak więc operator od razu po uruchomieniu radaru zobaczył Niemców na ekranie i miał sporo czasu, aby wprowadzić do komputera wszystkie potrzebne dane. Prowadnice rakiet GROM przymocowane po bokach wieży obróciły się zgodnie z elektronicznymi rozkazami. Dowódca wydał rozkaz, rozległ się przeciągły świst, po czym czterech skrzydlatych wysłanników złych nowin w sekundowych odstępach opuściło wyrzutnie i pomknęło ku wyznaczonym celom. Po kilku sekundach pogodne, choć zasnućte dymami pożarów niebo nad Warszawą rozjaśniły eksplozje – trzy pierwsze stukasy trafione zostały bezbłędnie. Ich szczątki, niczym płonące żagwie, spadły mniej więcej na wysokości skrzyżowania Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej, wzbudzając pożary i zawałając ścianę jednego z domów. Czwarta rakietka niestety sfiksowała, sto metrów przed celem zmieniła kierunek lotu, zakreśliła na niebie obszerny łuk i nieszkodliwie eksplodowała na terenie Filtrów.

Pozostała trójka pilotów zupełnie straciła pewność siebie, zaskoczona gwałtownością i

precyzją napadu. Ale dyscyplina w armii niemieckiej była rzeczą świętą, więc choć dowódca eskadry zginął w pierwszym samolocie, pozostała trójka po chwilowym wahaniu kontynuowała zadanie. Aby zaatakować nasze pozycje z lotu nurkowego, musieli poderwać maszyny i nabrać nieco wysokości, opuszczając poziom dachów. Na to tylko czekał dowódca szyłki. Gdy pierwszy Niemiec ukazał się nad dachami domów na wysokości Kruczej, poczwórnie sprzężone działko odezwało się krótką serią. Cztery rzędy świetlistych pocisków obramowały samolot, wgryzając się w kadłub i kabinę pilotów. Stukas nie był jakąś mocarnie opancerzoną konstrukcją, więc poddał się po pierwszym ciosie. Siła eksplodujących pocisków była wystarczająca, aby w sekundę zamienić samolot w bezużyteczny, płonący złom, który z hukiem rozbił się na środku Alej Jerozolimskich.

Sądzę, że piloci nie mieli nawet czasu zmówić przed śmiercią krótkiej modlitwy.

Pozostali dwaj lotnicy podjęli jednomyślną decyzję o rezygnacji z dalszego ataku. Obie maszyny gwałtownie obniżyły lot, zawróciły w ciasnej pętli i na odkręconym do maksimum gazie pognały z powrotem, po drodze zwalniając bomby.

Z nalotu wyszliśmy obronną ręką.

Nie było jednak czasu na rozpamiętywanie tego radosnego faktu, ponieważ dokładnie w tym momencie z kilku stron ruszyło starannie skoordynowane natarcie.

Pierwsza grupa czołgów wsparta piechotą posuwała się wiaduktem od mostu Poniatowskiego, wzdłuż osi przechodzącej przed naszym frontem, z zadaniem zaatakowania i zniszczenia prawego skrzydła obrony. Jednocześnie z tym samym zadaniem wypadła z kompleksu Muzeum Narodowego silna grupa szturmowa.

Z lewego skrzydła, z okolic ulicy Szpitalnej, wyszło silne natarcie dwóch kompanii piechoty wspartej przez działa szturmowe i pluton saperów z miotaczami ognia.

Jednak główne uderzenie posuwało się wzdłuż Nowego Światu i skierowane było wprost na barykadę. Już z daleka, pomimo ostrzału i huku wybuchów, dosłyszałem warkot silników czołgowych.

Ogień artyleryjski ustał jak ucięty nożem, ale w tę lukę natychmiast wdarł się ostrzał z broni maszynowej, prowadzony z domów ulokowanych przy ulicy Smolnej i w Alejach Jerozolimskich.

Załoga barykady opuściła względnie bezpieczny okop i zajęła stanowiska bojowe. Ulokowałem się z prawej strony, przy strzelnicy znajdującej się jakieś dwa metry nad ziemią, niedaleko wierzchołka barykady.

Szmer poszedł wśród obrońców.

Jednocześnie poprzez strzelaninę i warkot silników dosłyszałem gwar głosów ludzkich. A właściwie nie gwar, ale lament.

Kobiece głosy.

Wyjrzałem przez ambrazurę i zamarłem. Z głębi Nowego Światu parła stalowa armada poprzedzona wałem złożonym z kobiet i dzieci. Co najmniej pięćdziesiąt, może

siedemdziesiąt osób biegło tuż przed czołowymi pojazdami, krzycząc wniebogłosy i unosząc ręce. Była to żywa zasłona mająca na celu ochronę czołgów przed ostrzałem.

Czytałem o tym kiedyś i przyznam – nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, choć nie narzekam na brak wyobraźni. Ręce zaczęły mi drżeć jak w napadzie febry, żołądek przeciskał się przez gardło. Lodowaty pot ciurkiem spływał wzdłuż kręgosłupa.

Kobiety były w różnym wieku. Te młodsze trzymały za ręce lub tuliły w ramionach dzieci, wśród których nie brakowało dwu – i trzyletnich malców. Na małych i dużych twarzach dostrzegłem łzy. Dzieci potykały się i były czym prędzej podnoszone przez przerażone matki, które słysząc tuż za plecami klekot gąsienic pięćdziesięciotonowych kolosów, jedyny, choć nader względny ratunek upatrywały w szaleńczym biegu wprost pod nasze lufy.

Dylemat był następujący: jeżeli otworzymy ogień, zmasakrujemy kilkadziesiąt cywilnych osób, Polki i Polaków, naszą krew z krwi; jeżeli tego nie zrobimy, Niemcy zdobędą barykadę, wedrą się na plac Trzech Krzyży i posuwając się dalej, nie napotkają większego oporu, po czym odbiją dzielnicę policyjną. Cały wczorajszy i nocny wysiłek pójdzie na marne, plan polegający na oczyszczaniu z nieprzyjaciela kolejnych strategicznych rejonów weźmie w łeb.

Kłęczący obok mnie żołnierz, może szesnastoletni, w niemieckim hełmie opadającym na oczy i bryczesach, odstawił mauzera, przeżegnał się, po czym zwymiotował głośno, zarówno przed, jak i po tej operacji kolorem twarzy przypominając śnieżnobiałą elewację kamienicy po prawej.

Spojrzał na mnie zawstydzony, nie wiedząc, że z największą chęcią poszedłbym w jego ślady.

– Ogień na mój rozkaz – usłyszałem za plecami.

Wojtyński. Człowiek, który zawsze zjawia się wtedy, gdy jest najbardziej potrzebny.

– Snajperzy do przodu – spokojnie zakomenderował w mikrofon krótkofalówki, jakby to były manewry. – Strzelcy RPG i granatników pallad, zlikwidować stanowiska kaemów naprzeciwko.

Obok mnie precyzyjnie się facieł w czarnym mundurze, dzierżący w rękach wielkokalibrowy karabin snajperski Barrett. Podczołgał się w górę, zajął miejsce przy szczytowym otworze strzeleckim i niespiesznie rozłożył dwunóg, na którym opiera się ta ciężka broń. Obok położył kilka wyjętych z ładownic magazynków, po czym zastygł w bezruchu.

Odwróciłem się.

– Będzie pan strzelał? – zapytał Wojtyńskiego.

– Po kolei. Najpierw kaemy, bo nam utrudniają życie. Potem dowódcy atakującej piechoty. Potem czołgi – odparł.

– A... ci ludzie?

– Postaramy się ich ochronić.

– Postaramy się? – zapytałem nieco głośniejszym głosem niż zamierzałem. Właściwie wrzeszczałem jak opętany.

– Zrobimy, co w naszej mocy. Nie twierdzę, że wszystkich ocalimy.

– To pocieszające. Zwłaszcza dla tych, którym się nie uda.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– A co pan by zaproponował?

Rzuciłem z wściekłością hełm na ziemię.

– Kurwa mać. Co za pierdolona wojna!!!

Rozglądałem się dookoła dzikim wzrokiem, nie widząc ścian domów, ognia wybuchów ani mojego rozmówcy.

Schylił się i podniósł turlającą się po ziemi część wyposażenia.

– Otóż to. Zawsze trzeba bilansować zyski i straty. Niech pan założy. – Podał mi hełm. – Może się okazać, że uratuje panu życie.

Rozwój akcji nie pozwolił na dalszą konwersację, więc na razie na tym poprzestaliśmy.

5.

Pierwszy zagrał strzelec RPG ukryty na dachu BGK. Zlustrował okolicę przez peryskop – Wojtyński zadbał i o takie szczegóły wyposażenia swoich żołnierzy – wybrał cel, wychylił się i strzelił. Odległość wynosiła najwyżej trzydzieści metrów, dla granatnika mniej niż nic, więc niemal równocześnie ze strzałem potężna eksplozja wstrząsnęła okolicą. Nieprzyjacielski kaem wyparował, wskutek eksplozji zamilkły także sąsiednie stanowiska. Po tym krótkim preludium nastąpiło szybkie i głośnie opus magnum. Kilkunastu operatorów granatników wypuściło swoich, mniej czy bardziej celnych, posłańców śmierci. Gdy do walki włączyły się nasze karabiny maszynowe, z wielkokalibrowymi ciężkimi maszynkami PKYTD na czele, wrogi ogień przygasł gwałtownie. Strzelcy RPG w liczbie trzech, zaczajeni na dachu BGK, a także na wyższych kondygnacjach tegoż gmaszyska, powiadomieni przez radio wstrzymali ogień, załadowali oryginalną amunicję kumulacyjną i czekali.

Snajper zaczajony tuż nade mną wystrzelił po raz pierwszy. Od pewnego czasu obserwowałem przedpole przez lornetkę, więc wyraźnie dostrzegłem, jak ciężki pocisk, przelatując nad głowami wyjących wniebogłosy zakładników, rozbija w drobny mak peryskop obserwacyjny dowódcy pierwszego czołgu. Chwilę potem, trafiony drugim strzałem, z rozłupaną na pół czaszką padł na bruk biegnący obok czołgu sierżant.

Kawalkada, nękana pojedynczymi, starannie mierzonymi strzałami, dotarła w końcu do skrzyżowania i na ten właśnie moment czekał Wojtyński.

Nie na darmo kazał dusić nieprzyjacielskie kaemy strzelające z kamienic naprzeciwno. Nie na darmo jego ludzie skoncentrowali się na załodze tych domów, niejako ignorując

główne uderzenie. Gdy pancerna armada poprzedzana zakładnikami dotarła do północnego brzegu Alej Jerozolimskich, Wojtyński wskoczył na szczyt barykady, przytknął do ust zorganizowany naprędce kawał blachy zwinięty w kształt tuby i głosem wzmocnionym przez ten improwizowany środek amplifikacyjny, krzyknął co sił:

– Na boki!!! Uciekajcie na boki!!! Kobiety!!! Na bok!!!

Pomimo huku i trzasku broni maszynowej jego głos zdawał się dominować nad okolicą, bezwzględnie wypierać na długie sekundy bitewny zgiełk.

Komenda zaskoczyła zarówno zakładników, jak i Niemców. Ci ostatni, poszczerbieni już przez snajperów, zareagowali ospale, natomiast niektóre z kobiet, te odważniejsze i wykazujące więcej silnej woli, rozpierchły się na boki, osłaniane gęstym ogniem żołnierzy kompanii Orzeł 2. Część, niestety nieświadoma gwałtownego zwrotu akcji, biegła co sił na wprost, w kierunku barykady. Nawet najszybszy sprint nie był w stanie ich uratować wśród rozgrywających się z szybkością błyskawicy wydarzeń.

Strzelec RPG ulokowany na dachu budynku BGK, wychylony ryzykownie zza komina, wycelował starannie, wkładając w tę czynność cały swój kunszt poparty wieloletnim szkoleniem. Każda pomyłka mogła kosztować życie zakładników. Krótka rura błysnęła ogniem i pierzasty zabójca pomknął w stronę pancernego kolosa. Wybuch był silny, rakietą trafiła nieco z boku, w spojenie wieży z kadłubem. Czołg zadymił i zatrzymał się. Pożar rozprzestrzenił się błyskawicznie. Czołgi i piechota, znajdujące się o pół kroku za liderem, otworzyły ogień.

– Padnij!!! – ryknął Wojtyński w stronę biegnących kobiet. Niepomny niebezpieczeństwa, przez cały czas obserwował rozwój wydarzeń z korony barykady. – Na ziemię!!!

Ogłuszeni, dezorientowani i oszaleli ze strachu zakładnicy najwyraźniej nie byli w stanie zrozumieć polecenia, bo co sił biegli do przodu. Niemieckie serie skosiły kilka osób, które z jękiem upadły na ziemię. W moich oczach już na zawsze pozostanie obraz małego chłopca, sześciolatek najwyżej, odzianego w wyświechtany płaszcz, który najpierw z płaczem przykląkł przy wijącej się w konwulsjach matce, a potem sam trafiony z bliskiej odległości serią czołgowego kaemu, padł na drgające jeszcze ciało, jakby chciał je w tej ostatniej chwili osłonić.

Z zamglonymi przez furie oczami wypakowałem w stronę najbliższego czołgu cały magazynek, niepomny bezskuteczności takiego działania. Gdy iglica uderzyła bezsilnie w powietrze, informując, że zabrakło kul w magazynku, odruchowo poszukałem nowego stalowego prostokątka, kryjącego w sobie dwadzieścia uwięzionych śmierci. Gdy naciągnąłem sprężynę, gotów tak samo na darmo, w formie bezsilnego protestu wystrzelać następną porcję naboju, kolejny tygrys, ten przeklęty zabójca matki z dzieckiem, skrył się w chmurze eksplozji kumulacyjnego granatu. Wysłane w górę odłamki i stalowe części poszybowały w różne strony, obdzielając po równo swoich i nieprzyjaciół. Z ulgą

skonstatowałem, że pozostała część kobiet, znajdująca się już na środku skrzyżowania, oprzytomniała, skręciła w bok i czym prędzej zniknęła w otwartym przez czujnych żołnierzy kompanii głównym wejściu do budynku.

To zdarzenie wyzwoliło w obrońcach barykady szaleńczą energię, tłumioną do tej pory przez rozpacz i obawę. Z całą mocą rozszczeły się wszystkie zgromadzone w fortecy maszyny. Basowo chrypiał wukaem, cienie i szybciej wtórowali mu mniejsi kuzyni.

Thompson, którego spuściłem ze smyczy, ujadł jak rasowy, szkolony do walk amstaff. Krótko i węłwato. Śmiercionośnie. Wynagradzając wszelkie niepowodzenia swego pana, których doznał w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Załoga barykady, ogłuchła i zacierzewiona w walce, także płynęła na wzburzonych falach odwetu. Mniej liczyło się zwycięstwo czyjakiś terytorialne zdobycze, nade wszystko miała ochotę dokopać Niemcom, wiarołomnym tchórzom, którzy walkę postanowili prowadzić zza pleców bezbronnych kobiet i dzieci.

Z całą wyrazistością poczułem na sobie trafność stwierdzenia o włosach jeżących się na karku.

Zza dwóch płonących na skrzyżowaniu tygrysów wychynął trzeci, z drugiej strony zaś wystawiło na światło dzienne swój krótkonosy ryj działo pancerne hetzer. Obie armaty dały jednocześnie ognia. I niestety, oba pociski trafiły.

W barykadę.

Przez co najmniej minutę dym pochłaniał wszystko, wznosząc się aż na wysokość czwartego piętra obramowujących ulicę budynków. Fruwały kawały płyt chodnikowych, drzwi i okien, a także nierozpoznawalne fragmenty tramwaju – fundamentu fortecznej konstrukcji. Gdy dym nieco opadł, wydawało się, że miejsce to zastygło w martwym bezruchu, tak przecież różnego od przedśionka piekiel zainstalowanego dookoła.

6.

– Panie pułkowniku – usłyszałem ciche wołanie. – Panie pułkowniku! Niech się pan obudzi.

Dziwne. Nic nie widzę, ale wołanie dochodzi do mnie wyraźnie, choć jest bardzo słabe.

– Panie pułkowniku.

Znowu to samo. Chcę spać.

Poczułem szarpanie za ramię. Czy to moje ramię?

Ktoś ponowił tę przykrą czynność.

Otworzyłem oczy i natychmiast je zamknąłem, porażony słonecznym blaskiem.

– Obudził się pan. – Głos wyraźnie się ucieszył. – Musimy się pośpieszyć.

A gdzie nam się może śpieszyć, mój dobry człowieku. Chcę spać.

Jednak do mojego kontuzjowanego jestestwa dotarł sygnał, który był znacznie lepszym wybudzaczem niż tysiąc nawet najbardziej troskliwych głosów. Ten sygnał to odgłos kłapiących po bruku gąsienic i warkot czołgowego silnika. Niepokojąco blisko.

Za blisko.

Otworzyłem oczy, tym razem na dobre. Nad sobą zobaczyłem zatroskaną twarz kaprała podchorążego Witka, mojego niedawnego eskortanta. Przyjaźnie klepnął mnie w ramię. Nad jego głową widziałem postrzępiony szczyt nieszczyt barykady, a właściwie smutne pozostałości po tym stanowisku bojowym. Leżałem na plecach może dziesięć metrów dalej, zaklinowany między dwoma większymi fragmentami jakiegoś umeblowania i częściowo przywalony kawałkiem tramwajowych drzwi. Najprawdopodobniej ten prowizoryczny schron ocalił mi życie, przyjmując na siebie odłamki i kawały gruzu.

– Niemcy! – wrzasnął ktoś z tyłu.

Zanim Witek zdążył się odwrócić, na koronie wału pokazał się baniasty hełm, zaraz po nim drugi i trzeci. Pod hełmami wyraźnie widziałem spocone, czerwone gęby atakujących żołnierzy. Tuż za nimi ukazała się, zwieńczona charakterystycznym zgrubieniem tłumika odrzutu, lufa czołgu.

Leżąc na plecach, wyszarpnąłem z kabury USP – nie było czasu na szukanie thompsona, i tak miałem szczęście, że pistolet znajdował się tam, gdzie powinien – i strzeliłem dwukrotnie do najbliższego Niemca. Odległość wynosiła dziesięć metrów, na tym dystansie nie zwykłem chybiać, ale moja koordynacja ruchów i ostrość widzenia pozostawiały wiele do życzenia, więc tylko jeden pocisk trafił. Z ramienia żołnierza oderwał się kawał munduru i ciała. Facet zatrzymał się z rozszerzonymi szokiem oczyma. Poprawiłem i szok zgasł. Szkop sturlał się z barykady, upuszczając karabin.

Przeniosłem ogień na sąsiada. Tym razem para wysłanych na spotkanie ołowianych kul poleciała prosto do celu i wbiła się Niemcowi w pierś. Podążył śladem kolegi, przeकोziołkował kilka razy i zastygł niemalże u mych stóp.

Witek naciągnął sprężynę schmeissera i walił długą serią po ukazujących się na koronie wału kolejnych Niemcach. Strzały były celne, natarcie na chwilę zamarło, a my zyskaliśmy kilka cennych sekund. Te sekundy były nam niezbędnie konieczne, ponieważ w ślad za lufą zaczął się na horyzoncie ukazywać stalowy, malowany na czarno kadłub i para potężnych, szerokich gąsienic. Były tak blisko, że dostrzegałem każde łączenie traków.

Nie starczyło oczywiście czasu, aby roztrząsać szczegóły konstrukcji tygrysa, ponieważ należało brać czym prędzej nogi za pas. Witek szarpnął mnie za ramię, tym razem mocno, i za pomocą tego prostego zabiegu wyciągnął mnie z kryjówki, drugim szarpnięciem postawił na nogi, po czym zmusił do biegu. Ponieważ tygrys zjeżdżał już z barykady, ucieczka na wprost gwarantowała kulkę w plecy, toteż wskoczyliśmy po prostu do najbliższej bramy jednej z kamienic. Brama ta prowadziła na podwórko otoczone oficynami, w tym charakterystycznym dla śródmieścia Warszawy „studziennym” układzie.

– Reszta gdzie? – zapytałem, starając się przekrzyczeć strzelaninę. Bolało mnie tak wiele części ciała, że miałbym duże trudności z ustaleniem przynajmniej pierwszej trójki.

– Część zginęła – odparł, wyciągając zza pasa ciężkiego, przeciwpancernego gamona. – A część się wycofała.

– A nasi w BGK?

– Bronią się na górnych piętrach.

Na dłuższą wymianę informacji nie starczyło już czasu. Usłyszeliśmy podwójne podzwanianie gąsienic – cholerny hetzer najwyraźniej też się przebił i w świdze bramy ukazała się kanciasta sylwetka działa pancernego. Witek już brał zamach, gdy raptem zrobiło się prawie kompletnie ciemno. Bramę zasłonił tygrys, niemalże ocierający się burtą o ścianę domu. Rzut granatu byłby w tym momencie samobójstwem, bo najprawdopodobniej połowę siły uderzeniowej wzięlibyśmy na siebie. Musieliśmy przeczekać, aż czołg nas minie.

– Daj mi automat! – krzyknąłem, chowając USP do kabury. – Oslonię cię.

Zerwał pasek schmeissera przez głowę i podał mi broń wraz z dwoma zapasowymi magazynkami. Kanciasta rufa tygrysa właśnie przejeżdżała obok nas. Przytuliliśmy się do ściany. Gdy pojaśniało, Witek rzucił się gwałtownie do przodu, odbezpieczył granat, zamachnął się i cisnął przed siebie. Ja ze swej strony wyskoczyłem jak na sprężynie – choć może zważywszy na niedawne, ale ciągle aktualne kontuzje, nie był to tak szybki ruch, jakbym sobie tego życzył – zza narożnika bramy i spodziewając się, że czołgom towarzyszy piechota, bez celowania pociągnąłem za spust, a po wyczerpaniu amunicji wskoczyłem z powrotem w cień bramy.

Moje rachuby okazały się słuszne, nie wziąłem jednak pod uwagę liczebności atakujących nieprzyjaciół. Choć mocno przeredzeni naszym wcześniejszym ogniem, szli w liczbie co najmniej stu, spoceni i dyszący żądzą zemsty. Już pewnie cieszyli się na myśl, co zrobią z mieszkańcami okolicznych domów i pojmanymi do niewoli powstańcami.

Wybuchający na tylnym pancerzu tygrysa gamon i moja wbita w bok seria zaskoczyły ich. Kilku najbliższych żołnierzy, skoszonych jak łan zboża pod ręką wprawnego żniwiarza, padło martwych na ziemię. Kilku następnych poleciało w tył odrzuconych z ogromną siłą przez podmuch granatu. Siła eksplozji była tak duża, że nawet nami dwoma, schowanymi za solidnym murem bramy, zachwiało mocno.

Dało mi to czas na zmianę magazynka, rzucenie Witkowi gotowego do strzału schmeissera i wyciągnięcie – bodajże przedostatniego – granatu obronnego. Panowały niemal idealne warunki, by go użyć, dysponowałem bowiem osłoną, a wróg był blisko.

Odbebezpieczyłem, odczekałem sekundę i rzuciłem żelastwo na ulicę jak mogłem najdalej. Przez moment moja ręka wystawiona była na zewnątrz bramy, narażając się na spotkanie z którąś z latających w powietrzu kul, ale cofnąłem dłoń bez szwanku. Tuż po gromkim wybuchu granatu Witek wychylił się z bramy i pociągnął długą serią po najbliższych Niemcach.

Choć na moment powstrzymaliśmy impet nieprzyjacielskiego natarcia, rzecz jasna uleglibyśmy przewadze, ale całe szczęście nad rozwojem sytuacji czuwał ktoś, kto zdawał się mieć znacznie lepszą od nas kontrolę nad przebiegiem bitwy.

Wojtyński przeżył zniszczenie barykady, cofnął się – choć lekko ranny i ogłuszony – do ustawionych na placu Trzech Krzyży odwodów: trzech twardzieli, czterech rosomaków, szyłki i moździerza amos oraz ostatniego, rezerwowego plutonu piechoty z wukaemem, po czym wydał kilka rozkazów.

Pierwszy twardy wyjechał na Nowy Świat w momencie, gdy potraktowany gamonem tygrys zaczynał się palić wysokim ogniem. Hetzer, nie czekając na rozwój wydarzeń, dał ognia i siedemdziesięciopięciomilimetrowy granat rozerwał się tuż nad kołami czołgu. To jest dość wrażliwe miejsce, toteż pojazd zatrzymał się, rżąc zerwanymi gąsienicami i urwanymi wałkami przenoszącymi napęd. Jednak mechanizmy celowania, a także napęd wieży przetrwały trafienie. Wieża, posłuszna woli dowódcy, obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i długa armata rzuciła cień na ulicę. Niemieckie działo nie miało okazji wystrzelić ponownie, zanim bowiem ładowniczy wsunął w komorę nabojoyą następny pocisk, twardy dał ognia i piętnastotonowa maszyna odskoczyła w tył jak napędzana sprężyną żaba z jarmarcznego straganu. Działo paliło się równie dobrze jak upolowany przed minutą tygrys. Załoga nie mogła otworzyć zakleszczonych przez żar włazów i usmażyła się w tym stalowym palenisku.

Obok unieruchomionego na środku ulicy twardego zajęła miejsce szyłka. Jej poczwórnie sprzężona armata kalibru dwadzieścia trzy milimetry może wystrzelić w ciągu sekundy ponad pięćdziesiąt pocisków, z których co trzeci jest zapalający, a co drugi wybucha przy trafieniu w cel. Niemiecka piechota potraktowana tym specyficznym rodzajem prysznicą, wspomozonym na dodatek przez kaem twardego, w ułamku sekundy padła na ziemię jak dąb sprawiony przez drwala. Stalowy deszcz przewyższył swoim natężeniem i gwałtownością wszystko, co do tej pory widziałem. Wokół fruwały kawałki oderwanych ciał. W ciągu kilku sekund ulica i stojące po jej bokach domy aż na wysokość pierwszego piętra pokryły się ciemnoczerwoną posoką. Jazgot działka szyłki zagłuszył jęki i krzyki piechurów, czyniąc to widowisko jedyną w swoim rodzaju pantomimą, której towarzyszyły wyrafinowane efekty specjalne.

Nie wiem, ile to trwało. Gdy szyłka przestała strzelać i umilkł także kaem sprzężony z armatą czołgu, zapadło coś w rodzaju ciszy. Rzecz jasna nie była ona zupełna, bowiem przestrzeń natychmiast wypełniła się hukami palących się wraków i opętańczymi krzykami rannych. Ale w porównaniu z piekielnym jazgotem szyłki to, co nastąpiło potem, można z powodzeniem nazwać ciszą.

Nie wszyscy Niemcy zginęli bądź zostali ranni. Jakaś część z nich – może trzydziestu – wyłaziła teraz z kryjówek znalezionych ad hoc wśród gruzów. Choć ich koledzy w budynku BGK walczyli jeszcze, próbując wypchnąć naszych żołnierzy na wyższe piętra i generalnie bitwa wciąż nie była rozstrzygnięta, ci na dole mieli dość. Nigdy bym nie uwierzył, że ręce

można podnieść tak wysoko i krzyczeć „nicht schiessen” tak głośno.

Ale nie dziś, kameraden. Nie dziś.

Dziś były rozszarpywane kulami dzieci i ich matki z pękniętymi z rozpaczycy sercami.

Dzisiaj nasza cywilizacja, nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni, cofnęła się w rozwoju do swego zarania.

Byłem pewien, że celny strzał między zdziwione oczy wyjaśni to lepiej niż słowa.

Wszyscy zgromadzeni na krótkim odcinku ulicy, a także czołgowy kaem, otworzyli ogień bez rozkazu, samorzutnie. Ja też przyłączyłem się do tej śmiercionośnej palby, wystrzelując do końca magazynek USP.

Nie było miejsca na wyrzuty sumienia. Była tylko nienawiść.

VIII. MOKOTÓW

1.

– Chłopaki od Ruczaja i Krybara pogonili Niemców aż po Foksal. – Wieteska mówił cicho, ale mimo to jego głos przebijał się przez warkot silnika ciężarówki. – Zbudowali nową barykadę, obróconą frontem w stronę mostu Poniatowskiego. Jednego ze zdobytych tygrysów wmontowali w tę barykadę w charakterze działa fortecznego, a Wojtyński dał im w prezencie wrak twardego, bo co jak co, ale armatka mu jeszcze chodzi, więc mają dwa działa forteczne. Są tak umocnieni, że żaden atak im niestraszny. Podobno w nocy i rano zgłosiło się tylu ochotników, że nie mogą nadążyć z formowaniem nowych oddziałów.

– Skąd ty to wszystko wiesz, Jasiu? – zapytał Kurcewicz, który tymczasowo zwolniony został przez majora z obowiązków dowódcy oddziału pancernego, skurczonego zresztą w swoich podstawowych siłach uderzeniowych do dwóch czołgów. „Musi pan trochę odpocząć, kapitanie, potrzebuję pana w nocy w pełni sił” – powiedział major. Obaj uśmiechnęli się z dwuznaczności ostatniego twierdzenia, ale dalszej dyskusji nie było.

– Wiem. Ma się znajomości tu i tam – odparował kapitan pilot.

– Jak człowiek wsiąkł już w to cholerne powstanie, to warto orientować się w podstawowych zagadnieniach, chwytasz, Wojteczku? – Wieteska rozsiadł się wygodnie na twardej ławce ciężarówki. – Chcecie posłuchać dalej czy nie?

– Chcemy – powiedział Wojtek i prawie się uśmiechnął. – Przecież nawet jak byśmy nie chcieli, i tak nam powiesz.

– Wiesz co? – obraził się kapitan. – Od tej chwili rozmawiam tylko z Jurkiem, bo tobie od wybuchów wzmocnionych przez tę cholerną puszkę od konserw na gąsienicach trochę umysł słabuje. Możesz, Wojteczku, nie słuchać.

– Mów, Johnny – zachęciłem go, choć na razie miałem dość wojennych historii. Myślałem o Nancy i o oddalonym o tysiące mil małym Johnie.

– No więc nasi zdobyli tyle broni, że cały pluton przez godzinę ją zbierał z placu boju. Znaczący z tego banku i z okolic. Amunicja, karabiny, a już automatów to do cholery, i ze trzydzieści ciężkich kaemów. Dwa działa, kilka moździerzy. Granatów kilkadziesiąt skrzynek. Rotmistrz Ruczaj uzbroił dwa pełne bataliony. Tę naszą barykadę przesunęli na północny kraniec skrzyżowania, a nową zbudowali w poprzek Alej i w ten sposób

zablokowali Nowy Świat i Aleje Jerozolimskie. I trzymają cały rejon. A ochotnicy wciąż walą drzwiami i oknami.

– I co dalej? – zapytał Wojtek.

– Z tobą nie rozmawiam, więc mówię tylko Jurkowi: planują w nocy zdobyć Muzeum Narodowe. Wojtyński zrobił krótką naradę dowódców i dokładnie naświetlił obraz sytuacji. No, że odwody pancerne z Pragi ruszą i Niemiaszki będą starały się za wszelką cenę udroźnić Aleje, bo to ich jedyna arteria prowadząca na południowy zachód Warszawy. A muszą mieć drożne zaplecze frontu, więc będą atakować jak wściekli. Dlatego nasi ściągają tu wszystkie dostępne siły, odwody, starców, kucharzy i markietanki. Mamy w tym rejonie ze dwa i pół tysiąca ludzi, i to przeważnie dobrze uzbrojonych.

– Świetnie – mruknąłem. Naprawdę się cieszyłem, chociaż nie umiałem okazać radości.

– No to świetnie, że świetnie – zakończył kapitan. – Teraz powiedz, Jureczku, co dalej z nami?

– No właśnie, jaki jest plan? – włączył się Wojtek. Wiedziałem, że chwila, kiedy będę musiał uronić rąbka tajemnicy, w końcu nastąpi.

– Wezwałem samolot – powiedziałem, bawiąc się paskiem od thompsona. (Wieteska dał mi go pół godziny po zakończeniu bitwy o barykadę. Znalazł go pod gruzami, oczyścił i wręczył z namaszczeniem, twierdząc, że na pewno się jeszcze przyda. Nie zaprzeczałem).

– To wiemy. I co dalej?

– Wojtyński planuje dziś w nocy zdobyć lotnisko, o czym też wiecie. Jak dobrze pójdzie, liberator wyląduje około drugiej nad ranem. Zapakujemy emiter, a także pozostałe kłopoty – spojrzałem przelotnie na trumnę i skulonego w kącie Cuprysia – i odlatujemy.

– Wojtyński pozwoli nam wyjechać? – zapytał Kurcewicz. – Zabierzemy emiter i polecimy do Włoch, a on tu zostanie z całym tym bajzłem na głowie?

– Oświadczył mi, że pozwoli – powiedziałem. – Że to nie koliduje z jego planami.

– Ciekawe – zadumał się Wojtek. Jak zwykle widział dalej niż inni. – Musi mu się bardzo opłacać ten nasz wyjazd.

Zostawiłem tę uwagę bez odpowiedzi, bo dobrej odpowiedzi nie było.

Wieteska nic nie mówił od pewnego czasu, tylko przyglądał mi się intensywnie. Powiedziałby pewnie coś ostrego i do śmiechu, ale przez wzgląd na moją niedawną stratę starał się hamować. Widać jednak, że coś mu nie dawało spokoju.

– Bardzo ciekawe – odezwał się wreszcie, bo długie i znaczące milczenie kompletnie nie leżało w jego naturze. – Tak ciekawe, że się w końcu zaciekawiłem, chociaż Jureczek łże jak najęty.

– Nie – pokręciłem głową. – Nie łżę.

– Ejże – syknął kapitan. – Mówisz nam wszystko?

– Wszystko, co jest istotne.

– A więc nie wszystko. – Triumfalnie klepnął Wojtkę w ramię, zapominając o

niedawnych urazach. – Mówiłem ci.

– Johny, odpuść mi, proszę. Mówię prawdę. Mamy zabrać emiter, twoją żonę i Galasia z kryjówki przy Różanej, podczas ataku trzymać się z tyłu, poczekać na liberatora, serdecznie ucałować się na pożegnanie z Wojtyńskim i resztą chłopaków, a następnie polecieć do domu. Tam podłączymy emiter i jak Bóg pozwoli, wracamy w nasze czasy.

– Świetny plan. Prosty i genialny – jeszcze walczył Wieteska, ale spojrzałem na niego zmęczonym wzrokiem i w końcu się zamknął.

Była mniej więcej czwarta po południu, cztery godziny po terminie rozpoczęcia operacji przebijania się przez Mokotów w kierunku lotniska i dwie godziny po zakończeniu bitwy o plac Trzech Krzyży i barykadę na Nowym Świecie. Po walce nie wyruszyliśmy w drogę od razu, pomogliśmy naszym akowskim kolegom zebrać rannych, porzucaną przez Niemców broń i przygotować stanowiska ogniowe. Ja ze swej strony pożegnałem się serdecznie z kapralem podchorążym Witkiem, dziękując mu za uratowanie życia.

A teraz siedzieliśmy pod plandeką stara z zapasami, należącego do kolumny transportowej Batalionu Uderzeniowego. Przy wsiadaniu manewrowaliśmy w taki sposób, aby w składzie powiększonym o markotnego kaprała Cuprysia stanowić jedyną obsadę przedziału ładunkowego ciężarówki. To znaczy, precyzyjnie mówiąc, jedyną żywą obsadę. W kącie platformy spoczywała prosta dębowa trumna przykryta przez Wieteskę maskującą płachtą. Byłem mu wdzięczny za ten gest.

Obok trumny siedział Cupryś z głową owiniętą bandażem, który skutecznie zasłaniał oczy i uszy. Chcieliśmy oddzielić go i od naszej rozmowy, i od możliwości obserwowania celu podróży.

Mieliśmy przy sobie nasze uzbrojenie i resztę amunicji. Wojtyński zwrócił nam nawet nadprogramowego thompsona, który jeszcze przedwczoraj należał do porucznika Wilgata.

Przejazd batalionu miał absolutny priorytet, toteż poruszaliśmy się powoli ulicą Puławską, ubezpieczani ze wszystkich stron przez czujki powstańcze. Kolumnę otwierała pancerna szpica złożona z obu czołgów i połowy transporterów. Za nimi podążały szyłka i amos, potem ciężarówki. Kolumnę zamykały dwa rosomaki tylnego ubezpieczenia. Przed kolumną, korzystając z dwóch zdobycznych kołowo-gąsienicowych transporterów, parł do przodu oddziałek zwiadowczy pod dowództwem niezawodnego porucznika Stańczaka.

Bliski wybuch zatrzęsł samochodem. Jednocześnie od czoła usłyszeliśmy gwałtownie narastającą wymianę ognia. Kierowca zgrzytnął hamulcami i ciężarówka zatrzymała się.

– Że też, cholera jasna, spokojnie pogadać nie można – mamrotał Wieteska pod nosem.

– Nic, tylko najgorsze bomby i granaty – odmruknął Wojtek kolejnym cytatem.

Odchyliłem plandekę i rozejrzałem się. Kolumna zatrzymała się na wysokości Madalińskiego, prawie dokładnie w miejscu, z którego, Kurcewicz wczoraj podbierał żołnierzy z kompanii Orzeł 2. Do skrętu w Różaną było może czterysta metrów. Znajdowaliśmy się już bardzo niedaleko pierwszego z wyznaczonych na dzisiaj celów.

Huknęło działo twardego, po chwili następne. Palba nasilała się.

Wzdłuż stojącej kolumny poszedłem w kierunku strzelaniny. Obok pierwszej ciężarówki klęczał Wojtyński z lornetką przy oczach i krótkofalówką przy uchu.

– Opór?

– SS ze szkoły na Woronicza – odparł. – Czyszczą Puławską.

– Co dalej?

– Nic. Ciężarówki zjadą w bok, w ulicę... – spojrzał na mapę – ...Grażyny. Stamtąd dojedziecie bez problemu na Różaną. Droga jest wolna, ale dam wam do osłony dwa tylne rosomaki. Zgarnijcie Rozalię i Galasia, a także moich ludzi z ochrony, i spotkamy się... – ponownie zerknął na rozłożoną na kolanie płachtę – na skrzyżowaniu Różanej i Wołoskiej. Moi ludzie znają drogę. Teren jest wolny od Niemców i zadrzewiony. Łatwo się schować.

– Ta kolumna amunicyjna jest dość mało odporna na atak – zauważyłem, myśląc o czekającej nas jeździe przez pół dzielnicy.

– Oczywiście, ale nie mogę prowadzić walki, czerpiąc uzupełnienia amunicji z magazynów. Muszę podciągnąć zapasy jak najbliżej pola bitwy. Niech pan jedzie.

– Jadę – powiedziałem służbiście i odwróciłem się szybko, aby major nie dostrzegł na mojej twarzy nikłego uśmiešku.

Uśmiešku zadowolenia. Jego decyzja była mi bardzo na rękę.

2.

Piętnaście minut później osiągnęliśmy ulicę Różaną. Kolumna posuwała się powoli, raz ze względu na konieczność starannego ubezpieczenia przejazdu, opowiadania się licznym patrolom i placówkom powstańczym (z jedną z nich, ze szczególnie krewkim dowódcą, omal nie doszło do wymiany ognia), a także dlatego, że musieliśmy omijać przeszkody znajdujące się na drodze – gruz, zwalone drzewa i tego typu niespodzianki. Jednak w końcu zatrzymaliśmy się przed niepozorną, ukrytą w głębi ogrodu willą. Dom był stary, ale utrzymany w nie najgorszym stanie.

Poprzedzony sierżantem, dowódcą kolumny transportowej, przeszedłem przez stalową furtkę.

– Nikt tego nie pilnuje? – zapytałem ze zdziwieniem.

Sierżant uśmiechnął się pod nosem.

– Obiekt jest dobrze chroniony – odparł.

Rozejrzałem się dookoła, ale nie zobaczyłem żadnych wartowników. Dopiero gdy podeszliśmy do drzwi, ukazał się w nich żołnierz uzbrojony w karabinek szturmowy beryl.

– Pakujcie się. Odjeżdżamy jak najszybciej – rzucił sierżant.

– Tak jest – odparł tamten i zniknął.

Gdy wszedłem do przedpokoju, z najbliższych drzwi wypadła Rozalka i z płaczem rzuciła mi się na szyję.

– O Jezu, panie Jurku... Ja naprawdę nie chciałam – szlochała głośno. – To moja wina, to ja ją namówiłam.

– Nie, Rozalko. – Poglaskałem ją po głowie i chociaż bardzo słabo nadawałem się w tej chwili do roli pocieszyciela, powiedziałem: – To nie twoja wina. Tak się po prostu ułożyło...

Co za bzdury wygadywałem!

Rozalka łkała dalej, wtulona we mnie mocno, kiedy do przedpokoju weszli Wieteska i Kurcewicz. W normalnych okolicznościach kapitan wyjąłby pistolet i zaczął mi grozić oraz trzaskać kurkiem, wściekły za zbliżanie się do jego żony na dystans mniejszy niż półtora metra, nie mówiąc o przytulaniu i uściskach, ale nadal znajdowałem się pod specjalną ochroną, więc Wieteska zmarszczył tylko brwi, kładąc moje zachowanie na karb zachwiania norm moralnych związanego z niedawnymi wydarzeniami. W przyszłości nie omieszkam wspomnieć mi tej sceny.

W holu zrobiło się ciasno, bo pojawił się też kapral Galaś. Gdy już uwolniłem się od Rozalki i przekazałem ją w ręce stęsknionego męża, Galaś uścisnął mi dłoń, wymamrotał niezrozumiale coś, co pewnie było kondolencjami, po czym przeszliśmy do obszernego pomieszczenia zlokalizowanego od strony ogrodu, które w czasach przedwojennych pełniło zapewne funkcję pokoju dziennego.

Spojrzałem na kaprała pytająco, a on nieznacznie kiwnął głową.

– Musimy zwrócić stara chłopakom Wojtyńskiego – powiedziałem głośno. – Galaś, pomożesz mi?

– Tak jest – odpowiedział.

Wyszliśmy na zewnątrz odprowadzani zdziwionymi spojrzeniami kolegów. Właściwie, precyzyjnie rzecz ujmując, spojrzeniem kapitana Kurcewicza, ponieważ spojrzenie drugiego z oficerów było skoncentrowane na znacznie przyjemniejszych i wartych uwagi obiektach.

– Przygotowałeś wszystko? – mruknąłem, gdy ramię w ramię szliśmy w stronę furtki.

– Tak. Ale były kłopoty.

– Kłopoty?

– Techniczne.

– Spodziewałem się tego. I co?

– Nie jestem pewien, jak to wszystko zadziała...

– Po złożeniu?

– Tak.

– Myślisz, że mogłeś coś uszkodzić?

– Możliwe. To było cholernie mocno zabezpieczone.

Westchnąłem.

– Wierzę w ciebie.

– Dziękuję.

Doszliśmy do ciężarówki. Panował spory ruch, żołnierze wynosili z piwnicy skrzynie z amunicją i ładowali je na samochody.

– Nie zdziw się. Mamy jeńca – powiedziałem jeszcze ciszej niż poprzednio.

– A dlaczego mam się zdziwić?

– Znasz go. Nawet bardzo dobrze. Nie zrób nic głupiego.

– A kogo ja tu znam?

Nie odpowiedziałem na razie na to pytanie. Odchyliłem plandekę i gestem pokazałem na skuloną w kącie postać. Galaś nie mógł jej rozpoznać, bo przed opuszczeniem ciężarówki założyłem Cuprysiowi dodatkowo na głowę znaleziony w zakamarkach samochodu worek po kartoflach. Kaprał zobaczył tylko szary gestapowski mundur i mocno zakurzone oficerki.

– Cuprys – powiedziałem bezgłośnie.

Galaś w jednej chwili zjeżył się jak rozjuszony brytan. Do dziś nie mógł wybaczyć swojemu koledze z drużyny łączności tego, co się stało drugiego września trzydziestego dziewiątego roku.

Położyłem palec na ustach, prosząc go wzrokiem o tymczasowe odłożenie wykonania aktu sprawiedliwości dziejowej. Mieliśmy znacznie poważniejsze rzeczy do zrobienia od zadawnionych porachunków.

– Pomożesz mi? – zapytałem.

Kiwnął głową, jeszcze zły i nastroszony. Wskoczyłem na platformę, kaprał poszedł w moje ślady. Stanęliśmy po obu stronach spoczywającej w kącie auta prostokątnej dębowej skrzyni i podnieśliśmy ją. Galaś w jednej chwili zapomniał o Cuprysiu.

– Co za gówniany świat. W ogóle w to nie wierzę – jęknął.

– Ja też – zapewniłem go.

Cuprys, słysząc głos Galasia, drgnął. Nie zwróciliśmy na to uwagi.

Ostrożnie zdjęliśmy trumnę z ciężarówki. Przeszliśmy przez furtkę i Galaś skierował się w stronę zlokalizowanego po prawej stronie domu garażu. Gdy kaprał otworzył odrzwia, aż gwizdnąłem ze zdziwienia. Tuż za dwuskrzydłowymi wrotami schodziła w dół szeroka betonowa rampa. Wystarczająco wysoka, aby do środka mogła wjechać ciężarówka. Gdy zeszliśmy pod poziom gruntu, znaleźliśmy się na środku obszernej piwnicy. Miejsce pod ścianami zajmowały długie szeregi drewnianych regałów, w tym momencie ogołoconych i pustych. W kącie stały maszyny tokarskie, stoły montażowe i wiele innych urządzeń. Środek pomieszczenia zajęty był przez naszą ciężarówkę z ukrytym w jej wnętrzu emiterem.

Niepozorny, zwykły, standardowy, wolno stojący garaż krył w swoim wnętrzu powierzchnię wielokrotnie większą od nominalnego metrażu.

– Niezły warsztacik – zauważyłem, rozglądając się dookoła.

– To tylko część – stęknął Galaś. Odchylił plandekę i wspólnymi siłami wrzuciliśmy trumnę na pakę samochodu. Pokazał brodą w głąb piwnicy. – Za tamtymi drzwiami jest

jeszcze kilka innych pomieszczeń.

– Nieźle. I nikt się nie zorientował? Przez tyle lat?

– To miejsce było tak zamaskowane, że w życiu by się pan nie zorientował, co jest grane. System ruchomych ścian, zapadni i tym podobne bajery. Generalnie wszystko udawało coś innego, niż było w rzeczywistości.

– A co tu było w rzeczywistości?

– Produkcja broni i sprzętu łączności. Także magazyn. Tu składali też część amunicji z podzespołów. Sawicki... – Kapral cmoknął z podziwem.

– Właśnie. Sawicki. Podobno nie żyje. – Przypomniałem sobie o moim dawnym szefie kompanii logistycznej.

– Nie doczekał. Zginął dwa tygodnie temu w zasadzce. Mieli jakąś wyspę. Jedyną w czasie tych pięciu lat.

– Wiem – mruknąłem. Kolejna ofiara wojny.

– Wie pan? Skąd?

– Wojtyński zdążył mi opowiedzieć to i owo. Trzymaj, do cholery – rzuciłem, bo trumna poruszyła się. W czasie tej wymiany zdań pracowaliśmy bowiem ciężko, jednocześnie starając się zachowywać jak najciszej. Śpieszyło nam się, bo niewątpliwie nasi koledzy po zapakowaniu zapasów amunicji na samochody będą chcieli niezwłocznie ruszać na miejsce spotkania z Wojtyńskim.

– Trzymam – stęknął Galaś. Jakoś źle znosił tę pracę. Ja zresztą też nie najlepiej.

Trzy minuty później opuściliśmy samochód, taszcząc ciężki zrolowany dywan, dodatkowo owinięty płachtą maskującą. Przeszliśmy do sąsiedniego pomieszczenia. Pod ścianą, ukryty przesuniętą w tym celu szafą, w gliniastej podłodze piwnicy został wykopany dół, głęboki może na półtora metra i długi na dwa. Z wielką delikatnością złożyliśmy nasz pakunek do dołu. Łopaty były przygotowane, więc co prędzej zabraliśmy się do roboty. Ziemia była miękka i spulchniona, dlatego nie minęły dwie minuty, gdy dół był prawie całkowicie zasypyany.

– Idź do ciężarówki, skończ robotę. Ja tu sobie poradzę – powiedziałem.

– Tak jest – sapnął. Miałem wrażenie, że jest mi wdzięczny za tę decyzję.

Poszedł, a ja wyrównałem łopatą grunt, udeptałem go i przysunąłem w to miejsce szafę. Nie mogłem z ręką na sercu przysiąc, że nie było widać śladów kopania, ale nie spodziewałem się w tym pomieszczeniu gości w najbliższym czasie. Wyglądało na to, że członkowie oddziału Wojtyńskiego na dobre opuszczali to miejsce.

Po raz ostatni rzuciłem zamyślane spojrzenie na spulchnioną ziemię w kącie.

Kilka minut później Galaś uruchomił silnik i ciężkie auto, pyrkocząc i strzelając z rury wydechowej, wyjechało tyłem na podjazd do garażu. Przerzuciłem Cuprysia ze stara do naszego antycznego wehikułu i z ciężkim sercem uznałem, że jesteśmy gotowi do odjazdu.

3.

Gdy poprzedzani przez dwa czujne rosomaki ubezpieczające kolumnę, uginającą się pod ciężarem batalionowych zapasów, przybyliśmy na miejsce zbiórki, zapadł zmrok. Wojtyński już na nas czekał. Jego ludzie drzemali i odpoczywali po trudach walk. Z urywanych uwag wymienianych przez żołnierzy można się było zorientować, że oddział SS, który próbował nam zatarasować drogę na Puławskiej, został całkowicie zniszczony. Wojtyński pchnął sztychem na wprost siłą wszystkich stojących do dyspozycji pojazdów pancernych. Kompanie Orzeł 1 i 2, poruszając się sąsiednimi, równoległymi ulicami, otoczyły Niemców i zamknęły pierścień okrążenia. Czołgi zepchnęły esesmanów na kaemy piechoty i cały, liczący trzystu ludzi batalion przestał istnieć. Wiedząc, z kim ma do czynienia, Wojtyński ze szczególną satysfakcją wydał rozkaz niebrania jeńców.

Ponieważ przyłączyłem się do odprawy oficerów batalionu, a Wojtyński nie protestował przeciwko mojej obecności, mogłem się zorientować w sytuacji ogólnej.

Dzięki sukcesom taktycznym Batalionu Uderzeniowego powstanie zaczęło odnosić sukces w skali operacyjnej. W Śródmieściu Niemcy zostali wyparci z większości swoich bastionów: dzielnicy policyjnej, Komendy Policji, Uniwersytetu. W nocy dowództwo planowało ataki na Muzeum Narodowe, gmach Pasty i dzielnicę rządową. Sprawdzała się taktyka zdobywania najpierw mniejszych punktów oporu niemieckiego, a izolowanie większych i silniejszych. Wzięcie do niewoli wielu dowódców sparaliżowało system dowodzenia. Grupy dywersji technicznej kompletnie zablokowały niemiecką łączność przewodową, a dzięki skonstruowanym w warsztatach batalionu urządzeniom zagłuszającym – także bezprzewodową. W efekcie powstańcom udało się doprowadzić do niemal całkowitego paraliżu decyzyjnego przeciwnika. Ogromną rolę odegrało również zdobycie pokaźnych zapasów broni w pierwszych godzinach powstania. Dzięki temu udało się niemal w pełni uzbroić całą obsadę Śródmieścia i wielką część ekipy mokotowskiej. Pod względem uzbrojenia siły walczących stron mniej więcej wyrównały się, natomiast powstańcy zaczęli uzyskiwać przewagę liczebną, która powiększała się z każdą potyczką. Strumień niemieckich uzupełnień nie został jeszcze uruchomiony, a polskie dowództwo, zamykając główne arterie komunikacyjne i wloty do miasta, zamierzało nie dopuścić niemieckiej pomocy z zewnątrz.

Ludność cywilna z ogromnym entuzjazmem odnosiła się zarówno do powstańców, jak i do wszelkiego rodzaju zarządzeń powstańczych władz. Powstanie rozpędzało się niczym postawiony na szczycie wzgórza walec drogowy, który spadł z hamulca.

Ostatnim akordem pierwszego etapu walk o miasto miało być zdobycie lotniska na Okęciu. Obsadzone silną załogą, wyposażoną w ciężką broń piechoty i artylerię, okopane i schowane za pasami pól minowych, a także liniami drutów kolczastych, stanowiło nie lada wyzwanie dla ścisłego i precyzyjnego umysłu majora Wojtyńskiego. Specyfika natarcia na lotnisko różniła się diametralnie od walk w mieście. Miała się tu odbyć typowa bitwa polowa. Ta część Ochoty w owym czasie była zupełnym pustkowiem, wyglądem bardziej

przypominała sienkiewiczowskie Dzikie Pola niż fragment europejskiego miasta w połowie dwudziestego wieku. Niemcy mieli odpowiedni wgląd w przedpole, każdy ruch był z daleka widoczny, a i huk czołgowych motorów z pewnością nie ułatwiał niedostrzeżonego podejścia.

Wojtyński miał do dyspozycji żołnierzy batalionu, po walkach prowadzonych w czasie minionej doby skurczonego z blisko siedmiuset żołnierzy do pięciuset pięćdziesięciu, a także uderzeniowy oddział pancerny oraz przydzielone na tę okazję przez dowódcę sił powstańczych w Warszawie, pułkownika Montera, zgrupowanie pułkownika Drzymały liczące około tysiąca ludzi, z których jednak tylko jedna trzecia była naprawdę uzbrojona. Wojtyński obiecywał sobie szybko zmienić ten stan i przekształcić zgrupowanie w pełnowartościową jednostkę bojową.

Major doszedł do wniosku, że ukształtowanie terenu nie pozwala na żadne skomplikowane manewry. Zaplanował zatem przełamujące natarcie na wprost, wykonane przy użyciu tarana uderzeniowego złożonego z naszego korpusiku pancernego wspartego piechotą zmotoryzowaną, natomiast „piesza” piechota otrzymała zadanie dwustronnego okrążenia nieprzyjaciela i uderzenie na obu skrzydłach. Pierwszym akordem bitwy miało być zdobycie znajdującego się nieopodal naszego miejsca zbiórki Fortu Mokotowskiego, obsadzonego silną niemiecką załogą. Wojtyński, zdobywając fort, za jednym zamachem chciał zrealizować trzy cele taktyczne: zlikwidowanie znaczących sił nieprzyjaciela, zyskanie solidnej reduty na swoich tyłach oraz zdobycie jakże potrzebnego uzbrojenia. Do zadania tego wyznaczono oddział pancerny wraz z piechotą zmotoryzowaną pod osobistym dowództwem majora.

„Piesza” piechota wyruszyła na pozycje wyjściowe do głównego natarcia wkrótce po naszym przybyciu. Miała nie brać udziału w zdobywaniu fortu, lecz obejść go z dwóch stron i nie wdając się w walkę, posuwać się w stronę Okęcia. Na lewym skrzydle nacierać miały kompanie Orzeł 2 i 3, natomiast kompania Orzeł 1, najbardziej postrzępiona w poprzednich walkach, została wsparta zgrupowaniem pułkownika Drzymały, uformowanym w ten sposób, iż uzbrojeni powstańcy weszli w skład trzykompanijnego batalionu piechoty, mającego za zadanie ochronę prawego skrzydła kompanii Orzeł 1. Pozostałe siły powstańcze, te nieuzbrojone, podzielono na dwie grupy. Większa miała posuwać się za siłami głównymi, zajmować wyzwolony teren i przejmować zdobytą broń. Mniejsza grupa, licząca około stu pięćdziesięciu ludzi, otrzymała zadanie obsadzenia zdobytego przez grupę pancerną fortu i pozostania w nim w charakterze załogi.

Gdy prawie półtora tysiąca ludzi opuściło miejsce postoju, nastała niemal zupełna cisza. Niebo rozświetlone było łunami wzniesionych w oddali pożarów na Woli, Mokotowie i w Śródmieściu. Dochodziły przytłumione odgłosy karabinowej palby, gdzieś tam, z rzadka, odzywała się artyleria. U nas jednak panował spokój.

Żołnierze, którzy na pancerzach czołgów i we wnętrzach rosomaków mieli ruszyć do natarcia jako piechota zmotoryzowana, stanowili dla mnie kolejne powstańcze zaskoczenie i

niespodziankę. Był to bowiem wyborowy pluton ochronny fabryczki na Różanej, tej samej, w której przez ostatnich dwanaście godzin przebywali Galaś z Rozalką. Zdziwił mnie fakt, że tak ważne ogniwo konspiracji ochraniane jest przez jednego wartownika, tym większe było więc moje zaskoczenie przy odjeździe. Gdy bowiem zapakowaliśmy na ciężarówkę komplet zapasów, dowodzący kolumną sierżant wydał przez krótkofalówkę krótki rozkaz i nagle ulica zaroila się uzbrojonymi po zęby żołnierzami w liczbie co najmniej pięćdziesięciu. Wojtyński po raz kolejny potwierdził, że nie zostawia niczego przypadkowi. Z początkiem okupacji kilka sąsiednich domów zostało wykupionych i włączonych w struktury organizacyjne oddziału przedsiębiorczego majora, a następnie przekształconych w pierwszorzędnie przygotowane i zamaskowane punkty ogniowe. Dzięki wyrafinowanemu systemowi obserwacji i sprawnej łączności poszczególne drużyny mogły trzymać pod ogniem drogi dojazdowe do fabryki, a także, na wypadek gdyby i taki pomysł przyszedł do głowy wścibskim Niemcom, wszystkie dojścia piesze. Poszczególne sekcje mogły wspierać się wzajemnie ogniem i osłaniać ewentualne drogi ewakuacji. Oddział ochrony dysponował potężną siłą ognia. Każda drużyna, poza indywidualną bronią maszynową, posiadała wielkokalibrowy karabin maszynowy, granatnik RPG i kilka granatników pallad. Do ochrony fabryki wyznaczeni zostali najlepsi żołnierze, wybrani po długiej i starannej selekcji. Być w plutonie ochrony oznaczało awans i zaszczyt nie lada.

W razie niemożności odparcia ataku, po wyczerpaniu wszelkich innych sposobów oporu, dowódca ochrony mógł podjąć decyzję o wysadzeniu całego kwartału w powietrze, teren został bowiem zaminowany, a pod samą fabrykę podłożono pół tony trotylu.

Gdy Galaś na przemian ze śmiejącym się sierżantem o tym opowiadali, uzmysłowiłem sobie z całą mocą, co w konspiracyjnych warunkach znaczą dostawy broni i ile żołnierskich istnień Wojtyński był gotów poświęcić, by strumień tych dostaw płynął nieprzerwanie.

– Zamyślił się pan. – Major stuknął mnie w ramię trzymanym w lewej ręce kubkiem kawy.

Dość ohydnej, sądząc po zapachu, ale mocnej i gorącej. Z wdzięcznością przyjąłem napój.

– Myślę o waszym życiu przez ostatnich pięć lat. Dla was, ludzi z przyszłości, zderzenie z rzeczywistością musiało być... – Nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa.

– Radykalne?

– Tak.

Kiwnął głową.

– Zapewne bardziej niż dla pana życie w Stanach.

– Z pewnością. Tam żyje się w miarę normalnie, chociaż wiele rzeczy jest nieodparcie śmiesznych, a wiele innych okropnie denerwujących. Ale jak wy tutaj...? – Nie skończyłem, nie bardzo wiedząc, jak nazwać to, o czym myślałem. Miałem wyraźne problemy z komunikacją.

– Tak, to nie było proste. Jesteśmy w końcu wyszkolonymi żołnierzami, a mimo to przeżyliśmy swego rodzaju szok. Także kulturowy, obyczajowy, a nawet językowy. Dotyczył zarówno relacji z rodakami, jak i przeciwnikiem. Zderzenie mentalności. Czym innym jest walka w ramach regularnej jednostki wojskowej, wykonywanie rozkazów, których wykonanie tyle razy trenowało się podczas ćwiczeń, a zupełnie czymś innym wlezenie z rozmysłem do paszczy lwa. My przecież, w odróżnieniu od naszych starszych braci, doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, czym będzie ta okupacja. Jak będzie wyglądało życie codzienne. I że nie ma żadnej gwarancji, że się tę wojnę przeżyje, nawet nie angażując się w ruch oporu. Ja od początku nie miałem żadnych wątpliwości, że nie ma wyboru: trzeba przeciwnika uderzyć tak mocno i gwałtownie, jak to tylko możliwe, trzeba sięgnąć do najgłębszych pokładów wiedzy i wyszkolenia, po czym spuścić je ze smyczy, odrzucając precz sumienie i ochronną warstwę cywilizacji. Na początku najtrudniej było odnaleźć się w tak upowszechnionym barbarzyństwie na masową skalę. To jest najwłaściwsze słowo – barbarzyństwo. W imię ideologii, w imię jakiegoś siłą narzuconego porządku świata. To właśnie, a nie przegraną kampanię, przyszło zaakceptować najtrudniej. Bo trzeba było odpowiedzieć takim samym barbarzyństwem, strzelać do przedstawicieli okupanta, ale też do jego kobiet i dzieci. Wielu pana dawnych podkomendnych nie mogło się w tym wszystkim odnaleźć. Ja nie miałem złudzeń, powtarzam, natomiast niektórym kolegom zajęło trochę czasu, zanim doszli do podobnych wniosków. Samoobrona, po prostu. Odpowiedzieć wojną totalną na wojnę totalną. Reszta, jak panu wspomniałem, potoczyła się sama, była to w zasadzie tylko kwestia organizacji, a na tym się trochę znam.

Patrzyłem na różowe od ognia niebo na północy. Miasto płonęło, miasto, którego major Wojtyński przyrzekł bronić ze wszystkich sił i którego z pewnością nie myślał opuścić.

– Dlaczego pan pozwala nam odjechać? – zapytałem po chwili milczenia.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam możliwości zatrzymania was...

– Ale nie musi nam pan pomagać. – Wydałem policzki na taką odpowiedź. – Obaj to wiemy.

– Nie muszę i właściwie nie pomagam – powiedział obojętnym tonem. Usłyszałem w nim jednak jakąś emocję, której do tej pory nie było.

– Nie chce pan powiedzieć, okej, szanuję to. Chociaż wydaje mi się, że mam prawo poznać prawdę, biorąc pod uwagę, jak krzyżują się nasze losy przez ostatnie dwie doby.

Po raz pierwszy, odkąd go znam, zauważyłem, że się waha.

– Dobrze, powiem panu. Jak osiągniemy cel.

– Cel?

– Wypełnimy zadanie.

O tym zadaniu mógłbym powiedzieć coś niecoś, ale chciałem usłyszeć to od majora.

– Kiedy to będzie?

– Jeszcze dziś w nocy. Przed pana odlotem.

– Zatem umowa stoi.

Wyciągnął rękę, którą uściśnąłem mocno. Odwrócił się na pięcie i odszedł bezszelestnie, prawie natychmiast znikając w ciemności.

4.

Natarcie na fort rozpoczęło się punktualnie o północy od morderczego ostrzału samobieżnego dwulufowego moździerza amos. Dwie studwudziestomilimetrowe lufy, wzniesione wysoko w sierpniowe niebo, słały salwę za salwą z chłodną, elektroniczną precyzją. Systemy lokalizacji celu i przeliczania parametrów strzału, kalkulowane przez wyrafinowany system komputerowy, były niezwykle zaawansowanymi technologicznie urządzeniami już w roku dwa tysiące siódmym. W czasie powstania porównywalne wrażenie na nieprzyjacielu wywarłby chyba atak Marsjan na latających talerzach. Kasetowe pociski, rozpryskujące się na tysiące wybuchających stalowych kulek kilkanaście metrów nad niemieckimi stanowiskami, spowodowały rzeź obrońców fortu i wzbudziły wybuch niekontrolowanej paniki, choć załoga składała się z jednostek, w których przeważali doświadczeni frontowi żołnierze. Małe eksplozujące kulki leciały z ogromną prędkością i powodowały spustoszenie, niszcząc wszystko, co spotkały na swej drodze: odcinały ręce i nogi, wywalały ogromne dziury w brzuchach i urywały głowy. Atak piechoty, wspomaganej przez twarde i rosomaki, w tych okolicznościach był już właściwie formalnością. Opór stawiały tylko nieliczne, odosobnione punkty ogniowe, pojedynczy żołnierze i działony. Czołgi wystrzeliły zaledwie kilka razy, krótko zachrypiały działka transporterów, piechota wbiegła na dziewiętnastowieczne wały ziemne, zlikwidowała celnym strzałem z RPG kilka ostatnich stanowisk i to był koniec bitwy. Pozostali przy życiu Niemcy, przerażeni i ogłuszeni rozgrywającym się z szybkością błyskawicy krwawym inferno, podnosili ręce nawet niewzywani. Nie widziałem jeszcze w życiu tak przerażonych ludzi, jednocześnie płaczących ze szczęścia, że mogą oddać się do niewoli.

Rozbrajaniem załogi, zbieraniem broni i obsadzaniem stanowisk ogniowych zajął się przejęty i rozemocjonowany kapitan z oddziału Grzymały, który z roziskrzonymi oczami taksował zdobycz: kilkanaście dział przeciwlotniczych, w tym najlepsze na świecie osiemdziesiątkósemki, kilkanaście karabinów maszynowych, broń strzelecka na dwustu ludzi i ogromne zapasy amunicji. Siła powstańczego ognia znów wzrosła.

– Tędy nikt nie przejdzie, panie majorze. Możecie spokojnie iść do przodu. Wasze tyły są zabezpieczone – meldował uśmiechnięty kapitan uśmiechniętemu Wojtyńskiemu.

Wojtyński nie miał żadnych wątpliwości, że kapitan dotrzyma słowa i pierwszej polegnie, niż przepuści niemiecki kontratak.

Pierwsza przeszkoda została pokonana.

Bitwa o fort, jakkolwiek zwycięska, miała jedną poważną wadę. Gwałtowna strzelanina zaalarmowała załogę lotniska, Fort Mokotowski zlokalizowany jest bowiem nie dalej jak pięć kilometrów od Okęcia.

Na to nie mogliśmy jednak nic poradzić. Natychmiast po przekazaniu placówki kapitanowi i jego pełnym zapału żołnierzom Wojtyński dał rozkaz do odjazdu. Piechota, uszczuplona o kilku rannych, którzy zostali w forcie, wskoczyła do rosomaków i na pancerze czołgów, i cała pancerna armada pognęła na przełaj w stronę lotniska, zostawiając po prawej stronie ulicę Raławicką.

Ciężarówka z emiterem, Rozalką i Cuprysiem na pokładzie podążała za pojazdami pancernymi, wtopiona pomiędzy pozostałe pojazdy kolumny logistycznej. Wojtyński przydzielił tej grupie, a pośrednio i Rozalce, solidną ochronę: oprócz uzbrojonych kierowców, także drużynę piechoty z granatnikiem przeciwpancernym i ciężkim karabinem maszynowym. To tylko częściowo uspokoiło Wieteskę. Kapitan był rozdarty między czymś w rodzaju poczucia obowiązku („Jak się coś zaczęło, to trzeba skoczyć” – strawestował znane powiedzenie) a obawą o żonę. Jeszcze bardziej zaniepokoił go fakt, że żołnierze ochrony, widząc, kogo przyjdzie im mieć pod swoją opieką, zaczęli się prześcigać w uprzejmościach wobec Rozalki, a także deklarowali chęć bohaterskiego oddania życia w jej obronie. Rozalka, jak to Rozalka, zapłoniona i pozornie zaskoczona taką gotowością do poświęceń, stała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, i „spuściwszy rzes firany” na swe chabrowe oczy, bawiła się skromnie końcem pszennego warkocza. Wszystkie te chwytaki Wieteska znał na pamięć, więc gdy w końcu zdecydował, że jedzie z nami w pierwszym rzucie uderzenia, był wściekły i nie wahał się dać nam do zrozumienia, że walczy w zęby każdego, kto ośmieli się powyższą sytuację skomentować. Mimo tych gróźb Galaś i Kurcewicz pękali ze śmiechu, bo sytuacja, choć powtarzała się w przeszłości z regularnością szwajcarskiego zegarka i była nam doskonale znana, nadal miała w sobie niezmiernie pokłady komizmu.

Nawet ja, zasklepiony w zadumie i żalu, uśmiechnąłem się półgębkiem, choć dusza pozostała nieodmiennie obolała.

Jechaliśmy więc w ciasnym i ciemnym wnętrzu przedziału desantowego transportera opancerzonego rosomak, tego nowoczesnego wytworu szwedzko-fińskiej myśli technicznej, która tak wspaniale broniła tyłków naszych żołnierzy w Afganistanie. Być może nasze też by chroniła w tym kamienistym i zapomnianym przez Boga zakątku świata, gdyby nie parę samodzielnych i drastycznie niezgodnych z regulaminem pomysłów pewnego wyższego oficera Wojska Polskiego, który, dostawszy do ręki mocarną amerykańską technologię, postanowił prostować historyczne zakręty Rzeczypospolitej. Jego śmiała inicjatywa spowodowała, że rosomak ów, zamiast łamać podwozie na kamieniach Kandaharu, kolebie się na swojskich wertepach mazowieckich, wioząc nas w bój z odwiecznym przeciwnikiem, któremu ciągle duszno we własnym kraju.

Przedział desantowy rosomaka może pomieścić ośmiu ludzi, oczywiście pod warunkiem, że ludzie ci nie są zbyt rozrośnięci w barach. Siedzi się bowiem w rzędzie czterech fotelików umieszczonych pod pancerną ścianą twarzą do analogicznej czwórki, zajmującej miejsce pod przeciwległą burtą transportera. Broń można trzymać wyłącznie kolbą opartą o podłogę, z lufą skierowaną w sufit. Przed wejściem do transportera starannie sprawdziliśmy zabezpieczenie broni, nie ma bowiem nic głupszego, niż polec od kuli wystrzelonej przez nieuwagę lub niedbalstwo z własnej broni. Tak więc, stłoczeni w ciasnym wnętrzu, starannie omijaliśmy kołyszące się lufy i mierzyliśmy się wzrokiem. Kurcewicz ze swoim nieodłącznym garandem, Wieteska i ja z thompsonami, a Galaś dzierżący ręczny karabin maszynowy bren. Stanowiliśmy zgraną paczkę, w której mniej chodzi o zależności służbowe – choć nadal byłem ich dowódcą – a więcej o zaufanie, wiarę w umiejętności swoje oraz kolegów i przyjaźń.

Obok nas, z marsowymi minami, siedziała czwórka żołnierzy Wojtyńskiego. Nie znałem ich. Byli najwyraźniej miejscowi, czyli porządnie i po ludzku urodzeni w latach dwudziestych, w odróżnieniu od nas, z ich punktu widzenia urodzonych nie wiadomo kiedy.

Wieteska nachylił się do mnie. Zachęcony tym gestem, nachyliłem się także, zetknęliśmy się więc hełmami. Siedzieliśmy na samym końcu transportera, tuż przy masywnych drzwiach pancernych, oddzieleni od reszty potężną sylwetką kapitana Kurcewicza i kręcącym się Galasiem.

– Zabawne, nie? – zagaił Wieteska, dmuchając mi prosto w nos.

– Pewnie tak. Ale co mianowicie?

– Popatrz na nich. – Wskazał oczami naszych siedzących w głębi transportera akowskich kolegów. – Mają na sobie mundury w afgańskim maskowaniu, kamizelki kuloodporne, beryle i kevlarowe hełmy. A popatrz na nas. Szyty przez krawcową kombinezon z płótna, skórzane pasy na amunicję i broń z drugiej wojny światowej.

– Jest druga wojna światowa – mruknąłem.

– Nie o tym mówię. Mówię o kontraście.

– Załapałem. Tak mi się powiedziało. W istocie to zabawne.

– Wiesz co? Tak sobie myślę i myślę...

– Zdumiewające – wyrwało mi się.

– Och pipe down, bastard. Chodzi mi o to, że jak się rozglądam dookoła i widzę, co zrobiliśmy i robimy dla tych ludzi, to sobie myślę, że może Dreszer miał rację...

Generał brygady Lucjan Dreszer był owym wysokim oficerem Wojska Polskiego, który wskutek informatycznej manipulacji wysłał nas w przeszłość.

– Rację? A w jakiej kwestii? – zaciekałem się bez entuzjazmu.

– ...a jednocześnie był strasznie głupi. Gdyby był mądry i naprawdę chciał zmienić przebieg wojny, wtedy, pięć lat temu, to powinien był wysłać albo znacznie większy oddział wojska, na przykład dywizję pancerną na leopardach i klucz F-16...

– Albo? – zachęciłem go, bo zamyślił się głęboko i cisza przerywana tylko rykiem silnika i przekleństwami żołnierzy przedłużała się ponad zwykłą miarę.

– ...albo wysłać do przeszłości paru fachowców, którzy mogliby otworzyć miejscowym notablom oczy na to i owo. Wyobraź sobie, co by było, gdyby taka ekipa pojawiła się na przykład rok przed wybuchem wojny. Skoro marszałek Rydz uwierzył tobie, uwierzyłby także i takiej misji rok wcześniej. I można by uruchomić produkcję, taką na masową skalę, na przykład granatników RPG. Człowieku, wiesz, co by się działo, gdyby w każdej drużynie piechoty w trzydziestym dziewiątym był ergiepepanc? Blitzkrieg zakończyłby się dwadzieścia kilometrów od granicy. Ja już nie mówię o rakietach, silnikach odrzutowych i takich tam duperelkach. Ile możliwości taktycznych, ile możliwości zażycia z mańki... – Rozmarzył się.

– Wspaniała perspektywa. Jak wrócimy w nasze czasy, odnajdziemy generała i napomkniemy mu, że są jeszcze wspanialsze możliwości odkręcenia historii.

– To jest osobny temat. – Kiwnął głową, waląc mnie w rant hełmu. – I ty się lepiej nad tym zastanów. Mówię poważnie.

– Nad generałem?

– Nie, panie kolego. Pomyśl o tym, co zrobimy po powrocie w nasze czasy.

– Taaa. Bardzo ciekawe zagadnienie. Na razie myślę o tym, co się stanie za piętnaście minut.

– No jasne, to też jest ciekawe – zgodził się nadspodziewanie łatwo. – Sugerujesz, że będzie ciężko?

– Obawiam się, że będę zmuszony wziąć pod uwagę taką możliwość, o ile nie masz nic przeciwko temu, przyjacielu – odpowiedziałem w angielskim stylu, dziwiąc się samemu sobie, jak zdobyłem się na tak lekki, konwersacyjny ton.

Kurcewicz i Galaś, słuchający jednym uchem tej surrealistycznej wymiany zdań, uśmiechnęli się jak na komendę.

I zapewne dojechalibyśmy na miejsce w całkowicie szampańskich nastrojach, gdyby nie potężna eksplozja, która zagrzmiała nie dalej jak kilka metrów od transportera. Wóz zakołysał się i jęknął pancernymi blachami. Małeńkie żaróweczki, rozjaśniające wnętrze niczym gromada robaczek świętojańskich, zgasły. Poczulem woń spalenizny. Nie wiadomo skąd pojawił się dym.

Jednak transporter zachował zdolność bojową. System przeciwpożarowy zadziałał bez zarzutu i błyskawicznie polał nas jakąś śmierdzącą miksturą. Dym zniknął. Dowódca wykrzyknął niezrozumiałą dla mnie komendę i celowniczy działa, widząc znacznie lepiej odczytawszy intencje przełożonego, nacisnął spust. Transporter ponownie zatrzęsł się, jednak tym razem było to regularne, szybkie drżenie, brzmiące w naszych uszach jak niebiańska muzyka. Trzydziestomilimetrowe pociski, wbrew swemu niewielkiemu kalibrowi, były śmiertelnie skuteczne. Seria, choć stosunkowo krótka, musiała załatwić sprawę, bo

nieprzyjacielski działon nie odezwał się więcej. Nie ma takiego działonu i jego obsługi, która przeżyłaby ostrzał działka rosomaka w otwartym polu.

– Z wozu! – ryknął dowódca, obracając się w naszą stronę. Tym razem komenda była całkowicie jasna. – Koniec wożenia dupy.

Szarpnąłem za znajdujący się po mojej prawej stronie uchwyt i pancerne drzwi ustąpiły lekko. Wskoczyłem na zewnątrz i wyjrzałem zza szerokiej rufy transportera. Krajobraz oświetlony bliższymi i dalszymi pożarami, ozdabiany wybuchami granatów artyleryjskich i czołgowych, a także przecinającymi niebo ciągami smugowych pocisków, był niezwykle, majestatycznie groźny i fascynująco atrakcyjny zarazem.

Jeśli zdobycie Fortu Mokotowskiego uznamy za pierwszą odsłonę bitwy decydującej o losach powstania warszawskiego, jej drugi akt właśnie się rozpoczął.

IX. LOTNISKO

1.

Oba złożone z piechoty skrzydła nie brały udziału w zdobyciu Fortu Mokotowskiego, a ponieważ zostały wysłane z miejsca zbiórki w drogę na godzinę przed atakiem, bez większych przeszkód zajęły, i to przed czasem, pozycje wyjściowe do natarcia. Spodziewaliśmy się silnego oporu licznej, dobrze uzbrojonej i solidnie ufortyfikowanej załogi niemieckiej, toteż Wojtyński postanowił ponownie wykorzystać atut precyzyjnej i niszczycielskiej siły ognia moździerza amos. Obie lufy powędrowały w górę, komputery ustaliły trajektorie lotu, w zamki wsunięto kasetowe pociski i dowódca dał rozkaz do ataku. Intencją majora było wyrąbanie wyrwy w niemieckiej linii obrony, po czym zaatakowanie jej siłami pancernymi. Liczył na to, że gdy czołgi znajdą się już wewnątrz nieprzyjacielskich linii, ostrzelają wroga od tyłu, co umożliwi atak piechocie.

Jak się rzekło, przezorny major nie zostawiał niczego przypadkowi. Dzięki działaniom wywiadowczym garnizon niemiecki był starannie rozpracowany, pozycje dział i karabinów maszynowych ustalone i zaznaczone na mapach. Każdy dowódca kompanii wiedział, kogo ma przed sobą i czego może się po nim spodziewać. Wojtyńskiemu obce były metody walki polegające na szaleńczym i bezowocnym szturmie na działa i kaemy. Wolał je oskrzydlić i zaatakować z boku lub od tyłu, w ostateczności przełamać pancernym i artyleryjskim impetem.

Tak więc amos grał swą ponurą uwerturę, wysadzając w powietrze starannie przygotowane przez nieprzyjaciela stanowiska. Dowódca moździerza, wyszkolony onegdaj przez najlepszego artylerzystę Rzeczypospolitej kapitana Wójcika, był fachowcem pierwszej klasy, nadrabiając skutecznością ognia mizerną ilość luf. Zmieniał amunicję: kasetowe pociski, morderczo skuteczne w walce z piechotą i stanowiskami artylerii, zastąpił ładunkami odłamkowo-burzącymi, lepiej nadającymi się do rozbijania ziemnych fortyfikacji. Gdy otrzymał wiadomość od obserwatora, że na przedpolu pojawiły się nieprzyjacielskie czołgi, polecił użyć specjalnych pocisków sterowanych brzechwowo i naprowadzanych na źródło ciepła wytwarzane przez silniki czołgów przez czujnik podczerwieni.

Po kilku minutach ostrzału Wojtyński dał sygnał i pancerna grupa, złożona z dwóch czołgów i czterech rosomaków, ruszyła do przodu, flankowana przez biegnącą po bokach

piechotę, w tym naszą czwórkę. Amos swoje zadanie wykonał bardzo rzetelnie, nie odezwał się bowiem na razie żaden niemiecki kaem, żadna lufa działowa nie wiodła po nas okiem celownika, a żaden dowódca nie wydawał rozkazu do otwarcia ognia. Gdy zdyszani dobiegliśmy do pierwszej linii umocnień, ukazał się widok przedstawiający zgoła księżycowy krajobraz. Masy trupów, tony powyginanego i porozdzieranego na wszystkie strony żelastwa, kilka dymiących samochodów i amunicyjnych jaszczy, które swoimi eksplozjami niewątpliwie przyczyniły się do porażki tego odcinka obrony. Przekraczaliśmy ostrożnie teren, jednocześnie uważając pod nogi i starając się za bardzo nie rozglądać dookoła.

Jednak noktowizyjne przyrządy twardych musiały dowódcom pokazać coś niepokojącego, bo oba czołgi dały ognia niemal równocześnie. Pociski eksplodowały jakieś pięćset metrów dalej, rozjaśniając blaskiem nocne niebo. Jeden po drugim otworzyły ogień rosomaki, a amos, zgodnie z rozkazem osobiście dowodzącego natarciem Wojtyńskiego, przeniósł ostrzał na drugą linię obrony.

Umocnienia, chroniące lotnisko i zlokalizowane w bezpośredniej bliskości pasów startowych, obejmowały szereg stanowisk artylerii przeciwlotniczej i polowej, umocnione workami z piaskiem gniazda karabinów maszynowych, kilka betonowych bunkrów, nie mówiąc o zasiekach z drutu kolczastego i minach. Nasze czołgi ponownie ruszyły do przodu, poprzedzone drużyną saperów, która pod nieprzyjacielskim ogniem dokonywała niezwykłych wyczynów, próbując oczyścić natarciu drogę. Toteż zarówno czołgi, jak i rosomaki, by osłonić kolegów, strzelały jak najszybciej i jak najcelniej, aby zatkać rozwrzeszczane gęby niemieckich maszynek. Jednak nie zawsze wszystko się udaje, toteż skrajny prawy rosomak otrzymał trafienie z osiemdziesiątki. Błysk był oślepiający, huk niemal wyrwał nam bębny z uszu, choć scena odbywała się dobrych pięćdziesiąt metrów od nas. Transporter zatrzymał się, skryty prawie całkowicie za chmurą dymu. Przedział bojowy rosomaka chroniony jest całkiem grubym pancerzem, a także imponującym dieslowskim silnikiem szwedzkiej firmy Scania. Jednak energia pocisku niemieckiej pelotki była wystarczająca, aby przebić pancerz, silnik roztrzaskać w drobny mak i ciężko ranić kierowcę. Dowódca wozu zareagował błyskawicznie: polecił celownicemu wyciągnąć kierowcę i wynieść go na zewnątrz tylnym wyjściem, a sam włączył ręcznie zablokowany przez wstrząs system przeciwpożarowy. Dzięki temu udało się ocalić większość żywotnych części transportera, a co najważniejsze, zachować zdolność do prowadzenia ognia. I dowódca wozu z tej możliwości skorzystał niemal natychmiast. Kierując się dobrze pojętym poczuciem sprawiedliwości, poszukał za pomocą noktowizyjnego celownika sprawcy uszkodzenia wozu i ciężkiego poranienia jednego z członków załogi, wycelował i nacisnął spust. Dwadzieścia pocisków poleciało do celu i eksplodowało idealnie w zamierzonym miejscu. W ułamku sekundy działon wraz siedmioosobową załogą przestał stanowić jakąkolwiek wartość bojową. Niebo po raz tysięczny zapłakało nad tą stratą.

– Trzymaj! – Poczulem, że coś mnie uderza w bok. To Wieteska wyciągał w moją stronę

rękę z kevlarową kamizelką.

– Skąd to? – By przebić się przez huk palby, pytanie musiałem wykrzyczeć.

– Zdjąłem z jednego nieboszczyka – odparł. – Całkiem mu głowę urwało, więc pewnie już mu się kamizelecza nie przyda.

– A ty? – zapytałem, biorąc pochlapany krwią prezent.

– Ja się zaraz zaopatrzę. Okazji nie zabraknie.

Było to całkiem pesymistyczne stwierdzenie, ale nie dyskutowałem dłużej. Włożyłem ciężką i niewygodną kamizelkę i od razu poczułem się nieco pewniej. Szanse przeżycia wzrosły o całkiem spory procent.

Drużyna biegnąca na prawo od nas dostała się w krzyżowy ogień karabinów maszynowych. W jednej chwili piętnastu ludzi biegło co sił, krzykiem dodając sobie otuchy i strzelając z biodra. W następnej – cała piętnastka znalazła się na ziemi, przy czym tylko mniejsza część żołnierzy ten manewr wykonała świadomie. Ponad połowa członków oddziału leżała nieruchomo lub krzyczała wniebogłosy, wzywając Pana Boga, matkę i sanitariuszy na pomoc.

My stanowiliśmy następny cel, więc bez specjalnej komendy jak jeden mąż upadliśmy na ziemię. Cała czwórka, jakby poruszana jedną myślą, wyciągnęła z przytroczonych do pasa pojemników noktowizyjne gogle, pozostałość po dniach świetności i chwały bitewnej Pierwszego Samodzielnego Batalionu Rozpoznawczego. Świat natychmiast stał się zielony, jaskrawymi, oślepiającymi błyskami wskazując nieprzyjacielskie punkty ogniowe.

Zabraliśmy się do pracy metodycznie. Wróg oddalony był mniej więcej o dwieście metrów, stanowczo za daleko na skuteczny strzał z thompsona. Dla Kurcewiczka natomiast, używającego amerykańskiego karabinu garand z optycznym celownikiem, dwieście metrów to było tyle co nic. Również dla brena nie był to zbyt wymagający dystans. Toteż obaj operatorzy bez zbędnych wahań otworzyli ogień w niespełna pół minuty po klęsce sąsiedniej drużyny. Wieteska i ja przejęliśmy w tej sytuacji rolę amunicyjnych.

Wojtek nie śpieszył się, naciskał spust nie częściej niż sześć, siedem razy na minutę. Jednak każdy strzał był perełką. Jako pierwszy, w sam środek czoła, trafiony został celowniczy kaemu, który skosił sąsiadów. Jako drugi padł amunicyjny, po nim trzeci żołnierz, ten od targania podstawy. Kapitan przeniósł ogień na sąsiednie stanowisko, które również po krótkiej chwili przestało strzelać. Zmieniliśmy pozycję, bo jakieś inne kaemy zaczęły się niebezpiecznie wstrzeliwać w miejsce, gdzie leżeliśmy. Po zmianie stanowiska Wojtek ponownie otworzył ogień, jak zwykle niewzruszony i po szwajcarsku precyzyjny.

Był nie tylko świetnym czołgistą. Był nie tylko najlepszym strzelcem, jakiego znałem.

Był najlepszym cholernym strzelcem na świecie.

Niemal tak samo dobrze radził sobie były kapral nadterminowy wojsk łączności Józef Galaś. Ten cwany potomek mazowieckich rolników, którego inteligencja była odwrotnie proporcjonalna do wykształcenia, wśród rozlicznych przymiotów odznaczał się sokolim

wzrokiem, nerwami ze stali, a także wyczuciem terenu i dystansu. Ciężki bren, niełatwy w obsłudze i o stosunkowo małej szybkostrzelności, w rękach kaprała stał się absolutnie wystarczającym powodem, dla którego Niemcy będą po wsze czasy przeklinać moment, w którym Galaś stanął na ich drodze. Bren burczał jak alkoholik pozbawiony porannego klina i w szybkim tempie rozszczał niemiecki system obronny. Najpierw jedno, zaraz potem drugie niemieckie stanowisko ogniowe umilkło jak niepyszne, a przytulony do kolby Galaś prażył długimi, mierzonymi seriami, niespecjalnie przejmując się alarmująco dużym zużyciem amunicji.

W ten sposób wyrąbaliśmy sobie drogę. Gdy zobaczyłem przed sobą względną ciemność – w kategoriach powstańczych, rzecz jasna – poderwałem moich towarzyszy na nogi i pobiegliśmy w kierunku lotniska.

Za nami strzelał unieruchomiony rosomak. Kątem oka zauważyłem, że także na lewo od nas podrywa się do biegu zdziesiątkowana drużyna. Z prawej również majaczyły niewyraźne sylwetki atakujących, a w tle warczał silnik twardego.

Potknąłem się o jakiegoś martwego Niemca, przeokożkowałem, omal nie wybijając sobie zębów lufą thompsona, po czym wpadłem do niemieckiego okopu. Zanim zdołałem podnieść się na nogi, oszołomiony nieco upadkiem i oślepiony przez noktowizor, który zsunął się z oczu gdzieś na brodę, poczułem potężne uderzenie w okolicy mostka.

Pchnięty impetem ciosu, poleciałem na ścianę okopu. Musiałem oprzytomnieć w jednej chwili, bo instynkt walki podpowiedział mi, że drugie uderzenie nie będzie równie bezskuteczne. Gdy wpatrzyłem się w ciemność, dostrzegłem błysk stali, atakującej tym razem moje gardło. Użytkownik założonego na mauzera bagnetu doszedł do wniosku, że skoro nie odniósł sukcesu przez proste pchnięcie w brzuch, poprawi ciosem w tchawicę, i to z pewnością odniesie pożądany skutek.

Absolutnie zgadzałem się z nim co do wyboru celu: tak, mój niemiecki adwersarz, pchnięcie w tchawicę bez wątpienia odniesie pożądany skutek i pozbawi mnie życia, w okropnych męczarniach na dodatek.

Gdy ten potężny drab – może tylko wydawał mi się potężny w ciemnościach rozświetlonych przez strach i woń śmierci – rzucił się w moim kierunku z wyciągniętym karabinem, celując precyzyjnie i fachowo tuż poniżej brody, prawą ręką zbiłem uderzenie i spowodowałem, że bagnet wraz z karabinem i swoim właścicielem wbił się w ścianę okopu. Uderzenie było mocne, nadgarstek, który brutalnie zderzył się chłodną stalą lufy, bolał jak cholera, ale osiągnąłem cel. Zanim Niemiec, oszołomiony kolejnym sfuszerowanym atakiem, pomyślał o dalszych krokach, z całej siły uderzyłem go lewą pięścią w bok szyi. Cios był ryzykowny, bo gdybym trafił pięć centymetrów wyżej, najprawdopodobniej żaden chirurg nie poskładałby z odłamków kości mojej dłoni, rozbitej o stalowy hełm. Trafiłem jednak tam, gdzie chciałem, więc Niemiec zakrztusił się i sparaliżowany szokiem puścił karabin, który zadyndał na wbitym w glinę bagnecie. Zanim był w stanie przedsięwziąć jakiegokolwiek kroki

obronne, odskoczyłem, wyciągnąłem z kieszeni rewolwer i wystrzeliłem dwukrotnie. Facetem rzuciło aż na przeciwległą ścianę okopu. Myślę, że nie żył już w momencie, gdy nogi ugięły się pod nim i obsunął się na piaszczystą podłogę.

Dyszałem jeszcze, rozszerzonymi oczyma wpatrując się w trupa, gdy do transzei wskoczył Wieteska.

– Żyjesz? – zapytał retorycznie, jednym spojrzeniem omiatając mnie, martwego przeciwnika i dalsze rejony okopu.

– Jakoś. – Bolał mnie kręgosłup, w ustach miałem czysty kwas. – Bywało lepiej.

– Jakoś się o ciebie nie martwię – rzucił na pocieszenie. – Jakoś zawsze tak jest, że twoi wrogowie nie przeżywają konfrontacji.

Skrzywiłem się.

– Gdzie reszta?

– Polecieli do przodu. Szkopy wieją, aż się kurzy.

– To dobrze. – Zerknąłem jeszcze raz na martwego Niemca, po czym wdrapałem się na górę okopu. Spojrzałem na Wieteskę z góry. – Dziękuję.

– A za co niby? – zdziwił się fałszywie.

– Już ty wiesz za co – odparłem.

Martwy powstaniec z oderwaną głową i kapitan Wieteska uratowali mi życie. Gdyby nie nałożona chwilę wcześniej gruba warstwa kevlaru, pierwszy cios bagnetem niewątpliwie byłby śmiertelny.

Galopada sprzecznych myśli i rozchwianie emocjonalne stały się ostatnio integralnymi składnikami mojej osobowości. Moim znakiem firmowym nawet.

2.

Atak piechoty z obu skrzydeł dobił ostatecznie niemiecką obronę, solidnie przerzedzoną i osłabioną natarciem pancernego zagonu. Górę wzięła nowoczesna technika. Czołgi nie musiały podjeżdżać na bliski dystans, aby likwidować niemieckie stanowiska ogniowe, jako że skuteczny zasięg ognia twardego wynosi półtora kilometra. Dzięki noktowizji i precyzyjnym cyfrowym przelicznikom mogły prowadzić niezwykle skuteczny ostrzał, niwelując w ten sposób liczebną przewagę przeciwnika. Niemiecki dowódca wysłał co prawda w bój skromne siły pancerne, ale poległy one, zanim na dobre dotarły na plac boju. Wojtyński bowiem, czujnie obserwujący przedpole i słuchający meldunków dochodzących ze wszystkich stron, wydał polecenie dowódcy amosa i ten ponownie zaordynował użycie samonaprowadzających się pocisków przeciwpancernych. Z różowego od ognia i zasnutego dymem sierpniowego nieba nadlecieli skrzydlaci posłańcy złej nowiny. Nieliczne pantery i tygrysy zapłonęły jasnym płomieniem, słupami czarnego, gryzącego dymu zaznaczając

pozycje swej klęski.

Piechota dotarła do pasów startowych kilka minut po nas, prowadząc wielkie gromady jeńców. Ogólnie natarcie nie zanotowało zbyt wielkich strat. Słuszne okazały się rachuby Wojtyńskiego, który liczył na to, że przerwanie niemieckiej obrony przez nasz taran pancerny okaże się decydujące. Niemcy stracili pewność siebie, gdy doszły ich odgłosy bitewne rozlegające się na ich tyłach, więc bronili się miękko. Zresztą gwałtowność i precyzja ataku naszej piechoty przeszły wszystko, co ci doświadczeni frontowi żołnierze do tej pory widzieli. Szturm wsparty był licznymi wukaemami i moździerzami dziewięćdziesiąt osiem milimetrów i został przeprowadzony niezwykle składnie i profesjonalnie. Żołnierze nie szturmowali stanowisk ogniowych na wprost, lecz obchodzili je bokiem lub czekali, aż zlikwidują je moździerze. Dzięki precyzyjnej koncentracji ognia na wybranych odcinkach udało się uzyskiwać lokalne przewagi i w konsekwencji rozszerzać je na sąsiednie rejony. Małe grupy Niemców broniły się jeszcze w budynkach dworca lotniczego, jeszcze czekało jakieś niedobite działo, jeszcze zaatakowała w rozpaczy mała grupka lotników, próbujących przebić się przez pierścień okrażenia. Ale niewątpliwie były to ostatnie podrygi niemieckiej obrony.

Nikt z nas nie przewidywał, że najgorsze dopiero nadejdzie.

3.

– Gratuluję – powiedziałem dziesięć minut później. – Poprowadził pan to natarcie jak w grze komputerowej.

– Dziękuję – odparł. – Mieliliśmy dobre informacje, to wszystko. Wiedzieliśmy dokładnie, gdzie uderzyć.

– Skromność, skromność. – Pokiwałem głową.

– Po prostu realistyczna ocena sytuacji. – Uśmiechnął się leciutko, widać było jednak, że jest zadowolony.

Na lotnisku wrzała gorączkowa praca. Ponieważ dołączyła do nas reszta zgrupowania pułkownika Grzymały, liczne grupy żołnierzy starannie przeczesywały teren w poszukiwaniu broni i amunicji. Plon był więcej niż obfity. Zdobytego na Niemcach uzbrojenia starczyć mogło na wyposażenie dwóch pełnych batalionów piechoty i kilku baterii artylerii. Wojtyński natychmiast polecił obsadzić linie obrony, a na wszystkie strony wysunął szereg silnie uzbrojonych patroli, które miały za zadanie wyłapywać niedobitych Niemców, ale przede wszystkim informować dowódcę o wszelkich ruchach nieprzyjaciela.

Przed jednym z budynków zaparkowały czołgi i pozostałe przy życiu rosomaki. Czwarty transporter, ten trafiony podczas ataku, okazał się niestety zbyt mocno uszkodzony, aby dało się go uruchomić. Wojtyński zatem z ciężkim sercem rozkazał przekształcić go w nieruchomy punkt ogniowy. Jak zwykle w takich sytuacjach wydano polecenie bardzo dokładnego

wybebeszenia pojazdu z wszelkiego zbędnego wyposażenia. Na pokładzie pozostały tylko przyrządy celownicze i amunicja. Major bardzo starannie dbał o to, aby nawet cząstka zaawansowanej militarnej technologii nie wpadła w ręce nieprzyjaciela.

– Galaś – mruknąłem do kaprała, gdy zostaliśmy we własnym towarzystwie. – Nawiąż łączność z samolotem, co?

– Melduję posłusznie, że tak jest, panie pułkowniku. Już nawiązałem. Jak tylko dotarł nasz samochód, to wskoczyłem na pakę i połączyłem się z załogą.

– I?

– Jest okej, panie pułkowniku. Na razie nic ich jeszcze nie zestrzeliło ani nie skopał im tyłka żaden nocny myśliwiec. Za pół godziny powinni lądować.

To były wspaniałe wieści. Spojrzałem na zegarek. Było wpół do drugiej.

– Punktualni są.

– No. Amerykańska organizacja. – Kaprał dumnie się wyprężył, oczekując pochwał. – Rach-ciach i będziemy w domu. A co robimy z Cuprysiem?

– Właśnie. Co robimy? Johnny – zaczepiłem wczepionego w Rozalkę lotnika. Jak zwykle nie mógł przepuścić żadnej okazji do przytulenia żony, wzbudzając, całkowicie świadomie zresztą, zazdrosne spojrzenia biegających dookoła żołnierzy.

– No?

Pociągnąłem go za rękaw i odeszliśmy kilka kroków w bok.

– Co robimy z Cuprysiem?

– A bo ja wiem? Może go zastrzelmy. Tylu dziś ludzi zabiliśmy, że jeden wte czy wewte nie będzie stanowił różnicy.

– Okej. Zrobisz to?

– Ja nie. Ale myślałem o tobie.

– Ja też nie.

– To niech idzie w cholere.

– Może tak. Jeżeli wróci do szkopów, to nam raczej nie nabruździ. Wojtyński co miał zrobić, już zrobił. A my też...

– Zaraz odjeżdżamy – dokończył za mnie kapitan.

– Właśnie. Wypuść go, dobra? Tylko żeby Wojtek i Galaś nie widzieli, bo nie chce mi się tego wszysdłego tłumaczyć.

– Nie lubię gnojka, ale co mi tam.

Poszedł w stronę ciężarówki. Aby ułatwić mu zadanie, wdałem się w rozważania o szczegółach naszego powrotu do Ameryki, skutecznie absorbując uwagę obu moich towarzyszy broni, a także Rozalki.

Nad lotniskiem powoli zapadała cisza, przerywana odległym dudnieniem artylerii strzelającej gdzieś za Wisłą. W Śródmieściu i na Woli przybyło łun pożarów. Miasto walczyło zażarcie o swe istnienie.

Pomyślałem o zawartości przedziału ładunkowego ciężarówki. Uświadomiłem sobie stawkę, o jaką gramy, i cenę, jaką przyszło nam za to zapłacić. Mnie przyszło zapłacić. Co gorsza, może się okazać, że całe nasze wysiłki i straty, śmierć Wilgata i Nancy, pójdą na marne. Przyszłość była niepewna i mglista, działania, które podjąłem, wysoce ryzykowne i opatrzone wieloma niewiadomymi. Byłem śmiertelnie zmęczony i wszystko bolało mnie w środku. Jeżeli nie machnąłem ręką na dalszą walkę o lepsze jutro, to tylko dlatego, że czułem się jakoś odpowiedzialny za moich niczego nieświadomych towarzyszy i zobligowany do działania ostatnią wolą Nancy.

Odetchnąłem głęboko. Nie miałem wyboru. Co miałem zrobić, już zrobiłem. Teraz i tak nie miałem wielkiego wpływu na dalsze wydarzenia.

4.

– Lecą! Panie pułkowniku, jak bum-cyk-cyk. Lecą! – dobiegł mnie uradowany głos Galasia.

– Nie krzycz – powiedziałem, czując mrowienie w żołądku. Rzeczywiście, usłyszałem w oddali delikatne mruczenie lotniczych motorów. – Też ich słyszę.

Kurcewicz uśmiechnął się szeroko. Marzenia powoli stawały się rzeczywistością.

– Jakoś coś mi się zdaje, że chyba ich więcej leci – mruknął Wieteska, w kwestiach lotniczych najwyższy autorytet.

– Więcej? – zapytałem.

– To nie są cztery silniki. Pomnóż to sobie przez... – zastanowił się, uważnie nasłuchując – ...pięć?

– Pięć? Pięć samolotów po nas leci? – zdumiał się Kurcewicz. – Na każdego z nas po jednym? Co za bzdury.

– Jakie bzdury? Mówię poważnie. Pięć samolotów. Co najmniej – zakomunikował nieznoszącym sprzeciwu tonem Wieteska i spojrzał na mnie. – Chciałbyś nam o czymś powiedzieć?

Wzruszyłem ramionami.

– Sami się zaraz przekonacie. Na wyjaśnienia będziemy mieli całe życie.

– Tajemniczy Don Pedro, psiakrew. Jak ja nie znoszę tych wywiadowczych sekrecików... – pieklił się.

Bystry był ten mój przyjaciel lotnik.

Huk motorów nasilił się. Piloci, naprowadzani uruchomionymi przez żołnierzy światłami wyznaczającymi obrys pasa startowego, podchodziły ostrożnie do lądowania. Po kilku minutach ciężkie maszyny, jedna po drugiej, dotknęły kołami betonowej ścieżki i zaczęły wyhamowywać swój bieg.

Wieteska pomylił się o jedną maszynę. Na Okęciu wylądowało sześć czterosilnikowych bombowców Consolidated B-24 liberator.

Gdy samoloty zatrzymały się, podkołowawszy w pobliże zabudowań dworca, a piloci zaczęli wyłączać silniki, może o kilometr na zachód od nas wystrzeliła w górę biała rakietą, a zaraz po niej druga. Jednocześnie dobiegł stamtąd wściekły odgłos gwałtownie narastającej palby. Pomiedzy budynkami dworca lotniczego i zgromadzonymi tłumnie ciężarówkami kolumny transportowej zaczęły padać pociski artyleryjskie, miotając dookoła furie żelaznych odłamków.

Niemcy zdawali sobie doskonale sprawę, co oznacza przechwycenie lotniska przez siły powstańcze. Panowanie nad tym wybetonowanym kawałkiem terenu pozwalało trzymać w ręku klucz do zwycięstwa. Toteż dowództwo 9. Armii ścigało w ten rejon wszelkie możliwe odwody. Nasze siły zaatakowała część sławnej dywizji Hermann Goering wsparta batalionem czołgów, wyposażonym w najnowsze wersje tygrysów i panter. Niemiecki dowódca miał do dyspozycji blisko dwa i pół tysiąca ludzi oraz pięćdziesiąt czołgów i dział pancernych.

5.

Wojtyński zareagował z szybkością i agresją zaatakowanej przez myśliwego pantery. Powiadomiony o zbliżających się Niemcach przez wysuniętą czujkę ubezpieczenia na kilkadziesiąt sekund przed rozpoczęciem ostrzału, natychmiast wysłał na zagrożony odcinek oba czołgi i trzy sprawne rosomaki, kompanie Orzeł 2 i 3 oraz pełny batalion żołnierzy pułkownika Grzymały. Amos znów wysunął w niebo swe śmiercionośne paszcze i po otrzymaniu meldunków od obserwatora rozpoczął planowy i precyzyjny ostrzał nieprzyjacielskich stanowisk artyleryjskich, które w tej chwili stwarzały największe zagrożenie. Jednak Niemcy dysponowali przewagą liczebną, zwłaszcza w zakresie artylerii. Podciągnęli kilka baterii stu pięćdziesięciomilimetrowych, sześciolufowych moździerzy raketowych nebelwerfer, ochrzczonych później przez ludność Warszawy „szafami” oraz „krowami”. Pierwsze salwy zmiotły budynki dworca lotniczego i zniszczyły kilka zaparkowanych nieopodal ciężarówek. Znajdujący się w pobliżu amos zmuszony był do szybkiej zmiany stanowiska, co oczywiście wiązało się z chwilowym przerwaniem ognia. Zmierzające na pole walki siły wysłane przez Wojtyńskiego również znalazły się pod ciężkim ostrzałem i zaległy, próbując przetrwać nawałnicę. Bezpośrednim trafieniem unieruchomiony został jeden z rosomaków. Jego pancerz, choć przedniej klasy, nie wytrzymał uderzenia stu pięćdziesięciomilimetrowego pocisku i transporter w jeden chwili zamienił się w rozpruty wrak.

– Biercie ciężarówkę i do samolotu! Już! – wrzasnąłem do Wieteski, gdy pierwsze

pociski uderzyły w budynki.

– A ty? – odwrzasnął kapitan, próbując przekrzyczeć łomot eksplozji i walących się murów.

– Ja się tu jeszcze przydam.

– Nie pieprz! Wracamy wszyscy – zaprotestował.

– Nie ma czasu. Zjeżdżajcie, ale już! – Działąłem czysto intuicyjne. Nie miałem ochoty zostawać w Warszawie, czułem jednak, że nie mogę opuścić Wojtyńskiego wraz z jego ludźmi i po prostu wyjechać.

Wieteska, widząc, że ogień zaczyna dosięgać samochodów, kląnąc i złorzecząc, odwrócił się na pięcie i pobiegł, zgarniając po drodze resztę towarzystwa. Uznał być może, że najpierw należy ratować, co się da, i wywieźć spod ostrzału własny tyłek, bo będąc martwym, na pewno mnie nie przekona do odjazdu. Zdażył wskoczyć do szoferki i ruszyć dokładnie w momencie, gdy wybuch szarpnął sąsiednim samochodem. Nasza ciężarówka zachwiała się, plandeka zaświeciła tysiącem dziur, ale stary wehikuł ruszył z kopyta.

Mocno trzymając thompsona w garści, pobiegłem dokładnie w przeciwną stronę. Dym zasnuwał pole bitwy, więc widoczność była mocno ograniczona. Zacząłem kaszleć i kichać, dym wdzierał się w nozdrza i do gardła, żar palił przez ubranie. Z tego powodu nie zauważyłem leżącego na ziemi człowieka. Fiknąłem do przodu, zamortyzowałem rękoma upadek, po czym korzystając z doświadczenia judoki, miękko stanąłem na nogach, wykorzystując resztę energii kinetycznej przewrotki. Gdy spojrzałem w dół, ze zdumieniem stwierdziłem, że przeszkodą, o którą się potknąłem, był major Wojtyński.

Leżał na plecach w nadpalonym i podartym mundurze. Kamizelka kuloodporna wzięła na siebie impet eksplozji i w dziewięćdziesięciu procentach wyhamowała go. Jednak pozostałych dziesięć procent spowodowało u majora poważne rany i obrażenia. Lewą rękę miał niemal oderwaną, krew uchodziła z rany szerokim strumieniem. Również powyżej kolana musiał ugodzić odłamek.

Mimo to był przytomny.

Zdrową ręką próbował sobie zrobić opatrunek, zaciskając zęby i mrucząc coś pod nosem.

Klęknąłem i zacząłem tamować krwawienie z rany na nodze.

– Sanitariusz! – rozdarłem się. Nie widziałem żadnego, widoczność była ograniczona do kilku metrów.

– Niech pan da spokój – powiedział słabo. – Już za późno.

– Nigdy nie jest za późno.

– Dla mnie jest.

Nie słuchałem go, rozglądając się rozpaczliwie dookoła. Odczuwałem przemożną konieczność utrzymania tego człowieka przy życiu.

– Obejmę dowodzenie – powiedziałem, gdy w końcu pojawiło się dwóch sanitariuszy, którzy bez zwłoki, kompetentnie i z wielką wprawą zajęli się majorem.

– Nie. Przekazałem już dowodzenie Jamrozowi. On da sobie radę. – Wskazał oczyma krótkofalówkę. Z oddali dobiegał wzmagający się huk wielkiej bitwy. Nieprzyjacielskie pociski zaczęły padać coraz rzadziej, najwyraźniej amos na dobre dobrał się do skóry bateriom artylerii. – Pan ma znacznie ważniejsze zadanie do wykonania.

W końcu nadszedł czas wyjaśnień. Gestem pokazał mi, abym się nachylił. Mówił bardzo cicho. Pochłonięci pracą sanitariusze nie zwracali na nas żadnej uwagi.

– Musi pan wracać do swoich i dopilnować, aby emiter został przekazany w ręce przedstawicieli amerykańskich władz. – Podniósł rękę, widząc, że otwieram usta. – Wiem, chce pan wracać w nasze dawne czasy. Ale emiter jest, jak by to nazwać, naszą polską kartą przetargową... najsilniejszą, jaką mamy... – Zakrztusił się. W kącie ust pojawiła się krew. Mówił coraz ciszej.

– Kartą przetargową?

– Wymiana. Emiter w zamian za dostawy. I nasze wojsko z Zachodu.

Kiwnąłem głową. Wiedziałem już sporo od Nancy, reszty się domyślałem. Jego żądanie nie było dla mnie zaskoczeniem. W sposób jednoznaczny rujnowało nasze plany powrotu do przyszłości. Ale czy mogłem odmówić?

Na jednej szali prywatne przedsięwzięcie, ważne dla kilku tylko osób. Na drugiej zaś...

– My mamy coś, na czym im bardzo zależy. Oni mają broń w dowolnej ilości. Damy im to, czego chcą, a w zamian... Dużo pan tego wytargował?

– Dobrze się pan domyśla. Sporo. Przybycie Brygady Spadochronowej. Uzbrojenie dla trzech dywizji piechoty i zaopatrzenie na trzy miesiące walk.

– Dlatego tak ważne było zdobycie lotniska? – zapytałem, wiedząc przecież o tym.

– I dlatego tak ważne jest utrzymanie go. Diametralnie ułatwia logistykę. – To ostatnie zdanie powiedział już z zamkniętymi oczyma. Po chwili otworzył je jednak. – Dam panu do ręki pewien atut. Nie ufam do końca naszym amerykańskim sojusznikom, dlatego... – kaszlnięcie – ...postanowiłem się zabezpieczyć. Niech pan wyjmie to. – Wskazał na jedną z ładownic przypiętą do pasa.

– Co to jest?

– Gwarancja. Niech pan słucha...

Kilka minut później major stracił przytomność. Uścisnąłem delikatnie zdrową rękę i zerwałem się do biegu. Musiałem dogonić moich towarzyszy.

6.

Liberatory były już prawie gotowe do startu. Załogi i przydzieleni żołnierze kończyli rozładunek przywiezionego wyposażenia wojennego. Skrzynie z bronią i amunicją znikwały na platformach ciężarówek, po czym auta jak najprędzej odjeżdżały ze strefy ostrzału. Ten osłabił

co prawda znacznie, ale co jakiś czas, tu i ówdzie, wybuchał granat artyleryjski, więc dowódca nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Na betonie stało także kilkanaście przywiezionych przez transportowce mózdzierzy. Obok dyskutowało z ożywieniem paru oficerów w anglosaskich mundurach, z naszywkami „Poland” na ramieniu.

Nasza ciężarówka parkowała przy jednym z samolotów. Gdy podszedłem bliżej, Wieteska, Kurcewicz, Galaś i jeden z lotników wnosili do przedziału transportowego skrzynię z ukrytą wewnątrz pancerną skorupą emitera. Śmigła już zaczynały wirować. Rozalka wdrapała się po schodkach do s’rodka samolotu. Zdążyłem w ostatnim momencie.

– Co to jest? – zapytał amerykański lotnik, wskazując na pozostałą w samochodzie trumnę.

– Zwłoki mojej żony. – Musiałem wysoko zadrzeć głowę, aby móc z nim zamienić parę słów. Moi ludzie zastygli w bezruchu.

Zawahał się.

– Jakies wątpliwości?

Spojrzał mi w oczy, po czym zerknął na stojącego za nim oficera, który przed chwilą ukazał się w otwartych drzwiach maszyny. Miał na sobie generalski mundur, najwyżej pięćdziesiątkę na karku i przystojną, wąską twarz, okoloną krótko przystrzyżonymi szpakowatymi włosami. Ranga tego człowieka jasno pokazywała, jak bardzo naszym sojusznikom zależy na pomyślnym zakończeniu akcji.

Generał kiwnął głową, patrząc na mnie życzliwie.

– Nie – odparł lotnik.

– To dobrze. Pomożecie mi? – zapytałem kolegów.

– Jasne.

Złapaliśmy za dębową skrzynię. Rozłożony na cztery osoby ciężar nie był wielki, ale i tak ręce mi się trzęsły. Z pewnością osłabiły mnie wydarzenia ostatnich dni.

Drzwi samolotu zatrzasnęły się i pilot niezwłocznie dodał gazu. Samolot zadrzał i zaczął powoli toczyć się w stronę początku pasa startowego. Odtąd to drżenie będzie nam towarzyszyć przez pięć godzin lotu do Włoch. Usiadłem w ciasnym foteliku pod ścianą i wyrząłem przez bulaj.

Bitwa dogasała. Niemiecki atak załamał się w wyniku kontrataku oddziałów Wojtyńskiego. Na zachodzie błyskały jeszcze ognie wystrzałów, ale ich liczba malała z każdą chwilą. Kunszt wojenny żołnierzy, dobre uzbrojenie, twardość załóg wozów bojowych, przewaga technologii przechyliły po raz kolejny szalę na naszą korzyść.

7.

– Generał Morgan Travis – przedstawił się ów oficer, który zezwolił na zabranie trumny

na pokład samolotu. Koła właśnie oderwały się od ziemi i maszyna, uwolniona od ciężaru ładunku wojennego, szybko nabierała wysokości. Najwyraźniej facet uważał dalsze wyjaśnienia za zbędne. – Pan Jerzy Grobicki, o ile się nie mylę.

– Podpułkownik Jerzy Grobicki – przedstawiłem się oficjalnie.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiej żony. Chciałbym złożyć panu szczere kondolencje.

– Dziękuję.

– Nancy... pana żona była niezwykłym człowiekiem.

– Znał ją pan. – To nie było pytanie. Odkąd zobaczyłem tego faceta, wiedziałem, że z pewnością jest to mózg operacji, człowiek grający w niej pierwsze skrzypce, być może nawet oficer prowadzący Nancy przez ostatnich pięć lat.

– Tak. Współpracujemy... współpracowaliśmy od początku.

Bingo.

Reszta moich towarzyszy przysłuchiwała się tej wymianie zdań z narastającym zdumieniem.

– Jureczku, znasz tego gościa? – zapytał po polsku Wieteska.

– Nie, ale mogę ci o nim sporo opowiedzieć.

– Co on tu robi? Co to za heca z tymi dostawami? – Wieteska jak zwykle zmierzał prosto do celu.

– Przyjechał osobiście dopilnować odbioru emitera.

– Emitera? Emiter jest nasz!

– Niezupełnie. Jest własnością rządu amerykańskiego. I teraz nastąpił właśnie ten moment, kiedy właściciel się o niego upomniął.

– Jaki, kurna, właściciel? To my nadstawialiśmy dupę, żeby go odzyskać. Co za pierdoły mi wciskasz?! – Oddychał szybko, a jego oczy miały błyskawice. Rozalka, nie rozumiejąc, o co chodzi, wcisnęła się w kąt kabiny.

– Uspokój się, Johny. Emiter jest ich. Jak dobrze to rozegramy, może się nam uda...

– Co uda? Zabiorą emiter i tyle go będziesz widział. Będą chcieli go wykorzystać do swoich celów... – Krzyk rozdzierał bębni.

– Możliwe.

Wieteska sapnął ze złości i zaczął poklepywać się po kaburze obciążonej pistoletem. Gwoli wyjaśnienia: całą naszą broń długą, granaty, kamizelki kuloodporne i noktowizyjne gogle oraz resztę amunicji zostawiliśmy jednemu z ludzi Wojtyńskiego, który obiecał rzetelnie rozdzielić owe niezwykle pożądane w powstańczych warunkach dobra między potrzebujących.

– Byliśmy tylko małym trybikiem w wielkiej politycznej grze, prawda? – zapytał w zadumie Kurcewicz.

Przytaknąłem.

Travis patrzył na nas uważnie i chociaż nie rozumiał słów, doskonale wychwycił sens tej wymiany zdań.

– Akcja planowana była od wielu miesięcy – powiedział tonem wyjaśnienia, nie zwracając uwagi na miotającego się Wieteskę.

– Ale dlaczego my? Nie mógł pan posłać swoich ludzi? – zapytałem.

– Kwestia zaufania. Doszliśmy do wniosku, że Wojtyński łatwiej zaufa wam niż nam. Chcieliśmy, aby operacja przekazania urządzenia odbyła się jak najsprawniej.

– Wykorzystaliście Nancy.

– Kapitan Grobicki była oficerem armii amerykańskiej. Doskonale zdawała sobie sprawę, co mogłoby się stać, gdyby urządzenie wpadło w ręce Niemców. Nie trzeba jej było namawiać do udziału w operacji, zresztą sama w dużej mierze zaplanowała jej przebieg. Problemem raczej był pana opór...

To w istocie był problem. Gdybym okazał się odrobinę bardziej uparty i nie pozwolił na ruszenie się nogą z Ameryki, Nancy by żyła.

– Słuchaj, a może ich zastrzelimy? – Wieteska wpadł w końcu na to, co powinniśmy zrobić. – Szast-prast, przejmujemy samolot i lecimy w swoją stronę.

– Świetny plan – powiedziałem, ale nie uczyniłem najmniejszego ruchu, aby wcielić go w życie. – Tylko gdzie wylądujesz? Lecimy w formacji. Myślisz, że pozostałe samoloty pozwolą nam się oddalić? A jak pilot nie będzie chciał wykonywać twoich poleceń?

– Ja jestem pilotem, mój drogi. Poprowadzę tę trumnę z pewnością znacznie lepiej niż te amerykańskie ofiary losu. – Kapitan coraz bardziej zapalał się do pomysłu, a po minach Kurcewicza i Galasia, także uzbrojonych w przytroczone do pasa pistolety, widziałem, że uważają plan za całkiem realny i dający niezłe widoki na przyszłość.

Ja zresztą też tak uważałem.

Ale zanim zdążyłem podjąć decyzję, w rękach towarzyszących Travisowi dwóch milczących do tej pory oficerów pojawiły się kolty i całkowicie jednoznacznie wycelowały w naszą stronę. Travis najwyraźniej wykazywał dużą zdolność przewidywania wypadków. Niewykluczone zresztą, że dossier na nasz temat było grubości książki telefonicznej, więc nie musiał się zdawać na domysły w kwestii naszych prawdopodobnych reakcji.

– Bardzo proszę o wyjęcie broni i oddanie nam kolbami do przodu. Całej broni. I bardzo proszę nie robić głupstw.

Nie było specjalnie wyjścia. Obaj amerykańscy oficerowie wyglądali na sprawnych i zdecydowanych. Strzelanina zakończyłaby się niewątpliwie naszą klęską.

Odpiąłem powoli kaburę USP i łagodnym ruchem wyjąłem broń, po czym zgodnie z poleceniem podałem Travisowi. To samo uczyniłem z wyciągniętym z kieszeni rewolwerem.

Reszta moich towarzyszy, ociągając się i mrużąc pod nosem, poszła w moje ślady.

Za nami płonęła Warszawa.

X. DOM

– Pijmy! – zawołał Wieteska. – Pijmy na pohybel wrogom. I na pohybel naszym przyjaciom. Zwłaszcza tym ostatnim na pohybel.

– Pijmy – zgodziłem się, przechylając szklanke.

Kurcewicz zaczął się śmiać, ale to nie był wesoły śmiech. Więcej w nim było histerycznej nuty.

Siedzieliśmy na tarasie mojego domu w San Antonio. Był piękny sierpniowy wieczór, upał już zelżał nieco i łagodny wietrzyk chłodził rozpalone czoła.

Do Stanów wróciliśmy kilka dni temu, po odbyciu męczącej i upokarzającej kwarantanny. Już we Włoszech Travis i jego ludzie poddali nas wielogodzinnym przesłuchaniom. Chcieli wiedzieć dosłownie wszystko o przebiegu wyprawy. Pytali o każdy szczegół. Interesowało ich, w jakim stanie znaleźliśmy emiter. Jak był zabezpieczony. Co wiemy o sposobach jego użycia. Którzy z ludzi Wojtyńskiego mieli do niego dostęp. W jakim stopniu, naszym zdaniem, Niemcy byli poinformowani o całej sprawie. Wyszła na jaw rola Cuprysia, jednak zarówno Wieteska, jak i ja twierdziliśmy zgodnie, że jeniec uciekł, korzystając z zamieszania bitewnego. Fakt ten wzbudził ogromne niezadowolenie przesłuchujących.

W końcu dano nam spokój. Na lotnisku przelotnie mignęła mi twarz wychudzonego i bladego Raileya, wysnułem więc wniosek, że OSS machnie na nas ręką, ponieważ mając informatyka i emiter, i bez naszej skromnej pomocy może szybko osiągnąć cel. Złożenie systemu było kwestią kilku tygodni. Niestety nie było nam dane skorzystać z owoców sukcesu, Travis poinformował nas o tym szczerze i brutalnie. Nie było żadnych targów, facet postawił sprawę jasno: zostajemy w Stanach i siedzimy cicho, uprzednio podpisawszy deklaracje o zachowaniu tajemnicy. W razie jej złamania zagrożono najsurowszymi karami, z sądem polowym na czele. W zamian OSS zobowiązało się, że nie będzie przeszkadzać w rozwijaniu biznesu i ogólnie życzyło nam wszystkiego najlepszego.

W sumie nie dziwię się tym ludziom. Byli Amerykanami. Nie rozumieli naszego pragnienia powrotu. Ich świat wydawał im się najlepszym ze światów. Jak zwykle grali w swoje karty, nie licząc się specjalnie ze zdaniem, cokolwiek by o nas powiedzieć, sojuszników. Jednak, o ile mogłem się zorientować, z układu z naszymi władzami

dotyczącymi dostaw na razie się wywiązywali. Co noc lotnisko w Brindisi huczało od ryku ciężkich maszyn odlatujących całymi formacjami na północny wschód. Jak dotąd kalkulacje Wojtyńskiego okazały się trafne.

Nie miałem złudzeń-przybycie Brygady Spadochronowej oraz dostawy broni z pewnością nie zmienia geopolitycznego położenia mojego kraju ani nie odwróci wyniku wojny, natomiast być może dadzą naszym politykom do ręki oręż, aby samodzielnie wziąć ster wydarzeń w swoje ręce. Opanowanie Warszawy i zainstalowanie w niej legalnego rządu było jedynym krokiem rokującym jakieś widoki na zachowanie resztek suwerenności. Naiwne? Możliwe. Major nie należał jednak do ludzi, którzy odpuściliby choćby najmniejszą szansę, by obrócić rozwój wydarzeń na swoją korzyść.

Nawet jeśli jest to szansa jedna na milion.

Travis w końcu pozwolił nam wrócić do Stanów. Przylecieliśmy wojskowym samolotem w charakterze pół jeńców, pół cywili, bez broni i bez możliwości kierowania sobą wedle własnej woli. Wysadzono nas na lotnisku w San Antonio i życzone miłego dnia, firmowy studebacker zabrał trumnę, a my załadowaliśmy się do auta osobowego. Gdy tylko przekroczyłem próg domu, mały Johnny rzucił mi się na szyję i natychmiast zaczął pytać o mamę. To był trudny moment. Dwuletnie dzieci nie rozumieją pewnych rzeczy, więc:

– Mama zaraz przyjedzie, prawda, tatusiu?

Miałem odbyć jeszcze wiele takich rozmów.

Parę dni zajęło nam przyzwyczajenie się do nowych warunków i dopiero wtedy spotkaliśmy się całą czwórką. Każdy z nas musiał samodzielnie uporać się z własnymi myślami.

Ja ze swej strony owe dni spędziłem niezwykle pracowicie.

Teraz siedzieliśmy na tarasie, sączyliśmy niespiesznie starą szkocką whisky z lodem i pogadywaliśmy leniwie, starannie unikając drażliwych tematów i często zapadając w ponure milczenie. Gdy atmosfera zrobiła się ciężka, a alkohol pomału uderzał do głów, w drzwiach tarasu ukazał się Galaś. Zobaczyłem jego minę i już wiedziałem, co powiedzieć. Cwaniacka, szabrawa, pokryta bliznami gęba kaprała aż świeciła ze szczęścia. Nalałem nową porcję whisky do szklaneczek, jedną z nich podałem nowo przybyłemu.

– Wypijmy za powrót do domu – powiedziałem. Lekko szumiało mi w głowie, ale myślało mi się nad wyraz klarownie.

– Taa, za to zawsze możemy wypić. Jesteśmy specjalistami od takich niespełnialnych toastów. – Wieteska lekko zaciął się na przedostatnim słowie.

– Wypijmy za powrót do domu – powtórzyłem z uporem. – Za szczęśliwy powroć. W nasze czasy...

Obie szklanki jednocześnie stuknęły o szklany blat stołu.

– Co, jaja sobie robisz?! – krzyknął kapitan. – Już się pomału zacząłem przyzwyczajać...

– To się odzwyczaj. Chodźcie. – Wstałem, zachwiałem się nieznacznie, ale oparcie

krzesła pomogło zachować równowagę. Moi przyjaciele spojrzeli na mnie jak na wariata, ale ostatecznie podnieśli się z foteli.

Poszliśmy do holu. Otworzyłem jedne z licznych drzwi i ukazały się schody prowadzące do piwnicy. To był obszerny, zamożny dom, piwnica również była solidnych rozmiarów, o wysokości pełnoprawnego pomieszczenia. Idealnie nadawała się do moich celów. Gdy zeszliśmy, znaleźliśmy się w niewielkim pokoiku. Jedna ze ścian w zdecydowanej większości wykonana była z grubej, dźwiękoszczelnej szyby. Za tym nietypowym oknem znajdował się drugi pokój, ogromne, podłużne pomieszczenie, ciągnące się pod prawie całym domem. Pokój ten był jasno oświetlony zwisającymi z sufitu lampami. Blasku dodawała także olśniewająca biel ścian. Pośrodku stał długi na trzy metry stół. Leżał na nim podłużny przedmiot, którego powłoka lśniła metalicznie. Obok stołu krzątało się dwóch ludzi ubranych w długie, laboratoryjne fartuchy.

Wieteska jednym ruchem dopił whisky. Jego oczy świeciły jak dwa reflektory. Już wiedział.

– Emiter – wychrypiał. Ze wzruszenia chyba. – Masz ten gówniany złom...

– Mam.

– Działa? Jak? Co to za ludzie? Skąd masz to żelastwo? – posypały się pytania. Nawet Wojtek, tak doskonale przecież panujący nad emocjami, pociągał mnie za rękaw i uśmiechał się od ucha do ucha.

Podniosłem ręce w geście poddania, ale też nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Proponuję, abyśmy wrócili na górę. Tu nie ma na czym usiąść ani się czego napić.

Propozycja została przyjęta bez protestu, więc wróciliśmy na górę. Gdy już zasiedliśmy na powrót w wygodnych fotelach, a szklanki napełnione zostały większą niż zwykle porcją złocistego trunku, zagailem:

– Chcecie pewnie wysłuchać całego story od początku...

– Nie, kurna, od końca. Mów jak człowiek.

– Powiem. Wszystko zaczęło się od Nancy. W trzydziestym dziewiątym czuła się najbardziej z nas wszystkich zaniepokojona tym, że technika MDS-a może się dostać w ręce Niemców. Rozgryzienie zastosowanych w tej diabelskiej maszynie rozwiązań mogło im bardzo popchnąć badania nad niektórymi rzeczami, a zwłaszcza nad bronią jądrową. A nie muszę wam mówić, co by się stało, gdyby Niemcy tak ze dwa lata temu, albo nawet jeszcze w tym roku, mieli bombę atomową. Więc ta dzielna dziewczyna, uznając, że nie ma żadnych możliwości wywiezienia emitera z Polski, bardzo starannie dopilnowała ukrycia go, a po naszym przybyciu do Stanów natychmiast zgłosiła się do OSS...

– Fiuuuu... Dobrze myślałem. Nasza historyjka już od pewnego czasu zalatuje mi Jamesem Bondem.

– Nawet bardziej zalatuje, niż myślisz. OSS z początku nie chciało w nic wierzyć, bo przecież opowieści Nancy brzmiały jak bajki z mchu i paproci. Ale Amerykanie powoli

weryfikowali informacje, odszukali kilku pozostałych przy życiu członków obsługi MDS-a i doszli do wniosku, że te bajki to prawda. Wtedy nabrali wiatru w żagle. Do tego stopnia, że w czterdziestym roku zorganizowali wyprawę swoich agentów po emiter, ale, jak wiecie, Wojtyński zmienił lokalizację kryjówki i misja zakończyła się niepowodzeniem. Właśnie, Wojtyński... – Zamyśliłem się na chwilę. Trzy pary oczu przepalały moją twarz na wylot. – Duży był z niego gracz...

– Był? – zdziwił się Wojtek.

– Nie żyje. Travis powiedział mi dwa dni po przylocie do Włoch, że Wojtyński zmarł w wyniku odniesionych ran kilka godzin po bitwie. Otóż nasz świętej pamięci major od samego początku doskonale orientował się, co ma w ręku. I gdy tylko pięć lat temu zniknęliśmy mu z horyzontu, przeniósł emiter i bardzo starannie go ukrył. Zabezpieczył go w swoim stylu: strażnicy, miny, a w ostateczności pięć kilo C4 podłożone bezpośrednio pod urządzeniem. I zaczął powoli rozgrywać swoją partię, jednocześnie wymykając się Niemcom, którzy wiedzieli o emiterze od tej małej szujki Cuprysia, więc połowa ich sił bezpieczeństwa weszła bez przerwy. Dla Niemców przejęcie tej technologii byłoby nie lada gratką. Ale nie to było ważne. Wojtyński uznał za najważniejsze pytanie, ile Amerykanie są skłonni zapłacić za odzyskanie emitera. Okreźną drogą, przez nasz rząd w Londynie, nawiązał kontakt z OSS. Sprawę ułatwiła mu poniekąd Nancy, która ten kontakt uwiarygodniła, a ponieważ życzyła nam, Polakom, jak najlepiej, z całych sił pomagała w negocjacjach. Wojtyński chciał ugrać dwie rzeczy: po pierwsze ustępstwa polityczne, to znaczy naciskanie przez Amerykanów na Sowietów w kwestii powojennego ulokowania Polski w zachodniej strefie wpływów. Tu skutki były marne, Polska jest tylko pionkiem na szachownicy. I druga sprawa, bardziej wymierna: pomoc wojskowa. W tej kwestii osiągnął spore rezultaty, bo Amerykanie w zamian za emiter zobowiązali się dostarczyć do Warszawy uzbrojenie dla pięćdziesięciu tysięcy ludzi wraz z artylerią i lekkimi wozami, a także wymogli na Brytyjczykach zgodę na użycie w Polsce Brygady Spadochronowej. Wojtyński zdawał sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie, bo jedynym realnym planem była próba zajęcia Warszawy i zainstalowanie rządu, nim miasto zajmą Sowietci. Ryzyko znane: z jednej strony możliwość osiągnięcia pewnych zysków politycznych, z drugiej ryzyko zagłady i miasta, i mieszkańców. Dlatego tak starannie wszystko przygotował. Tych sześć liberatorów, które widzieliście na Okęciu, to było tylko preludium, pierwszy etap wielkiego łańcucha dostaw. Dlatego tak ważne dla niego było zdobycie lotniska i bezpieczne wyekspediowanie nas do Włoch razem z emiterem.

– Czekaj, czekaj. Zaraz mi powiesz, skąd, do kurwy nędzy, masz emiter, skoro mają go Amerykanie. Ale jedna rzecz mi się nie zgadza – przerwał mi Wieteska. – Pamiętasz, jak po wylądowaniu w Polsce wpadliśmy w kocioł?

– Pamiętam. – Cóż, trudno było zapomnieć.

– Wojtyński nam wtedy pomógł. Potem poprowadził nas do nowej kryjówki, przekazał nam emiter i puścił wolno. Przecież pozbawiał się karty przetargowej.

Uśmiechnąłem się.

– W żadnym wypadku. Wojtyński wiedział, że jego partnerem po naszej stronie jest Nancy i że ona pilnuje realizacji transakcji. Nawiasem mówiąc, to z tego powodu, a nie dlatego, że wzruszyła go moja zboląa dusza, tak ochoczo zorganizował akcję odbicia jej z łap gestapo. A że przy okazji wykrył zdrajcę w swoich szeregach... – Machnąłem ręką.

– Musiał – mruknął Galaś. – Gdyby tego nie zrobił, wyspa byłaby kompletna i wszystko wzięłoby w łeb.

– No właśnie. Był nawet skłonny poświęcić mnie, aby zlokalizować wtyczkę. Doskonale jednak wiedział, że osobiście zaangażuję się w akcję uwalniania Nancy, więc ryzyko nie było wielkie. A po drugie...

– Co po drugie?

– Wojtyński nigdy niczego nie puszczał na żywioł. Gdy pojechaliśmy z emiterem na poszukiwanie lądowiska, jeszcze w Górach Świętokrzyskich, ubezpieczało nas kilkudziesięciu ludzi. Dalej. Pamiętacie, jak kazałem Galasiowi wykręcić to i owo z emitera, wtedy, w leśniczówce? Wojtyński wpadł na ten sam pomysł, tyle że wcześniej. Wymontował jeden z kluczowych modułów przenoszących zasilanie do emitera. Maleńki chip sterujący. Zostawił sobie po prostu w ręku ostatni atut, na wypadek gdyby Amerykanie po otrzymaniu emitera nie zamierzali wywiązać się z umowy.

– Sprytny ten nasz major.

– Bardzo. I w sumie romantyk.

– No. A ten chip gdzie jest? – zainteresował się Wieteska. Nie było po nim widać wypitego alkoholu.

– Na swoim miejscu. Wojtyński dał mi go tuż przed odlotem.

– Spryციulek. Musiał ci bardzo wierzyć. Przecież namawiał cię, abyś zrezygnował z powrotu na stare śmieci.

– Niezupełnie. Wojtyński uważał, że mając ten chip w ręku, możemy spróbować wynegocjować z Amerykanami wspólne uruchomienie systemu i powrót w nasze czasy pod opieką kogoś od nich, kto następnie wróciłby do teraźniejszości.

– Taki temporalny autostop – parsknął Kurcewicz.

– Coś w tym rodzaju. Prosta transakcja: my wam chip, a wy nam podróż.

– Próbowaleś?

– Nie. Po co? Miałem przecież emiter, a nie chciałem im zdradzać, że mam też brakujące części. Doszedłem do wniosku, że wolę wróbla w garści.

– No więc powiedz w końcu, jak ich wykiwałeś.

– Trumna – rzuciłem.

– Proszę... Aaaach... – Wieteska aż się zachłysnął. – Stary numer. Jasne.

– Dlatego mi zależało, żebyśmy wywieźli ciało Nancy ze szpitala w trumnie. To... – przełknąłem ślinę – była zresztą jej ostatnia wola. Podpowiedziała mi, które części emitera

można wymontować i w jaki sposób.

– Sama to zaproponowała?

– Tak. Chciała, żebyśmy byli szczęśliwi u siebie.

– No, no. – Wieteska pokręcił głową. W oczach miał łzy. Nie on jeden zresztą. – To przepraszam, kogo przedwczoraj pochowaliśmy?

– Nikogo. Trochę kamieni – odparłem już bez uśmiechu.

– A po co cała ta maskarada?

– Jesteśmy obserwowani.

– Więc gdzie jest Nancy?

– Na Różanej, na Mokotowie. W podziemnym garażu.

– O rany. – Kurcewicz wypuścił ze świstem powietrze.

Wszyscy zamilkli na moment, przetrawiając te informacje.

– Pamiętasz, Johny, jak połączyłem się przez radio z tu obecnym kapralem rano drugiego sierpnia spod szpitala? – Nagle poczułem się bardzo zmęczony. Chciałem mieć to już za sobą.

– Mhm.

– Musiałem się tak dogadać z naszym miłym kolegą, żeby nikt się nie zorientował, bo bałem się, że ludzie Wojtyńskiego mogą nas mieć na nasłuchu. Więc zmienialiśmy parę razy częstotliwość, mówiliśmy szyfrem i takie tam. Ale nasz kapral to geniusz, zrozumiał wszystko bez pudła. Otworzył skorupę emitera, wyjął ze środka całą elektronikę, siłowniki, moduły zasilania i resztę, a w zamian włożył części tych potrzaskanych komputerów, co zostały po MDS-ie, pozorując normalne elektroniczne wnętrze. Emiter był strasznie ciężki, ale to głównie pancerz tyle ważył. Sama elektronika zmieściła się w trumnie i wagowo nie odstawała od... normalnego ładunku. Wiedziałem, że Amerykanie natychmiast po uzyskaniu dostępu do urządzenia będą próbowali zbadać, co jest w środku, więc dodatkowo kapral umieścił tam parę deko semteksu rozlokowanego w taki sposób, aby przy pierwszej próbie otwarcia emitera ładunek zniszczył wszystko w środku, nie raniąc specjalnie nikogo dookoła. Chciałem zamaskować ślady kradzieży, aby Amerykanie nie wycofali się z umowy dotyczącej dostaw dla powstania. Na zasadzie: myśmy swoje zrobili, przekazaliśmy sprzęt, nawet jesteśmy wściekli z tego powodu, bo rujnuje to nasze plany, a że oni nie umieją się z nim obchodzić, to już inna historia...

– Kurna, ty też jesteś niezłe ziółko.

– To Nancy. To ona chciała, abyśmy zamienili ją na emiter. Mój był tylko pomysł z zaminowaniem skorupy. Uznałem, że nie możemy dawać Amerykanom żadnego pretekstu do przerwania dostaw uzbrojenia dla powstania, więc sprawa zamaskowania kradzieży była kluczowa.

Wszyscy trzej zamyślili się głęboko. Galaś z wyraźną satysfakcją na twarzy dolał nam kolejną porcję. Zapowiadała się długa noc.

– A ci dwaj na dole? – zapytał Kurcewicz.

– Nie poznaliście ich? – Uśmiechnąłem się. – Jeden z nich to Simmons, informatyk z obsługi MDS-a. A drugi nazywa się Brest, inżynier elektronik, też z dawnej ekipy Nancy.

– Ale skąd oni się tu wzięli?

Wzruszyłem ramionami, ale gdzieś w głębi uśmiechałem się. Po raz pierwszy od długiego czasu szczerze.

– Ja też raz w życiu chciałem być cwany. Obu tych panów namierzyłem jeszcze wiosną. Pracowali w fabryce Hallowaya, niedaleko stąd. Oczywiście jak wszyscy z ekipy MDS-a, po przyjeździe do Stanów tą czy inną drogą trafili do OS S i zadeklarowali chęć współpracy. W zamian OSS pozwoliło im w miarę normalnie żyć, pomogło się urządzić i takie tam. No więc przed wyjazdem uszczknąłem nieco z firmowego konta i udałem się do obu panów na rzeczową rozmowę. No i...

– No i? – ponaglił mnie Johny.

– Po naszym odjeździe do Europy obaj nagle zniknęli. Po prostu jakby się pod ziemię zapadli. Umowa była taka, że dostają po pięćdziesiąt tysięcy dolarów, wyjeżdżają pod zmienionymi nazwiskami do Meksyku i czekają na mój sygnał. Po otrzymaniu wezwania przyjeżdżają incognito z powrotem, inkasują po następne pięć dych i przystępują do składania systemu, do pomocy mając naszego przedsiębiorczego kaprała, który jednocześnie pilnuje, żeby im do głowy nic głupiego nie przyszło. Obu poinformowałem, że oprócz kasy w nagrodę mogą wrócić do swoich zapłakanych rodzin w roku dwa tysiące siódmym. Efekty znacie. Chłopaki naprawdę odwalili kawał dobrej roboty. Emiter działa, komputery działają, zasilanie jest. Składamy system do kupy i odjeżdżamy. Jednak zanim odjedziemy, musimy załatwić masę spraw.

– Ku chwale ojczyzny, towarzyszu pułkowniku. – Wieteska wstał, zachwiał się, po czym z płaczem runął mi w ramiona. Nad jego rozczochraną czupryną widziałem uśmiechniętą gębę Kurcewicz i Galasia.

Za oknem była piękna letnia noc, a w ciszę wdzierał się tylko koncert świerszczy.

EPILOG

Równo trzydzieści dni później całą czwórka siedzieliśmy w restauracji Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Fryderyka Chopina na Okęciu w Warszawie. Przed sobą mieliśmy imponujący widok na długie pasy startowe i terminal przylotów. Rozalka z oboma chłopcami – małym Johnym i dziesięcioletnim Stasiem, adoptowanym synem Wietesków, tym samym, którego w trzydziestym dziewiątym roku uratowaliśmy w spalonej przez Niemców Mokrej – chodziła z otwartymi ze zdumienia oczami i oglądała wystawy sklepowe i barwne reklamy.

Nasz samolot przyleciał godzinę temu, bardzo szybko przeszliśmy przez odprawę

paszportową – Amerykanów traktowano z uśmiechem i sprawnie odprowadzono – ale jakoś odkładaliśmy decyzję o ruszeniu w dalszą drogę. Zbyt dużo myśli krążyło po naszych głowach, zbyt dużo wspomnień, dobrych i złych. Mieliśmy zacząć nowe życie w tym jakże dobrze znanym nam świecie. Kolorowym i nowoczesnym, a jednocześnie odpychającym krzykliwym i zabieganym.

Toteż siedzieliśmy, nieśpiesznie sączyliśmy piwo – choć nie minęła dziesiąta rano i każdy z nas zastanawiał się nad następnym krokiem.

Ja na razie ograniczyłem się do kupienia ogromnego bukietu róż. Miałem zamiar pojechać na ulicę Różaną na Mokotowie i zanurzyć się w cień wąskich uliczek zabudowanych przedwojennymi willami.

Przygotowania do odjazdu zajęły nam w Stanach dwa tygodnie. Musieliśmy postępować ostrożnie, aby nie wzbudzić czujności OSS. Parę razy wzywano nas na przesłuchania, wypytując, czy nie próbowaliśmy na własną rękę uruchomić systemu. Najprawdopodobniej jednak ładunki założone przez Galasia zadziałały prawidłowo, niszcząc dowód kradzieży, bo po kilku spotkaniach dano nam spokój. Ostrożnie i dyskretnie, przez podstawionych ludzi, spieniężyliśmy nasze udziały w firmie, po czym, idąc za radą Kurcewicza, zamieniliśmy banknoty z lat czterdziestych na bardziej ponadczasowe złoto i kamienie szlachetne. Długą dyskusję wzbudziła data, którą powinniśmy zaprogramować jako naszą stację docelową. Ostatecznie stanęło na roku dwa tysiące dwunastym. W rzeczywistości wojennej spędziliśmy pięć lat, chcieliśmy zatem pojawić się w naszych czasach również pięć lat później, o pięć lat starsi, zwalczywszy w sobie chęć odplacenia Dreszerowi za niechciane przeżycia. Musieliśmy rozwiązać problem legalizacji naszego pojawienia się w nowej rzeczywistości – zniknęliśmy przecież bez śladu pierwszego września dwa tysiące siódmego roku. Ustaliliśmy, że zaczynamy wszystko od nowa, na później odkładając decyzję, co powiemy, gdy natkniemy się na jakichś znajomych.

Powrót w nasze czasy wzbudził oczywiście ogromne emocje, ale okazało się, że niepotrzebnie się denerwujemy. Tercet Galaś, Simmons, Brest wykonał naprawdę świetną robotę; system, choć w połowie połączony chałupniczymi metodami, zadziałał wzorowo. Nacisnąłem przycisk „enter” w złożonym z kilku innych komputerze i odzyskaliśmy przytomność w roku docelowym. Reszta była dziecinnie prosta. Złoto z powrotem zamieniliśmy na dolary, na czarnym rynku kupiliśmy amerykańskie paszporty, po czym najbliższym rejsowym samolotem przylecieliśmy do Polski, nie odmawiając sobie przy tym komfortu oferowanego przez business class. Byliśmy bardzo bogatymi ludźmi, więc to nie był jakiś gest ponad stan.

Siedziałem w wygodnym restauracyjnym fotelu, a przed oczami przebiegał korowód postaci, które przewinięły się przez moje życie w ostatnich miesiącach.

Johny Wieteska odstawił na stół butelkę.

– Jeszcze w Stanach wklepałem w wyszukiwarkę hasło „powstanie warszawskie” –

powiedział niespiesznie. – I wiecie, co wyszło?

– No? – zachęciłem go. W sumie interesująca sprawa: dowiedzieć się, czy nasze wysiłki poszły na marne.

– Znalazłem ciekawą stronkę. Nazywa się www.1944.waw.pl. – Wyciągnął z kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru. – Na razie nadążacie?

– Z trudem. Ale jedź dalej – powiedział Wojtek.

– „Dzięki znakomicie zaplanowanym uderzeniom siły powstańcze już w ciągu pierwszych kilkudziesięciu godzin walki zdobyły większość punktów niemieckiej obrony. Najważniejszym celem było opanowanie lotniska na Okęcie. Dzięki temu żołnierze AK zostali wzmocnieni poważnymi dostawami broni i amunicji, szybko przekształcając się w regularne oddziały. Duże znaczenie miało także przybycie do Warszawy Samodzielnej Brygady Spadochronowej pod dowództwem niezwykle energicznego generała Stanisława Sosabowskiego. Miasto zostało całkowicie opanowane przez stronę polską do dnia 10 sierpnia. W dniu 12 sierpnia przybył do Warszawy premier Stanisław Mikołajczyk wraz kilkoma ministrami oraz członkami Rady Narodowej. W Warszawie zaczął działać legalny rząd polski. Armia Krajowa decyzją Prezydenta RP została przekształcona w Wojsko Polskie”.

– Fantastycznie – mruknąłem. – Czyli jednak się udało.

– Nic się nie udało. Słuchajcie dalej. – Wieteska z niecierpliwością machnął ręką. – „W dniu 16 września rozpoczęła się sowiecka ofensywa. Armia Czerwona sforsowała niemiecką obronę na Wiśle w wielu miejscach, zarówno na południe, jak i na północ od Warszawy. Wchodzące do stolicy wojska sowieckie zostały przyjaźnie powitane przez polskie władze. Początkowo współpraca rządu polskiego i sowieckiej administracji wojskowej przebiegała bez zakłóceń. Jednak z czasem zaczęły nasilać się tajemnicze zniknięcia wyższych oficerów Wojska Polskiego, mnożyły się aresztowania dokonywane przez NKWD. W wyniku niemożności uzgodnienia kwestii granicy wschodniej oraz konkretnego terminu opuszczenia ziem polskich przez wojska sowieckie po zakończeniu działań wojennych, obie strony znalazły się na krawędzi konfliktu zbrojnego. Alianci zachodni, uznając, że wywiązali się ze wszystkich zobowiązań wobec Polski i nie chcąc eskalować napięcia w stosunkach ze Stalinem, stopniowo wycofywali poparcie dla premiera Mikołajczyka i jego rządu. Dnia 4 czerwca 1946 roku odbyły się w Polsce wybory. Zostały zdecydowaną większością głosów wygrane przez stronę komunistyczną – dziś już wiadomo, że nastąpiło to w wyniku masowych fałszerstw wyborczych, aresztowań, zastraszania i mordowania przedstawicieli legalnych władz i działaczy partii politycznych oraz całkowitego zakneblowania mediów. Władzę objął nowy rząd całkowicie zdominowany przez komunistów. Premier Mikołajczyk wyjechał z kraju. Ponieważ na terenie Polski stacjonowało blisko pół miliona sowieckich żołnierzy, a lokalny ruch komunistyczny rósł w siłę dzięki jednoznacznemu poparciu Moskwy, opozycja, zarówno polityczna, jak i wojskowa, została stłumiona w ciągu kilku

miesiący. Wybory 4 czerwca 1946 roku przyjęło się uważać za początek władzy komunistycznej w Polsce”.

Zapadła cisza, przerywana gwarem ludzkiego mrowiska.

– Czyli nic się nie zmieniło – powiedziałem.

– Może się zmieniło. Pewnie ofiar było mniej. I nadziei wolności więcej – mruknął Kurcewicz.

– Może. To by znaczyło, że było warto, mimo wszystko.

– Chrzanić to – zakończył naszą dyskusję Wieteska i uśmiechnął się na widok zbliżającej się Rozalki.

– Tato, fajne rzeczy tu są – usłyszałem obok donośny głosik. Mały człowieczek z impetem wpakował mi się na kolana. – A kiedy przyjdzie mama?

– Mama? – zapytałem, odrywając się z trudem od ponurych myśli. Patrzyłem jak zafascynowany na małą buzię o rysach tak bardzo podobnych do Nancy, że ilekroć spoglądałem na to radosne oblicze, coś ścisnęło mnie w dołku. – Mama nie przyjdzie. Ale my pójdziemy do mamy.

– Hurra! Idziemy do mamy.

Podniosłem się i wziąłem ze stojącego obok krzesła ogromny pęk krwistoczerwonych róż. Poczułem w dłoni ciepło małej rączki.

– Idziemy.

KONIEC